



Eric Jerome Dickey



Inna kobieta

Nie powinnam być zdziwiona, kiedy poznałam kochankę mojego męża, ale byłam.

Oto twarz kobiety w lustrze, świeża twarz pewnej kobiety, która od czterech lat jest mężatką: mam brązową skórę i cynamonowe piegi, które wychodzą mi w słońcu; delikatne piegi, którymi wszyscy moi poprzedni kochankowie lubili się bawić, jakby łączyli punkty w grze planszowej albo udawali, że moja twarz jest niebem, a piegi gwiazdami, i znajdowali tyle konstelacji, ile się dało. Jestem lekko po trzydziestce, ale w dobry dzień, z odpowiednim makijażem i w fajnych ciuchach mogę uchodzić za dwudziestokilkulatkę. To mężczyźni po dwudziestce lekceważą obrączkę i najczęściej ze mną flirtują. Myślę, że to dzięki dredom. Odkąd nie mam trwałej, ludzie mówią, że wyglądam młodziej.

Oto życie kobiety w lustrze, życie pewnej kobiety godzącej małżeństwo z karierą zawodową. Jestem producentką wiadomości: codziennie jadę godzinę i piętnaście minut przez zatłoczone miasto - i to w jedną stronę - do dziesiątki w kierunku zachodnim, żeby aleją La Brea dostać się na obrzeża Hollywood i zdążyć do pracy, która mnie potwornie stresuje. Bywa, że bóg autostrad uśmiechnie się do mnie i wtedy dojazd zajmuje mi tylko godzinę, ale w deszczowe dni nawet dwie i pół. Jeśli komuś puszcza nerwy i zabije kogoś na autostradzie - około czterech. To dość irytujące spędzać tyle czasu w korkach albo w samotności, albo szukając kogoś, z kim można by pogadać przez komórkę, żeby do końca nie oszaleć.

Zanim wyruszę do pracy, w pośpiechu gotuję mężowi obiad i zostawiam w mikrofalówce albo w piekarniku - gotowy do zjedzenia. Jeśli nie pełen obiad, to przynajmniej sandwicze. Tak jak robiła moja matka; w domu zawsze jest jedzenie. Kiedy wracam w nocy, po opracowaniu iluś tam relacji o pościgach na autostradach, zabójstwach, po przygotowaniu doniesień o maltretowaniu dzieci i reportażu o trzęsieniach ziemi, zostawiam pesymizm za drzwiami; nie pozwalam sobie na wnoszenie negatywnej energii do swojego domowego ogniska. Nie na darmo jestem spod znaku Ryb. To jest ta część mnie, która wierzy w miłość i słucha głosu duszy.

Charles pochodzi ze Slidell w Luizjanie, wychował się w małej wiejskiej społeczności żyjącej na wschód od Nowego Orleanu. On jest Wagą - zrównoważony, ma silny popęd seksualny, bywa uczuciowy i nienawidzi dramatyzowania. W domu ma ośmioro rodzeństwa, wszyscy są z tej samej matki i ojca, wszyscy mają takie same czarne kręcone włosy, które po uczesaniu układają się w fale, ale tylko Charles i jego matka mają orzechowe oczy. Bardzo związany z rodziną. Mięso aligatora, langusty, zupa z ketmii - na takiej kuchni się wychował i umie robić genialne francuskie

pączki, a tuczący jak diabli pudding z bułki potrafi polać taką ilością sosu z whisky, że człowiek się zastanawia, czy może wsiąść za kierownicę.

Mój mąż jest dobrze zbudowany, barczysty i ma piękny uśmiech. Po niezliczonych bójkach w dzieciństwie i uprawianiu boksu we wczesnej młodości ma tu i ówdzie blizny, które nadają mu dość surowy wygląd. Jego miękkie włosy mogłabym gładzić przez całą noc. Lubię też jego południowy akcent; jest lekki, nieprzesadnie nosowy. Taki, który mówi, że będzie traktował cię jak damę, otwierał przed tobą drzwi i bronił twojego honoru. Kiedy uśmiecha się jedną stroną twarzy, wiem, że zastanawia się nad pozycją, w której chce mnie wziąć. Seks to porozumienie. Seks to pokarm. Chętnie karmię swojego mężczyznę. Chętnie daję się karmić. Nakarmisz go albo zje gdzieś indziej. Tę mądrość przejęłam od swojej mamy. Mówiła nam, że kobieta musi być dla swojego mężczyzny kobietą albo będzie nią jakaś inna kobieta.

Charles chodzi spać o dziesiątej, dziewiątej, jeśli nie ma żadnego meczu i zdąży sprawdzić klasówki. Musi wstać o szóstej, żeby sześćdziesiątką dojechać do West Covina, miejscowości położonej pięćdziesiąt kilometrów na wschód, gdzie uczy dzieciaki z gimnazjum wiedzy o społeczeństwie. Moje kolegia poemisyjne czasem się przeciągają, bo trzeba omówić, co wyszło dobrze w ostatnim wydaniu wiadomości, co było do chrzanu, co mogło być lepiej, a jeśli mamy jakiś gorący temat, musimy go przygotować na następny dzień. Bywa, że to mnie zatrzymuje w firmie do północy albo i dłużej.

Kiedy wreszcie docieram do domu, Charles śpi jak zabity. Wchodzę przez garaż, człapię ze znużeniem po schodach i wślizguję się do ciemnej sypialni, w ciszę. Czasami zostaję na dole, masuję sobie skronie, rozbieram się, potem dekuję się w łazience dla gości i po prostu mam czas dla siebie. Robię porządek z twarzą i biorę długą kąpiel przy świecach. Zmuszony wstawać wcześnie, Charles nienawidzi, kiedy zakłóca mu się sen. Ja z kolei jestem podminowana i do drugiej, może trzeciej nad ranem jestem na chodzie, ale staram się nie robić zbyt dużo hałasu. To są godziny samotności, kiedy świat śpi, a do mnie sen nie przychodzi, nie mam z kim pogadać i czuję się jak Tom Hanks w *Poza światem*.

Na kanale Showtime idą same filmy erotyczne - jakieś prymitywne pieprzenie, ale zawsze to pieprzenie. Kiedy księżyc jest wysoko na niebie, a we mnie buzują hormony, podglądactwo jest czystą torturą. O tej magicznej porze wkradam się do sypialni, dotykam Charlesa, próbuję pobudzić do życia jego penis, on klepie mnie po ręce, prosząc, żebym dała mu spać.

Wtedy zostaję na scenie ja, kochająca a cappella. Albo ja, mój mały króliczek i ja; trójkąć małżeński.

Czasami Charles wypija za dużo żeń-szenia z sokiem noni i budzi się bladym świtem z energią szesnastolatka, ocierając się o mnie swoją sterczącą pałą, całując mnie w to wrażliwe miejsce na szyi; jego poranny oddech jest nierówny i płytki.

Po trzech godzinach snu jestem szmacianą lalką. Sutki mi nie twardnieją, ale nie odpycham jego ręki, nigdy tego nie zrobiłam, odkąd ślubowaliśmy sobie przed Bogiem. On napiera i moja ręka wędruje w dół, bierze jego twardy członek i kieruje do mojej dziupli. Porusza się we mnie delikatnie, ale suchość przeszkadza. Na wpół śpiąca i ledwie świadoma, rzadko dochodzę wtedy do orgazmu, bo kiedy już zaczynam się prężyć i pojękiwać, on trzyma mnie kurczowo za tyłek, uderza mocno, głęboko i miarowo, cały drżąc, bo próbuje nie dopuścić, by jego orgazm wziął nad nim górę, i wydaje ten zapowiadający końcówkę jęk, który brzmi jak przeprosiny za przedwczesny finisz.

Miota się we mnie, wypełnia mnie bólem i przyjemnością, gorącym płynem, zarem, który mnie podnieca, i już całkiem przytomna, obejmuję go, poruszam się razem z nim i patrzę na niego. Lubię patrzeć, jak dochodzi. Ma takie niesamowite, intensywne, a zarazem czułe spojrzenie. Zwalnia, ale ja nadal się do niego garnę, zaciskając mięśnie pochwy wokół jego wiotczącego penisa, i walczę o swój orgazm, kiedy on wstrzymuje oddech.

Przeciąga dłońmi po moich dredach, chwyta powietrze i szepce:

- Jak tam?

- Dzień dobry - śpiewam.

Masuję jego plecy, czuję nad sobą jego siłę, przeczesuję palcami jego miękkie włosy, całuję jego twarz. Potem mówię, jak było mi dobrze, jaki jest wspaniały, jak uwielbiam czuć w sobie jego kutasa, i proszę, żeby ochłonał ze mną przez moment.

- Czas w drogę, kotku. Nie mogę się spóźnić. Robię minę obrażonej dziewczynki.

- Pół minutki?

Czuję, jak rozkojarzony i spięty, zerka na czerwone cyferki na elektronicznym budziku. Nie wytrzymuje trzydziestu sekund, o które go prosiłam, wychodzi ze mnie, zrywa naszą syjamską więź, zostawia mnie z frustrującą pustką, gotową rozchylić nogi do jeszcze jednej jazdy.

Opuszcza stopy na dywan i jest oddalającą się ode mnie w pośpiechu sylwetką.

- Może dokończymy wieczorem - mówię. Bez odpowiedzi.

Nienawidzę, kiedy się tak zrywa i biegnie pod prysznic. On jednak nie może się spóźnić do pracy, musi się przedrzeć przez korki na autostradzie, żeby zdążyć przynajmniej na pół godziny przed pierwszym dzwonkiem, we wtorki nawet wcześniej, bo mają zebranie nauczycieli.

Czasami siadam, opanowuję senność i patrzę z przyjemnością na Charlesa, jak woda spływa po jego nagim ciele. On wie, że go obserwuję, ale się spieszy, nie patrzy w moją stronę. Myślę, że

mu wstyd, kiedy finiszuje tak szybko czy dobiera się do mnie w ten sposób, brutalnie wtłaczając się w moją suchość bez ostrzeżenia. Lubię myśleć, że jestem dla niego tak pociągająca, że nie może się pohamować, że kiedy mnie zapragnie, traci nad sobą kontrolę. To sprawia, że czuję się, jakbym była panią sytuacji, wierzę, że on jest niewolnikiem swojego pożądania do mnie, i tylko do mnie.

Taką prowadzę ze sobą grę.

On wciąga dżinsy, ładną koszulkę polo, łapie kurtkę, kiedy jest zimno, potem całuje mnie w usta.

- Pilot jest tutaj - mówi.

- Udanego dnia. Kocham cię. Zadzwoń do mnie.

Zostawia mnie - w niektóre poranki ze swoim miodem zasychającym między moimi nogami, zapachem naszego seksu na mojej skórze, z pilotem u boku. Zawsze zostawia mi pilota w zasięgu ręki, bo wie, że zasypiam z wiadomościami i budzę się, szukając Katie Couric*.

* Dziennikarka telewizyjnych wiadomości stacji NBC Today Show (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Moje ranki są niemal dzień w dzień takie same: wstaję, włączam pranie, przebiegam sześć kilometrów wokół Kalifornijskiego Uniwersytetu Stanowego w Dominguez Hills, wracam, ćwiczę z lekkimi hantlami, żeby wzmocnić górne partie ciała, potem robię kilkaset przysiadów. Nie jestem Janet Jackson, ale chcę mieć możliwie najbardziej jędrne ciało i brzuch, zanim zajdę w ciążę i urodzę nasze statystyczne dwoje i pół dziecka; tylko Bóg i Miss Cleo* wiedzą, co stanie się z moją figurą później. Potem wrzucam uprane rzeczy do suszarki, w biegu robię sobie nisko- albo nawet beztłuszczowe śniadanie, zastanawiam się, co przygotować na obiad, ściągam dredy gumką, biorę szybki prysznic, wkładam jakieś dżinsy i tenisówki i znów ruszam do boju z korkami na autostradzie, trąbiąc na ludzi, którzy zajeżdżają mi drogę albo nie pozwalają się włączyć do ruchu, tracąc wiarę i powiększając armię barbarzyńców, zmieniając pasy jak maniaczka, słuchając radia dla kierowców na KFWB.

- Z którego roku jest ten mustang? - Mężczyzna w przerasowanym sportowym aucie odkręca szybę, wyciąga szyję jak żuraw, próbując przyciągnąć moją uwagę, kiedy hamuję na czerwonym świetle na skrzyżowaniu La Brea z aleją Washington, na obrzeżach dzielnicy latynoskiej, która prowadzi do Hollyweird**.

* Gwiazda telewizyjnych spotów reklamowych podająca się za szamankę z Jamajki, świadcząca usługi wróżbiarskie przez telefon.

** Kpiący przydomek Hollywood, który znaczy „przybytek dziwaczności, cudactwa”.

- Z połowy sześćdziesiątego czwartego.
- Połowy? To ten, który pokazali na wystawie światowej.
- Zgadza się. - Uśmiecham się z uznaniem dla jego wiedzy o moim Błękitku. Ten samochód jest bardzo rzadkim okazem. Przed mustangiem shelby, przed fastbackami, był absolutną perełką klasy pony car***. Dziadek wszystkich podrasowanych *muscle cars*. - Po generalnym remoncie, wszystko, co do śrubki, wymienione.

*** Pony car to samochody tanie, szybkie i mocne, przeznaczone szczególnie dla młodych ludzi.

- Ile w niego włożyłaś?
- Prawie dziesięć tysięcy.
- No, no.
- Nowy lakier, hamulce, paski, chłodnica. Jest jak nówka.
- Cukierkowiebieski z białym wnętrzem. Cudo.
- Dzięki.
- Dobrze wyglądasz z odkrytą górą. - Dwuznaczność uwagi podkreśla szatańskim uśmiechem. - Dałabyś mi swój numer?
Macham palcem z obrączką.
Pokazuje mi własną obrączkę ślubną, potem wzrusza ramionami, jak gdyby ten symbol był bez wartości.

Poprawiam okulary, zmienia się światło i ruszam z kopyta, z odkrytym dachem, śmiejąc się, tak jak kobieta może śmiać się z idioty, chłodny wiatr owiewa mi włosy. On próbuje się ze mną ścigać, chce mnie dogonić, ale lawiruję gładko po trzech pasach i gubię faceta przy Olympic, gdzie zatrzymuje go światło. Macham na pożegnanie środkowym palcem.

Wpadam do firmy i zastaję piekło. Ten babsztyl, pani Producent Wykonawczy, jest w szale i wrzeszczy tak głośno, że słyszę ją przed wejściem do budynku.

- Kto, do kurwy nędzy, przeoczył ten materiał? - Nasza szefowa, postukując obcasami eleganckich butów bez pięt, biega w tę i we w tę po korytarzach, ciskając gromy. - Dlaczego ja oglądam tego newsa na Dziewiątce? Ruszcie dupy, do jasnej cholery!

Nazywamy naszą producentkę Tyrą Tyranką. Nasza zielonooka królowa osobowości typu A miota się, jakby była pędzona na genetycznie zmodyfikowanej supermocnej kawie. Pieprzony Lew z mentalnością primadonny. Agresywna, bez odrobiny taktu, z dojrzałością emocjonalną na poziomie dwulatka.

- Kto, do ciężkiej cholery, odpuścił tę historię? Gdybym chciała oglądać wiadomości na Dziewiątce, pracowałabym w Dziewiątce.

Tyra ma sztuczne przedłużane włosy, które wyglądają lepiej niż prawdziwe, dekolt odsłaniający najlepsze cycki, jakie można kupić za pieniądze, i wysoką talię, przy której jej nogi wyglądają jak szrudła. Zawsze nosi kostiumy w wąskie prążki w brunatnych odcieniach i zdecydowane kolory na twarzy: jasnoczerwony cień na powiekach, ostra szminka i błyszczący brązowy róż, i jasnobrązowa konturówka do ust. Dzisiaj swoje kupne włosy związała w tak ciasny kok, że wygląda jak Cruella De Vil w *101 dalmatyńczykach*.

- Dlaczego nie ma tam naszej pieprzonej ekipy?

Ludzie wybiegają do wozu transmisyjnego, gdy wpada jeden z redaktorów piszących newsy. Tyra strzela na niego palcami, co znaczy, że wzywa go do swojego gabinetu; przez całą drogę objżdża go za błędy w materiale, który poszedł na antenę dwa dni temu.

Wszyscy słyszymy, jak grzmi na niego, miota przekleństwami, grozi, że go wyleje.

- Jestem w Stowarzyszeniu Pisarzy - odszczekuje redaktor. Teraz jest obrażona i jej wściekłość dudni echem w całym budynku.

- Mam gdzieś stowarzyszenie czy jakiś tam pieprzony związek. I tak mogę cię wylać na zbity pysk.

- Zrób to.

To jak słuchanie odgłosów bitwy między śmiertelnikiem a jakimś bogiem.

- Albo nie dam ci tej satysfakcji, mam lepszy pomysł. Dopóki się nie nauczysz porządnej roboty, nie dostaniesz ani dnia urlopu, o który poprosisz, zmienię ci grafik.

- Nie możesz pogrywać ze mną w ten sposób.

- Będę, dopóki nie zaczniesz się przykladać albo sam się nie zwolnisz.

Obwinia go też za inną wpadkę z poprzedniego tygodnia: program, który dosłownie posypał się w trakcie emisji; prezenterzy czytali złe informacje, pomieszały się wizytówki i siadła grafika. Jego ego próbuje zdominować jej własne. Każdy z szachistów usiłuje zaszachować przeciwnika. Tyra wpada w szał, zawiesza redaktora na trzy dni bez wynagrodzenia, każe mu się natychmiast wynosić.

- Nie możesz tego zrobić - facet wrzeszczy.

- Właśnie zrobiłam. A teraz wynocha z mojego gabinetu.

- Nie możesz mnie zawiesić.

- Czy mam wezwać ochronę?

Redaktor wychodzi roztrzęsiony, widzi, że sporo ludzi płacze się po korytarzu, większość próbuje udawać, że nie słyszała, inni wyglądają na zszokowanych. Oddala się ciężkim krokiem,

kipiący złością, ale ze zwieszonymi ramionami; nienawidzi Tyry, ale na pewno myśli o swoim wysokim kredycie hipotecznym, spłacie nowego samochodu, o kosztach utrzymania dziecka, które mu się niedawno urodziło, o tym, że chce odejść, ale wie, że to jest Los Angeles, że inne stacje zwalniają ludzi, łączą się z silniejszymi i że zasiłek dla bezrobotnych na niewiele starczy.

Tyra stoi i patrzy, jak on idzie przez wielką redakcję do swojego biurka. Nie spuszcza z niego wzroku i spogląda na zegar, kiedy facet zabiera swoje rzeczy i kieruje się do wyjścia. Burczy pod nosem i przeklina, ale ani razu się nie odwraca.

Z twarzy Tyry znika grymas napięcia; pojawia się charakterystyczny lekki rumieniec. Widziałam tę minę z tysiąc razy. Tak wygląda kobieta po serii wielokrotnych orgazmów, zanim miną skurcze i odzyska oddech i siłę, żeby sięgnąć po papierosa. Wsadza rękę do kieszeni żakietu, wyjmując gumę nicorette - wkłada do ust, żuje w jednostajnym rytmie, i ten wyraz satysfakcji jeszcze się pogłębia.

Nasza producentka odchodzi, najpierw leniwym krokiem gwiazdy filmowej, jakby naszły ją reminiscencje z występów przed publicznością, potem przyspiesza, postukując obcasami, i rusza na inspekcję reszty królestwa, zostawiając za sobą intensywny miętowy zapach swojego oddechu.

Cała Tyra Tyranka. Kiedy miała dwadzieścia lat - co najmniej dwadzieścia lat temu - była piosenkarko-aktorko-modelką, która nie umiała śpiewać, grać ani chodzić po wybiegu. Odpadła w trzech konkurencjach i musiała się zadowolić jakąś prawdziwą pracą. Postawiła na dziennikarstwo i w końcu zahaczyła się w wiadomościach telewizyjnych. Dziesięć lat temu była prezenterką w Detroit, a teraz jest rozwódką z dwojgiem dzieci i z dala od swojego dawnego życia przy Eight Mile Road podbija Los Angeles.

Tutaj właśnie pracuję, w miejscu, gdzie strzelają palce i przekleństwa latają we wszystkie strony. Wcześniej rzadko przeklinałam, ale teraz jestem stałą członkinią klubu słów na „k” i na „p”. To dlatego zaczynam dzień od połknięcia dwóch aspiryn, muszę się znieczulać i grać rolę demona w tenisówkach, żeby wzbudzić czyjś respekt. W pracy sprawdzam się każdego dnia. Nie mogę płakać ani brać tego do siebie, gdy jeden z szurniętych przełożonych wpada w szal i nazywa mnie dziwką albo rozmawia ze mną, jakbym była niewolnicą na plantacji jego tatusia, bo w którymś momencie ja będę robiła to samo z innymi. Na tym polega ten biznes.

Tak więc każdego popołudnia koło drugiej wchodzę do firmy z komórką przy uchu, sprawdzam wiadomości, oddzwaniam do kogo trzeba, gorączkowo przeglądam depesze, żeby wiedzieć, co się dzieje w kraju, w naszym stanie i w mieście, potem biegnę na kolegium redakcyjne, na którym decydujemy, jaka z tragedii ostatniej nocy jest warta uwagi, zastanawiamy się, czy powinniśmy dać materiał o kolejnej sprawie sądowej Roberta Downeya juniora, czy o nielegalnych imigrantach traktowanych jak niewolnicy w firmie jakiegoś krwiopijcy w centrum Los Angeles. Naj-

częściej w tej narcystycznej i wyczulonej na walory estetyczne części świata Robert Downey junior jest ważniejszy - ważniejszy dlatego, że historie jak ta zwiększają oglądalność. Ale Downey pójdzie w odstawkę, kiedy znajdziemy następną kasetę wideo z wybrykami seksualnymi Roberta Kelly'ego.

Do diabła z ludzkością, niech rośnie oglądalność, zwłaszcza w miesiącach, kiedy firmy badawcze wykonują pomiary.

Tymczasem uwijam się na wszystkich frontach swojej wielozadaniowej pracy, popijam koktajl mleczny, krążę po studiu z ostrą profesjonalną miną w stylu „nogi wam z dupy powyrywam, jeśli coś będzie nie tak”, sprawdzam, czy mam zgrane wszystkie materiały, i nim się obejrzę, jest czwarta. O tej porze Charles jest w drodze do domu. Dzisiaj, jak prawie każdego dnia, dzwoni, przedzierając się przez szczytowy korek na sześćdziesiątce, a ja w tym samym momencie biegnę w poszukiwaniu spokojnego miejsca na prywatną rozmowę z moim mężem. Nie różni się ona zbytnio od rozmów służbowych, bo gadamy głównie o tym, co trzeba zrobić w domu: zapłacić rachunki, zawieźć ubrania do pralni chemicznej, przypominam mu, że w pralce są rzeczy, które trzeba przerzucić do suszarki. On opowiada, jaki miał dzień, jak to dwunastolatka przyłapano z LSD albo jak parę dzieciaków w podobnym wieku nakryto na pieprzeniu się w szkolnej łazience, albo jak jakiś durnowaty rodzic wmawiał wszystkim na zebraniu, że azjatyckie dzieci są dużo bystrzejsze od czarnych czy Latynosów.

Wszystko to słyhać przez telefon z hałasem autostrady w tle po jego stronie i dzikim jazgotem pokoju redakcyjnego po mojej; stres przygniata nas oboje jak garb na plecach. Nie mamy dla siebie ciepłych słów, które poruszyłyby nas od środka, to nie jest ten rodzaj czulej rozmowy, która sprawia, że kobieta wilgotnieje i chce się wyrwać wcześniej z pracy. Nie ten rodzaj zmysłowych pogaduszek, które sprawiają, że mężczyzna nie kładzie się do łóżka o zwykłej porze, tylko czeka na powrót żony i kończy to, co zaczął o świcie.

Gdy dzień się kończy, wymykam się na zewnątrz i siadam przed budynkiem, wyobrażam sobie, że jestem na plaży, na skałkach, morska bryza owiewa mi twarz, patrzę, jak ocean pochłania słońce. Kocham te barwy przed zapadnięciem mroku, głębokie błękity wysoko na niebie, pomarańczowe wstęgi na horyzoncie i wszystkie fascynujące barwy pośrednie, ten wachlarz kolorów, które wywołuje trujący smog. Jak gorzkosłodkie jest piękno. Zachód słońca jest chwilą, kiedy świat jest gotów odpocząć, kiedy ciała, które były przez cały dzień w ruchu, pragną absolutnego spokoju.

Czasami biorę swój saksofon i siadam na zewnątrz na schodach, robię to o zmierzchu, udaję, że jestem Coltrane'em, gram kilka jego nieśmiertelnych standardów.

Najczęściej, tak jak dzisiaj, po prostu siedzę sama i myślę o swoim życiu.

Zdarza się, że myślę o ojcu. Mężczyźnie, który porzucił moją matkę. I moje dwie siostry. Pierwszym mężczyźnie, który porzucił mnie. Zostawił nas wszystkie w Karolinie Północnej, w tej południowej dziczy, zdane tylko na siebie. Codziennie próbuję sobie udowodnić, że jestem silna. Dorastałam, marząc o życiu w wielkim mieście, lepszej pracy, większym domu, o rodzinie i mężczyźnie, który mnie nie porzuci, bo chciałabym go nigdy nie porzucić, tylko kochać bezwarunkowo.

Czasem myślę o wszystkim, co robię, o tym, jak staram się sprawdzać w zawodzie, być dobrą żoną, jak staram się być wszystkim dla wszystkich i niczym dla samej siebie, i czuję się przytłoczona, ogarnia mnie lęk i smutek, chce mi się płakać. Ale nie pozwalam sobie na łzy.

To nie jest świat dla słabeuszy.

Wiem z doświadczenia, że wiele kobiet patrzy z góry na słabych mężczyzn, i tyle samo mężczyźni gardzi słabymi kobietami. Facet, z którym chodziłam w Karolinie Północnej, powtarzał, że silni gardzą mięczakami, a mięczaki wielbią silnych i zawsze do nich lgną.

Często myślę o Charlesie. O tym, jak teraz wygląda nasze życie. On chce mieć dzieci. Ja też. Tylko że oboje jesteśmy bardzo zajęci. Zdarzają się dni, kiedy słyszę tykanie swojego wewnętrznego zegara. Nie osiągnęłam tego, co chcę, w karierze zawodowej. Zastanawiam się, czy pogodzę macierzyństwo z pracą zawodową. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda nam się wspiać na wyższy poziom. Czasami mam wrażenie, że Charles i ja staliśmy się echem bicia dwóch serc, a powinniśmy słyszeć tylko jedno.

Dzwoni moja komórka. Jakiś numer ze studia. Redaktor, producent, ktoś, kto chce mnie oderwać od moich dziesięciu minut spokoju i wezwać z powrotem do Jaskini Stresu.

Odbieram; to moja kumpelka Yvette, najlepsza montażystka w stacji. Jest z Birmingham, ale praca w tym biznesie ją zmieniła, zrobiła z niej jedną z nas, okradła ją z życia, okradła ją nawet z uroczego południowego akcentu.

- Piegusie, wypuścili za tobą list gończy.

Mówi mi, że Tyra Tyranka jest bliska zawału, próbując mnie znaleźć.

- Nie mogę wyjść na pieprzone pięć minut? - odburkuję. Śmieje się.

- Dobra, jak jesteś taka, to obejdiesz się smakiem.

- Przywiozłaś mi coś z Atlanty?

- Kupiłam parę ładnych rzeczy na Little Five Points, przywiozłam ci coś, ale skoro się na mnie wyżywasz, nic nie dostaniesz.

- Nawet o tym nie myśl. Powiem twojemu mężowi, że dostajesz co tydzień kwiaty od swojego chłopaczka z BET*.

- Więc to tak? Dlaczego chcesz donieść mojemu staremu wibratorowi na mój nowy wibrator?

* Black Entertainment Television - kablowa sieć telewizyjna adresowana do Afroamerykanów i innych społeczności etnicznych w Stanach Zjednoczonych.

Śmiejemy się. Yvette nie ma męża, nie ma mężczyzny, żadnego stałego chłopaka na horyzoncie.

Moja pogrożka jest czcza jak wszystkie moje pogrożki. Yvette co wieczór działa mi na nerwy, ale jest moją przyjaciółką. Mam inne przyjaciółki, ale z nią się widuję pięć, sześć razy w tygodniu. W ciągu pięciu ostatnich lat stała się moją najlepszą przyjaciółką z braku innych kandydatek. Obie mamy dzień wolny w środę, w samym środku tygodnia, kiedy reszta świata pracuje. Obie pracujemy we wszystkie weekendy i święta. Każdego dnia coś się dzieje i codziennie nadawane są wiadomości. Ciężko kogoś poznać i utrzymać stałego kochanka przy jej trybie życia. Wiem, jak to jest. Ćwiczyłam to przez lata. Trudno, żeby mężczyzna traktował cię jak coś więcej niż laskę na telefon, jeśli nie możesz się z nim spotkać wcześniej niż o północy, a bywa, że i później.

Yvette wraca do służbowego tonu.

- Ciężarna kobieta została pogryziona w Encino przez pitbula.

- Czarna, biała...?

- Latynoska. Nielegalna imigrantka.

- Masakra?

- Pokiereszowane nogi. Mąż odgonił psa kijem bejsbolowym.

- W zaawansowanej ciąży?

- Jakies sześć miesięcy.

- Zmarła czy...?

- Nie. Ale pies owszem. Facet zrobił z niego mokrą plamę.

- Co mamy?

- Kotku, mamy wystarczająco dużo zdjęć, żeby wkurwić Biuro Imigracyjne, obrońców zwierząt i ludzi, którzy robią kije bejsbolowe. Moglibyśmy wywołać tym gównem potrójne zamieszki.

Jest w swoim żywiole, bliska orgazmu. Ja też. Wszyscy się rozgrzewamy, kiedy mamy dobry temat. Dobry pościg na żywo potrafi nas trzymać w stanie ekstazy przez całą noc; taka historia jak z Andrea Yates* może zapewnić nam wielokrotne orgazmy przez cały rok, ale w wieczór bez sensacji zadowolamy się byle czym.

* W czerwcu 2001 roku Andrea Yates po kolei utopiła piątkę swoich dzieci. Sama wezwała policję i opowiedziała, co się stało. Stwierdziła, że zabijając dzieci, chciała uratować ich dusze od piekła. Sąd w Houston skazał ją na dożywocie.

- Przestań się opieprzać i daj to gówno do wieczornych.

Rozłączamy się szybko, bez ceregieli. Komuś z zewnątrz ta szorstkość wydałaby się prawdziwym okrucieństwem, jak wszystko inne w tym naszym świecie w pigułce.

Zrywam się na równe nogi, ale nagle coś do mnie dociera i patrzę na zachód słońca.

Zamiast biec, tym razem idę spacerkiem.

2

Ledwie wstawiam nogę za próg, wołają mnie wszyscy naraz, przypominając o tekstach, które trzeba natychmiast napisać, o brakujących zdjęciach, o naniesieniu zmian w napisach, i zanim kończę pierwsze zdanie, znów dzwoni moja komórka. To mój mąż.

- Mogę do ciebie oddzwonić za chwilę? - odpowiadam z niecierpliwością.

- Jasne - odburkuje. - Cześć.

- Chwilę, zaczekaj - mówię nerwowo. Irytacja w jego głosie była odpowiedzią na mój ton. Czuję się paskudnie, bo zareagowałam, jakby był jednym z moich współpracowników. Opamiętuję się. Sprawdzam godzinę i usiłuję zwolnić tempo, przybieram łagodniejszy ton. - Co się dzieje, kochanie?

Milczy. Wiem, że jest wkurzony i chce się rozłączyć, i wiem, że nienawidzi, kiedy odzywam się do niego obcesowo, ale tak trudno jest się przestawić.

- Właściwie nic... nic specjalnego... miałem tylko mały wypadek.

- Jaki wypadek? Ociąga się.

- Rozdzielałem dwóch walczących chłopaków, czarnego i Meksykanina...

- Jakichś bandziorów?

- Dwunastoletnich adeptów rzemiosła. Stanałem między nimi i zarobiłem porządny cios w lewe oko.

- Co? Co z twoim okiem?

- Podsiniaczone, nic więcej.

- Jesteś pewien?

- Tak, wystarczy okład z lodu i kilka aspiryn.

Czuję się w tym momencie bezradna, zupełnie bezużyteczna w jego życiu.

- Wracaj do pracy - mówi przybitym głosem. - I tak mam do sprawdzenia klasówki.

- Jesteś pewien, że to nic poważnego? Może powinnam...

- Zadzwoiłem, żeby usłyszeć twój głos. Nie chciałem ci zawracać głowy. Zobaczymy się, jak wrócisz.

- Poczekasz na mnie?

- To był długi dzień. Spróbuję.

- Jeśli nie pójdziesz spać, obejrzyj wiadomości. Powiesz mi, co myślisz o historii z pitbulem.

Rozłączam się, znów bez przyzwoitego pożegnania, wiedząc, że nie będzie siedział do późna przed telewizorem, by obejrzeć wiadomości i ocenić efekty mojej ciężkiej pracy. Martwię się o Charlesa, ale ledwie odkładam telefon, nad głową mam swoją asystentkę.

- Ktoś pytał o ciebie w portierni, chciał się z tobą zobaczyć.

- Kto?

- David jakiś tam. Ochroniarz powiedział, że zachowywał się jak świr.

- No to nieźle. Boże. Mam nadzieję, że nie będę miała na karku następnego maniaka.

Sprawdzam wiadomości. Jedna jest od mężczyzny, który przedstawia się jako David Lawrence i zostawia mi swój numer telefonu. Ma niespokojny głos, przyprawia mnie o ciarki na plecach, a to, co mówi, jest zbyt mętne. Sprawia wrażenie kogoś, kto przeczytał napisy na końcu programu, zanotował nazwiska realizatorów i szuka kontaktu, żeby opowiedzieć albo sprzedać komuś z telewizji swoją historię. To nie byłby pierwszy wypadek mordercy, który chce się ujawnić w mediach. Równie dobrze może to być jakiś facet zadurzony w pewnej kobiecie, która pomogła stacji wygrać nagrodę Emmy.

Nie odpowiadam na telefon Davida Lawrence'a. Martwię się o Charlesa, ale mój niepokój zagłuszają inne rzeczy. Jestem zmęczona całą tą bieganiną i wrzaskami. Nie potrzebuję więcej żadnych dramatów; dostałam już swoją dzienną dawkę negatywnych emocji. Jeżeli to coś ważnego, David Lawrence zadzwoni jeszcze raz. I tym razem pójdzie po rozum do głowy i zostawi konkretną wiadomość, zgodnie z prośbą nagrąną na automatycznej sekretarce. Mętność przekazu jest jednym z moich ulubionych zatruwaczy życia. Innym - idioci, którzy nie potrafią wykonać prostej instrukcji. On zarobił dwa punkty na raz.

Z sokiem mango jamba w jednej ręce wracam do montażowni Yvette. Pracuje nad materiałem do wieczornego wydania; powietrze przeszywają szmery i świsty przewijanej taśmy.

Puszczą bootlegowy krążek Maxwella, tworząc w pokoju nastrój. Ze swoją urodą mogłyby być modelką; długie nogi, bujny biust, tyłek w kształcie serduszka; naturalna kobieta, która nie przywiązuje wagi do ciuchów, nie maluje się, najczęściej ubiera się w dzinsy ze sklepu z używaną odzieżą, T-shirty pamiętające lepsze czasy i kolorowe bandanki. Jakby nie chciała wyglądać zbyt atrakcyjnie, żeby ludzie ją traktowali poważnie.

Wpadam do jej królestwa i sprawdzam, czy ma wszystkie potrzebne zdjęcia, żeby się jej przypodobać, a kiedy zbieram się do wyjścia, ona mnie zatrzymuje.

- Aaa...

- Co co co?

Ma pociągłą twarz z jasnobrązowymi oczami i wyrazistymi brwiami. Uśmiecha się kącikiem ust.

- Zgadnij, gdzie byłam.

Uśmiecham się z niedowierzaniem i zaciekawiona wracam do niej.

- Nie... nie powiesz mi, że...

- Tak.

- Pojechałaś na... na tę... na tę orgię?

- Pojechałam.

- Łżesz - mówię podnieconym szeptem.

- Ze swoją kuzynką. - Zerka na mnie, oceniając mój strój, robi to celowo, żebym mnie podbechtać. - Śliczna bluza, piegusie. Żółty to twój kolor.

- Możliwe. - Mam na sobie bluzę z kapturem z napisem UCLA Bruins, zespołów sportowych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, niebieską czapkę bejsbolową z wielkimi złotymi literami nadającymi się na jakiś billboard. - Masz jakieś zastrzeżenia do moich ciuchów?

- Jakby powiedział Samuel Jackson, ta bluza to jakieś obrzydliwe gówno*.

- A ty powinnaś się przestać ubierać na ciemno - odparowuję.

- Bardzo oryginalne. A ty powinnaś reklamować HBCU**.

* Cytat z *Pulp Fiction* i *Jackie Brown* Quentin Tarantino.

** Historically Black Colleges and Universities - tzw. czarne uniwersytety.

UCLA to Alma Mater mojego męża. Podciągam bluzę i pokazuję Yvette niebiesko-biały T-shirt z logo Tau Beta Sigma, żeńskiej muzycznej korporacji mojego college'u w Johnson C. Smith.

- To nawet nie jest prawdziwa korporacja studencka - odburkuje. - To stowarzyszenie niedoszłych muzyków.

- Zazdrośnica. - Czasami to doskwiera, ta świadomość, że nie zajęłam się poważnie muzyką, ale nigdy nie daję tego po sobie poznać. Uciekam od wspomnień i wracam do tego, czego chcę się dowiedzieć.

- Czy ten... czy ten cyrk dziwolągów to był... ostry balecik?

- Co co co? - przedrzeźnia mnie.

- Wiesz, o czym mówię. Przestań się ze mną bawić w ten sposób.

- Było ostro. - Jej cienkie brwi tańczą. - Cholera, o mało nie schrzaniłam tej taśmy.

Trzyma mnie w napięciu, z otwartymi ustami, umierającą z ciekawości.

- Miałaś ten swój trójkącik?

Śmieje się. To jej marzenie erotyczne. Taka gruba linia, na którą się będzie gapiła, ale może jej nigdy nie przekroczy.

- Tak czy nie? - napieram. Śmieje się.

Zaczynam tracić cierpliwość, a o to jej właśnie chodzi.

- Hej, powiedz, zrobiłaś to?

Nie przestaje się śmiać i już wiem, że nic mi nie powie, nie teraz. Ja przy jej wyskokach jestem królową Śnieżką. Gnam z pracy prosto do domu, nie mam czasu, żeby się odprężyć i skoczyć na drinka z resztą ekipy, a w każdą niedzielę idę przed pracą do kościoła. Wysłuchuję cierpliwie opowieści o jej szaleństwach, o jej wolności. Podpuszcza mnie, żebym przychodziła po następne. Nigdy jej nie osądzam i jestem powiernicą jej sekretów.

- No więc? - pytam.

Yvette montuje zdjęcia z prędkością światła. Oburęczna królowa, mistrzyni podzielności uwagi.

- Nic nie robiłam. Tylko się przyglądałam. Było okej.

- Ludzie to robili?

- Wszędzie dookoła.

- I było po prostu okej?

- Nie wszyscy są takimi chojrakami, jak się wydaje.

- Więc nic nie robiłaś?

- Sącyłam piwko i się przyglądałam. Widziałam niezłego przystojniaczka.

- Naprawdę? Wymieniłaś z kimś telefony?

- Nie. Byłam z kuzynką i udawałyśmy lesbijki, żeby opędzać się od facetów.

- A jak się opędzałyście od lesbijki?

- Mówiliśmy, że jesteśmy stricte hetero.
- Ile pokoiów do seksu?
- Pytasz jak dziennikarka.
- Jesteśmy dziennikarkami. Ile?
- Jakies siedem, zadnych mebli, tylko wielkie łózka.
- Dom spory?
- Spory. Co najmniej trzysta metrów kwadratowych i pomieszczenia dla służby.
- Cholera. I naprawdę nie zaszalałaś?
- Nie. Nie jestem świruską. Chociaż czasami świruję.
- To brzmi... ciekawie.
- Wybierz się tam ze swoim mężem. Mają w repertuarze wieczory dla par.

Pukam ją w głowę.

- Zwariowałaś? Charles nigdy by na coś takiego nie poszedł.
- Może zostawisz go z jego klasówkami i sama się podszkolisz przez kilka godzin. - Śmieje się z własnego żartu. - Wskoczmy tam razem w jakiś piątek po pracy. Tak dla jaj.

Pytam ją, co widziała, co ludzie robili, i opowiada mi bez oporów. Mówi, że widziała kobietę, która dogodziła oralnie siedmiu facetom z rzędu na oczach przynajmniej dwudziestu osób, ludzi, którzy popijali wino i wyglądali na nauczycieli albo adwokatów. Potem ta nienasycona kobieta rozebrała się i kochała z nie mniejszą liczbą mężczyzn, dwoma na raz, na materacu pośrodku tego samego pokoju, w pełnym świetle, na tle rozpalonego kominka. Kiedy skończyła, wzięła jakąś kobietę z miną „chciałabym, a boję się” do osobnego pokoju i wyszła stamtąd dopiero po dwóch godzinach edukowania swojej nieśmiałej kochanki.

- I wyobraź sobie, że tamta dziewczyna była ze swoim mężem. Sam ją przyprowadził, żeby mogła zrealizować swoje fantazje. I to on pomógł jej wybrać partnerkę.

Yvette mówi szybko, tonem prawie nonszalanckim i nie odrywając się od montowania zdjęć, opowiada o innej panience, która przyszła i zniknęła w osobnym pokoju z trzema czarnymi mężczyznami, trzema nieznanymi o muskulaturze futbolistów; wyszła po jakimś czasie cała w rumieńcach i opuściła imprezę. Krzywię się z niesmakiem.

- Białe kobiety są zdolne do wszystkiego.
- Była czarna jak taśma VHS.
- Cholera, czy już całkiem przeszliśmy na drugą stronę?
- Raczej nie oglądasz za wiele porno, co?

Opowiada dalej, jak to stały z kuzynką pod drzwiami innego pokoju, w którym były dwie czy trzy pary, i słuchały odgłosów seksu między ludźmi, którzy się dopiero poznali.

Na mojej twarzy maluje się fascynacja. Wszystkie dźwięki z tego budynku odpływają gdzieś i nikną, słyszę tylko jej głos i mam przed oczami jedynie obraz, który ona maluje słowami. Poruszające sceny grzechu i rozpusty sprawiają, że czuję się jak na opiumowym haju, odjeżdżam i odbiera mi mowę.

Ponosi mnie wyobraźnia. Przywołuję własne fantazje. Od jakiegoś czasu marzy mi się, żeby obciągnąć swojemu mężowi w jakimś publicznym miejscu, na oczach ludzi, ale nie w żadnym klubie erotycznym jak ten, do którego chodzi podglądaczka Yvette. Chciałabym to zrobić w miejscu, gdzie nikt inny nie będzie tego robił i wszyscy będą się na mnie gapili, ale nikt nie będzie wiedział, kim jestem. W rzeczywistości nigdy tego nie zrobię. Jestem zbyt konserwatywna na zewnątrz, żeby odkrywać tę stronę swojej natury.

Yvette znów się śmieje.

- Co? - pytam.

- Ten wyraz twarzy. Piegusie, masz wypisane na czole, o czym myślisz.

Chichot nie zdoła zamaskować moich myśli. Staję się frywolną i bezwstydną nastolatką.

Moja przyjaciółka potrząsa głową.

- Niewiarygodne.

- Co, ten klub dla zбочeńców?

- Nie, gdzie tam. - Z poirytowaną miną rozprawia się szybko z materiałem o pitbulu. - Mam dyplom z afrykanistyki, dyplom z dziennikarstwa, dziesięć lat praktyki w wiadomościach, osiem w montażu i czy robię coś znaczącego, jak choćby opracowanie filmu dokumentalnego, który by się przyczynił do dostrzeżenia problemu Afryki Wschodniej? Czy my pokazujemy sytuację Erytrejczyków?

- Powiedz to swoim przyjaciółom z BET.

- Daj spokój. Jak nie komedia, to jakiś cholerny rap, nic innego tam nie uświadczysz.

- My jesteśmy lokalną stacją informacyjną, a nie CNN.

- Tak, tak. Jesteśmy o szczebel niżej od stacji „My Biedne Czarnuchy”*.

- Przestań tak gadać.

- Mniejsza o to.

- Ludzie z Crenshaw** nie słyszeli o Erytrei, a ci z Wilshire*** mają to gdzieś.

- Powinniśmy kształtować świadomość.

- Powinniśmy mówić o tym, dlaczego jest więcej czarnych mężczyzn w więzieniach niż w college'ach, jeśli już. Mamy wystarczająco dużo gówna na własnym podwórku.

- No właśnie. Możemy edukować ludzi i pobudzać ich zainteresowanie ważnymi sprawami, a nie tylko tym, jak jest ubrana J.Lo, Janet, Julia Roberts czy Halle Berry na jakimś pieprzonym rozdaniu nagród.

* Sarkastyczne rozwinięcie skrótu nazwy sieci telewizyjnej UPN: Us Po' Niggas; sformułowanie kojarzące się ze słowami piosenki słynnego czarnoskórego rapera Ice'a Cube'a *Us*.

** Jedna z niebezpiecznych dzielnic południowego Los Angeles, zamieszkała głównie przez ludność kolorową.

*** Wilshire Corridor - dzielnica luksusowych apartamentowców przy bulwarze Wilshire, głównej arterii miasta, nazywanej kręgosłupem Los Angeles.

Na dobry początek moglibyśmy zrobić specjalny reportaż o ludach Habesha*.

* Pojęcie odnoszące się do ludów Etiopii i Erytrei, w szczególności do dominujących politycznie grup Amhara i Tigrey.

- Habesha? Co to do diabła znaczy?

- Jezu...

- Co Jezu?

- O to mi właśnie chodzi, piegusie. Zamiast pracować nad czymś takim, wypruwam sobie flaki, żeby skleić gniota o jakiejś babie, która nie mówi nawet po angielsku, przekradła się przez granicę w ciężarówce z melonami i została pogryziona przez jakiegoś wściekłego psa na bulwarze Ventura.

- Wszyscy jesteście skurwieni.

- W tym zawodzie powinniśmy być wyposażeni służbowo w beczkę wazeliny.

Wchodzi producentka, która mnie szuka.

- Jakiś facet pytał o ciebie w portierni.

- Kiedy, teraz?

- Z pięć minut temu.

- Jeszcze tu jest?

- Zmył się. Nie mógł cię znaleźć. Dzwoniłam dwa razy na twój pager.

- Tak? - Zerkam na pager. - Świetnie. Rozładowany.

- Ochroniarze mówili, że też do ciebie dzwonili.

- W portierni, ten sam facet czy inny facet?

- Nie mam pojęcia. Brakuje mi zdjęć i muszę zrobić w godzinę trzy materiały.

Roztrzęsiona producentka wybiega. Idę do swojego biurka i dzwonię na portiernię. Mówią, że facet, który o mnie pytał, był już dzisiaj trzy razy, ale nie zostawił żadnej wiadomości.

David Lawrence znów dzwoni i ponownie się nagrywa, tuż po emisji wiadomości, zupełnie jakby je oglądał i próbował trafić w porę, kiedy mogę być wolna. Ma zdesperowany głos. Oblatuje mnie strach.

Odkryło się kolegium i po skończonej szycie, dobrze po północy, jadę Błękitkiem z odkrytym dachem. Kalifornijski Zarząd Transportu zamknął dwa pasma, tkwię więc w niekończącym się korku na autostradzie Santa Monica, prawie nie posuwając się do przodu. Czuję, że jeśli z kimś nie pogadam, zacznę wyć do księżyca, więc dzwonię do Yvette, żeby się pośmiać i odreagować wściekłość.

Jest w swojej terenówce i słucha Remy Shanda na pełny regulator. Przycisza muzykę.

- Piegusie, zapomniałaś o prezentach, które ci przywiozłam z Atlanty.

- Cholera. Gdzie jesteś?

- Nosi mnie. Można by zrobić rajd po barach. Chcesz się trochę rozerwać?

- Może innym razem? Mam nadzieję na miętuskową noc.

- Ty i te twoje miętuski.

- Nie zazdrość.

- Nie zazdroszczę.

- Spręż się po prostu i znajdź sobie takiego porządnego chłopaka jak mój.

- Łatwiej byłoby znaleźć miejsce parkingowe w Nowym Jorku. Śmiejemy się i gadamy o rzeczach, które tylko kobieta może zrozumieć.

- Myślisz, że wyjdiesz jeszcze kiedyś za mąż? - pytam.

- Podchodzę do tego pomysłu z dużymi oporami. Nie teraz. Może kiedy skończę czterdziestkę.

Rozmowa się urywa, gdy Yvette musi kogoś skłąć; zdaje się, że ten ktoś zajechał jej drogę. Słyszę wycie klaksonów. Ona zachęca kogoś, żeby wysiadł z samochodu i powtórzył, co jej powiedział. Wrzeszczy, kiedy drugi samochód odjeżdża z piskiem opon.

- Porąbany drań! - krzyczy i wraca do rozmowy ze mną. - O czym to ja mówiłam?

- Dlaczego chcesz czekać do czterdziestki?

- Może do czterdziestki z hakiem. Sama nie wiem. Nie znam ani jednej osoby, która jest wierna w małżeństwie. Chcę czegoś więcej. Chcę tego, co mieli moi rodzice.

- To mogę zrozumieć.

- Ciężko jest znaleźć takiego faceta jak mój tatuś. Nie robią już takich czarnuchów jak kiedyś.

Śmiejemy się.

- Jakiego mężczyznę byś chciała? - pytam.

- Jestem dzielną czarną kobietą z konserwatywnego protestanckiego Południa. Potrzebuję faceta, który w sobotnie wieczory tak mi dogodzi, że będę wzywała Jezusa, a w niedzielę rano zabierze mnie na spotkanie z Nim.

- Masz nierówno pod sufitem - wrzeszczę.

- Życie w pojedynkę jest na razie zabawne.

- Ale lata płyną.

Mówi, że jest pod światłami i billboardami wielkiego miasta na Sunset Boulevard, koło House of Blues, i przedziera się przez zatłoczoną ulicę w poszukiwaniu baru, żeby zatrzymać się i zabić trochę czasu.

- Yvette, jesteś taka ładna, nie rozumiem, dlaczego nie możesz ułożyć sobie życia.

- Piegusie, wiesz, że mężczyznom brak pewności siebie. Jeśli jesteś ładna, nie chcą, żebyś wychodziła z domu. Jeśli jesteś brzydka, nie chcą, żebyś wychodziła z piwnicy.

Nie wytrzymuję; ryczę ze śmiechu tak, że łapie mnie skurcz mięśni brzucha. Trochę mnie zarzuca, zahaczam kołem o światła odblaskowe ciągłej linii i prawie zjeżdżam ze swojego pasa.

- Jesteś szsza-lona! - mówię, odzyskując panowanie nad sobą.

- Bycie szsza-loną pozwala mi nie oszaleć.

Zostawiam ją w spokoju i znów dopada mnie samotność, więc sprawdzam pocztę głosową. David Lawrence zadzwonił jeszcze raz i zostawił wiadomość, której nie mogę odsłuchać z powodu złego odbioru. Serce zaczyna bić mi szybciej, czuję ból w skroniach. Oblatuje mnie strach, bo mój prześladowca jakimś cudem zdobył numer mojego pagera. Nagle sobie przypominam, że ten numer jest nagrany na sekretarce automatycznej w mojej pracy.

3

Docieram do domu tuż przed drugą. W sypialni gra muzyka, cicha i łagodna, słyszę głos Gabrieli Anders śpiewającej o Ipanemie. Przysiadam na łóżku, sięgam po pilota, żeby wyłączyć odtwarzacz. Charles podnosi głowę i siada. Przy łóżku stoi plastikowa miska, a w niej jest torebka z lodem. Pod ręką, na szafce nocnej, ma też aspirynę i szklanek wody.

- Cześć, kochanie - mówię.

- Czekałem na ciebie.

- Jechałam w strasznym korku.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś.

Nie ma zaspanego głosu. Martwię się i chcę zobaczyć jego oko. Charles nie pozwala mi włączyć światła, nie chce, żeby go raziło. Okiennice są otwarte i księżyc świeci jasno. Charles odsuwa pościel, wstaje, pozwala mi obejrzeć opuchliznę.

- Niewiarygodne.

- Spokojnie.

Charles prawie nie może otworzyć lewego oka. Otacza je opuchlizna, która będzie przybierać różne odcienie siności, a oko zrobi się czerwone z powodu popękanych naczynek.

- Trzeba cię zawieźć na ostry dyżur.

- Już tam byłem.

- I co powiedzieli? Krzywi się.

- Spokojnie.

- Przestań być taki macho, dobrze?

- Czy możesz się uspokoić?

Mówi, że jego oko zostało dokładnie zbadane i nie ma żadnego uszkodzenia siatkówki. Lekarz dał mu gotowy okład z lodem i ibuprofen.

- Oko jest teraz bardzo wrażliwe na światło. Przez kilka dni będę musiał nosić ciemne okulary. Dali mi przepaskę do noszenia w domu.

Jestem przerażona i wściekła; maksymalnie wkurzona na typa, który go tak urządził, i wkurzona na Charlesa za to, że lekceważy uraz. Opowiada mi, jak chłopcy rzucili się na siebie z pięściami, gotowi się pozabijać się, a on do nich doskoczył i przerwał bójkę.

Odzywa się mój instynkt matki-kochanki. Chcę chronić swojego mężczyznę, chcę coś zrobić. Jestem gotowa zadzwonić do rodziców tamtego dzieciaka i przynajmniej im ostro nawrzucać. Albo pójść rano do szkoły i spotkać się z dyrektorem, dopilnować, żeby wzięli łobuza w karby.

Charles przyciąga mnie do siebie.

- Nie możesz wpaść do szkoły i zrobić masakry w stylu Mike'a Tysona.

- Odgryzę temu draniowi ucho. Zrobię mu z dupy małego Picassa.

- Myke Tyson zapatrzył się na van Gogha. Wybuchamy śmiechem.

Patrzmy na siebie z taką czułością i troską, że nastrój się zmienia.

- Cholera. Oberwałeś nie na żarty.

- Ciii. Odpuść.

- To oko będzie przekrwione przez kilka dni.

- Hej, powiedziałem odpuść.

- Okej, w porządku.

- Mamy pewną niedokończoną sprawę.

Całuje mnie po szyi i ramionach, całuje mnie, podczas gdy moje ubranie zjeżdża w dół, jego język na moich ramionach i piersiach, na moim brzuchu, biodrach, między moimi nogami. Opieram się o ścianę i jego język tam zostaje. Gorące westchnienia wydobywają się z moich ust. Pod jego ciepłym językiem robię się mokra i lepka jak miód. Po chwili on wstaje. Zdejmując bokserki i T-shirt, pozwala mi się całować i głaskać. Jesteśmy nadzy. Adam i Ewa. Dotyka mojej twarzy, wpatruje się we mnie tak intensywnie, że to mnie podnieca i niepokoi. Mówi, jaka jestem piękna w świetle księżyca; powtarza to na okrągło, jak gdyby po raz pierwszy widział mnie w ten sposób. Kładzie się na mnie, przykrywa swoim ciałem, wtłacza się we mnie i pcha, i pcha, i pcha.

- Kocham cię - mówi.

Od dosyć dawna nie słyszałam, żeby mówił to w ten sposób. Tak namiętnie.

- Skąd nagle to wszystko? - pytam.

- Czy jestem miłością twojego życia?

Pojękuje, dygoczę, garnę się do swojego męża w uniesieniu rozkoszy, bliska następnego orgazmu.

Łapię oddech, całuję go z zapalem, odpowiadam mu drżącym głosem.

- Tak.

- Wyobrażasz sobie życie beze mnie?

- Nie. - Zaczyna mi drżeć lewa noga. - Martwiłam się o ciebie przez cały wieczór.

On pcha i pcha, i pcha. Przekręca mnie na brzuch, bierze mnie w tej pozycji; moja twarz zanurzona w miękkiej poduszce, jego dłonie na moich biodrach, na pośladkach, nasze jęki nabierają mocy.

- Spokojnie, kochanie - mruczę.

- Przepraszam, kotku.

- Nie, lubię tak. Tylko martwię się o twoje oko.

- W jaki sposób seks może zaszkodzić mojemu oku?

- To niech będzie niespokojnie.

Śmiejemy się przez chwilę, potem Charles przekręca mnie z powrotem na plecy. Przypadamy do siebie w szaleńczym pocałunku, jak zawsze, gdy jesteśmy siebie strasznie spragnieni; ssanie języków, skubanie warg, głębokie pocałunki. On nieprzerwanie galopuje.

- Lubisz to? - pyta, znając odpowiedź.

- Uwielbiam. - Brakuje mi tchu. - Ja... chcę, żebyś był we mnie każdej nocy.

Odrzucam do tyłu głowę. Wyginam plecy w łuk. Szczytuję tak intensywnie, że własne okrzyki mnie przerażają.

On nie przestaje, pcha i pcha. Orgazmy przyplływają falami, jeden za drugim, i nawet kiedy mówię, że dogodził mi za wszystkie czasy, daje mi jeszcze raz spełnienie. Znow jesteśmy nowożeńcami. Kochamy się jak pierwszej nocy, kiedy nasze ciała były dla nas taką nowością.

- Może wyskoczmy jak kiedyś do Palos Verdes - mówi.

- Boże, tak bym chciała.

Jeździliśmy przez faliste wzgórza nad sam Pacyfik, braliśmy koc, schodziliśmy nad wodę i kochaliśmy się do utraty tchu, ledwie mając potem siłę wrócić do samochodu. Jest mi tak dobrze, że zaczynam płakać. Płacę, tak jak płakała Halle Berry, kiedy odbierała Oscara. Jest mi aż tak dobrze. Charles jest moim Denzelem* i tuli mnie, jakbym była jego najcenniejszą nagrodą. Mój płacz zamienia się w łagodne kwilenie. On pyta, czy się dobrze czuję. Mój głos tonie we łzach; potakuję, mówię, żeby kochał się ze mną jeszcze i jeszcze, i jeszcze.

* W 2002 roku dwa główne Oscary aktorskie otrzymali czarnoskórzy Halle Berry i Denzel Washington.

Łzy spływają mi z twarzy na pościel.

- Tak bardzo cię kocham - powtarzam mu raz po raz.

Całuje mnie i obejmuje mocno, kiedy już leżymy obok siebie. Otula nas muzyka; Gabriela Anders śpiewa z Erikiem Benetem. Ja podśpiewuję, głaszcząc penis mojego męża; penis, który należy do mnie.

- Wciąż jesteś całkiem twardy.

- Uhm.

- I nie wyglądasz na śpiącego.

- Jakoś nie.

- Nie przesadziłeś z sokiem noni?

Chichocze. Ja wstaję, idę do łazienki i wracam. Jestem śmiertelnie zmęczona, czuję się cudownie. Charles ma szeroko otwarte oczy.

Normalnie już by chrapał, tymczasem gapi się w sufit, nie słysząc moich kroków na dywanie, błądząc myślami gdzieś indziej.

- Przyłożę ci okład z lodu - mówię. Otrząsa się z transu.

- Poczekaj, za chwilę. Chodź tu do mnie.

- Jest prawie trzecia. - Idę do niego; wychłodzona, wracam do jego ciepła. - Prześpij się trochę.

- Jutro nie pracuję. Nie wiem, jak moje oko będzie reagowało na światło.

- Lepiej, żebyś nie dowiadywał się na autostradzie.

- Plan moich lekcji zostawiłem na biurku.

- Nie znosisz zastępstw.

- Nauczyciel na zastępstwie to tylko baby-sitter. Dzieciaki potrzebują czegoś więcej.

Sięga ręką do podbitego oka. Wydaje pomruk wściekłości.

Kładę głowę na jego torsie. Jest weekendowym wojownikiem, zdegradowanym z boksera drużyny Golden Gloves, i widzę, jak ciężko znosi fakt, że dał się zaskoczyć.

Milczenie, jego palce wędrują po mnie w niespokojnym rytmie. Jego umysł pracuje na najwyższych obrotach.

- Możemy spędzić razem trochę czasu, zanim wyjdiesz do pracy - mówi.

- Fajnie. Uśmiecha się.

- Kocham cię.

Mówi jak nastolatek, który właśnie odkrył miłość. Dzisiejsza noc jest jak Boże Narodzenie. Nagle wydaje zboląły jęk.

- Oko...?

- Nic, nic. Po prostu drań wyprowadził fartowny cios.

- Chcesz powiedzieć, że ten łobuz uderzył cię umyślnie?

- Nieee, tak tylko się mówi. Trzeba było uważać.

Siadam i proszę, żeby mi opowiedział o całej awanturze; kręci głową. Próbuję z niego coś wyciągnąć, dusza dziennikarki daje o sobie znać, ale on ucisza mnie tysiącem pocałunków, nie chce o tym rozmawiać, chce się mną cieszyć, chce żyć wewnątrz tej chwili.

Milczenie i dotyk ciała; więcej czułych pocałunków i pieszczot.

On nie miał orgazmu; mimo mojej własnej wilgoci wiem o tym.

- Skarbie, co byś chciał, żebym zrobiła?

- Jest dobrze. - Bawi się moimi dreadami. - Ładnie ci w tych dłuższych włosach.

Odprężam się i szykuję do zaśnięcia w ramionach swojego męża, ale nie daje mi spokoju fakt, że tylko ja jestem zaspokojona; czuję się jak samolubna, czyli zła kochanka. Wiem, co on lubi, dlatego trzymam w nocnej szafce miętuski. Biorę jednego do ust, żuję i zanim się rozpuści, wędruję językiem w dół jego brzucha, przeciągam twarzą po penisie, ocieram się policzkami o miękkie owłosienie. Jego zapach mnie podnieca. Odsuwam napletek i podziwiam tę aksamitność. Jest piękny. Odsuwam z twarzy swoje włosy i zaczynam go ssać, delikatnie i pewnie, samymi ustami, bez zębów, i najpierw robię to bez pomocy rąk, potem włączam do akcji dłonie. Miętuski altoids są mocne, cudownie rozgrzewają, działają na niego jak zapalnik. Charles wyrzuca w górę biodra, chwytą się prześcieradła, jęczy, pomrukuje, wije się i krzyczy, jakby nigdy dotąd nie miał orgazmu. Sycę się jego miodem. Jestem odurzona namiętnością.

Czołgam się z powrotem w jego ramiona. Całujemy się. Tulimy. Zasypiamy mocno objęci, bliżsi sobie niż bliźnięta syjamskie. Tak bliscy, że nie słyszę kłamstw, które zostały wypowiedziane w tym pokoju.

4

Oto zmienia się moje życie. Nadchodzi dzień, w którym dowiaduję się prawdy.

Zaczyna się kilka godzin po tym, jak zostawiam męża w domu. Kilka godzin po tym, jak bierzemy prysznic i kochamy się jeszcze raz. Kilka godzin po tym, jak on robi nam śniadanie.

Dziś nawet korek na autostradzie nie jest mi w stanie popsuć dobrego nastroju. Jadę Błękitkiem sto dziesiątą do dziesiątki, przeciskam się przez zatłoczone centrum w kierunku obrzeżnych dzielnic wielkomiejskich, które graniczą z Hollywood, skręcam w La Brea i docieram do Willoughby w momencie, gdy terenówka mojej przyjaciółki Yvette wjeżdża na parking. Jestem za nią, śmieję się i macham do niej ręką. Nalepki na jej zderzaku głoszą, że NIEKTÓRE KOBIETY SĄ URODZONYMI LIDERKAMI - PRZED TOBĄ JEDNA Z NICH oraz ROBIĘ SWOJE, ŻEBY WKURWIAĆ RADYKALNĄ PRAWICĘ. Parkuję obok niej. Yvette ma na sobie szpanerskie tenisówki na platformach w kolorze różowej balonówki, niskie dżinsy, z których wystaje brzeg fioletowych stringów, jaskrawy żółty T-shirt z nadrukiem DZIKIE KOBIETY NIE ŁAPIĄ CHANDRY, wygniecioną dżinsową kurtkę, na głowie fioletową chustkę. Za duże okulary z różowymi szklami nadają jej wygląd à la supergwiazda.

Uśmiecha się.

- O rany, piegusie. Wystroiłaś się jak na szkolny bal.

- Daj mi gumę - mówię, odwzajemniając uśmiech. Przystaje i grzebie w swoim plecaku, łypiąc na mnie spod oka.

- W obcisłej spódnicy masz pałakowate nogi.

- Za obcisła?

- Z takim tyłkiem możesz iść w zawody z J.Lo.

Oto twarz kobiety w lustrze. Szczęśliwa. Czuję się ładna, więc jestem ubrana stosownie do nastroju: długa jasnobrązowa spódnica z podwójnym rozcięciem do ud, modna „chłopska” bluzka w hipisowskim stylu, zamszowy żakiet i odjazdowe botki, za które słono przepłaciłam. Wyglądam jak bogata nędzarka. Moje perfumy otulają mnie wonną aurą, cera mi promienieje jak twarz dziewczycy o poranku po.

- Jak tam nocne łowy? - pytam.

- Powiem ci tylko, że paskudnym facetom nie brakuje tupetu. Ale po jakimś czasie przestali być paskudni.

- Po jak długim czasie?

- Po dwóch, trzech drinkach każdy zaczął wyglądać ciekawie. Wchodzimy po schodach. Żuję gumę jak nastolatka.

- Ale jesteś dziś żwawa, jakbyś miała motorek w tyłku. Udana noc?

- Miętuski.

Krzywi się z niesmakiem.

- Przestań, ty cholero, bredzić o swojej wysokobiałkowej diecie. Parskam śmiechem.

- Zazdrośnica. Zmień dietę na mniej żółciopędną.

- Mam ci do powiedzenia jeszcze jedno słówko.

- Co?

- Erytrejczycy.

- Nie zaczynaj z tym znowu - mruczę pod nosem.

- Jeśli nie jesteś czymś wkurzona, nie poświęcasz temu uwagi. Nie odkładaj tego na potem.

Przez całe popołudnie zbieram komplementy. Cera mi lśni, moja twarz jest jednym wielkim uśmiechem. Podśpiewuję i paraduję po całej firmie, bo świat jest piękny i cała jestem w skowronkach.

Podchodzi do mnie inna producentka, śmiejąc się jak opętana.

- Słyszałaś o damie, która pozywa do sądu ochronę lotniska za to, że kazali jej spróbować własnego mleka z piersi, żeby się upewnić, że to nie jest niebezpieczna substancja?

- Żartujesz, prawda?

- To jest wiadomość agencyjna.

- Dobrze, że nie przewoziła substancji dla banku nasienia. Ryczymy ze śmiechu.

Okolo piątej po południu rozpętuje się piekło. Dramatyczne wiadomości z całego miasta.

Trzęsienie ziemi o sile czterech koma sześć stopnia odnotowano na pustyni w Palmdale, godzinę jazdy za Los Angeles, poza strefą ruchu. Niezbyt wielki wstrząs, ale wystarczający, żeby wysłać na miejsce naszą ekipę.

Charles dzwoni do mnie tuż po wstrząsie.

- U ciebie wszystko w porządku, skarbie?

- Nic się nie dzieje, kochanie. W ogóle tego nie czuliśmy. Co to za hałas w tle?

- Wyszedłem z domu, muszę wykupić lekarstwa.

Koło szóstej jakiś imigrant zabija swoją żonę i jej kochankę, potem parkuje samochód na estakadzie autostrady, wychodzi z pistoletem w ręce i strzela sobie w skroń. Jego ciało spada na sto

dziesiątą w godzinie największego szczytu, ląduje na dachu samochodu jadącego z prędkością około stu trzydziestu kilometrów na godzinę, zabija kierowcę i powoduje wiele obrażeń. Wszyscy się uwijają, żeby złożyć z tego materiał, szukają świadków, krewnych, kogokolwiek, kto może nam udzielić informacji z prawem wyłączności, którą przebijemy inne kanały.

Zanim udaje nam się zdobyć tę relację, na Hollywood Way rozbija się samolot, o mały włos nie zmiatając stacji benzynowej. Potem dostajemy cynk, że pewna znakomitość starego Hollywood jest na łożu śmierci, umiera jak w scenie z wodewilu, więc musimy stanąć na głowie, żeby zdążyć i z tym. Przy całym tym nagromadzeniu złych wiadomości Tyra doznaje wielokrotnych orgazmów.

Już i tak nam brakuje ludzi do roboty - wysyłamy helikoptery na miejsce zdarzeń, staramy się weryfikować źródła innych wiadomości -i w efekcie mamy stan alarmu, co oznacza, że Tyra wzywa wszystkich nieobecnych, żądając, żeby natychmiast ruszyli tyłki i przyjechali do firmy, bez względu na to, czy są na urlopie, czy nie. Ja biegam z miejsca na miejsce, a czas mnie goni.

Nasza stacja telewizyjna przypomina magazyn z mnóstwem przestrzeni i tanich biurek stojących jedno przy drugim. Nie pracujemy w eleganckich gabinetach ani oddzielnych boksach. To jest przestrzeń wspólna, bez odrobiny prywatności. Dziś jestem tak zajęta, że nie mogę sobie pozwolić nawet na chwilę spokoju o zachodzie słońca. Chciałam o tej porze zadzwonić do Charlesa, zafundować nam minutę gorącej rozmowy, przynajmniej spróbować się z nim podzielić końcem dnia via Verizon i Pac Bell*, wyciszyć się i poflirtować jak za starych dobrych czasów, kiedy byliśmy w sobie świeżo zakochani. Tymczasem jestem zamknięta w telewizyjnym świecie, objam się o kierowników planu, kamerzystów i innych ludzi, którzy gnają do studia.

* Nazwy firm telekomunikacyjnych.

Około dziewiątej siadam przy swoim biurku i ściągam botki. Przy całej dramatycznej sytuacji to nie jest najlepszy dzień na seksowne obuwie. Prostuję nogi, chwytam energetyczny batonik i sprawdzam wiadomości. Z głodu zaczyna mnie boleć głowa. Mamy godzinę do ostatniego wydania i wszyscy są w panice. Staramy się zdobyć wywiady z przyjaciółmi i rodziną zdesperowanego imigranta, ściągamy zdjęcia obrazujące skutki trzęsienia ziemi. Potrzebuję weryfikacji materiału o umierającej lub zmarłej znakomitości, żebyśmy mogli skończyć grafikę. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na swoim wysłużonym obrotowym krześle, doję wodę z butelki i jestem w stanie pełnej mobilizacji do pracy, kiedy dzwoni telefon.

Podrywam się, żeby odebrać, i szybko się przedstawiam.

On odchrząkuje.

- Tu David Lawrence.

Potem jest pauza, jakby spodziewał się po mnie reakcji na swoje nazwisko.

Zbieram się w sobie, mówię dobitnym i agresywnym tonem.

- O ile mi wiadomo, był pan tu kilka razy wczoraj i co najmniej tyle samo razy dzwonił.

- Miałem nadzieję, że pani oddzwoni i będziemy mogli porozmawiać.

- Przepraszam... czy ja pana znam? - pytam szorstko, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie mam czasu na brednie.

Waha się, w jego głosie słychać przygnębienie i złość.

- Pani nie wie, prawda?

- Nie, nie wiem, kim pan jest.

- Nie... nie o to chodzi... wygląda na to... chyba że... Pani nie wie, prawda?

- A co powinnam wiedzieć?

Waha się. Prawie jestem gotowa się rozłączyć.

- Moja żona... wie pani o Jessice Lawrence?

Teraz jestem lekko skonsternowana. Zbyt dużo informacji tłoczy się w mojej głowie. Robię w pamięci przegląd wszystkich ludzi, których poznałam, od szkoły podstawowej do końca studiów, zastanawiając się, czy jakaś znana mi Jessica Lawrence umarła; może jest kimś z kościoła albo ze świata dziennikarskiego, a to jest telefon przynoszący złą wieść.

- Przykro mi... Może to było dość dawno temu... Skąd ja znam Jessicę?

Kilka sekund ciszy, potem on się śmieje. To nie jest zabawny śmiech, lecz śmiech pełen ironii i smutku. Mówi z trudem.

- Ona odeszła... Kręci z twoim mężem od jakiegoś czasu... kilka miesięcy... hotele... wieczory po pracy... niektóre noce po jej kursach aerobiku... Jessica... i Charles... Zostawiła mnie, żeby być z twoim mężem.

Znowu milczenie.

W końcu wydobywam z siebie głos.

- Co to miało być, mogę prosić o powtórzenie? Powtarza.

Parskam śmiechem.

- Okej, z kim, do cholery, mam przyjemność? Przedstawia się jeszcze raz.

- Czy to Yvette wymyśliła to pieprzone gówno? Przeczeka mój śmiech.

- Twój mąż jest nauczycielem w gimnazjum. To mnie lekko studzi.

- O co ci chodzi? - pytam.

- Moja żona i twój mąż są... Uciekli razem.

- Kiedy to się stało?

- W czwartek wieczorem.

- Masz na myśli ostatni czwartek?

- Tak.

- Mój mąż... żałuję, ale muszę ci zepsuć zabawę - mówię, czując nagły przyływ ulgi. Chichoczę i kręcę głową. - Mój mąż jest w domu. Zaczekaj chwilę.

Śmieję się znowu, odwracam się od komputera i rozglądam po hali redakcyjnej, żeby zobaczyć, kto jest świadkiem tego idiotycznego wyglupu. Redaktorzy, asystenci produkcji i wydawcy dnia kręcą się dookoła, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi; wszyscy są zajęci śmiercią i zniszczeniami. Żadnych uśmiezków pod moim adresem.

- Ja i Jessica - mówi - strasznie się pokłóciliśmy, kiedy przyparłem ją do muru. Twój mąż ma na imię Charles, prawda? Nie mogę jej znaleźć, odkąd uciekła, a wiem, że jest z nim. Szukałem jej. Wiem, że się wkurzyła i poleciała do niego. Nie mogłem go dopaść podczas weekendu, ale wiem, że razem pracują. Ona jest nauczycielką wuefu.

Słucham, czekając, żeby ktoś się roześmiał.

- Poniosły ją emocje i wpadła w szał, a kiedy Jessica jest ostro wkurzona, mówi. Najpierw kłamała, ale potem pokazałem jej e-maile. Pękła i rzuciła mi prawdę w twarz. Przyznała się do romansu i powiedziała, że mnie rzuca, że Charles jest w kiepskim małżeństwie i że ona jest w kiepskim małżeństwie... jakieś pierdoły w tym stylu. Powiedziała, że ten skurwysyn ją uszczęśliwia.

Nikt się nie śmieje.

- Posłuchaj - odzywam się drżącym głosem - to było zabawne, ale zmarnowałeś wystarczająco dużo mojego czasu.

- Mówił ci o naszej bójce?

- Jakiej bójce? Parska śmiechem.

- Dałem mu wpierdół.

Nikt tutaj nie wie o tym incydencie, nawet Yvette. Łapię powietrze, kręci mi się w głowie i zbiera na mdłości.

- Ta bójka... - pytam - gdzie to było?

- Na parkingu gimnazjum w Rowland Heights.

- Kiedy?

- Wczoraj rano.

- Wczoraj rano - powtarzam szeptem.

- Pojechałem do szkoły, żeby go dopaść. Miałem broń. Chciałem zabić skurwysyna. Ale wiesz - urywa - pomyślałem o swojej mamie. Powiedziałem sobie, że to nie jest tego warte.

Stoję. Nikt na mnie nie patrzy. Chcę, żeby ktoś się roześmiał.

- Myślałem, że wszystko o nich wiesz. Żadnego chichotu ani uśmiechu, nic.

Dopada mnie atak migreny; w nagłym paroksyzmie bólu przestaję kontaktować. Usiłuję myśleć, ale moje myśli giną w ciemnej otchłani. Wszystko wokół traci ostrość, rozmywa się i całkiem znika.

- Jeszcze raz, jak się nazywasz?

- David Lawrence.

- A twoja żona...

- Pierdoli się z twoim mężem.

Przerywam połączenie.

5

Dzwonię do domu. Bez odbioru. Dzwonię na komórkę Charlesa. Bez odbioru. Jeszcze raz do domu. Jeszcze raz na komórkę. Zniknął z powierzchni ziemi. Dzwonię i dzwonię. Nie zostawiam wiadomości, bo chcę usłyszeć, jak zareaguje na moje oskarżenia.

Ciaży mi własne ciało; głowa leci w dół, muszę ją podtrzymywać ręką. Noga podskakuje. Nagle czuję, że w pokoju nie ma powietrza, tylko duszny skwar. Muszę się pozbierać.

Pięć minut później stoję w montażowni Yvette. Odrętwiała. Próbuję powtórzyć jej rozmowę z Davidem Lawrence'em.

- Mówi, że pierdolił się z twoim mężem? - pyta Yvette.

- Nie, jego żona... jakaś Jessica.

- Jedź do domu. - Yvette przerywa pracę, rzuca mi to srogie spojrzenie kobiety, której nikt nie podskoczy.

- Zjeżdżaj stąd i zadbaj o swoje Sprawy.

Muszę pójść do Tyry Tyranki, a to jest ciężka sprawa. Mówię jej, że mam nagły problem rodzinny. Ona na to, że nie mogę wyjść.

Mówię, że jest późno, wydanie gotowe, a ja naprawdę muszę wyjść.

- Cholera, Tyra, jestem gotowa błagać cię na kolanach. To się nigdy nie powtórzy.

Gapi się na mnie i odchodzi, kręcąc głową. Przyjmuję, że to pogardliwe spojrzenie oznacza, że mogę wyjść wcześniej do domu. Tym razem.

Pierdoli się z twoim mężem.

Te słowa dudnią echem w mojej głowie. Dzisiaj Błękitek pokonuje godzinną trasę w czterdzieści pięć minut. Udaje mi się przemknąć przez autostrady przed końcem wiadomości, w

porze, kiedy zwykle Charles jest już stracony dla świata. Przez całą drogę do domu toczę ze sobą wewnętrzną bitwę.

Drzwi do garażu są podniesione, a w środku nie ma samochodu Charlesa.

Czuję się pusta w środku. Parkuję samochód po swojej stronie garażu i wchodzę do domu. Jest cicho, wszystkie światła pogaszone. Nie gra muzyka. Głowa boli mnie coraz bardziej, gdy biegam z pokoju do pokoju, przemierzam drewniane podłogi i dywany, mijam ślubne zdjęcia, zdjęcia rodzinne, zapalam światła i wołam go na próżno. Wszystkie ubrania mojego męża są w szafie na swoim miejscu, przynajmniej tak mi się zdaje.

Wybieram jeszcze raz numer jego komórki. Nie odbiera.

Słyszę, że podnoszą się drzwi garażu i zbiegam na dół.

Stoję przy poręczy schodów, kiedy Charles wchodzi z trzema torbami, dwie z nich mają nadruk California Pizza Kitchen. Wygląda niedbale, jest nieogolony.

Moja twarz jest zaprogramowana na uśmiech. On też się uśmiecha tym jednostronnym uśmiechem, który rozświetla pokój. Mam wrażenie, że oboje mamy zakłopotane miny.

- Cześć - mówi - wróciłaś dziś wcześniej.

- Tak. Niespodzianka.

Pierdoli się z twoim mężem.

- Dzwoniłam do ciebie kilka razy. Martwiłam się o twoje oko.

- Byłem w kinie.

- Tak późno?

- Nudziło mi się.

- Zwykle zasypiasz na filmach, które zaczynają się po dziewiątej.

- Pewnie proszki przeciwbólowe trochę mnie podhajcowały.

- Z kim byłeś?

- Z nikim. Przejeżdżałem koło Galerii South Bay, żeby kupić ci coś do jedzenia, i zajrzałem do środka, akurat kiedy rozpoczynał się seans. Postanowiłem zabić trochę czasu.

- Gdzie jest twoja komórka?

Odwraca się w stronę kuchennego blatu. Leży tam, obok jego laptopa.

Ma na sobie znoszone czarne dresy, na głowie bejsbolówkę w tym samym kolorze. Wie, że coś jest nie tak, ale nie pyta. Po pierwsze, nigdy nie wracam do domu przed końcem wiadomości. Po drugie, on nigdy nie wychodzi tak późno, o ile wiem.

Z rozkwitającym na twarzy uśmiechem podchodzę do niego wolnymi kroczkami. Pytam o to samo, o co on pytał mnie zeszłej nocy.

- Czy jestem miłością twego życia?

- Tak.

- Możesz sobie wyobrazić życie beze mnie?

- Ani jednego dnia.

- Próbowałeś kiedyś wyobrazić sobie życie beze mnie?

Kładzie torby z jedzeniem na blacie pośrodku kuchni, obejmuje mnie w talii, przyciąga do siebie i zaczyna całować. Charles trzyma mnie w ramionach i całuje z języczkiem długo i głęboko, wodząc rękami po moich plecach. Próbuję nie zatracić się w tym pocałunku, ale robię to.

Wierzę mu. Chcę wierzyć. Muszę.

Mówię sobie, że tamta rozmowa telefoniczna z Davidem Lawrence'em była kłamstwem. To jest uczuciowa strona mojej natury, ta, która tak bardzo boi się bólu. Ale nie składam się z samych emocji.

Odzywa się we mnie dusza dziennikarki, każe mi podejść z rezerwą do rewelacji Davida Lawrence'a, przypomina, że nic z tego, co powiedział, nie zostało potwierdzone, i póki nie ma dowodów, że to prawda, wszystkie oskarżenia są kłamstwem.

- Dobrze, że wróciłaś wcześniej - mówi Charles.

Całuje moje policzki, potem wrażliwe miejsce na szyi. Potem oczy. Czuję, jak napiera na mnie twardym penisem, opuszczam rękę, gładzę go, potem cofam się o krok.

- Pracujesz jutro? - pytam. Śmieje się.

- Chyba nie podejrzewasz, że zjawię się w szkole z takim limem?

Wyjmuje z toreb jedzenie. Pizza z kurczakiem, pasta, sajgonki z krewetkami, dwa rodzaje deseru. W trzeciej torbie jest wino i świeca. Wszystko, czego trzeba do szczęścia, żeby urządzić nocny piknik we dwoje. Takie rzeczy robi mężczyzna, kiedy kocha kobietę, a nie kiedy ją porzuca.

- Naprawdę nie chcesz iść do pracy z podbitym okiem?

- Jutro masz wolne.

- W każdą środę mam wolne.

- Nie w każdą. Czasem pracujesz i w środę.

- Mam wolne.

- Pomyślałem, że może się trochę rozerwiemy, może pojedziemy na wybrzeże.

- Fajnie.

Wyjmuje z szafki dwa talerze.

Pierdoli się z twoim mężem.

Ten głos nie da mi spokoju. Przeciagam dłonią po włosach i śmieję się pod nosem.

- Dziwna rzecz mi się dziś przydarzyła.

- Co takiego?

- Dzwonił facet z poufną informacją.

- To się chyba zdarza co wieczór?

- Ta sensacyjna wiadomość była innego rodzaju.

- W jakim sensie?

- Dziwaczny facet. Zrozpaczony. Strasznie spięty. Nie z gatunku nieszkodliwych świrów, tylko budzący przerażenie.

- Dla ciebie oni wszyscy są świrami.

- Zadzwoił, żeby mi powiedzieć, że ktoś pierdoli się z jego żoną, że jego żona i jej kochanek, jakiś facet, który z nią pracuje, mieli razem uciec, takie tam gównno.

Zmienia pozę, nieznacznie, ale wystarczająco, żeby przyprawić mnie o skurcz serca, żeby zmusić mnie do głębokiego oddechu.

- Ten facet... - ciągnę - dzwonił przez cały dzień wczoraj i dzisiaj, żeby mnie złapać. Blokował mój telefon, przychodził kilkakrotnie do firmy i za każdym razem wychodził z kwitkiem, zanim zdążyli mnie znaleźć.

Znów przestępuje z nogi na nogę. Zmieniają mu się oczy.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego był zrozpaczony? - pytam.

Charles patrzy na mnie, ale nie odpowiada. Zmieniam ton kochającej żony na profesjonalnie rzeczowy. Tak działa mój mechanizm obronny w sytuacji lękowej.

- Najpierw zadam ci pytanie - mówię.

- Okej.

- Usiądź, proszę.

- Pozwól mi przygotować jedzenie.

- Nie, usiądź.

Siada na stołku barowym. Ja na drugim. Odwracam się do niego twarzą. Charles wstaje, patrzy na blat, na kuchenkę, na lodówkę, oczy mu biegają po całej kuchni.

Masuję sobie przez moment szyję, noga mi podskakuje jak zawsze, kiedy jestem zdenerwowana, szarpię palcami włosy. Coraz bardziej boli mnie głowa, mam wrażenie, że puchnie mi mózg.

- Wiesz... - mówię - nie pamiętam dokładnie, co mówiłeś wczoraj, tyle się działo w robocie, więc czy mógłbyś mi jeszcze raz powiedzieć, jak to było z twoim okiem?

- Dlaczego ciągle pytasz o moje oko?

- To niepokojące.

- Co?

- Ni stąd, ni zowąd przyjmujesz pozycję obronną.

- Nie lubię, kiedy napadasz na mnie w ten sposób.

- W jaki sposób?

- W taki. Kiedy mówisz do mnie tym dziennikarskim tonem.

- Odpowiedz na proste pytanie i skończ z tym tonem. Unika mojego wzroku.

- To był wypadek, który nie powinien się zdarzyć. Zostawmy to w spokoju i mówmy o czymś innym.

- Jak się nazywa uczeń, który cię uderzył?

- Co ty wyprawiasz? Mimowolnie śmieję się z samej siebie.

- Sprawdzam fakty.

- Nie wiem, jak się nazywa. To nie był mój uczeń.

- Ktoś ci przyłożył wczoraj w oko, a ty nie pamiętasz, jak się nazywa?

- Przecież właśnie ci powiedziałem, że to nie był mój uczeń.

- Dostałam od kogoś w oko w trzeciej klasie; tamta dziewczyna o imieniu Inda dała mi wycisk, bo zaczepiłam jej młodszą siostrę, dziewczynkę, która miała na imię Valerie. Inda podbiła mi lewe oko. Inda. Nazywaliśmy ją Linda bez L. To stało się w trzeciej klasie, a pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Ty zarobiłeś w limo wczoraj i już zapomniałeś imię tego dzieciaka?

- Dzieciakiem niech się zajmie szkoła.

- Proszę cię, skarbie, nie utrudniaj mi sprawy. Po prostu podaj mi imię i nazwisko tego chłopaka, żebym mogła zadzwonić rano do szkoły i wyjaśnić to... to... to bezczelne kłamstwo, które od kogoś usłyszałam.

- Daj sobie z tym spokój.

- Okej, w porządku. Opuśćmy sobie brednie. Znasz kogoś, kto ma na imię Jessica?

- Do czego to zmierza?

- Czy znasz kogoś, kto ma na imię Jessica? Czy to ona była powodem bójk?

Zdejmuje czapkę i czochra swoją kreolską grzywę. Na chwilę zaciska powieki i krzywi się, jak gdyby pękała mu głowa albo ostry ból przypominał o urazie lewego oka; żyły występują mu na szyi, na ramionach, jakby lada moment miał eksplodować.

- A David Lawrence? - brnę dalej. - Znasz kogoś takiego?

- Do czego zmierzasz?

- On ciebie zna. Wie, jak się nazywasz, gdzie pracujesz, wie o twoim oku, wszystko.

Powiedział, że to on przyłożył ci w oko, że to się stało wczoraj podczas bójk w twojej pracy.

Charles milczy jak zaklęty.

- Słyszysz mnie, Charles? On twierdzi, że pobiliście się o jego żonę.

- To nie było tak.

- Facet do mnie dzwoni i mówi, że odchodzi od zmysłów, bo jego żona odchodzi z moim mężem. Powiedział, że mój mąż pierdoli się z jego żoną. I to były jego słowa.

Wciąż nie jest w stanie na mnie spojrzeć. Nie może nawet mrugnąć, ma oczy szeroko rozwarte ze strachu. Mój głos jest na granicy szeptu.

- Charles, jak to było z twoim okiem?

Bez odpowiedzi.

- Kim jest Jessica?

Nic.

- Skurwiel.

Wstaję i odpycham swój stołek. Chwieje się i przewraca z hukiem na kafelkową podłogę.

- To był błąd - mówi Charles.

- Co proszę?

- To był błąd.

- Jaki błąd? To, że David Lawrence do mnie zadzwonił, czy... Co było błędem, Charles?

- Jessica.

Głowa mnie boli tak strasznie, że nie mogę się poruszyć.

- Powiedz mi, co jest grane - warczę. - Zdaje się, że wszyscy wiedzą poza mną.

- Jessie, to ona się w tym wszystkim zagalopowała.

- Jessie? Och, ma na imię Jessie. To pieszczotliwe zdrobnienie?

- Przestań... Ma na imię Jessica.

- Czy miałeś intymne kontakty z panią Jessie-Jessicą?

- Posłuchaj, my nie byliśmy...

- Spałeś z nią?

- Od jakiegoś czasu... przez ostatnie dwa lata...

- Spotykasz się z nią od dwóch lat?

- Nie. Pozwól mi... Pozwól mi skończyć to, co mam do powiedzenia. Mówię o nas, o tym, jak z nami jest, jak... jak się mijamy w przedpokoju, jak ciągle jesteś poza zasięgiem...

- Tak czy nie, Charles? Wsadzałeś swojego fiuta żonie tego człowieka?

On ciągnie swoje.

- To jest tak, jak byśmy byli współlokatorami. Pracujesz we wszystkie święta, w walentynki, Boże Narodzenie, w sylwestra, siedzisz w pracy w soboty i w niedziele, nawet w swoje dni wolne lecisz tam na każde zawołanie.

- Taki mam zawód. To moja praca. Nie urywałam się z domu, żeby cię zdradzać.

Milczenie.

- Przyjmuję to za tak. Pieprzyłeś ją. Nagle czuję się odtrącona.

- Dlaczego? - pytam. I nieudolna.

- Czy to przeze mnie? Zrobiłam coś nie tak? - pytam, wpadając w syndrom głupiej baby. -

Albo czegoś nie zrobiłam? Czy ja się opieprzam, zaniedbuję coś w naszym małżeństwie?

- To nie ty... To... To było głupie. Nic więcej.

Uczucie, że wszystko, co zrobiłam, jest złe. Jestem ofiarą, robiącą z siebie jeszcze większą ofiarę.

Nie jestem nieudolna. I nie zrobiłam niczego złego. Nie jestem ofiarą.

- Najbardziej drażni cię to, że mi się wiedzie. Sukces jest moją największą zbrodnią.

Nic nie mówi. Zdjęcia ślubne na ścianie są naszymi niemymi świadkami. Patrzą na nas.

- Jak długo to trwa? - pytam.

- Niedługo.

- Co znaczy niedługo - miesiąc, dzień, rok - co znaczy niedługo?

- Niedługo.

- Wystarczająco długo, żeby Jessica stała się Jessie. Pociera szyję, potem sięga po moją dłoń. Odsuwam się.

- Miałeś zamiar mnie porzucić?

- Jesteś tym, co najlepsze w moim życiu. Nigdy bym cię nie porzucił.

- Nie możesz odpowiedzieć mi na pytanie?

- Jakie pytanie?

- Czy zamierzałeś wymiksować się z tego małżeństwa?

- Nie. Przepraszam za to, co...

- Ile razy... Ile razy z nią byłeś?

- Przestań...

- Ile razy?

- To nie było nic poważnego.

- Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

- Przepraszam. To już skończone.

- Tak?

- Skończona sprawa.

- Skończona. To dlaczego David Lawrence myśli, że ty i jego żona zamierzaliście razem uciec? Dlaczego przyszedł do twojej pracy i skopał ci tyłek?

- On nie... - Urywa. - Posłuchaj, nie wiem, co ona mu powiedziała.

- Dlaczego miałyby tak myśleć? Po co miałyby mówić coś takiego swojemu mężowi?
- Nie mam pojęcia.
- Tak jak nie masz pojęcia, kto ci podbił oko. Milczenie.
- Ile razy, Charles?
- Nie wiem.
- Okej, to może ci pomogę. Czy to była jednorazowa przygoda? Jego mina mówi mi, że nie.
- Więcej niż pięć razy? Więcej niż dziesięć? Powiedz „ciepło”, jak będę bliska prawdy. -

Dwadzieścia?

- Posłuchaj, spiknęliśmy się parę razy.
- Co to jest parę? Dwukrotnie?
- Parę to znaczy parę.
- Potem wracałeś do domu do mnie. Milczenie.
- Więc teraz pamiętasz, kim ona jest. - Mój głos jest senny, odpływam z tego pokoju, z tego związku. - Wiesz, kim jest on. Poprawia ci się pamięć.

Wymawia moje imię, a ja nie odpowiadam. Aż dotąd spałam jak dziecko, nieświadome i naiwne. Nie odrywam oczu od ślubnych zdjęć na ścianach.

- Kochasz ją? - pytam.
- Kocham ciebie.
- Tak czy nie, byłeś albo jesteś w niej zakochany? Czy to była tylko fizyczna sprawa?
- Kocham ciebie. Nikogo innego oprócz ciebie. Nigdy bym od ciebie nie odszedł, żeby nie wiem co.

Mówi to w taki sposób, jakby chciał usłyszeć ode mnie to samo. Nie odpowiadam.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- To po prostu się stało, o nic w tym nie chodziło.

Jego słowa brzmią niezręcznie, przepełnia je wstyd, każde kolejne zdanie jest jeszcze bardziej rozpaczliwe od poprzedniego. Usiłuje usprawiedliwić coś, co jest nie do usprawiedliwienia, próbuje znaleźć słowa, które mnie uspokoją, sprawią, że sobie odpuszczę, jak gdyby to było drobne nieporozumienie, jakie zdarza się w każdym małżeństwie.

- Jak się czujesz? - pyta.
- Jak się czuję? - Ogarnia mnie furia i nie poznaję własnego głosu; nie poznaję kobiety, która ryczy jak zranione zwierzę. - A jak mam się czuć?
- Nigdy bym od ciebie nie odszedł.
- Odszedłeś, kiedy wsadziłeś swojego fiuta tej kobiecie. - Głosem kipiącym emocjami mówię wszystkie brutalne rzeczy, które tłoczą się mi się do głowy. - Powiem ci, kurwa, jak się

czuję. Domyślam się, że lizałeś jej cipę, potem wracałeś do domu i całowałeś mnie. Wkładałeś jej kutasa, potem przychodziłeś do domu i pozwalałeś mi zlizywać jej cipę ze swojego kutasa. Jak ty byś się czuł? Gdybym się puszczała na boku i ssała fiuta jakiemuś skurwysynowi, a potem przychodziła do domu i wkładała ci to w usta? Jak byś się czuł, gdybyś lizał mi cipę i wysysał z niej śmietanę jakiegoś czarnucha? Jak by ci, do kurwy nędzy, smakowało takie gówno, skurwielu? Powiedz, czarnuchu, jak byś się czuł.

Groza i wściekłość rozdzierają mi wnętrzności. Muszę stąd uciec, natychmiast, póki jestem w stanie się ruszyć. Chwytam kluczyki, torebkę, wycieram oczy i gnam do samochodu. On mnie próbuje zatrzymać, ale nie jest na tyle głupi, żeby mnie dotknąć. Woła za mną raz za razem, błagając, twarz wykrzywia mu grymas strachu przed porzuceniem. Ja zostałam porzucona i nawet tego nie zauważyłam. Miał romans, zostawił mnie i wrócił, zanim zdążyłam się zorientować.

Wsiadam do swojego Błękitka, trzaskam drzwiami i rykiem silnika zagłuszam głos Charlesa. Teraz on chce rozmawiać, chce, żebyśmy została, kocha mnie, kocha mnie, kocha mnie. Ruszam na wstecznym biegu, nie wiedząc, dokąd jadę, tylko to, że muszę tam dotrzeć jak najszybciej.

Słyszę głośny łomot, trzęsienie ziemi, eksplozję, jakby walił się na mnie świat.

Staranowałam drzwi garażu z taką siłą, że blacha wypadła z ramy. Odebrało mi rozum. Nie poczekałam, aż to cholerstwo się podniesie. Górski rower podwieszony pod sufitem spada z hukiem na maskę mojego samochodu i zdzierając warstwy lakieru, ląduje na ziemi. Charles się wścieka, a ja chcę tylko jednego: stracić go z oczu. Z zamglonym wzrokiem, spanikowana, uruchamiam Błękitka, wciskam za mocno gaz i wpadam na stół warsztatowy. Walę twarzą o kierownicę i czując, jakby samochód się obracał, unosił w powietrze, wbijam szafkę z warsztatem w ścianę, która graniczy z pokojem dziennym. Znowu cofam zbyt szybko. Drzwi garażu za chwilę runą na ziemię.

Wszystkie narzędzia i obrazki Charlesa spadają ze ścian na szary beton.

Rozwalam swój samochód. Płaczę.

Charles wrzeszczy.

Odbiera przed końcem pierwszego sygnału.

- Mogę rozmawiać z Davidem Lawrence'em?

- Przepraszam, straszne zakłócenia na linii. Kto mówi?

Boli mnie twarz od zderzenia z kierownicą. Boli mnie szyja. Tęnym głosem szepczę swoje imię.

- Obudziłam cię?

- Jestem... Pracuję w atelier do późna, czasami całą noc.

- Nocny marek.

- Kiedy pracuję. Kiedy mam głowę zajętą jakimś gównem.

Chciałam go wyrwać ze snu. Chciałam mu zakłócić spokój, tak jak on zakłócił mój.

Pauza. On czeka. Jest zdenerwowany.

- Domyślałam się, że nie znalazłeś swojej żony.

- Nie rozmawiałem z nią od czwartku. Myślałem, że to może ona dzwoni.

- Nie jest z moim mężem. W każdym razie nie była pół godziny temu.

Zaciskam szczękę, zgrzytając zębami.

- Trzy godziny temu - mówię - miałam udane życie. Dzięki, że o mnie pomyślałeś i wszystko rozpieprzyłeś.

Rozłączam się i wypuszczam z ręki komórkę.

Oto na co mi przyszło. Jestem zranioną, zażenowaną i wściekłą pasażerką w terenówce Yvette.

Po scenie jak z *Flipa i Flapa* Charles pomógł mi się wydostać z samochodu. Trwało to wieczność i jeszcze jeden dzień dłużej. Mieszkamy w zżytej społeczności, typowej podmiejskiej sypialni na południe od Los Angeles i na północ od Long Beach, gdzie wszyscy żyją za betonowym murem i wiedzą o sobie wszystko, więc natychmiast przybiegło kilkoro sąsiadów, bo usłyszeli jakiś tumult.

Zobaczyli, że jestem wrakiem człowieka, zobaczyli, w jakim stanie jest Charles, i dodali dwa do dwóch. Tseday, siostra* Etiopka, która mieszka po drugiej stronie ulicy, starała się mnie pocieszyć, podczas gdy jej mąż rozmawiał z Charlesem i próbował naprawić drzwi garażu.

* Afroamerykanie często mówią o przedstawicielach własnej rasy „brat”, „siostra” i tak też się do siebie zwracają: „bracie”, „siostrze”.

Błękitek był niemiłosiernie porysowany i poobijany, garaż wyglądał jak epicentrum trzęsienia ziemi.

Jakiś czas później, kiedy przykładałam do głowy łód, zadzwoniła moja komórka. To była Yvette; chciała sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Zorientowała się, że jestem w furii, więc streściłam jej wydarzenia z domowego frontu. Powiedziała, że właśnie opuszcza plantację wiadomości, i następną rzeczą, którą pamiętam, było pukanie do drzwi. Weszła w bojowym milczeniu, a jej mina mówiła, że miarka się przebrała. Charles nie odzywał się ani do Yvette, ani do Tseday. Chyba ich nastrój i miny działały odstraszająco.

Yvette powiedziała, że mam wziąć jakieś ciuchy i z nią jechać.

W ten sposób wyładowałam tu, gdzie jestem. Oto ja, nabuzowana pasażerka SUV-a pędzącego na północ autostradą sto dziesięć.

- Naprawdę powinnaś pojechać na ostry dyżur - mówi Yvette. Kręcę głową. Ten prosty ruch sprawia mi ból.

- Rozwaliłam swój cholerny samochód.

- Zajmiemy się tym jutro.

Jest tuż przed północą i świat mnie wymija z prędkością stu czterdziestu na godzinę.

- Pieprzona nauczycielka wuefu? - Yvette się krzywi, jakby pamiętała wygląd swojej nauczycielki wuefu z czasów gimnazjum.

- Możesz uwierzyć w taki syf?

- To oczko wyżej od kelnerki z Denny'sa.

Dzwoni moja komórka. To mój numer domowy. Nie odbieram. Za chwilę znów dzwoni.

Sprawdzam numer. Jeszcze raz David Lawrence. Wkurzam się maksymalnie, bo zdobył już mój numer prywatny. Głupia. Numer mojej komórki pokazał mu się na wyświetlaczu i teraz on wkrada się do mojego życia jeszcze bardziej. Nienawidzę go. Silną, bezsprzeczną, bezosobową nienawiścią, dla której nie znajduję innego ujścia. Nie znam go i nie znoszę go bezwarunkowo. Mój umysł życzy mu śmierci.

Wyłączam komórkę.

Yvette jest przybita, jakby mój ból przypominał jej o cierpieniach z własnej przeszłości. Wspomnienia dotyczące złych związków i złamanych obietnic błyszczą w jej oczach, kiedy zjeżdża z autostrady Pasadena na Hollywood. Peroruje, wylewa z siebie potok słów, których ton waha się od złości do czulego współczucia. Mówi mi te wszystkie rzeczy, które kobieta może powiedzieć innej kobiecie przyjaciółce w tak kryzysowej sytuacji.

Patrzę prosto przed siebie w przestrzeń. Słowa Yvette nikną w zgiełku drogowym. Nie czuję niczego, tylko własne serce. Chyba zawsze czuje się zranione części ciała.

Yvette wcześniej ucieka z autostrady do miasta, wciska się na Sunset Boulevard za Roscoe's Chicken & Waffles i jedzie w głąb centrum w okolice Laugh Factory i kabaretu Comedy Store rozświetlonym traktem, który wypełniają tysiące ludzi w ruchu, ludzi, którzy nie potrafią usiedzieć w miejscu, ludzi, którym zawsze czegoś brakuje do szczęścia.

Wciąż widzę jej twarz. Niejakiej Jessiki. Nie wiem, jak ona wygląda, i wyobrażam sobie tysiące jej wersji, od szczupłej i seksownej do nieszczupłej i nieseksownej, ale atrakcyjnej na swój sposób. Może jest inteligentniejsza ode mnie. Albo lepsza w łóżku.

- Dokąd jedziesz? - pytam.
- House of Blues.
- Na imprezę klubową?
- Na drinka.
- Nie chcę być w tłumie ludzi.
- Okej.
- Co masz dobrego w swojej hacjendzie?
- Zinfandela. Rum. Nie wiem. Zrobię przegląd barku, jak dojedziemy.
- A coś leczniczego na nerwy?
- Masz na myśli lekarstwo bez recepty?
- Nie mam na myśli ibuproenu.
- Jeden wzmocniony skręt, coś egzotycznego z Hawajów albo coś mniej...
- Po prostu zrób mi niespodziankę.

Łapie komórkę, wciska jeden z klawiszy prostego wybierania i rozmawia ze swoim dilerem. Wyłączam się. Patrzę przez okno na ludzi, wszelkich ras i w każdym możliwym wieku, zagubionych i poszukujących. Wszyscy wyglądają jak łowcy przyjemności w jakimś akwarium, pływający z miejsca na miejsce jak padlinożercy w poszukiwaniu pysznego mięsnego ochłapa. Szukają czegoś, co wprawi ich w dobry nastrój. W tej chwili raczej nie ma dla mnie miejsca w tym świecie. Yvette czuje się tu jak ryba w wodzie. Kiedyś ze mną było tak samo, ale wyhamowałam. Dotknięcie obrączki przypomina mi o tamtej transformacji: od świateł stroboskopowych do białego parkanu. Yvette pozostaje częścią tego undergroundu. Towarzystwa nocnych włóczęgów szukających orgazmu.

Włączam z powrotem komórkę. Chcę, żeby Charles dzwonił dalej. Nie chcę z nim rozmawiać. Próbując się do mnie dodzwonić, będzie tak samo nabuzowany w środku jak ja. Dopóki będzie dzwonił, będę wiedziała, że nie jest z pewną uczącą wuefu suką o imieniu Jessica.

Yvette ma w swoim salonie sofę nad sofami. Beżowobrazową w tureckie wzory, dużą i wygodną, taką, na jakiej chce się zasnąć. To mieszkanie z jedną sypialnią, dlatego będę się dziś

bronila przed snem. Sen przyniesie koszmary, a nie śpiąc, będę za dużo myślała, więc tak czy inaczej mam przechlapane. W kącie, pod stolikiem do kawy zrobionym z surowego drewna są stosy książek. *Biegająca z wilkami*. Eseje o losach Afroamerykanów. *Mężczyźni, którzy nie potrafią kochać*. *Kobiety i szaleństwo*. *Szklany kosz*. Co najmniej setka innych książek. Myślę, czy by nie spróbować zatopić się w lekturze, ale wiem, że nie będę mogła się skupić, zwłaszcza po kilku drinkach.

Na wszystkich białych ścianach wiszą dyplomy za jej pracę w wiadomościach; prawie nie widzę zdjęć rodzinnych. Jest mnóstwo zapachowych świec na różnego rodzaju świecznikach i podstawkach, wystarczająco dużo, żeby jej mały salon wyglądał przytulnie i nastrojowo. Pamiątkowy herb jej korporacji studenckiej ma też swoje godne miejsce, tuż nad komputerem. Poza tym uwagę przykuwają jej zdjęcia ze sławnymi ludźmi, których poznała w ciągu kilku ostatnich lat. Te mają wydzieloną ścianę obok stołu jadalnego w stylu bistro. Hollywoodzki ołtarzyk do kontemplacji podczas jedzenia. Zdjęcia są oprawione w ramki i starannie rozmieszczone, jak gdyby ona i Chante Moore, ona i Ja Rule, ona i Nelly, ona i Angie Stone, ona i Musiq, ona i Ashanti, ona i Hill Harper oraz Diahann Carroll, ona i aktorzy i aktorki na wręczeniu Czarnych Grammy, ona i inni drugorzędni aktorzy i aktorki czarnych filmów tygodnia, jak gdyby ona i blisko setka innych ludzi, którzy nigdy nie umieszczą jej zdjęć na swoich ścianach ani w swoich albumach, byli najlepszymi z przyjaciół.

Rzucam swoją małą podróżną torbę na dywan przy sofie, moszczę się, a ona idzie do kuchni, otwiera szafkę wypełnioną od góry do dołu butelkami z różnymi trunkami.

- Chcesz spróbować bacardi limon z Mountain Dew?

- Brzmi zachęcająco.

- Albo możemy doprawić wódkę skyy red bullem.

- Zmieszaj to wszystko i podaj mi szklanę.

- Będziesz rzygała jak kot.

- Zmieszaj.

Wyjmuje niską szklanę.

- W wysokiej szklance.

- Zaczniemy od niskiej, a potem może się rozkręcimy, okej?

- Dobra. Wszystko jedno. Odbiera dzwoniącą komórkę.

- Jesteś na zewnątrz? Już wychodzę.

Jej diler dostarcza lecznicze produkty, jakby to była pizza Domino's. Yvette bierze ode mnie dwadzieścia dolców, żeby mieć pięćdziesiąt na zapłacenie za malutką paczuszkę magicznego ziele, wychodzi i wraca po minucie. Rzuca na blat torebkę po sandwiczu ziploc.

- No, no - mówię.

- Zmieniasz zdanie?

- Zapal to, zanim zdam sobie sprawę, co chcę zrobić.

Mówi, że ma bletki o zapachu koniaku, zwykle jeden koma pięć zwijki do skrętów albo fajkę. Nic z tego technokonopnego żargonu do mnie nie trafia, bo ostatni raz paliłam jointa dziesięć lat temu, kiedy się zadawałam z pewnym niegrzecznym chłopcem z zakazanej wschodniej dzielnicy, więc nie jestem na bieżąco. W tej chwili mam takiego doła, że wcale bym się nie dziwiła, gdyby bacardi 151 wszedł równie gładko jak truskawkowy kool-aid. Mówię, że mi to zwisa, że chcę po prostu zapalić to cholerne zioło i użyć tego, czego ona zwykle używa. Jeśli chce mi wpakować gandzię do ust i przypalić świecą, nie ma sprawy.

Idzie do łazienki, cały czas do mnie mówiąc, i wraca z małą śliczną fajką, takim dyskretnym cackiem przeznaczonym dla ludzi, którzy ćmią po kryjomu. Umieszcza w środku mały filtr, wkłada palcami ziółko, upycha, zamyka wieczko i przypala.

Pijemy.

Palimy.

Zanurzone w gęstej konopnej chmurze rozmawiamy o mężczyznach.

Przeklinamy i rozmawiamy o czarnuchach.

Yvette trzyma w swoim pokoju dziennym, na półce pod blatem stolika do kawy, gruby album ze zdjęciami. Znajdziemy tam chronologiczny rejestr wszystkich jej kochanków z ostatnich ośmiu, dziewięciu lat; kilka z owych kadencji zachodzi na siebie w czasie. Kochankowie na plażach Bahamów. W San Diego. Za oceanem we Francji. Na nartach w Kanadzie. Widzimy te wszystkie miejsca, w których była. Kochała się tam z mężczyznami, których miłość nie przetrwała. Widzimy to wszystko i kilka dość cudaczných fryzur. Jej włosy są wyrazem jej wewnętrznego rozwoju i przemian osobowości. Oto tradycyjnie prostowane pasma, trwała, potem włosy krótko ostrzyżone i naturalne, plecionka z cienkich warkoczyków, a wreszcie długie dredy. Strona po stronie, związek po związku jej włosy zmieniają kolor jak liście w różnych porach roku. Z ciemnobrązowych przechodzą w rude, potem przez blond do czerni i wiele innych kolorów po drodze. Kiedyś miała staranny makijaż, teraz nie stosuje żadnego, pełną naturalność i kolorowe chustki na grzywie.

Rozmawiamy o zawodach sercowych. O jej narzeczonych, którzy nigdy nie stali się mężami. Modele. Aktorzy. Artyści komediowi. Inżynierowie. Oni wszyscy zjawili się kiedyś i odeszli. Niektórzy nadal dzwonią; chcą podtrzymać znajomość na jakimś tam poziomie, ale gdy dzień się kończy, ona nadal śpi sama.

- Łatwo jest się bzykać - mówi Yvette. - Trudniej kochać.

- Nie nadaję się do tego, żeby wpuścić faceta do łóżka, pójść na całość i nic do niego nie czuć.

- Jednak wielu ludzi zadowala się gratisowym pogotowiem seksualnym.

- To nie dla mnie.

- Mówię tylko, jaka jest rzeczywistość. Ciężko jest znaleźć faceta, któremu chodziłoby o coś więcej.

- Jeśli pytasz o moje zdanie - a spytałaś - problem nie polega na tym, żeby znaleźć kogoś, kto by cię kochał.

- Uhuhu. Teraz zebrało ci się na filozofowanie? Zbywam ją lekceważącym gestem.

- Tyle jest rodzajów i stopni intensywności miłości. Trudno jest znaleźć kogoś, kto by cię kochał we właściwy sposób, z właściwych powodów. Nie dla pieniędzy, domu, samochodu, seksu, poczucia bezpieczeństwa, ale wielbił cię po prostu za to, że jesteś. Akceptował taką, jaka jesteś, z wadami i wszystkim innym.

- Jak powiedziałam, ciężka sprawa.

- Ale to nie jest niemożliwe. Yvette wzdycha.

- Ja tam nie miałam szczęścia być wielbiona w ten sposób.

- Są ludzie, którzy przez całe życie nigdy się nie zakochują.

- Ja to przerabiałam i jestem całkiem wyleczona. Jest mi dobrze tak, jak jest.

- Nie chcesz mieć dzieci?

- Nie. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła być w ciąży.

- A adopcja?

- Prędzej zaadoptuję autostradę niż dziecko. Mniejsze koszty utrzymania.

- Nie wyobrażam sobie życia bez miłości. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła być taka... taka... taka pusta.

- Chcesz powiedzieć, że ja jestem pusta? Próbujesz mnie zdołować.

- Och, proszę cię. Wcale nie.

- Może jeszcze kiedyś mnie weźmie. Ale w tej chwili żyję tak, jak jest mi wygodnie.

- Seks bez miłości to gwałt.

- Mam na koncie sporo dobrego gwałtu w tym roku. Cholernie dobrego gwałtu.

- Chciałabym umieć podchodzić do tego tak jak ty.

- Daj spokój, ja chciałabym być taka jak ty. Niełatwo jest być mną. Ja po prostu odpuszczam, opanowałam sztukę unikania ciosów. Nigdy nie umiałam pogodzić się z odrzuceniem. To jedyny problem, z którym sobie nie radzę. Dlatego wolę uprawiać seks bez zobowiązań, niż brnąć w gówniany układ i czekać, aż się rozpadnie.

Dzięki temu, że rozmawiamy o niej, nie muszę rozmawiać o własnej sytuacji, i bardzo mi to odpowiada.

- To dlatego płynę z prądem - mówi Yvette - od mężczyzny do mężczyzny, od miłości do miłości. Miłość jest cudowna, dopóki jest nowa. Kiedy jest nowa, ma moc.

- Uhuhu.

- Nie chcę czekać, aż miłość ostygnie, do momentu, kiedy czujesz, że trzeba odejść, ale nie potrafisz. Kiedy chcesz, żeby miłość rozkwitła na nowo, chociaż wiesz, że tak się nigdy nie stanie. Ja gonię za nowością; ulegam temu impulsowi, jak tylko mnie dopadnie.

- Gonisz za nowością, tak, graczu?

- I uciekam przed strachem. Ktoś, kto mówi, że miłość nie przynosi strachu, nigdy nie był zakochany.

- A co z tą wielką jedyną miłością, o jakiej wszyscy marzymy?

- Tą, która robi z człowieka więźnia?

Moja przyjaciółka sprawia czasem wrażenie kobiety, która potrafi się odciąć od uczuć, jakie wiążą się z seksem. Wiem, że ja nie potrafię. Chciałam, próbowałam wiele razy, ale ja jestem inaczej skonstruowana. Zawsze bardzo się przywiązuję do mężczyzny, z którym łączy mnie seks. Dlatego świadomie zrywam kontakty z wszystkimi byłymi. Rozstajemy się i zmieniamy numery telefonów, zmieniamy adresy e-mailowe i zdarzyło się kilka razy, że jedno z nas musiało wynieść się z miasta, żeby nie zrobiło się zbyt paskudnie. Hormony rządzą moim sercem, a wzgardzona, mogę stać się gorsza od diabła.

Może Yvette również nie uwolniła się od tego przekleństwa; może przygodni kochankowie i błyskawiczne numerki są dla niej leczniczym kompresem na jej pragnienia, placebo na jej samotność. To jest jej styl, jej mechanizm obronny, sposób na zachowanie namiastki związków, na trzymanie się z dala od „całej tej miłości” i wszystkiego, co ona niesie, zarówno dobrego, jak i złego.

Ciągnę fajkę za mocno i łapie mnie atak kaszlu. Yvette się denerwuje, bo kaszlę naprawdę przeraźliwie, w końcu gdy ocieram łzy z oczu, obie dostajemy napadu śmiechu.

Dzwoni jej telefon i przerywa naszą małą naradę plemienną.

Yvette odbiera po sprawdzeniu numeru na wyświetlaczu. Mówi kilka słów, potem robi zdziwioną minę.

- Jesteś tutaj w dolinie? Przed domem? Miałeś dzisiaj wpaść... Ale numer... Zapomniałam. Jest tu moja kumpelka. Nie, nie, w porządku. Zaparkuj gdzieś i podejdź do bramy.

Odkłada słuchawkę. Klepie się kilka razy w czoło.

- Cholera.

- Co?

- Zaprosiłam znajomego. Na śmierć o tym zapomniałam.

- Chcesz, żebym... Cholera, nie mogę się teraz zmyć. Przyjechałam tu z tobą. Mój samochód jest unieruchomiony w rozwalonym garażu trzy kwadransy drogi stąd.

- Nie ma sprawy. Mieliśmy pojechać do klubu dla zboków.

- Jesteś dla mnie zbyt odjechana.

- Tylko popatrzeć. Opowiadałam mu o tym miejscu i on też chce zobaczyć, jak imprezują kompletne świry.

Małpuję jej akcent.

- Tyy paskuudo. Śmieje się.

- Pojedź z nami.

- Różowe baleciki to nie dla mnie.

- Hej, co ci szkodzi. Z nim będziemy bezpieczne, nikt nas nie ruszy. Nie odpowiadam. Inne sprawy zaprzatają mi głowę.

Yvette idzie do drzwi, zbiega na dół wąską klatką schodową. Próbuję doprowadzić się do porządku, mam nadzieję, że nie wyglądam jak moczymorda. Yvette wraca szybko, nie dając mi czasu na pozbieranie się. Słyszę za drzwiami ich rozmowę i śmiech. Wchodzą, trzymając się za ręce. Jej przyjaciel ma gładką brązową skórę i silne ramiona. Kruczoczarne dredy sięgają mu do ramion. Jest w prostym czarnym swetrze i dzinsach, w modnych kolorowych butach z cholewami. Ma sympatyczny uśmiech i przypomina mi Ricky'ego Williamsa, runningbacka* z Miami Dolphins, tylko nie jest tak wysoki i ma kozią bródkę. Wygląda o dziesięć lat młodziej od Yvette, pięć lat młodziej ode mnie.

* Pozycja piłkarska w futbolu amerykańskim.

Yvette przedstawia nas i podajemy sobie ręce. Używa imienia TJ. Jest z Erytrei.

- Więc to dzięki tobie ona tyle wie o Erytrei - mówię.

- Tak, dzielę się z nią wiedzą o swoim kraju.

- A ona, mam nadzieję, dzieli się z tobą wiedzą o problemach czarnych ludzi w tym kraju.

Śmiejemy się, ale widzę po jego oczach, że nie taki wieczór mu się marzył. Siada na sofie koło Yvette, ja na małej kanapce obok przeszklonych drzwi, które prowadzą na taras z grillem. TJ pije rum, niewiele, ale uwielbia zioło.

Yvette mu mówi, że pracujemy razem, że jestem producentką.

TJ ma akcent, który trąci zarówno elegancją, jak i inteligencją.

Ze względu na obecność mężczyzny, przekładamy naszą małą stypę na inny termin, a ja udaję, że w moim życiu wszystko jest w porządku. Nie bardzo chcę rozmawiać o sobie, więc zaczynam go wypytywać - tak jak to robią siostry, gdy chcą się dowiedzieć, czy facet jest wystarczająco przyzwoity, żeby zajmować czas ich przyjaciółce. Pytam, skąd pochodzi i w jaki sposób wylądował w tym kraju.

Mówi, że urodził się w Asmarze, ale jego rodzina musiała uciec z Afryki z powodu wojny. Dużo ludzi zbiegło do Kenii albo Somalii, ale oni wylądowali w Europie. Tułali się z Grecji do Włoch, z Grecji do Szwecji, aż w końcu przenieśli się do Ameryki i osiedlili w Dystrykcie Kolumbii. Część jego rodziny przeprowadziła się stamtąd do Dallas i San Diego, miast położonych blisko wybrzeża.

Pytam, czym się zajmuje, mając nadzieję, że tym razem otrzymam prostszą odpowiedź.

Mówi, że interesuje go neurofarmakologia i neuronauka. Muszę mieć głupi wyraz twarzy, bo urywa i tłumaczy, że chodzi o funkcjonowanie systemu nerwowego, dysfunkcje i metody terapii. Nie bardzo rozumiem, o czym on do cholery mówi, zwłaszcza że marycha i koktajl dają mi porządnego kopa. I na nic zdają się wszystkie mądre słowa z testu SAT*. TJ mówi coś o przygotowywaniu się do studiów podyplomowych w Albany Medical College.

* Ang. Scholastic Aptitude Test - Sprawdzian Umiejętności Akademickich, standardowy egzamin wstępny w większości uczelni USA.

- Naprawdę? - To jedyne, co jestem w stanie powiedzieć.

- Będę studiował rozwój komórek neuroglejowych, nadużywanie substancji psychoaktywnych, schizofrenię, mechanizmy neurohormonalne, udar mózgowy, dynamikę systemów neuroprzekaźnikowych...

- Będziesz studiował mnie, bo mój system nerwowy jest stargany i wszystkie trzy moje jaźnie myślą, że substancja w tej fajce jest bez zarzutu. Moje hormony potrzebują więcej bodźców i przekazują mi sygnał, że powinnam natychmiast nadużyć substancji z tej malutkiej fajeczki.

Wybuchamy śmiechem.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji TJ, wiedząc, że jestem producentką wiadomości, próbuje mi sprzedać dramat swojego kraju. Mówię bez ogródek, że nie wiem nic o jego kraju, subtelnie dając do zrozumienia, że akurat w tym momencie, w środku kryzysu, kiedy moje życie się rozpada, mało mnie on obchodzi.

- Dam ci pełny obraz sytuacji - mówi TJ.

- Jeśli zrobisz to w hollywoodzkim stylu.

- W hollywoodzkim stylu? Zaczynam widzieć jak przez mgłę.

- Wyobraź sobie, że jesteśmy w Hollywood, w jakiejś windzie, i że ja jestem Spielbergiem. Sprzedaj mi pomysł scenariusza, zanim dojadę na swoje piętro, czyli masz na to niecałą minutę.

- Trzydziestoletnia wojna w wersji dla „Reader's Digest”? - Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Właśnie straciłeś pięć sekund. Yvette chichocze.

- Jak dawno temu to było? - pytam. Krzywi się.

- Nic o tym nie słyszałaś pod koniec lat dziewięćdziesiątych?

- O rany, człowieku. - Wyrzucam w górę wolną rękę. - Przekazujesz mi wiadomości z zeszłego tysiąclecia?

Wtrąca się Yvette.

- Nikt tak nie mówi, kiedy rozmowa dotyczy żydowskiego holocaustu, więc dlaczego mamy puszczać mimo uszu wiadomości z naszego podwórka, o naszym trwającym wciąż afrykańskim holocaustie?

Unoszę rękę.

- Moja wina, moja wina. TJ, mój bracie, oddaję ci głos. TJ poważnieje.

- Erytrea była skolonizowana przez Włochy. Potem Włosi oddali nas w prezencie Etiopii. Zostaliśmy zaanektowani wbrew naszej woli. Z tego powodu wybuchła wojna i trwała trzydzieści lat.

- Uhuu. Podasz mi tę śliczną fajeczkę?

- Etiopczycy zniszczyli wszystko.

- Uhu. Co się stało z moim drinkiem?

- Masz go w ręku, piegusie - mówi Yvette.

- Sorki. Mów dalej, TJ. Słucham.

- Spowodowali suszę, głód...

- Spowodowali suszę? Więc oskarżasz ich o kontrolowanie pogody.

- Mówię o przemocy, zniszczeniu, korupcji w gospodarce. Dzieci nie mogły chodzić do szkoły. Ludzie głodowali. Oni próbowali kontrolować media. Mordowali mój naród bez litości. Potrafili zamknąć tłum ludzi w kościele i go podpalić albo wlec okaleczone ciała po ulicach, żeby wzbudzić strach. Kiedy Rosja wycofała swoje poparcie dla Etiopii, obaliliśmy ich władzę w 1991.

- Choo-lllera, czy my wszyscy nie możemy żyć w zgodzie? Najpierw tamta masakra w Rwandzie, teraz wy też? Dlaczego wy wszyscy nie możecie żyć jak normalni czarni ludzie i walczyć z białymi ludźmi? Wszyscy macie na swoim koncie jakieś Missisipi w ogniu, jakichś Hatfieldów i McCoyów*, jakichś Cripsów i Bloodsów** i inne gówna, które na pewno nie napędzają

wam turystów. Chodzi mi o to, że wy wszyscy przenosicie to całe bagno z konfliktami wewnątrz-wewnątrzrasowymi na nowy poziom.

* Krwawa waśń rodowa między rodzinami Hatfieldów i McCoyów, trwająca w latach 1878-1891 na pograniczu Wirginii Zachodniej i Kentucky, stała się symbolem brutalnych konfliktów społecznych, sporów między rywalizującymi partiami itp.

** Crips i Bloods - dwa rywalizujące ze sobą czarne gangi założone w Los Angeles, zaliczane do najstarszych w USA.

Yvette pokłada się ze śmiechu.

- Ja tylko próbuję opisać ci sytuację z perspektywy Erytrei - mówi TJ.

- Posłuchaj, bracie, przydałoby się tu kilku Etiopczyków dla równowagi, żeby spojrzeć na ten syf z drugiej strony. Moja sąsiadka jest Etiopką, biegamy razem od czasu do czasu i naprawdę ją lubię. Cholernie bystra. Uważa, że ja też mogłabym uchodzić za Etiopkę, jakoś tam jestem do nich podobna, więc może mam trochę etiopskiej krwi?

Musimy zweryfikować niektóre z tych oskarżeń przeciwko kto wie, czy nie mojemu narodowi.

TJ śmieje się bardzo uprzejmie, nie sposób poznać, czy jest urażony, czy nie, odgarnia z oczu dredy, kręci głową, sący swoją trucizną, pociąga fajkę, dym owiewa mu włosy.

Zaciąga się i mówi dalej.

- Nie chciałem, żebyś miała wypaczony obraz sytuacji, jaki jest często rozpowszechniany.

- Dzięki, że mnie oświeciłeś. A teraz moje dwa machy, poproszę fajeczkę.

- Cieszę się, że zostałaś wprowadzona w mój świat, ale następnym krokiem będzie spróbowanie jedzenia.

- Nareszcie mówisz jak człowiek. Nie miałabym nic przeciwko ciasteczku ding dong czy twinkie. Macie je wszyscy u siebie w Eurece, Chorwacji czy Rosacei, czy... zaraz, jak się nazywa ta kolonia?

- Piegusie - mówi Yvette - jesteś nawalona.

- To straszne. Bardziej kochamy psy niż siebie nawzajem.

- Tak myślisz?

- Kiedy ostatnio wypowiedzieliśmy wojnę psom? Albo kotom? Oboje się ze mnie śmieją.

- To z nimi powinniśmy walczyć. Wszystkie te włóczęgi, psy i koty, które ruchają się jak... jak... ludzie. Hm. Czy psy próbują to czasem robić „na człowieka”?

Yvette śmieje się najgłośniej.

- Piegusie, jesteś nawalona jak pijany zajac.

- Hola. Czy ten pokój zrobił się większy?

- Po prostu droga ci się dłuży, bo drepczesz jak dziecko.

- Ten pokój zrobił się większy.

- Czego ty szukasz?

- Telefonu.

- Po co?

- Chcę zadzwonić do Charlesa. Pora powiedzieć coś do słuchu temu skurwielowi.

- Nie, niech sobie pocierpi. Ten, kto dzwoni pierwszy, traci; znasz zasady gry.

Ja i Yvette wracamy do psioczenia na Charlesa i Jessicę, próbując zrozumieć, dlaczego Charles wyciął taki parszywy numer, skoro ja mu gotuję, piore, nigdy nie żałuję seksu, nie czepiam się, robię masaż pleców, masaż stóp, manikiur, pedikiur, robię sporo różnych bardzo erotycznych i oryginalnych rzeczy. Unikam dramatyzowania. Obie wiemy, jak bardzo mężczyźni nienawidzą Królowych Dramatu, bo same nienawidzimy Królowych Dramatu - nasza szefowa, Tyra Tyranka, znajduje się na szczycie tej listy.

- Dbam o porządek w domu - mówię. - Umiem gotować, jasny szlag. Gotuję na maksa, żadne tam byle co. Praktykowałam w kuchennym królestwie mamy i babci. Harowałyśmy w pocie czoła, smażyć kurczaki i piekąc ciasta. Słyszysz mnie?

Bełkoczę i zalewam się łzami.

- Zostawił mnie - mówię - i wrócił, a ja nawet nie wiedziałam, że kiedyś odszedł.

Yvette obejmuje mnie, jakbym była jej dzieckiem.

- To nie jest miłe, kiedy czujesz, że wszystko w twoim życiu jest fałszem.

Przestaję płakać, znów ogarnia mnie złość i trochę mnie otrzeźwia. Rozmawiamy ostro i bez zahamowań, prawie zapominamy, że jest z nami TJ. Ale on jest. Zerkam na niego i widzę, jak udaje, że w krainie Oz wszystko gra, kręcąc się i przerzucając kanały, żeby ukryć zakłopotanie.

Ocieram łzy.

- Przepraszam, że się nie mogę zamknąć i marudzę jak idiotka. Nie przyjechałeś tutaj, żeby oglądać taki gówniany cyrk. Słuchajcie, ruszcie się oboje i jedźcie tam, gdzie mieliście jechać.

TJ wierci się na kanapie.

- Nie, ja... Możemy pojechać kiedy indziej. Zmuszam się do śmiechu.

- A więc, Mister Afryki Wschodniej, ty naprawdę chcesz jechać na orgietkę?

- Erytrejczycy też są podatni na zboczenia. - Śmieje się. - Myślisz, że skąd się biorą Erytrejczątka?

- Szósty pasaż w supermarkecie Kmart.

TJ krztusi się ze śmiechu. Myśli, że mam nierówno pod sufitem.

- Nie, jedźcie dzisiaj, ja tu sobie zostanę. Muszę pobyć trochę sama.

Patrzę na TJ-a, mężczyznę z prowokacyjnym akcentem, kochanka, który będzie kolejnym zdjęciem w albumie Yvette. Kolejną porą roku, której czas jest policzony. Wydaje mi się zdjęciem wystawionym na słońce, jeszcze jednym obrazem, który już blaknie.

- Jesteś pewna? - pyta Yvette.

- Spadajcie. Pewnie zaraz zasnę.

Wlokę się przez jej jedyną sypialnię do łazienki. Taki jest rozkład mieszkania; trzeba przejść przez sypialnię, żeby dostać się do klozetu. Siadam na sedesie i sikam.

Pierdoli się z twoim mężem.

Nie zapalam światła. Nie chcę oglądać twarzy kobiety w lustrze.

Kiedy wracam do pokoju, Yvette i TJ są w kuchni. Wchodzę w momencie, kiedy się kończą całować. Ona wygląda tak delikatnie i słodko w jego ramionach. Yvette łapie płaszcz. TJ rusza do drzwi. Biorę swoją komórkę, chwytam poduszkę, jakieś koce i układam się wygodnie na sofie. Zamykam oczy, naciągam koc na głowę i udaję, że śpię.

Oni wychodzą.

Pokój zaczyna wirować.

Spadam z sofy, dźwigam się na nogi i przedzieram przez rzednące kłęby gandzi. Trochę to trwa, ale zdążam na czas do łazienki. Rzygam jak kot, na kolanach, chwając porcelanowego bożka. Za każdym razem, kiedy już mi się zdaje, że jest po wszystkim, zaczyna się od nowa. Osuwam się na zimne linoleum i tracę przytomność.

W środku nocy budzi mnie jakieś stukanie. Nieustające, uporczywe stukanie, które zaczyna się w moim koszmarze sennym. Śni mi się, że duszę Vivicę A. Fox, Halle Berry, Jade Pinkett, Michael Michelle, Lisę Nicole Carson* - wszystkie kobiety, które biorę w swoim urojeniu za Jessicę. To stukanie jest odgłosem walenia ich głów o ceglana ścianę. To stukanie mnie budzi.

* Czarnoskóre aktorki amerykańskie.

Nie leżę już na podłodze w łazience. Jestem znów na sofie, ubrana w piżamę, okryta tak ciepło, że cała się pocę. Czuję się, jakby dzieciół rzeźbił w mojej głowie jakiś ozdobny stół. Skopuję przykrycie. Stukanie dobiega z lewej strony, gdzie są drzwi. Ktoś szepce do Yvette. Wypowiada szeptem jej imię i stuka do drzwi. Mam wyschnięte gardło, nie mogę wydobyć głosu, nie mogę powiedzieć, żeby sobie poszedł, że Yvette wyszła z TJ-em, że musi wziąć numerki i wrócić innego dnia. Stukanie jest mocne i miarowe. Zwlekam się z sofy i człapię jak kaczką w kierunku drzwi. Kiedy docieram do kuchennego bufetu, ten uporczywy dźwięk mąci mi w głowie i

rozchodzi się po całym pokoju, raptem jest za mną, po prawej stronie, dochodzi z sypialni Yvette, jakby ktoś próbował włamać się przez jej okno.

Znów słyszę głos mężczyzny wyszeptujący imię Yvette. Drzwi do jej sypialni są na wpół otwarte. Stoję ukryta w ciemności i widzę swoją przyjaciółkę.

Dosiada TJ-a, zabiera go z powrotem do Afryki, poruszając się, jakby znała przyjemną, malowniczą trasę. Chustka spada jej z głowy, dredy kołyszą się w rytm anglezowania. Oboje poruszają się wolno, widać, że delektują się przyjemnością i opóźniają orgazm. Ona i jej młody kochanek podróżują wspólnie, jego ręce wielbią jej ciało - jej uda, biodra, pośladki, piersi - jej doświadczenie i mądrość. Płomyki świec oświetlają cudowne zmysłowe gniazdo.

Yvette i TJ przeobrażają się jak postacie w filmie, stają się odzwierciedleniem Charlesa i niejakiej Jessiki.

Znów jestem zła.

Wracam na sofę i przykrywam się razem z głową. Czuję coś twardego pod plecami. To mój telefon komórkowy. Szukam po omacku właściwego klawisza, żeby połączyć się z domem. Muszę skłąć Charlesa. Odbiera po pierwszym sygnale i moja pijana wściekłość wylewa się jak wezbrana rzeka.

Niskim, schrypniętym głosem wyrzucam z siebie wszystko, co powiedziałam tego wieczoru Yvette. Przypominam Charlesowi, jak byłam oddana jemu i naszemu małżeństwu, że gotowałam prawie codziennie, wiedząc, że nie znosi jeść resztek, sprzątałam lepiej niż Molly Maid*, chodziłam do kościoła, do pralni, w łóżku byłam na każde zawołanie, żeby nie miał powodów do szukania przyjemności gdzie indziej. Potem jadę dalej: nawijam o nieczepianiu się, masażach pleców, masażach stóp, manikiurach, pedikiurach - załatwiam niemal wszystko na jednym oddechu.

* Firma wynajmująca profesjonalne sprzątaczk.

Jazgoczę przez dobrą minutę. On się nie odzywa.

- Jesteś tam?

- Kto mówi?

- Zaraz, z kim ja rozmawiam?

Stukanie w sypialni ustaje na moment, potem się zmienia, ma nowy rytm, bardzo agresywne tempo, tak jak to bywa, gdy mężczyzna znalazł się na górze i zaczyna ostro pchać.

- David Lawrence.

- David Lawrence? Ten David Lawrence?

- Tak.

- Dlaczego jesteś znowu na mojej linii?

- Ty do mnie zadzwoniłaś. Dobrze się czujesz?

- Jestem przybita i zdołowana, dzięki tobie. Dupek. Powinnam skopać ci tyłek.

- Posłuchaj, ja też jestem w kiepskiej formie.

- Odpowiedz, do cholery. Dlaczego jesteś ciągle na mojej linii? Nawet cię nie znam, a rozpieprzyłeś mi życie. Masz pojęcie, jak byłam szczęśliwa, zanim do mnie zadzwoniłeś? Kim ty jesteś? Pomyślałeś kiedyś o tym, jaka byłam szczęśliwa, nie wiedząc? Wkurzasz mnie, zdajesz sobie z tego sprawę? Dlaczego za każdym razem, kiedy przykładam do ucha telefon, słyszę ciebie? Kim ty jesteś? Wiem, kim jesteś. Jesteś uuu-pierrr-dliwy. Jesteś uuu-pierrr-dliwym facetem, dlatego twoja żona ma cię dość.

Rozłącza się.

Stukanie się wzmagą. Yvette i TJ rozmawiają z Bogiem, wielbią siebie nawzajem, wzywając niebo na świadka.

Walczę z telefonem, próbuję wcisnąć wybrany poprzednio numer.

Odbiera po drugim sygnale. Podejmuję swoją pijaną diatrybę w miejscu, w którym urwałam.

Milknę, gdy dopada mnie ból głowy. On się nie odzywa.

- Halo?

- Kochanie, gdzie jesteś?

- Kto mówi?

- Charles.

- Charles? O cholera.

- Kocham cię.

- Tak, tak, jasne.

- Wracaj do domu - mówi przerażonym głosem. - Porozmawiajmy o tym spokojnie.

Rozłączam się. Telefon wyślizguje mi się z ręki. Wypada bateria.

Stukot staje się coraz szybszy, potem nagle słabnie, przechodzi w głuchoe łupnięcia. Robi się tak cicho, że słyszę jak łapią oddech po drugiej stronie ściany. Potem śmieją się i coś szepcą. Odgłosy radości po dobrym seksie wkradają się w moją przestrzeń. Ktoś przechodzi przez pokój dumnym krokiem. Yvette otwiera na oścież drzwi i wyłania się z sypialni. W blasku świec z rozpromienioną twarzą wygląda jak anioł zstępujący z nieba, roztacza wokół siebie tyle światła, że mogę dostrzec jej zbliżającą się sylwetkę. Zamykam oczy. Dotyka mojego czoła, ociera pot. Ma ciepłe ręce, jej skóra wciąż promieniuje żarem miłości. Opatula mnie powleczonym kocem, potem

idzie do kuchni. Otwieram oczy. Yvette nalewa swojemu kochankowi szklanę wody i wraca na palcach do sypialni.

Gadanie. Śmiech. Cisza. Pomrukiwanie.

Stukanie zaczyna się od nowa.

7

Dzięcioł w mojej głowie pracuje nad następnym rzeźbionym stołem, kiedy o świcie TJ wymyka się z domu. Słyszę, jak otwierają się drzwi i Yvette całuje go na pożegnanie. Podchodzi do mnie, ziewając. Mamrocze, że niby wszystko w porządku, a potem proszę, żeby włączyła telewizję, bo chcę obejrzeć Katie Couric. Muszę być na bieżąco z wiadomościami. Włącza telewizor, wkłada mi do ręki pilota i wraca do sypialni. Potem słyszę, jak bierze prysznic. Yvette robi mi śniadanie, ale nie mogę jeść. Sam zapach ryżu i krokietów z łososiem przyprawia mnie o mdłości. Próbuję pić wodę, żeby złagodzić ból głowy i doprowadzić swój organizm do stanu równowagi.

Idę do telefonu i dzwonię do pracy Charlesa. - Poproszę z Jessicą Lawrence. Aha, a kiedy będzie? To może uzyskam odpowiedź na następujące pytanie: czy była w pracy w poniedziałek, kiedy wydarzył się ten incydent na parkingu? Cholerna bójka, ta, w której brał udział jeden z waszych nauczycieli i mąż Jessiki Lawrence. Proszę zmienić płytę, bo tak się składa, że ja wiem o Jessice Lawrence i Charlesie... Tak, chodzi o tę cholerną bójkę. To jest... mniejsza o to. Zadzwoń jutro. Albo lepiej, może przyjadę z ekipą wiadomości i zobaczymy, czy ktoś w tej szkole potrafi odpowiedzieć na jedno pieprzone pytanie.

Odkładam słuchawkę.

- No - mówi Yvette. - Wygląda na to, że nie mamy po co tam jechać.

- Wygląda na to, że ta dziwka już tam nie pracuje.

- Wylana?

- Tego mi nie powiedzą. - Skubię swoje dredy.

- To co chcesz teraz zrobić?

Wzruszam ramionami.

Wkładam baterię do swojej komórki, włączam ją, wbijam PIN; zaczyna brzęczeć i śpiewać jak oszalała. Mam dziesięć wiadomości od swojego męża. Kilka długich, kilka krótkich, wszystkie w beznadziejnym, rozpaczliwym tonie. Przeprasza, martwi się, błaga, żebym zadzwoniła albo wróciła do domu, albo przynajmniej się z nim spotkała, żebyśmy mogli pogadać. Prosi, żebym o naszych problemach nikomu nie mówiła, zwłaszcza naszym rodzinom. Boi się, żeby to nie

splamiło jego reputacji. Wszystko to plus zwykły strach mężczyzny, że jego kobieta popełni takie same grzechy jak on. Strach, który powoduje, że facet nie może zmrużyć oka i przewraca się z boku na bok od zmierzchu do świtu. Charles wie, że cokolwiek zrobię, on nie ma nic do powiedzenia.

Dwie wiadomości są od Davida Lawrence'a. Mówi, że rozmawialiśmy w nocy. Przeprasza. I prosi, żebym zadzwoniła, jeśli cokolwiek może dla mnie zrobić. Słowem nie wspomina o swojej żonie. W pierwszej chwili niczego nie pamiętam, potem wszystko wraca, wyłania się jak z mgły - stukanie, widok kochanków, telefony - wszystko znów jest rozmyte i przysłonięte chmurami.

- Jakim cudem znalazłam się na sofie? - pytam.

- TJ cię przeniósł.

- O Boże. Nigdy nie będę w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Piegusie, nie masz pojęcia, jak nas wystraszyłaś. Próbowaliśmy z tobą gadać, mierzyliśmy ci puls, polewaliśmy wodą twarz. Myślałam, że mi wykręciłaś numer à la Billie Holiday.

- Zasyfiłam łazienkę?

- Nie ma sprawy. Posprzątaaliśmy.

Opowiada, że mnie rozebrała, oporządziła jak niemowlę.

- Jak było na orgietce?

Mówi, że spędzili tam godzinę. Pytam, co widziała tym razem. Opowiada o białej Francuzce i jej afroamerykańskim chłopaku, którzy odstawili przedstawienie dla jakiejś trzydziestki podglądaczy. I o tej samej dziewczynie, o której mi już mówiła, tej, która dogodziła oralnie całemu tłumowi facetów, a potem z wieloma innymi bzykała się na środku pokoju. Ona też tam była i robiła to samo co poprzednio.

- Było w niej coś... smutnego.

- Co?

- Nie wiem. Po prostu... smutnego.

Idę do łazienki, szoruję się pod prysznicem najporządniej, jak mogę, i wracam do pokoju w majtkach i w T-shircie.

- Potrzebny jest mi ołówek i papier.

- Po jakiego diabła?

- Chce zrobić listę zakupów dla Charlesa.

Yvette daje mi coś do pisania i wychodzi do siłowni Billy'ego Blanksa na trening tae bo. Wraca, kiedy słońce stoi w zenicie. Tryskająca energią, zjada burrito z Baja Grill, i chce mnie zabrać na terapeutyczny wypad do sklepów z butami w Galerii Glendale, a potem może na przejażdżkę rowerową po Venice Beach, żebym trochę się wyluzowała, ale ja ledwie mogę przejść

przez pokój, więc nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie. Chcąc nie chcąc, muszę jechać do domu. Nie jestem niczemu winna, więc nie będę uciekać ani się ukrywać. Poza tym potrzebuję środka transportu. W Los Angeles własny środek transportu jest pierwszym krokiem do wolności.

- Doprawdy, musisz pogadać z Jessicą - mówi Yvette, wioząc mnie do domu.

Wyjmuję kartkę, na której zapisywałam rano swoje przemyślenia, i dodaję to do listy.

- Znajdę ją. I sobie pogadamy.

Jesteśmy na autostradzie Freeway, kierujemy się w stronę centrum; jak zwykle w porze lunchu miasto jest tak zapchane, że chyba nie przekraczamy piętnastu kilometrów na godzinę.

- Załatwimy to w tradycyjnym stylu - mówi Yvette. - Dopadniemy ją i wlejemy trochę bojaźni bożej w jej serce.

- Opuść szyby. Duszno mi.

- Rzucisz Charlesa? - pyta po chwili. Ta myśl draży mi dziurę w żołądku.

- Uważasz, że powinnam?

- Twój ruch. On złamał kontrakt. Ale dobrze się nad tym zastanów. To nie to samo co w luźnym układzie. Tu nie ma łatwego wyjścia. Jeśli to zrobisz, przygotuj się na spore komplikacje finansowe.

- Mam przesrane.

- Mnie z tamtych dwóch lat kontraktowej niewoli zostało przynajmniej mieszkanie w Georgii.

Mówi prawdę, i ta prawda boli.

- Nie obchodzi mnie, czy stoję przed Bogiem, Buddą czy Oprah. Kiedy jedna strona nie dotrzymuje umowy, układ jest otwarty. Nauczyłam się być tylko na tyle wierna, na ile wierny jest facet, z którym się zadaję.

- Ty w ogóle nie jesteś wierna.

- Wysoki sędzie, nie mam nic do dodania. Czasem trzeba wyprzedzić tych skurwieli na starcie.

- Teraz to już mnie naprawdę podbudowałaś.

- Po prostu mówię, jak jest. A taka właśnie jest rzeczywistość.

Mój mustang jest zaparkowany po drugiej stronie ulicy, tuż przed skwerem, który oddziela duże domy od małych. Nasz podjazd blokuje biała furgonetka z żółtawozielonym logo: WARSZTAT SAMOCHODOWY O'CALLAGHANA. Latynos w dżinsach i zielonej firmowej koszuli z wielką koniczynką na plecach naprawia szkody w garażu. Drzwi są wyjęte, z boku leżą wymontowane uszkodzone części. Nieźle załatwiłam tę blachę.

Yvette parkuje za moim poturbowanym samochodem. Aż mnie skręca, kiedy obchodzimy go dokoła, obie zaciskamy usta, drepcząc w tym samym kierunku i kręcąc głowami. Przedni zderzak jest wyrwany. Maskę wgniecioną w miejscu, w którym spadł na nią rower. Śliczny niebieski lakier porysowany jak diabli. Tylny zderzak nie wytrzymał huknięcia w drzwi garażu. Bagażnik porysowany jak cała reszta.

Yvette pyta, czy ma ze mną wejść do środka, ale nie potrzebuję jej w roli Samuela Jacksona z *Pulp Fiction*. Mówię, że zadzwonię do niej później. Dopóki przy domu kręci się mechanik, nie jestem narażona na konfrontację z Charlesem. On jest dobry w zachowywaniu pozorów i nie będzie szalał w obecności sąsiadów ani żadnych obcych ludzi. Sugeruję jednak swojej przyjaciółce, że być może znów wyląduję u niej na noc, zależy, jak się potoczą sprawy w moim domu kłamstwa.

Dostaję zapasowy klucz. Robi mi się cieplej na sercu i kocham ją za to jeszcze bardziej.

Ściskamy się, całujemy w policzki. Yvette odjeżdża.

Samochód Charlesa stoi po tej samej stronie ulicy. Ani jednej rysy.

Żadnego wgniecenia. Nienaruszony. Przed wejściem do domu spoglądam jeszcze raz na swój. Załatwiłam moje klasyczne чудо.

Charles wychodzi na zewnątrz, kiedy przechodzę przez ulicę. Przystaję i patrzę na niego, jakby był intruzem w moim domu. Wraca do pokoju dziennego i czeka, aż wejdę do środka i zamknę drzwi.

- Kiedy wracasz do pracy? - pytam.

To jest pytanie o wiele rzeczy, o jego pracę, o jego widywanie się z Jessicą, o milion różnych spraw. Ma podpuchnięte oczy, jedno i drugie. Przydałby mu się prysznic. Jego włosy są bez połysku.

Stoimy i patrzymy na siebie. Każdego innego dnia byłyby uściski i pocałunki.

Wczoraj oddałabym za niego życie. Mogłabym dla niego zabić. Byłabym jak Bonnie dla Clyde'a, choćby nie wiem co zrobił.

Charles wymawia moje imię, a ja omijam go łukiem. Idę na górę, przebieram się w długą czarną spódnicę i dzinsową koszulę z długimi rękawami, potem idę do faksu, który może służyć za kopiarkę. Staram się poruszać, jakbym nie miała kaca, i całkiem dobrze mi to wychodzi mimo dzięcioła w głowie. Robię dwie kopie kartki, którą zapisywałam przez cały ranek, i wracam na dół. Charles rozmawia w progu z mechanikiem samochodowym. Zaśmiewa się z tym obcym człowiekiem, jak gdyby w naszych czterech ścianach nie działo się nic złego. Drażni mnie to udawanie. Kiedy wkraczam w ich męskie śmichy-chichy, mechanik patrzy na mnie jak na babę, która nie ma pojęcia o prowadzeniu samochodu. Zupełnie mi nie do śmiechu. On daje za wygraną,

przestaje chichotać. Mało brakuje, żeby dostał opieprz. Proszę Charlesa, żeby wszedł do środka, bo chcę zamienić z nim kilka słów.

- Rozmawiałeś z Jessicą? - pytam.

- Nie. To skończone.

- Jesteś pewien?

- Skończona sprawa.

Charles idzie za mną do kuchni. Siadam na stołku barowym. On robi to samo.

- Z tego, co mi nagrałeś na sekretarkę, wynikało, że jesteś gotów o tym rozmawiać.

- Nie masz pojęcia, jak się paskudnie czuję. - Pociera włosy, bawi się loczkami i falami, potem poprawia dresy. - Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że strasznie żałuję i że to całkiem skończone.

- Nie tak szybko - przerywam mu gwałtownym gestem. - Ja wszystko przemyślałam. Wiesz, co musimy zrobić, żeby z tego wybrnąć?

W oczach ma tyle miłości do mnie. Miłości i strachu. Pod pokładami gniewu i rozczarowania, czuję to samo. Nie jestem na to gotowa, ale muszę przekonać samą siebie. Wiem, jak to się zwykle toczy. Pamiętam, jak takie historie przydarzały się znajomym, widziałam tylu ludzi w pracy, którzy wpadali w rozpacz, gdy w ich związkach źle się działo, po prostu nigdy nie myślałam, że to samo spotka mnie.

- Będę z tobą szczerą - mówię. - Jestem strasznie zawiedziona.

- Wiem.

- I przerażona.

Nie chcę, żeby to wypadło obrzydliwie. Szukam właściwego podejścia. Zaczynam od rzeczy dobrych, mówię, za co go podziwiam i szanuję. Jest nauczycielem. Wychowawcą. Należy do tej przepracowanej i źle opłacanej grupy społecznej, która pomaga innym dorosnąć i uniknąć losu przepracowanych i źle opłacanych. Nawet się śmieję i przypominam mu, jak żartowaliśmy sobie kiedyś, że to nauczyciele hodują wszystkich ludzi sukcesu na całym świecie i powinni być traktowani jak agenci. Jeśli jakiś uczeń zbija majątek, nauczyciel dostaje procent. Nie mam na myśli średnio bogatych; mówię o takich bogaczach jak Michael Jordan czy Donald Trump. Zawsze się z tego zgodnie śmialiśmy. Robimy to teraz. W tym momencie jest okej. Tamto jest gdzieś za nami i na razie jest okej.

- Ci z nas - mówi Charles - którzy wyrosli w nędzy, zawsze będą wierzyć w teorię, że jak zrobimy bogatych bogatszymi, to biednym więcej skapnie.

- Dopóki nie wzbogacimy się za bardzo. Wtedy każdy dba już tylko o własną skórę.

To taki nasz stary żart.

- Pierwszy raz żartowaliśmy z tego na Florydzie - mówi.

- Tak, kiedy uciekliśmy do Clearwater.

W tej chwili wiele bym dała, żebyśmy znów tam byli, w Clearwater Beach na Florydzie, w kurorcie Holiday Inn Sunspree na Gulfview, w tym samym pokoju z widokiem na białą plażę i zatokę Tampa. Mieliśmy pokój na dziewiątym piętrze i kochaliśmy się na balkonie po północy, zaczynając dziesięć minut po wejściu do pokoju. Akompaniowały nam fale oceanu i mewy. Pamiętam, jak zastanawialiśmy się w żartach, co by było, gdybyśmy w przesadnym uniesieniu nadwerężyli balustradę i polecieeli przez drzewa palmowe w dół, szczytując i wrzeszcząc. Dzień później kochaliśmy się w oceanie, z księżycem nad głowami, chłostani od tyłu przez fale. Wtedy byliśmy sobą świeżo zauroczeni. On miał w szkole letnie wakacje, ja byłam na urlopie.

Charles chichocze.

- I dostałaś ten mandat za przekroczenie szybkości w Valdosta. Miałaś pianę na ustach.

- To miasto było pułapką dla kierowców. - Kręcę głową, skubię skórki przy paznokciach. - I ta wielka flaga konfederacka, która przywitała nas, jak tylko wjechaliśmy do Georgii...

- To cię wyprowadziło z równowagi na następne dwie godziny.

- Ciebie też poniosło. Zafundowałeś mi historyczny wykładzik o kraju niewolnictwa, a potem przejechałeś się po „wieśniakach z kraju królowej nabiału”*, którzy mają czelność afiszować się takimi pamiątkami.

- Na całej międzystanowej I-75 mijaliśmy królowe nabiału, motele Super-8 i domy na kółkach.

- I gofrodajnie**.

* Dairy Queen (królowa nabiału) - sieć fast foodów, która począwszy od roku 1940 rozwijała się głównie w wiejskich regionach USA.

** Waffle Houses (ang. *waffle* znaczy gofr, a także wodolejstwo) - sieć restauracji typu fast food, symboliczna dla współczesnej kultury Południa USA.

Chichoczemy teraz oboje i niemal słyszę nasz śmiech z tamtych dni.

W ciągu trzech tygodni zwiedziliśmy Miami i Tampa, potem ruszyliśmy na północ i kilka dni spędziliśmy u znajomych w Atlancie, a później autostradą I-85 pojechaliśmy do Karoliny Północnej, żeby zobaczyć się z moją rodziną. A z Cakalaki wpadliśmy do Luizjany, żeby spotkać się z jego rodziną. Charles pamięta to samo. Wiem, bo jego orzechowe oczy są rozpromienione i wygląda jak mały chłopiec. Prawie się uśmiechamy do tych wspomnień, prawie się śmiejemy jak wtedy, prawie zostawiamy ten żalony incydent za sobą.

Ale nie możemy. To nie jest takie proste.

Patrzę na podbite oko Charlesa; widzę, co zrobił David Lawrence. Wspomnienia i śmiech gasną. Staję się bardziej skupiona.

- To... to jest... Nasza rozmowa jest nie na miejscu - mówię.

On się kołysze i nie pomaga w przeniesieniu się z wtedy do teraz.

- Jak mogłeś pieprzyć się z kimś innym? - pytam łamiącym się głosem.

- To... to po prostu się stało.

- Powiedz, dlaczego się stało.

- O nic w tym nie chodziło.

Biorę głęboki oddech, otwieram i zaciskam dłonie, żeby złagodzić napięcie, po czym przypominam mu o swoich relacjach z ojcem. Oczekiwałam, że mój mąż będzie dla mnie lepszym facetem, ale w końcu okazał się tylko facetem. Opowiadam, jak bardzo się starałam budować silny związek, jak robiłam wszystko, co mogłam, żeby czuł się dobrze, jak szłam na ustępstwa, byle tylko on był szczęśliwy. Nie chcę, żeby z moich słów było rozgoryczenie, ale tak jest, i wreszcie przestaję tłumić w sobie, co czuję. Uwalniam spod powiek tych kilka łez, które mi zostały, i pozwalam, żeby spadły na bufet. Charles słucha i wierci się na stołku, kiedy mówię o kosztach rozwodu; muszę poruszyć ten temat. Rozwód nie jest tani, i nie chodzi tylko o koszty emocjonalne. Jedno z nas musiałoby się wyprowadzić; ktoś musiałby pożyczyć co najmniej pięćdziesiąt tysięcy, żeby spłacić połowę domu i sfinansować adwokatów. Jest też możliwość zasądzenia alimentów i inne rzeczy, które mogą mieć dramatyczne konsekwencje dla czyjejś sytuacji bytowej, a ja w tej chwili nie jestem przygotowana na całą tę szarpaninę. Wiem, że przy swojej nauczycielskiej pensji Charles nie zdobędzie pięćdziesięciu kawałków na to, żeby mnie spłacić. A ja nie dam mu aż tyle po to, żeby mógł mieć wolną rękę i zabawiać się ze swoją panią.

- Widzisz, co nam zrobiłeś? - mówię.

- Nie musimy iść tą drogą.

- Całe to pobojo-wisko w garażu jest tym samym, co czuję w środku.

- Chcesz ode mnie odejść? O to w tym wszystkim chodzi?

- Zanim do tego dojdzie, musimy spróbować rozwiązać to między sobą.

- Terapia małżeńska?

- Nie. Na razie nie. Jeśli chcesz zrobić pierwszy krok, wypisałam sobie rzeczy, które muszę wiedzieć. Muszę to wiedzieć, zanim zgłosimy się do psychologa, porozmawiamy z pastorem czy zrobimy cokolwiek, co zwykle robią ludzie, kiedy wdepną w takie gówno. To jest moja lista pytań.

- Lista pytań? - Patrzy na mnie, jakbym postradała rozum. - Zrobiłaś listę?

Kiwam głową i przesuвам kartkę na jego stronę bufetu. Kiedy, nie dotykając mnie, Charles podnosi kartkę, nie odrywam oczu od jego obrączki. Potem przenoszę wzrok na swoją obrączkę, dotykam drugą ręką metalu, przekręcam kółko na palcu, gdy on w milczeniu czyta.

Podnosi głowę po kilku liniijkach i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Dziennikarska robota.

- Jestem dziennikarką, nie da się ukryć. I to jest lepsze niż bycie dupkiem.

Właśnie tę listę zaczęłam robić dziś rano, kiedy Yvette wyszła na taę bo.

- Żeby poradzić sobie z zamętem w głowie, potrzebuję wyczerpującej odpowiedzi na każde pytanie.

- Na wszystkie te pytania?

- I chcę dostać te odpowiedzi w dwóch formach. Pierwsza nie podlega negocjacji, chodzi o odpowiedzi napisane odręcznie. I chciałabym mieć kopię na dyskietce, najchętniej w edytorze Microsoft Word. To druga forma.

- Mówisz poważnie?

- Tak jest, panie psorze. Jeśli traktujesz to małżeństwo poważnie, masz do odrobienia pracę domową. Chcę odpowiedzi napisanych twoją ręką, żebyś nie mógł ich później przekreślić. Nie będziesz mógł powiedzieć, że się przesłyszałam albo że coś źle zrozumiałam. Potrzebuję faktów.

- Możemy porozmawiać. Mogę ci po prostu powiedzieć.

- Nie, chcę mieć wszystko na piśmie. Po to, żebym w stosownym czasie, gdy dojdziemy do punktu dwudziestego pierwszego, mogła mieć przy sobie kopię i wręczyć ją każdemu uczestnikowi spotkania. Tę samego chcę od Jessiki.

- Mówisz poważnie?

- Potem chcę z nią porozmawiać jak kobieta z kobietą. I poznać jej męża.

- Żartujesz, prawda?

- Ponieważ strasznie bazgrzę, pozwól, że ci to przeczytam, żeby było na pewno wiadomo, o co chodzi.

Chociaż mówi, że czytanie listy nie jest konieczne, i tak mu czytam. Muszę to wszystko powiedzieć głośno. On musi tego wysłuchać. Musi usłyszeć, jak bardzo mnie boli konieczność zadania takich pytań. Musi usłyszeć. To jest nasza rzeczywistość i ja jej stawiam czoło.

1. Czy ona wiedziała, że jesteś żonaty?

2. Czy ty wiedziałeś, że ona jest mężatką?

3. Czy ja ją znam? Czy kiedykolwiek ją gdzieś spotkałam, choćby przelotnie?

4. Jak długo to trwa? Podaj mi datę początkową. Gdzie to się po raz pierwszy wydarzyło i kiedy. Ostatni raz. Twierdzisz, że to nie było nic poważnego, ale jej mąż jest innego zdania, więc muszę wiedzieć, czy licznik pieprzenia na boku się zawiesił. Spróbuj obliczyć, ile razy z nią byłeś.

5. Gdzie się spotykaliście w celach seksualnych? Podaj mi geograficzne namiary. Miasta, hotele, domy, mieszkania, parki, samochody, wszystko to ma być uwzględnione.

6. Czy za KAŻDYM razem używałeś prezerwatywy? (Jeśli tak, czy kiedykolwiek pękła albo się ześliznęła? Jeśli nie, jak możesz to wytłumaczyć?).

7. Czy KIEDYKOLWIEK dogadzałeś jej oralnie?

8. Czy ona robiła ci laskę?

9. Czy powiedziałeś jej kiedyś, że ją kochasz?

10. Czy powiedziałeś jej kiedyś, że mnie nie kochasz?

11. Czy rozmawiałeś z nią o naszym seksie?

12. Czy po seksie ją przytulałeś?

13. Kto jeszcze wie? Ilu innych ludzi? Podaj imiona i nazwiska. Zaprzyjaźnionych i niezaprzyjaźnionych. Znajomi z pracy liczą się jako niezaprzyjaźnieni.

14. Jak często się spotykaliście? Przybliżone daty.

15. Czy umawialiście się na randki? (Odpowiedź jest oczywista). Dokąd chodziliście? Słowo RANDKA obejmuje sytuacje, w których każde z was jechało własnym samochodem ORAZ podróżowanie tym samym samolotem, pociągiem czy autem, i nie ma znaczenia, czy dzieliliście się kosztami, czy też rachunek płaciło jedno z was. To nie musi być wytworna kolacja w EuroChow* czy dyskretna schadzka w TGIF**, liczy się spacer po plaży, w centrum handlowym na Crenshaw, czas spędzony na rozmowie.

16. Czy pieprzyłeś się z nią w te same dni, kiedy kochałeś się ze mną?

17. Czy kochałeś się ze mną w te same dni, kiedy wychodziłeś, żeby pieprzyć się z nią? Wiem, że to brzmi jak powtórzenie pytania 16, ale wierz mi, dla mnie to co innego.

18. Czy planowałeś kiedyś, że porzucisz mnie dla niej?

19. Czy kiedykolwiek chciałeś, żeby ona pragnęła cię w ten sposób, żeby mieć cię tylko dla siebie?

20. Co ja robiłam źle? Albo czego nie robiłam?

* Luksusowa snobistyczna restauracja w Westwood Village.

** Sieć restauracji o nazwie, która jest skrótem *Thank God It's Friday* - dzięki Bogu już piątek.

21. Ponieważ zaufanie nie jest już elementem stałym w naszym związku (twoja wina, nie moja), musimy znaleźć sposób na zweryfikowanie twoich odpowiedzi. Aby zweryfikować wszystkie twoje odpowiedzi, zrobimy rzecz następującą: zaaranżujemy spotkanie z Davidem i Jessicą Lawrence'ami, nie przez telefon, lecz twarzą w twarz, jak przystoi dojrzałym ludziom, w jakimś neutralnym miejscu, miejscu publicznym, gdzie będziemy mogli sprawdzić dowody tożsamości (prawo jazdy albo paszport) i upewnić się, że każdy jest tym, za kogo się podaje, po to, żeby móc usiąść, omówić wszystko dokładnie i zobaczyć, na czym stoimy. Podzielimy się rachunkiem pół na pół.

22. Pytania 22-25 czekają na sformułowanie. Nie martw się, kiedy przejdzie mi ból głowy, pomyślę, o co spytać Jessicę, kiedy spotkamy się osobiście.

- To jest chore - mówi Charles.

- Daję ci szansę na to, żebyś był ze mną szczery.

- Już ci powiedziałem.

- Gównu mi powiedziałaś! - wybucham. Opuszcza głowę, pociera skronie.

- Jessica jest mi winna choć tyle. Ty jesteś winien to samo mężowi Jessiki.

Kiwa się i stęka.

- Zrozum to, Charles. Wybór zawsze stanowi de facto rezygnację z czegoś innego. Nie skupiaj się nad tym, czego chcesz; skup się na tym, czego nie chcesz. Ode mnie. Od tego małżeństwa. Ja muszę zrobić to samo, ale to trudne, dopóki nie mam całej wiedzy. Muszę zrozumieć twój związek z nią, co było nie tak między nami, żeby ocenić, czy jest to coś, co się powtórzy, być może nie z nią, ale z jakąś inną kobietą.

- Powiedziałem, że o nic w tym tak naprawdę nie chodzi, że to skończone, cholera jasna.

- I ja mam to przyjąć do wiadomości, tak po prostu? To mnie przeraża. Nie mam zamiaru się miotać w poczuciu zagrożenia. Moje małżeństwo ma być oazą spokoju, nie piekłem pełnym pieprzonych zmartwień, a mój mąż ma być moim przyjacielem, nie moim pieprzonym wrogiem. Wybierz, kim chcesz być.

Łapię torebkę i idę do drzwi. Charles rzuca się za mną.

- Dokąd idziesz?

Odwracam się i patrzę na niego. Wyraz mojej twarzy budzi w nim przerażenie.

- Odpowiedz na te pytania, Charles, albo będziesz zostawioną na słońcu fotografią.

Kiedy opuszczam swoje uporządkowane osiedle, w radiu lecą wiadomości całodobowej stacji informacyjnej. Zatrzymuję się na parkingu przy restauracji Coco's i próbuję się pozbierać, zanim zadzwonię. On swoje wie. Musi wiedzieć. A ja muszę wiedzieć, co on wie. Zgadza się porozmawiać. Proponuje miejsce. Wjeżdżam na dziewięćdziesiątą pierwszą przy Central, pruję pięć kilometrów na zachód, do końca autostrady, która przechodzi w Artesia Boulevard, potem skręcam i jadę na północ Vermont Avenue w kierunku miasta Gardena.

Dziękuję mi nie opuszcza, teraz wydziobuje mi w głowie kunsztowną biblioteczkę.

Chcę zawrócić, ale gniew, zazdrość i ciekawość niosą mnie dziesięć minut jazdy od domu. To jest stare miasto, z samymi starymi domami i szpalerami palm wzdłuż ulic, bez żadnych drapaczy chmur. Miasto, które na planie filmowym mogłoby uchodzić za kalifornijski zakątek z lat pięćdziesiątych XX wieku. Gardena Boulevard wygląda na główny trakt w okolicy. Latynosi. Azjaci. To ludzie, których widzę spacerujących aleją, jadących koło mnie. Pełno tu aptek, salonów pielęgnacji dłoni, knajpek i wszelkiego rodzaju małych rodzinnych zakładzików, wszystko przy bocznych ulicach, niewidoczne dla reszty świata.

Dzwoni moja komórka. Odbieram bez zastanowienia i natychmiast tego żałuję. To Tyra Tyranka, mój wrzód na dupie. Dźwięk jej głosu przyprawia mnie o jeszcze większy ból głowy; ciśnienie tak mi skacze, że muszę się wycofać z ruchu i zjechać na bok.

Wypuszczam z płuc powietrze.

- O co chodzi, Tyra?

Swoim podminowanym tonem, z rzeczową intonacją mówi, że jakiś producent ma nagłą śmierć w rodzinie - przeklina go jak diabli za tę niedogodność - i musiał polecieć na jakieś zadupie koło Gainesville na Florydzie. Inny producent zawiadomił, że się rozchorował, w ten piękny dzień wprost stworzony do jazdy na rolkach wzdłuż plaży, a że wszyscy inni są poza zasięgiem, mam zjawić się w firmie najszybciej, jak to możliwe.

- Kurwa. - Walę głową w kierownicę. - Mam kryzys.

- Wszyscy mamy jakiś kryzys. Co za kryzys?

- Ja i mój mąż... To sprawa osobista.

- Czy on umiera?

- A to by coś zmieniało?

- Tylko wtedy, gdyby potrzebował operacji, a ty byłabyś jedynym chirurgiem w mieście.

Jest strzelanina w jakiejś szkole w hrabstwie Orange. Szaleńczy pościg kieruje się na południe z Bakersfield. Tragiczna strzelanina w pracowni dentystycznej na rogu Ball Road i Gilbert. Napad zbrojny. Samochód zderza się z autobusem szkolnym w Compton. Osaczony włamywacz ginie w San Gabriel. Ujawniono nazwisko kolejnego katolickiego księdza, który molestował dzieci.

- Jestem umówiona...

- Skończ z tymi pieprzonymi wymówkami, bierz dupę w troki i natychmiast przyjeżdżaj do roboty.

- Tyra, nie mogę... Mój mąż...

- Rusz dupę i przyjeżdżaj albo możesz tu w ogóle nie wracać. Kończy dyskusję, twardo i zdecydowanie.

Wciskam się swoim poturbowanym Błękitkiem z powrotem do ruchu.

Delikatesy i piekarnia Giuliano's* pojawiają się po mojej lewej stronie, tuż przed Normandie Avenue, naprzeciwko Nowoczesna Kobieta

* W amerykańskich *delikatessen*, w skrócie *deli*, kupuje się głównie świeże dania na wynos, indywidualnie komponowane kanapki, sałatki itp., ale także gotowe produkty i napoje, z winem i piwem włącznie. To coś pomiędzy delikatesowym fast foodem a sklepem spożywczym.

Włosy Pielęgnacja Dłonie Butik Upominki. Tak głosi fioletoworóżowy szyld na zdobionej sztukaterią ścianie; wszystkie te słowa wypisano w jednym rzędzie, bez żadnych przecinków ani spójników.

Strasznie tu tłoczno, po jednym paśmie ruchu w każdym kierunku i bezpłatne parkowanie w zatokach postojowych, których jest niewiele. Większość miejsc parkingowych jest zajęta, więc objeżdżam kwartał i wracam, gdy właśnie ktoś się wycofuje z miejsca po drugiej stronie ulicy, przed Centrum Kopiowania Andrews. W słowie „Andrews” brak apostrofu wskazującego na przynależność do kogoś. W tym mieście musieli wydać jakieś rozporządzenie przeciwko znakom interpunkcyjnym. Parkuję, przebiegam przez ulicę i kręcę się przed wejściem do Giuliano's. Chodnik ułożony z równiutkich kwadratowych płyt przywołuje wspomnienia i sprawia, że chętnie bym wzięła kredę i zagrała w klasy.

Albo przykucnęła z gumową piłeczką i torebką jacków i sprawdziła, czy uda mi się dojść do ósmej rundy*.

Siwowłosi mężczyźni jedzą na zewnątrz grube sandwicze i testują działanie poli-gripu**, a załoga strażaków obżera się przy zielonych barowych stołach przed wejściem do Giuliano's.

* Popularna kiedyś gra zwana *jacks*, przypominająca nasze ciupy (hacele, kamyki), polegająca na tym, że trzeba odbić od podłogi gumową piłeczkę, podnieść jedną lub więcej metalowych kostek zwanych *Jackami* (lub innych małych przedmiotów) i złapać w locie spadającą piłeczkę. W ósmej rundzie trzeba zebrać z podłogi osiem kostek na raz.

** Poli-grip - krem mocujący protezy zębowe.

Nie widzę nikogo, kto mógłby być Davidem Lawrence'em. Przez następne dziesięć minut patrzę co minutę na zegarek. Czekam, czując się jak idiotka. Ale muszę się dowiedzieć, co on wie, muszę się dowiedzieć rzeczy, o których nikt inny nie może mi powiedzieć. Dlatego, choćby się wszystko w tym mieście waliło i paliło, muszę czekać, dopóki nie dojdę do wniosku, że on nie przyjedzie się ze mną spotkać w umówionym miejscu.

Znów dzwoni komórka. To praca. Nie odbieram.

Dzwonią niepasujące do pory roku bożonarodzeniowe dzwoneczki przy szklanych drzwiach, gdy wchodzę do apteki - miejsca jak z *Mayberry** - i za ćwierć dolara kupuję w automacie gumę do żucia marki Chiclets. Moje odbicie w lustrze pokazuje, że wyglądam koszmarnie. Zerkam przez szybę na zewnątrz. Nie ma tam nikogo, kto by odpowiadał mojemu wyobrażeniu na temat Davida Lawrence'a. Staram się zachować spokój, oglądając różne błyskotki i miniaturowe pluszowe misie, rzeczy, które wywołują mój uśmiech i przypominają czasy, kiedy życie było takie proste. Przed wyjściem kupuję okulary przeciwsłoneczne, żeby zakryć podpuchnięte oczy.

* Fikcyjne miasteczko w Karolinie Północnej z serialu telewizyjnego *The Andy Griffith Show*, wyświetlanego w latach 1960-1968. *Mayberry* jest symbolem zarówno dobrych, jak i złych stron życia w małym prowincjonalnym miasteczku.

Dzwoni komórka. Znów moja praca. Zaczynam przeklinać i ruszam do samochodu.

Jestem przy drzwiach Błękitka, kiedy nadjeżdża mercedes, dwuosobowy, z otwartym sztywnym dachem, w wykwintnym sepiowym kolorze lśnią chromowane wykończenia i zderzaki. Kierowca jest w okularach przeciwsłonecznych z żółtymi prostokątnymi szklami, ma ciemnobrązowe afro, krótkie nastroszone włosy, które wyglądają dziko i trendy. Muzyka toruje mu drogę. Spodziewam się usłyszeć z jego głośników Lenny'ego Kravitz'a albo Maxwella, ale on przemierza Gardenę w nastroju country. To ten jakiś Tim McGraw, facet śpiewający o tym, że

cowboy, który w nim siedzi, każe mu robić różne rzeczy. Kierowca spogląda w lewo na delikatesy, potem spostrzega mnie, zwalnia, zatrzymuje się za moim samochodem.

Nawiązujemy kontakt wzrokowy.

Wykonuje subtelny gest głową, a ja potwierdzam skinieniem, że jesteśmy tym dwojgiem głupców, zdradzonymi istotami szukającymi prawdy. Parkuje w wolnym miejscu koło mojego mustanga.

David Lawrence zdejmuje okulary, wysiada i staje przy swoim samochodzie. Jest w brązowych skórzanych sandałach, białym T-shircie zaplamionym jakimiś smarami i farbami, tak samo jak jego dżinsy. Wygląda jak człowiek zagubiony w dzikiej krainie bezsenności. Jego powieki są workami napelnionymi łękiem.

Zerka pytająco na moje autko.

- Sześćdziesiąty czwarty?

- I pół.

- W college'u jeździłem mustangiem z sześćdziesiątego szóstego.

- Co się z nim stało?

- Sprzedałem go, żeby starczyło na książki i chesne.

- A twój wóz jest z którego roku?

- Z sześćdziesiątego czwartego.

- Nie wygląda tak staro.

- Mercedesy nie zmieniają się tak szybko.

- To 350SL?

- Nie, 250SL.

- Utrzymujesz go w świetnym stanie.

- Wydałem osiemnaście tysięcy na remont.

- Musisz mieć dobrego mechanika.

- Większość rzeczy zrobiłem sam.

Pyta o silnik mojego samochodu, wyposażenie, a ja o wszystko, co dotyczy jego mercedesa. Dziwne, ale przez pięć minut stoimy na bulwarze Gardena, w pełnym słońcu, pod palmami, unikając nawzajem swojego wzroku, tylko patrząc z wzajemnym zachwytem na swoje auta. David Lawrence obchodzi mnie, dotyka Błękitka, zauważa rysy na masce, wgniecenia w obu zderzakach i ani słowem tego nie komentuje, po prostu zakłada, że w takim stanie jest od zawsze.

- Jadłaś coś dzisiaj? - pyta.

- Nic a nic. Miałam ciężką noc. Przewraca mi się w żołądku.

- Zjedz coś.

Kręcę głową.

- Poza tym muszę jechać do pracy.

- To będę się streszczał.

Bierze z tylnego siedzenia sfatygowaną czarną skórzaną kurtkę, wkłada ją, próbuje się zakryć, potem przeczesuje palcami czuprynę z widocznym zamiarem poprawienia swojej prezencji.

Wskazuje gestem głowy kierunek i razem przechodzimy przez ulicę do Giuliano's.

- Wczoraj wieczorem byłeś w paskudnym nastroju - mówi.

- W ogóle nie pamiętam, że z tobą rozmawiałam.

Uśmiecha się blado. Ma szerokie kości policzkowe. Przeciętnego wzrostu, ze swoją posturą i rysami twarzy jest niebezpiecznie przystojnym facetem. Wyobrażałam go sobie jako otyłego słabeusza albo chudego słabeusza, kombinację wszelkich możliwych cech z piętnem słabości. Tymczasem David Lawrence to piękny mężczyzna, który zachwyca męską surową urodą, nie wdziękiem przystojnego lalusia. Jego atrakcyjność może sprawić, że słaba kobieta zapomni połowę z dziesięciu przykazań, utraci rozsądek i wrażliwość.

Chcę go zapytać, gdzie mieszka, gdzie mieszka Jessica, ale nie pytam. Patrząc na niego i wyobrażam sobie, że ona dorównuje mu urodą, że pasują do siebie jak Tracy Edmonds i Babyface albo Halle Berry i Eric Benet, Chante Moore i Kenny Lattimore, że jest ode mnie ładniejsza. Znów wyobrażam sobie jego żonę, myślę o tym, że codziennie leciała na każde skinienie mojego męża, gdy mnie przy nim nie było.

On wygląda bardziej na kochanka niż wojownika, ale to facet, który skopał tyłek mojemu mężowi, zostawił go z podbitym okiem i zranionym ego. Wzgardzony kochanek, który w napadzie obłędu gotów był zastrzelić mojego męża na szkolnym podwórku. Powinam się go bać. Boję się, w pewnym sensie. Jego mowa ciała, sposób, w jaki zwiesza głowę, ciężkie wydechy, pochrząkiwanie, wszystko to mi mówi, że jest przygnębiony i zrozpaczony i że bardziej się boi mnie niż ja jego.

Patrząc na niego z bliska, nie rozumiem, z jakiego powodu jego żona mogła go puścić kantem.

Odziany jest skromnie. Lewisy zaplamione smarem, jakby właśnie w tych dzinsach naprawiał samochody, jeśli to jest to, z czego żyje. Widzę też całą tęczę plam po farbach, jakby to były te same drelichy, w których maluje domy, jeśli to jest to, z czego żyje.

Moja komórka dzwoni bez przerwy. Nie odbieram.

David Lawrence zamawia dla siebie kanapkę z kurczakiem z włoskiego chlebka focaccia. Cały czas bawi się swoją obrączką. Jest zrobiona z tytanu, białego błyszczącego metalu. Trendy.

Moja obrączka jest z platyny. Stara szkoła. Ja też się nią bawię. Nie stoję zbyt blisko Davida Lawrence'a, ale ludzie ciągle się do nas uśmiechają. Z powodu podobieństwa naszych karnacji myślą, że jesteśmy małżeństwem, które wymknęło się na wspólny lunch. Podczas gdy on czeka na swoje zamówienie, idę jeszcze raz do apteki po swój posiłek: krakersy i gazowany napój imbirowy na przystawkę, z tabletkami tums jako główne danie, do tego buteleczka pepto-bismolu* na deser. Siadamy przy zielonym barowym stole. On patrzy, jak połykam tabletki i namawia, żebym wzięła jego rosół z kurczaka. Ma rację. Jestem odwodniona i powinnam spróbować coś zjeść, jeśli mam zamiar funkcjonować przez resztę dnia.

* Tums i pepto-bismol - lekarstwa na zgagę i inne dolegliwości żołądkowe.

Jem jego zupę.

- Skąd pochodzisz? - pytam.

- Z Delaware. - Nie rozwija tematu. - Z jakiej jesteś korporacji studenckiej?

- Skąd wiesz...?

- Twoje kółko do kluczy.

- Aa...

- W pierwszej chwili pomyślałem, że to Zeta Phi Beta.

- Aha. - Mężę zupę. - Tau Beta Sigma.

- Nigdy o takiej nie słyszałem.

- Korporacja muzyczna. Orkiestra dęta.

- Aha. Na czym grasz?

- W orkiestrze? Na saksie.

- Jakim?

- Na wszystkich. Najbardziej lubię altowy.

- Grasz teraz w jakiejś kapeli?

- Nie. Niestety.

- Gdzie studiowałaś?

- W Johnson C. Smith.

- Nigdy nie słyszałem o tym college'u.

- To jest uniwersytet.

Wzrusza ramionami, że niby to żadna różnica.

- W Charlotte. Międzynarodowy Instytut Dźwięku Golden Bulls.

Opowiadam mu, że zaczęłam lekcje muzyki w czwartej klasie. Przez cztery lata uczyłam się gry na skrzypcach. Przymierzałam się do fortepianu w dziesiątej, ale nigdy nie byłam dobra. Za krótkie palce - nie mogłam objąć ośmiu klawiszy. Mówię, że saksofon jest moim przyjacielem. Jeszcze jednym przyjacielem, którego zaniedbuję z powodu pracy.

- W jaki sposób wylądowałaś w wiadomościach? - pyta.

- Studiowałam jako przedmiot dodatkowy dziennikarstwo. - Robię minę, która mówi „Gównno się zdarza”.

On ziewa.

- Z jakiego rodzaju dziennikarstwa miałaś kursy?

- Realizacja telewizyjna. Edytorstwo. Copywriting. Public relations. Mnóstwo rzeczy.

- Lubisz to? Teraz ja ziewam.

- Tragedie chronią mnie przed bezrobociem.

- Codziennie złe wiadomości.

- Tylko złe.

- Może powinnaś zrobić program z dobrymi wiadomościami.

- Dobre wiadomości sprzedają się równie szybko jak butelkowana woda na Titanicu.

- Producentka telewizyjna.

- Aha.

- Brzmi interesująco.

- Trzeba było pójść do radia. Mogłabym puszczać jakąś radosną muzykę.

- Co byś puszczała?

- Jazz. Wyłącznie jazz. - Nie podoba mi się, że ten obcy facet wypytuje o moje życie, więc odwracam role. - A ty gdzie studiowałaś?

- W stanie Delaware. W Dover. Sztuki plastyczne.

- To wyjaśnia te plamy z farby.

- Tak. Pracuję nad obrazem.

- Jakim?

- Olej na płótnie. Żywe barwy. - Pokazuje kolory na swoim ubraniu. - Dużo kraplaka alizarynowego, czerwień kadmowa głęboka, czerwień kadmowa średnia, umbra naturalna i żółta ochra.

- Brzmi... egzotycznie. Co jest na tym obrazie?

- Kontur ciała nagiej kobiety leżącej plecami do mnie.

- Dałeś mu tytuł?

- Nazywam go *Żal: Poranek po*.

Wtedy nasze oczy się spotykają. Widzę w jego oczach odzwierciedlenie własnej ciekawości. Oboje zaciskamy wargi, jakbyśmy się zastanawiali, co nas tu oboje przyniosło. Niewierność naszych współmałżonków jest jedyną wspólną sprawą. Przechodzimy do sedna tej rozmowy.

- Jakies dwa tygodnie temu zabrałem terenówkę swojej żony do myjni.

- Uhm. - Kiwam głową.

- Miała tego dnia urodziny i chciałem wypucować jej samochód. -Żuje swoje jedzenie, przelyka i popija wodą. - Zacząłem wyjmować spod fotela różne rzeczy, żeby mieć pewność, że na podłodze nie ma pieniędzy albo czegoś ważnego.

- Jasne.

- Znalazłem opakowaną prezerwatywę. Tak to się zaczęło.

- Prezerwatywę.

- Zwaliała to na jedną ze swoich kuzynek z Palm Springs.

Sączę swój imbirowy napój. Niełatwo przechodzi mi przez gardło.

- Potem przejrzałem trochę wyciągów z konta, zobaczyłem rachunek za hotel w Rowland Heights, rachunki z restauracji. Były rachunki za kino w dni, kiedy powinna być w pracy.

Urywa, czekając, aż poproszę, żeby powiedział mi więcej. Nie proszę.

- Nie miałam o niczym pojęcia. Aż do twojego telefonu. Śmieje się, ale w jego głosie nie ma cienia radości.

- Po tym, jak znalazłem prezerwatywę, kupiłem w internecie taki program, który pozwolił mi złamać jej hasło, sprawdzić e-maile, dokładnie wszystko.

- Jest taki program?

- Ano jest. Zapisuje wszystko, co jest wystukiwane od momentu włączenia komputera.

- No, no. To jest... Nie jestem entuzjastką naruszania czyjejkolwiek prywatności.

- Bo nie znalazłaś paczuszki z prezerwatywą w samochodzie swojego męża.

- Fakt.

- Czasami gdy wracałem do domu z pracowni, ona siedziała w internecie, i jak tylko wchodziłem do pokoju, albo wyłączała laptopa, albo tylko monitor - wiesz, jak to się robi.

- Zacząłeś coś podejrzewać. Kiwa głową.

- W każdym razie zainstalowałem ten program w niedzielę, przed wyjazdem do Kanady na wystawę plastyczną. Wróciłem w czwartek po południu. Ona była w pracy. Dostałem się do jej poczty. Znalazłem mnóstwo e-maili i komunikatów instant message między Jessicą a Charlesem. W czwartek wieczorem wybuchło piekło.

- Jak długo... czy oni... Od kiedy?

- Ty naprawdę nie masz pojęcia, co?

- Nie. - Wzdycham. - Naprawdę. Ocenia mnie.
- Na pewno chcesz wiedzieć?
- Masz przy sobie te e-maile?
- W pracowni. Możesz je przeczytać, ale musisz być pewna, że chcesz to zrobić.
- Co w nich jest?
- Prawda.

Milknę, opuszczam wzrok i chowam się w zupie z kurczaka.

Znów dzwoni moja komórka. Mam gdzieś tę elektroniczną smycz. W tym momencie nienawidzę swojej pracy. Nienawidzę tego, co zrobiła z moim życiem. Nienawidzę, że doprowadziła do tego, do czego doszło. Myślę o kobietach, które zdradzają swoich niczego niepodważających mężów - a znam takich sporo - z powodu zaniedbywania związku przez facetów, ich ciągłej nieobecności. Wiem, jak bardzo te kobiety potrzebują emocjonalnego wsparcia, rozmów, bliskości, lepszego seksu albo innego seksu. Te kobiety tak bardzo łakną zaspokojenia swoich pragnień, że skłonne są pić z najbliższego źródła.

Zastanawiam się, czego David Lawrence nie dawał swojej żonie, i mam pewne przypuszczenie. On jest artystą. To tak samo jak być muzykiem czy pisarzem, czy kimkolwiek innym, komu służą długie okresy samotności. On w tym, co robi, jest pochłonięty sobą, potrafi zatracić się w pracy na całe dni i tygodnie.

Nienawidzę tego, co teraz robię - próby usprawiedliwienia faktu, że jestem zdradzana. Zdrada nigdy nie jest winą zdradzanego. Charles dał do zrozumienia, że cierpiał, pograżał się w samotności. Ja się nie urywałam z domu dla rozrywki. Harowałam jak dziki wół, więzień własnych osiągnięć. Tęskniłam do niego, tęskniłam aż do łez. Łaknęłam uczucia. Ale zawsze miałam dość siły i honoru, żeby wziąć się w garść. Nie mam za co przeproszać.

- Dobrze się czujesz? - pyta. Potrząsam głową.
- Muszę dotrzeć do firmy.
- Posłuchaj, powód, dla którego przyjechałem... powód, dla którego do ostatniej chwili wahałem się, czy przyjechać...
- Ja też prawie odpuściłam.
- Chciałem przeprosić, że do ciebie zadzwoniłem.
- Dlaczego to zrobiłeś?
- Chyba z wściekłości, myślałem, że możesz wiedzieć, gdzie oni są.
- Ale oni nie byli razem.
- Gdybym wiedział, że nie wiesz, nigdy bym się z tobą nie skontaktował.
- Skąd wiedziałeś, gdzie pracuję?

- Z e-maili.

- Więc Charles rozmawiał o mnie. Oni rozmawiali o mnie.

- O nas. Od czasu do czasu pisali o nas różne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Różne. Ostatnio zaczęli nas nazywać swoją „sytuacją”. Chcieli się spotkać i zastanowić, w jaki sposób poradzą sobie z odejściem od nas. Na dobre.

Milczenie.

- Skończyłaś zupę?

- Na razie to wszystko, co mój żołądek jest w stanie zdzierżyć.

Przysuwa do siebie zupę, zjada trochę, używając tej samej łyżki. Potem patrzy na mnie i mam wrażenie, że czyta w moich myślach.

- Jesteśmy już ze sobą biologicznie związani.

- Biologicznie związani?

- Skoro twój mąż pieprzył się z moją żoną, wymienialiśmy już pośrednio płyny ustrojowe.

Nie tłumi emocji i jest obsesywny. Jego słowa malują w mojej wyobraźni obrazy, których nie mogę znieść.

- Dlaczego to robisz? - pytam.

- Co?

- Siejesz ziarna niezadowolenia.

- Nie sieję. Po prostu pokazuję ci ogród. Milczenie.

- Gdybyśmy byli w odwrotnej sytuacji, chciałbyś, żebym do ciebie zadzwoniła?

- Tak, chciałbym.

- Mnie było lepiej bez tej wiedzy. Dziękuję mu za zupę i wstaję. On też.

- Co robiła Jessica podczas bójki w szkole? - pytam.

- Nie było jej tam.

- Gdzie ona jest?

- Nie odezwała się od czwartku. A ty rozmawiałaś z...?

- Charles jest w domu.

Chcę go poprosić, żeby pokazał mi zdjęcie swojej żony, ale nie mogę się na to zdobyć. Chcę mu pokazać listę pytań, którą dałam swojemu mężowi, ale na to też mnie nie stać. Przechodzimy przez ulicę. Idę kilka kroków przed Davidem Lawrence'em.

Znowu milczenie.

- Co do e-maili... - mówię, kiedy dochodzimy do swoich samochodów. - Nie chcę wiedzieć ani trochę więcej, niż wiem. Nie dzwoń już do mnie z żadnymi nowymi... informacjami.

Przygląda mi się z wyrytą na twarzy niewypowiedzianą skruchą. Patrzę mu w oczy, błyszczące tęczówki przepełnione męskim cierpieniem.

- Naprawdę świetny mustang - mówi.

- Dzięki.

- Tęsknię za swoją sześćdziesiątką szóstką, kiedy na niego patrzę.

Zdejmuje skórzaną kurtkę, rzuca na tylne siedzenie, zakłada z powrotem okulary i wsiada do samochodu. Ja wsiadam do swojego. Odjeżdżamy oboje bez słowa pożegnania.

9

Dzwonię do Yvette na wszystkie jej numery. Oddzwania, kiedy wjeżdżam aleją La Brea do Hollywood, i mówię, że prawie jestem w firmie. Siedzę na parkingu i opowiadam jej o spotkaniu z Davidem Lawrence'em. Ona robi jakieś poważne zakupy w sklepie obuwniczym w Camarillo i jest fatalny odbiór; połączenie ciągle się urywa, dzwonimy do siebie raz po raz, muszę wiele rzeczy powtarzać i w końcu dajemy sobie spokój.

- Opowiesz mi wszystko, jak się spotkamy - mówi Yvette. - Muszę zobaczyć na własne oczy, jak się trzymasz.

To budzi we mnie śmiech.

- Znasz mnie. Jakoś się trzymam.

- Podrzucę do domu nowe buty, podleję kwiaty i zajrzę do ciebie.

- Jak tylko pokażesz się w firmie, Tyra Tyranka zagoni cię do roboty.

- Nic z tego, jeśli ta cycata jałówka nie dowie się, że tam jestem.

Pika jej komórka. Yvette klika, sprawdza, kto dzwoni, i wraca do rozmowy ze mną. To jeden z jej męskich przyjaciół.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Jasne.

W pracy jest piekło i uwijam się jak w ukropie, żeby wyrobić się na czas z pięcioma materiałami. Tyra Tyranka widzi, jak ciężko pracuję, starając się nad wszystkim zapanować, ale nie raczy mi podziękować za to, że przyszedłam do firmy w swój wolny dzień. To normalne w tym świecie, świecie, w którym ona rządzi. Od przestąpienia progu jestem w podłym nastroju i daję do zrozumienia, że niewiele trzeba, aby wyprowadzić mnie z równowagi.

W hali redakcyjnej panuje kompletny chaos. Jakaś inna stacja podaje gorącą wiadomość z ostatniej chwili na temat wydarzenia w stylu Roberta Blake'a*, a my to przeoczyliśmy.

* Robert Blake - aktor znany m.in. z serialu kryminalnego *Baretta*, oskarżony o zamordowanie swojej żony.

- Dlaczego my tego, kurwa, nie mamy? - wrzeszczy Tyra Tyranka.

Na oczach wszystkich miesza z błotem redaktorę, która jest wydawcą dnia. Kobieta prawie płacze, stając na uszach, żeby zdobyć informacje.

Męcę się nad zredagowaniem gówna, które pisał ktoś inny, i ledwie kończę, Tyra wrywa mi kartkę i zmienia tekst. Dzisiaj wyjątkowo kiepsko panuję nad emocjami i tym razem wychodzę z siebie. Wpadam z furią do jej gabinetu.

- Jeśli zmieniasz moją pracę na swoją modłę, to przestaje być moja praca.

- Właśnie tak ma wyglądać ten pieprzony tekst.

Ona jest jak dziecko, które zawsze musi postawić na swoim.

- Siedziałam nad tym prawie...

- Ja jestem twoim szefem. Ja decyduję, co masz robić.

Wtedy opada mi szczęka. Dociera do mnie nagle, że nie mam już kontroli nad niczym.

Zaciskam usta. Nie krzyżuję ramion, jak to robią kobiety w chwilach załamania, nie zniżam głosu, nie pozwalam, żeby zadrżał czy brzmiał, jakbym się po kobiecemu dąsała. Zachowuję twardy, profesjonalny ton.

- Jestem tu codziennie. Przyjechałam teraz w swój wolny dzień. Myślisz, że potrzebne mi takie gówno akurat teraz?

Mówię, że będąc tu dzisiaj, robię jej uprzejmość. Przypominam, że ciągle mnie ściąga do realizacji świątecznych programów, że robię mnóstwo dodatkowych rzeczy bez dodatkowego wynagrodzenia. Wygarniam jej, że pracuję za dwoje, kiedy kogoś nie ma, pracowałam tak przez całe miesiące, gdy ktoś był na urlopie macierzyńskim, i miałam obiecane ekstra pieniądze, ale dotąd nie dostałam za to złamanego grosza.

Słyszają nas ludzie. To tylko zapewnia jej publiczność i robi się jeszcze obrzydliwiej.

Wymieniamy ciosy, urągając sobie wzajemnie przez dobre piętnaście minut. W końcu wychodzę, idę do saloniku, zamykam za sobą drzwi na zamek i siadam na kanapie.

Dzwoni moja komórka. To Yvette.

- Cholera, piegusie, co z tobą? Mówię, że chyba się rozklejam.

Yvette jest prawdziwą przyjaciółką. Pakuje się w wieczorny korek na autostradzie, kiedy mogłaby siedzieć spokojnie w domu, i przyjeżdża do firmy zobaczyć się ze mną. Zatrzymuje się na

Melrose, żeby kupić mi coś do jedzenia w Hot Wing Café, dociera do redakcji o zachodzie słońca, siada ze mną na schodach z widokiem na aleję Willoughby. Chwilowo odkładam jedzenie skrzydełek na ostro. Dziękuję trochę mi odpuścił, ale wciąż nie jestem pewna swojego żołądka.

Zbyt wiele myśli tłoczy mi się w głowie, a nie mam pod ręką żadnego prozacu, więc wyjmuję z Błękitka saksofon i gram przez kilka minut, żeby ochłonać. Nie gram dobrze, podminowana i na dopalającym się kacu, nie czuję tak naprawdę bluesa. Yvette nuci, właściwie zaczyna trochę śpiewać, kiedy wygrywam swoją wersję *Careless Whisper*. Całkiem dobrze jej idzie.

W końcu, kiedy już jestem gotowa, zaczynamy rozmawiać.

Najpierw opowiadam jej o starciu z Tyrą Tyranką.

- Ta dziwka - mówi Yvette - sama nie wie, co robi. Lata tylko w koło i wrzeszczy na ludzi, jakby była jakimś J. Jonah Jamesonem* czy Bóg wie kim.

* Postać szefa redakcji gazety ze *Spider-Mana*.

Dobrze mieć przyjaciółkę po swojej stronie. W tej chwili bardzo tego potrzebuję.

- Jak wygląda w skrócie twoja sytuacja?

Opowiadam, jak Charles zareagował na listę pytań, że zachowuje się tak, jakby moje żądanie było bezsensowne, chce, by sprawa była zakończona, bo on mówi, że jest zakończona.

- W takim razie musisz zobaczyć, co ten David Lawrence ma w e-mailach. To może coś wyjaśnić.

- Charles mówi, że to skończone. Może powinnam odpuścić.

- Chyba zwariowałaś. Powiedz Tarzanowi, że nic nie jest skończone, dopóki ty nie powiesz, że jest skończone.

Yvette mnie zna, wie, że wcale nie chcę odpuścić i że nie odpuszczę tak łatwo.

- Jeśli to trwa od jakiegoś czasu... cholera. Dlaczego ja się nie zorientowałam?

- Znam ten ból.

- Wiem.

- Takie czasy, że ciężko zastawić pułapkę. Wśród czarnuchów, którzy mają po dwadzieścia adresów e-mailowych, pięćdziesiąt pięć pagerów, skrzytek pocztowych, którzy znają nie wiadomo ile numerów komórek i telefonów do pracy, po prostu nie jest łatwo myśliwemu złapać króliczka.

- Wiem, wiem.

- Piegusie, mówiłam ci tyle razy, że trzeba być zawsze o krok przed tymi czarnuchami. Ostatni czarnuch, z którym się zadawałam, ten skurwiol, wciąż dzwonił do swojej byłej, tej dziwki, z którą miał się ożenić, ale kopnęła go w tyłek i traktowała jak gówno, stawał na głowie, żeby się z

nią zobaczyć, kiedy przyjechała do miasta, chodził z nią na kolacje do Magic's TGIF, potem prowadził się z nią w Miami, kiedy pojechał tam na urlop, robił wszystkie możliwe gówniane numery.

Yvette krzywi się i przeklina co drugie słowo; te wspomnienia wyprowadzają ją równowagi.

- Przyparłaś go do muru?... Pytam.

- Przecież ci mówiłam.

- To odśwież mi pamięć.

- Dziewczyno, twoja pamięć jest krótsza od fiuta karzelka.

- Coś o tym wiesz.

- Znasz mnie. Nie owijam w bawełnę. Zapytałam go, czy spotyka się ze swoją byłą, dałam mu szansę na oczyszczenie się, a on siedział i łągał mi prosto w oczy, mówił, że z nikim się nie spotyka, chciał wiedzieć, skąd mi coś takiego przyszło do głowy. Czarnuch mnie spytał, czy mogę to udowodnić.

- Nie mógł po prostu odpowiedzieć?

- Nie ma dowodu, nie ma przestępstwa - to była jego zasada. Nie jesteś przestępcą, dopóki cię nie złapią.

- Typowe.

- Uczciwość nie jest w cenie.

- Fakt.

- Ten dupek zaczął bredzić o moim braku pewności siebie, różne takie gówna, próbował wmówić mi paranoję, kiedy ja doskonale wiedziałam, co jest grane. Próbował odwrócić kota ogonem i powiedział, że go psychicznie dręcę.

- Typowe.

Śmieje się i kręci głową.

- Biorą ślub. Był na tyle bezczelny, że zadzwonił i mi o tym powiedział.

Klepię ją po dłoni, przysuwam się do niej bliżej i razem oglądamy schyłek dnia.

- Weź te e-maile - mówi.

- A jeśli dowiem się czegoś, czego nie chcę wiedzieć?

- Już wiesz. Musisz dowiedzieć się reszty. Charles ci nie powie.

Zaciskam usta, odkładam na kolana saksofon.

- Zdobądź dowód rzeczowy. Udowodnij przestępstwo.

Mijają dwie godziny. Tyra Tyranka bierze czerwony długopis i przerabia kolejne dwa moje teksty. Wiem, że robi to tylko po to, aby mi dopieprzyć. Mam dosyć i znów się babie stawiam.

- Zawsze robisz mi ten numer. Piszę przez cztery godziny, zużywam całą swoją cholerną energię, a ty ledwie spojrzysz na moją robotę i zmieniasz...

- Przeczytaj nazwisko na drzwiach. - Podnosi głos na tyle, żeby wszyscy słyszeli. - Czyje tam jest nazwisko? Moje. Ja jestem producentem wykonawczym. Ty nie jesteś producentem wykonawczym. Co jest napisane na twoich drzwiach? Och. Zaraz. Ty nawet nie masz pieprzonych drzwi.

- Mówię o swojej twórczej pracy. Jak piszę tekst informacyjny, ty się pieklisz, że jest za bardzo rozrywkowy. Jak przygotowuję lżejszy komentarz o jakiejś imprezie, mówisz, że jest za bardzo informacyjny.

Ona jest w kosmicznym odjeździe i kompletnie mnie ignoruje.

- Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, kto tu podejmuje zasadnicze decyzje, sprawdź na ostatnim czeku, ile zarabiasz. Porównaj go z moim, to zobaczysz, komu płacą za podejmowanie ważnych decyzji. To ja mam ostatnie słowo. Na tym, cholera, polega moja praca. Gdybyś ty swoją pieprzoną robotę wykonywała jak należy, nie musiałabym tracić czasu na to, żeby próbować z gówna zrobić miód.

Gapię się na nią. Ona nie ma męża. Nie ma chłopca. Poza tą pracą, jak większość z nas, nie ma normalnego życia. Patrząc na nią i zastanawiam się, jaki facet przy zdrowych zmysłach chciałby być z taką heterą. Zadaję sobie pytanie: Czy stanę się taką samą jędzą, jeżeli pobędę tu jeszcze jeden rok?

- Spadam - mówię, uśmiechając się gorzko.

- Lepiej nie wychodź za ten próg.

- Pieprz się. Jestem tu codziennie od dwudziestu dni.

Wrzeszczy, a ja odchodzę, wyłączam swój komputer, zabieram torbę i kieruję się do drzwi, nie oglądając za siebie. Ludzie gapią się na mnie, niektórzy mówią, że bym odpuściła, bo tak tu już jest. Wierne stado owiec całujące w dupę wielmożnego pasterza. Mam gdzieś ich wszystkich.

Idę do samochodu i siadam za kierownicą, z opuszczoną głową, masując palcami skronie.

Po chwili wychodzi Tyra, woła mnie po imieniu. Teraz, kiedy już nikt nie ogląda jej aktorskiej wprawki, pani producent wykonawcza zmienia ton.

- Okej, masz rację.

- Nie, to ty masz rację. Jestem niekompetentna. Moja robota jest do dupy.

- Nie to chciałam... Posłuchaj, jesteś mi potrzebna.

- Zrób to sama. - Uruchamiam samochód. - Pieprzona maniaczka władzy.

Z piskiem opon wyjeżdżam z parkingu, telepię się na wyboistej La Brea aż do wjazdu na międzystanową dziesiątkę, potem biorę kurs na zachód w kierunku przeciwnym do mojego domu, puszczam wodze szaleństwa i z wiatrem wiejącym nad głową jadę tak szybko jak mogę do końca autostrady i wjazdu na Pacific Coast Highway.

Moja komórka dzwoni bez przerwy. Wyświetla się numer mojej pracy. Nie odbieram.

Godzinę później autostradą Pacific Coast wjeżdżam do Malibu, robię nawrót przy Uniwersytecie Pepperdine i wkrótce parkuję pokierszowanego Błękitka przed Galdstone, restauracją położoną nad samą wodą, tam gdzie kończy się Sunset Boulevard. Zdejmuję buty i bosy schodzę na plażę, siadam na skałkach i czuję, jak chłodna bryza podnosi mi spódnicę. Podciągam ją trochę wyżej, pozwalam, żeby przewiał mnie wietrzyk.

Mam przed sobą ocean, słucham toczących się fal, patrzę na mewy krążące w świetle księżyca w poszukiwaniu jedzenia i płaczę. Nie cierpię siebie za to, za swoje poczucie bezsilności.

Potem przypominam sobie, że łzy wcale nie są oznaką słabości.

Płaczę tak długo, aż czuję się o pięć kilo lżejsza. Potem idę do samochodu po skrzydełka na ostro i frytki, które przywiozła mi Yvette, wracam nad wodę, siadam na kamieniu i jem. Schodzę z plaży o dziesiątej, kiedy zamykają wejście, krążę bez celu po nadmorskich miasteczkach.

Komórka dzwoni non stop. Kiedy na wyświetlaczu pojawia się mój numer domowy, odbieram.

Jest prawie wpół do dwunastej. Mój oddany mąż chce wiedzieć, gdzie jestem.

Odchrząkuję i pytam Charlesa, czy odpowiedział już na moje pytania.

Irytuje się, mówi, że to było coś, co niechcący się stało, że z jego strony to nie było nic poważnego, nie pozwala mi dojść do słowa i twierdzi, że odpowiadanie na te wszystkie pytania jest bezsensowne. W końcu ostrzejszym tonem oświadcza: „Nie zrobię tego”.

- Nie ma sprawy - odpowiadam i przerywam połączenie.

Dzwonię do Davida Lawrence'a. Muszę zobaczyć jego dowód.

10

Jest między wpół do pierwszej a pierwszą. Jestem zdenerwowana.

Stoję przed czerwonymi drzwiami. Według zasad feng shui czerwone drzwi są korzystne, podobno tworzą równowagę i harmonię w przestrzeni. Niepokój nakłania mnie do odwrotu. Potrzeba poznania prawdy każe zostać. Uderzam kluczykami o spódnicę. Na kółku do kluczyków mam mały czarny pojemniczek z gazem łzawiącym. Kupiłam go, jadąc tutaj, na wszelki wypadek.

Dzwonię dwa razy i słyszę odgłos kroków na drewnianej podłodze.

Ciemnieje wizjer.

Szczęka zasuwka.

Brzęczy łańcuch.

Otwierają się drzwi.

David Lawrence jest bosy, ma na sobie poplamione workowate dżinsy, które wiszą nisko na biodrach, odsłaniając brzeg czarnych bokserów, i szarą skąpą flanelową koszulę. Jego włosy są nieuczesane, kudłate i sztywne zarazem. Na twarzy ma farbę, żółte i czerwone paski, jak gdyby przeciągnął po policzku wierzchem dłoni. Taksuję go przez moment, oceniam tego nieznanego faceta, a potem wchodzę do jego pracowni i rozglądam się dookoła, żeby nie gapić się na niego. Udręka w jego oczach mówi, że to poważna sprawa, że nie należy do tych, którzy wciskają kit, i że to nie będzie łatwe.

Nic nie mówimy. Wiemy, po co przyszłam, więc nie ma potrzeby udawać.

Sparaliżowana strachem, idę coraz wolniej. Mam na nogach botki, więc zdradza mnie niepokojny stukot obcasów na drewnianej podłodze. On przystaje i czeka, aż na niego spojrzę. - Dobrze się czujesz? - pyta.

- Tak, wszystko w porządku.

Wlokę się za nim, jakbym miała nogi z ołowiu, i przypominam sobie, jak umarł mój dziadek i pojechałam do rodzinnej Karoliny Północnej. Pamiętam tę chwilę, kiedy musiałam wejść do domu pogrzebowego w Graham, chwilę, w której musiałam pogodzić się z tym, czego dotąd nie przyjmowałam do wiadomości. Mam takie samo uczucie teraz, bo to, co wkrótce przeczytam, może pogrzebać wszystko, co czuję do swojego męża.

Wokół leży mnóstwo narzędzi. Pytam o nie, żeby nawiązać rozmowę. Mówi, że to są narzędzia rytownicze. Rylce, gładziki, dłuta do drewna. Kiwam głową. Dla mnie to są rzeczy, które mogą być użyte jako broń, jeśli David Lawrence jest psycholem. Ma kilka sztalug, stół kreślarski, poplamione farbami skrzynki na narzędzia pełne farb i rozpuszczalników. Szafki. Piły. Powietrze jest przesycone mnóstwem zapachów. Najmocniej czuć terpentynę; jej opary biją w nozdrza nawet przy otwartych oknach.

- Masz grzbietnicę i wyrzynarkę - mówię, patrząc na jego piły.

- Używam tego do rozpórek i rzeźb w drewnie.

Ściany są w jasnych kolorach, szarej zieleni, melona i słonecznika, i wszystkie mają oryginalne sztuczne tynki, które z każdej z nich czynią dzieło sztuki. Wewnętrzne drzwi zostały pomalowane tak, by imitowały marmur. W dachu są dwa świetliki.

Na sztalugach jest obraz przedstawiający nagą kobietę. Żywe barwy z przewagą czerwieni. Ta kobieta się dotyka. Nie komentuję, ale zastanawiam się oczywiście, czy to Jessica.

- Kiedyś cyklinowałam podłogi.

- Tak?

- W czasach college'u. To była praca wakacyjna w Greenville.

Idę za nim przez cały pokój, zerkając na erotyczne rzeźby i zmysłowe obrazy. Na stole jest laptop. Ten sprzęt odstaje od reszty wystroju, nie pasuje do artystowskiego klimaciku wnętrza. Laptop jest marki

Sony, ma wbudowaną kamerę cyfrową i można go używać do robienia krótkich filmów. Widziałam podobny u jednego z chłopaków w pracy.

Nogi wrastają mi w podłogę, kiedy zauważam na stole pistolet.

Jest duży, z ciemnego metalu, leży tam sobie pośród pędzli i innych rzeczy. To nie jest elegancki pistolecik, tylko męska broń. Przeszywa mnie zimny dreszcz i wyobrażam sobie, jak David Lawrence goni z tym czymś za Charlesem, jak posługując się tym czymś, bierze mnie jako zakładniczkę.

- Trochę tu zimno - mówię.

- Mam prawie zawsze otwarte okna. Konieczna jest wentylacja. Niektóre chemikalia, których używam, są trujące. Mogą wypalić człowiekowi nos i gardło.

- Oo. Nie wiedziałam, że malowanie obrazów jest tak ryzykownym zajęciem.

- Prawie tak ryzykownym jak miłość.

Nie próbuje powściągać emocji, nie kryje ich. Ja nie reaguję na jego wyznanie i nie sądzę, żeby tego po mnie oczekiwał.

- Tak, moja praca jest ryzykownym zajęciem. Powinienem nosić maskę.

- Naprawdę?

Mam gęsią skórę na ramionach. W pokoju jest zimno. Zerkam na swoje sutki i w popłochu krzyżuję ręce na piersiach.

- Ja też powinnam ją mieć?

- Co?

- Maskę.

- Nic ci nie będzie. Po prostu trzeba unikać kontaktu tych substancji ze skórą. Przenikają do krwi.

Idzie na drugi koniec pokoju, do okien. Zamyka to, które jest najbliżej mnie, pozostałe dwa zostawia otwarte. Jego prace są intrygujące. Bogate w szczegóły. Najbardziej podobają mi się obrazy. Niektóre są olejne. Jeden przyciąga mój wzrok z powodu kolorów: czerwienie, pomarańcze i żółcie. Nie znam fachowych nazw tych kolorów, takich, jakimi posługują się artyści.

Przesuwa kilka obrazów i wyciąga jakieś płótno. Zewsząd napierają na mnie jego wizje. Talent mówi sam za siebie. Daje o sobie znać dyscyplina. Rzuca się w oczy zapal. Widzę, czego mi zabrakło, by osiągnąć coś w muzyce.

- Oderwałam cię od pracy?

- Poza wykańczaniem obrazu, z którym się spóźniam, a nie jestem w najlepszej formie psychicznej, żeby to robić, groziło mi czytanie o ruchu dekonstrukcjonistów w sztuce abstrakcyjnej lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Śmieje się. Ja nie, ale uśmiecham się zdawkowo.

- Czy Jessica...?

- Ona tu nigdy nie przychodzi. Nie może znieść tego smrodu.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie, odkąd rzuciła mnie dla twojego męża.

- Tak myślisz.

- Przeczytaj to, co mam, i powiedz, co ty myślisz. Odpreżam się trochę.

- Czy twój mąż z nią rozmawiał?

- Skąd mam wiedzieć. Czujemy się zakłopotani.

- Jak to zrobimy? - pytam. Wzrusza ramionami.

- Przeczytasz wszystko albo część i porozmawiamy o tym, jeśli będziesz chciała.

- Mogę to wziąć ze sobą?

- Nie. Czytaj tutaj.

- Dlaczego?

- Taki układ.

Kiwam głową na zgodę.

David Lawrence podchodzi do czarnej trzyszufladowej szafki na dokumenty. Wyjmuje plik kartek ze środkowej szuflady, wyłącza mały czarny wentylator i idzie zamknąć jeszcze jedno okno. Bierze wielki czerwono-biały rozpinany sweter z napisem DELAWARE STATE HORNETS i jeszcze kilkoma słowami o swojej Alma Mater wyszytymi na czymś w rodzaju herbu i mi go podaje.

Jest ciężki i tak ogromny, że się w nim topię.

David Lawrence przeprasza, że w pracowni jest zimno.

- Czasami tak odjeżdżam, że nie czuję zimna. Kiedy ponosi mnie wena, w ogóle nie muszę myśleć ani czuć.

- Całkiem jak ze mną, kiedy jestem pochłonięta swoją muzyką.

- Więc mnie rozumiesz.

- Właściwie tak było kiedyś. Kiedy grałam, zapominałam o bożym świecie.

- Kiedy wchodzę na orbitę, to jest prawie tak... tak jakby...

- Wrażenie, że jesteś poza własnym ciałem.

- Właśnie. Kiedy jestem tam, na swojej orbicie, nie mam świadomości kolorów ani w ogóle niczego. Tak było z *Żalem*. Obraz przejął władzę.

Wręcza mi stos kartek i wskazuje wielkie niskie łóżko.

- To jest strasznie... dużo tego - mówię.

- A było jeszcze więcej. Nigdy się nie dowiemy, jak wyglądały ich rozmowy telefoniczne, rozmowy podczas spotkań, więc po prostu wyobrażaj sobie tę całą resztę pomiędzy ich rozmowami w sieci.

- Posłuchaj. - Mój głos staje się bardzo stanowczy. Jestem zirytowana. Bawię się włosami, próbuję złagodzić ton. - Pozwól, że najpierw się z tym uporam i sama wyciągnę wnioski.

Stelaż łóżka jest z wiśniowego drewna, na zielonym sfatygowanym materacu typu futon leży zmięta biała pościel. Pracownia ma jakieś dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych, brak ścianek działowych, ale na jednej ze ścian jest długie lustro i kilka innych wokół, więc ten kolorowy pokój wygląda na większy, niż jest w rzeczywistości. Drzwi o fakturze marmuru harmonizują z kalejdoskopem barw przypominających jesienne liście.

Poza stołami kreślarskimi, regałami na książki i innym wyposażeniem miejsca pracy jedy-
nymi meblami do siedzenia są dwa stoliki barowe, każdy z innej porcelany, z twardymi metalowymi oparciami, które nie wyglądają na zbyt wygodne. Pod ścianą naprzeciw łóżka stoi mały telewizor i stary magnetowid kasetowy. Telewizor jest wyłączony, a ekran pokrywa warstwa kurzu. Mały zestaw stereo też nie jest włączony. Łóżko jest rozgrzebane, jakby David Lawrence miał zwyczaj trochę spać, trochę pracować, potem znów trochę spać.

Siadam na brzegu materaca, że złączonymi kolanami i skrzyżowanymi kostkami. Sprawdzam godzinę, przeciągam językiem po zębach, biorę oddech i zaczynam czytać.

Charles [16:10] Miałem iść z żoną do teatru.

Jessica [16:10] Co się stało?

Charles [16:10] Godzinę temu wezwali ją do pracy.

Jessica [16:11] To się chyba zdarza dość często. Koszmar.

Charles [16:12] Chciałem jej zrobić niespodziankę, spędzić trochę czasu w dobrym stylu, zabrać ją na kolację i do teatru... nawet zarezerwowałem pokój w hotelu W.

Jessica [16:12] Nie powiedziałaś jej?

Charles [16:13] To miała być niespodzianka. Chciałem ją zabrać do EuroChow w Westwood, jej ulubionej restauracji. Mają tam świetne koktajle z martini, a ona uwielbia glazurowane krewetki z orzechami włoskimi.

Jessica [16:13] Jednak trzeba jej było powiedzieć.

Charles [16:14] To normalne, że nie możemy nigdzie pójść.

Jessica [16:14] Co to za sztuka?

Charles [16:15] Kobięca wersja „Opowieści o żołnierzu”. Z tą znaną aktorką Tammy Barrett.

Jessica [16:15] Żartujesz? Tammy Barrett jest niesamowita. Mam przed sobą jej dwie płyty.

Charles [16:16] Robiliśmy kiedyś grilla i była u nas w domu, jakiś czas temu.

Jessica [16:16] Znasz ją?

Charles [16:16] Jej mąż jest pisarzem, a jeden z jego przyjaciół mieszka koło nas, po drugiej stronie ulicy. Przyszli razem.

Jessica [16:17] Ona jest genialna. I ty masz bilety na jej sztukę.

Charles [16:18] Moi sąsiedzi wyjechali. On ma jakąś promocję książki w Nowym Orleanie, więc zafundowali sobie drugi miesiąc miodowy. Szkoda biletów, ale chyba nic nie wymyślę.

Jessica [16:18] Kiedy?

Charles [16:18] Dzisiaj o ósmej. Chcesz te bilety?

Jessica [16:19] Nie wkurzaj mnie. Nie byłam w teatrze od lat.

Charles [16:19] No to stawiam wam wieczór. Ty i mąż możecie się rozerwać na mój koszt.

Jessica [16:20] Mąż jest w pracowni, pochłonięty swoją pracą, za nic się nie oderwie.

Charles [16:20] Nie chcę wyrzucić w błoto stu dolców. Chyba pójdę sam. Może spuszczę komuś wolny bilet przed wejściem.

Jessica [16:21] Zaczekaj. Okej, o której mniej więcej kończy się ta sztuka?

Charles [16:21] Pewnie trwa ze dwie godziny. Koło dziesiątej.

Jessica [16:22] Gdzie to jest?

Charles [16:23] Teatr Whitmore Lindley w Północnym Hollywood.

Jessica [16:24] Mam pewien pomysł. Powiedz, co myślisz, jeśli ci to nie leży, nie ma sprawy.

Charles [16:24] Jaki pomysł?

Jessica [16:25] Skoro nie chcesz stracić biletu, a ja mam straszną ochotę zobaczyć tę sztukę, mogliśmy się tam spotkać. Nie wygłupiam się, naprawdę chcę to obejrzeć.

Charles [16:26] Możemy tak zrobić. Jedno ale.

Jessica [16:26] Co takiego?

Charles [16:27] Spotkamy się w EuroChow. Zarezerwowałem już stolik.

Jessica [16:27] Stawiasz twarde warunki.

Na wydruku jest data. To było osiem miesięcy temu. Więc tak to się zaczęło z moim mężem i Jessicą. Osiem miesięcy temu. Szlag. Prawie trzy pory roku życia w nieświadomości.

Patrzę na Davida Lawrence'a. Przerywa pracę, pograża się ze mną w milczeniu.

- Wiesz o tym od ośmiu miesięcy? - pytam.

- Nie woziłbym się z tym głównym przez osiem miesięcy. - Kręci głową. - Mówiłem ci, że dowiedziałem się po powrocie z Kanady.

Podskakują mi nogi.

- Uhm.

- Załadowałem program i wyjechałem na wystawę koło Whistler. Zjrzałem do tego, kiedy wróciłem w czwartek. Mętlik w głowie?

- Coś w tym rodzaju. Chyba poukładam fakty, zanim zacznę.

- Proszę bardzo. Układaj.

- To są komunikaty instant message, nie e-maile. Jak to zdobyłeś?

- Ona wszystko zapisywała, wycinała i wklejała. Wątpię, czy twój mąż o tym wie. Kiedyś robiła to samo z naszymi e-mailami. Trzymała je w specjalnym katalogu.

- A ty wszedłeś na jej konto?

- Prezerwatywa, rachunki... zrobiłem to, co musiałem zrobić.

- Na górze jest data. Właściwa czy...

- To data zapisania pliku.

Patrzę na opasłą stertę kartek.

- Aż tyle tego...?

- Jest więcej. Skompresowałem to na oddzielnym dysku. Gdybym wydrukował wszystko, co miała w tym katalogu, wyszłaby objętość książki telefonicznej.

Wstrząsa mną widoczny dreszcz.

- Chcesz koc albo większy sweter?

- Nie. Już nie czuję zimna. Nie na zewnątrz. Wraca do malowania.

Czytam internetową rozmowę Charlesa i Jessiki z następnego dnia.

Charles [20:03] :) Dobrze się wczoraj czułem w twoim towarzystwie. Można być z tobą na luzie. To miłe, że nie zawsze jesteś w nauczycielskim nastroju. Zwykle widzę cię, jak wrzeszczysz na dzieciaki. Jesteś całkiem w porządku, Jessie.

Jessica [20:03] To było słodkie, jak na nudnego nauczyciela wiedzy o społeczeństwie.

Charles [20:03] Auu.

Jessica [20:03] Żartuję. Wcale nie jesteś nudny. Lubię sposób, w jaki mówisz do mnie Jessie.

Charles [20:03] Chciałem ci podziękować, że nie pozwoliłaś, żeby te bilety się zmarnowały.

Jessica [20:04] NIE, to ja ci dziękuję. Sztuka była ostra. Fajnie było gdzieś wyjść dla odmiany. Zaczęłam prowadzić popołudniowe zajęcia z aerobiku, żeby wypełnić czymś czas.

Charles [20:04] Tak, znam ten ból. Rzadko wychodzę gdzieś poza pracę. Chciałbym się gdzieś ruszyć, obejrzeć kilka filmów, ale to nigdy nie wypala.

Jessica [20:04] Uwielbiam kino. Nie byłam na niczym od miesiący.

Charles [20:04] Ja też.

Jessica [20:05] Ale... muszę ci coś powiedzieć... to było dość dziwne...

Charles [20:05] Co takiego?

Jessica [20:05] To, jak zachowywaliśmy się w pracy, że słowem o tym nie wspomnieliśmy i przechodziliśmy obok siebie, jakbyśmy się prawie nie znali, przynajmniej tak to wyglądało. Nie mogłam spojrzeć ci dzisiaj w oczy. A potem nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do domu i sprawdzę, czy jesteś w sieci.

Charles [20:06] Ty też to czułaś? Myślałem o tym samym:) Tak się ucieszyłem, kiedy pojawiłaś się na moim monitorze.

Jessica [20:06] To, co zrobiliśmy, było niewinne, prawda?

Charles [20:08] Tak.

Jessica [20:08] Więc jak to się stało, że na koniec całowaliśmy się ponad godzinę?

Ponosi mnie wyobraźnia i na chwilę przerywam. Muszę się pozbierać, próbuję jakoś ułożyć sobie to wszystko w głowie.

Sama chcę znać odpowiedź. Między jej pytaniem a następnym komunikatem jest trzyminutowa przerwa. Trzy długie minuty. Charles pewnie siedział przy komputerze, dotykał swojej obrotki, nie wiedział, co powiedzieć żonie innego mężczyzny.

Zastanawiam się, co wtedy czuł, kiedy był na rozstaju.

Nie odpowiada na jej pytanie.

Patrzę na następny zapis godziny. Tym razem Jessica się waha, zanim zada kolejne pytanie. Waha się, jakby trudno było wystukać te proste słowa. Nie wiem, mogę tylko przypuszczać, więc wyobrażam sobie, że są jednocześnie podnieceni i przestraszeni.

Jessica [20:11] Powiedziałeś swojej żonie, że zabrałeś mnie do teatru?

Charles [20:13] Właściwie to jeszcze się nie widzieliśmy... nie zauważyła, że wychodziłem.

Jessica [20:17] Ja nie powiedziałam mężusiowi, gdzie byłam.

Następna długa pauza. Wyobrażam ich sobie, jak siedzą i myślą, z palcami na klawiaturach, zastanawiają się, co wystukać dalej, może nawet piszą coś i usuwają, nim zdecydują się wysłać. Czekają na kolejny ruch partnera.

Jessica [20:23] Muszę się zrewanżować za teatr.

Charles [20:23] Nie musisz.

Jessica [20:23] Chcę. Więc mi pozwól. Co byś powiedział na jakiś popołudniowy seans po pracy? W tanim kinie obok galerii grają „I twoją matkę też”.

Charles [20:23] Pomysł jest dobry.

Jessica [20:23] Albo mógłbyś kiedyś przyjść na mój aerobik i potem pojechalibyśmy do kina. Zdażyłbyś po powrocie do domu sprawdzić kilka klasówek :)

Charles [20:23] Jasne. Byłoby fajnie.

Jessica [20:23] Ja stawiam. Popcorn, rodzynki w czekoladzie, wszystko na mój rachunek.

Charles [20:24] Każdy dzień oprócz środy jest dla mnie dobry.

Jessica [20:24] Fajnie jest mieć z kim pogadać.

Pisali szybko, podnieceni tym, że znów są razem. Wiedzieli, do czego to prowadzi.

Patrzę na inną stronę wypełnioną zapisem rozmów przez internet. Data sprzed pół roku. Wyjmuję swój komputer kieszonkowy. Tamten dzień to sobota. Godzina wczesnoporanna. Kiedy ja śpię jeszcze samotnie w naszym łóżku, Charles o wschodzie słońca jest w innym pokoju, przy komputerze z Jessicą. Dzielią się tym wschodem słońca, zaczynają razem dzień. Ich znajomość wyraźnie ewoluuje. Są mniej oficjalni, bardziej zuchwali, już nie przejmują się ortografią ani interpunkcją. Zaczynają od niewinnych uwag o pracy, o innych nauczycielach i uczniach, o zebraniach, zwykłych i nudnych sprawach. Potem to się zmienia.

Jessica [6:12] dosyć o pracy, myślę o tym, żeby znów cię ssać

Przerywam i biorę oddech. To mnie poraża jak grom z jasnego nieba.

Jessica [6:13] chcę cię czuć w ustach

Jessica [6:13] czuć jak pieszczą mnie twoje dłonie

Jessica [6:14] uwielbiam jak całujesz mój brzuch, ramiona, plecy

Charles [6:14] mów dalej

Jessica [6:14] maaaarzę żeby znów cię czuć

Jessica [6:14] chcę czuć między nogami, jaki jesteś twardy

Jessica [6:15] chcę żebyś się we mnie zanurzył

Jessica [6:15] pchał głęboko i mocno

Charles [6:15] jak głęboko jak mocno

Jessica [6:16] tak głęboko jak możesz dosięgnąć

Jessica [6:16] chcę żebyś chwycił mój tyłek

Jessica [6:17] pieścił językiem moje usta

Charles [6:17] mogę to zrobić

Znów patrzę na Davida Lawrence'a.

- Czytałeś to wszystko?

- Wyglądasz na... zestresowaną.

Język ciała i głos mnie zdradzają. Wydzielam odór swojej wściekłości.

- Po prostu muszę się czegoś napić, jeśli mogę cię prosić.

- Woda, wino, sok żurawinowy albo koniak.

- Wino. I szklankę wody.

Idzie przez pokój do minilodówki.

Czytam dalej o sekretnym życiu swojego męża, o nim i Jessice. Daty pokazują całe miesiące ich wzajemnych kontaktów, więc nie mogę udawać, że to bez znaczenia, że to coś, co się stało i odeszło w niebyt. Tu nie chodzi o przygodne bzykanko. To nie jest pieprzenie na chybcika. Oni się umawiają na randki. Do kina. Na plażę. Na komedię do Lucy Florence w Leimert Park. On przychodzi na jej aerobik i potem idą coś przekąsić do Jamba Juice albo Baja Grill, czasem jedzą potem kolację w Cheesecake Factory. Lunche w Santa Barbara. Muzeum Getty'ego. Jazda na rolkach wzdłuż plaży. Przejazdźka rowerowa z Playa Del Rey do Santa Monica. Idą na Mayę Angelou.

Oni nie mają romansu. To jest związek.

- Masz dosyć? - pyta, nie patrząc w moją stronę.

- Nie. Jeszcze nie skończyłam.

Biorę jednak oddech, podrzucam papiery na kolanach i dopiero po chwili wracam do lektury, do słów pożądania i zdrady. Czuję się jak idiotka: dlaczego nie wiedziałam, dlaczego pozwoliłam, żeby to zabrnęło tak daleko? Tak głęboko.

Jak powiedział David Lawrence, między tymi słowami były setki telefonów, o których nic nie wiem. To jest tylko jeden wątek ich związku. Wyobrażam sobie, jak mijają się w pracy, głowy mają pełne obscenicznych myśli, spotykają się na dwuminutowe rozmowy, flirtują za zamkniętymi drzwiami, obściskują się jak nastolatki na przerwach między lekcjami.

Charles [23:17] Wraca do domu taka wściekła, pieni się godzinami. Ja chcę, żeby weszła, objęła mnie, pocałowała, kochanie, jak minął dzień i tak dalej, a nie w ten sposób.

Jessica [23:17] Uhuu to chyba emocjonalnie wyczerpujące.

Charles [23:18] Owszem. O północy chcę żony. Chcę kochanki.

Jessica [23:18] Wiem coś o tym. Nam wszystkim przydałoby się trochę więcej uwagi.

Charles [23:19] Ja próbuję poświęcać jej uwagę. Słucham, ale zaczyna mnie boleć głowa, jak tylko ona wchodzi do domu, bo czuję, że za chwilę będzie dramat z powodu użerania się z szefową, marudzenie o korku na autostradzie, jakby to tylko jej dotyczyło... No nieźle, wyładowuję się na tobie, robiąc dokładnie to samo co ona. Przepraszam.

Jessica [23:21] Nie musisz. To normalne, że potrzebujemy czasem z kimś pogadać.

Charles [23:21] Potrzebuję jakichś pozytywnych wibracji... właśnie to w tobie lubię, że zawsze jesteś taka radosna i pozytywnie nastawiona.

Jessica [23:22] Jak często rozmawiacie?

Charles [23:23] Pracujemy na różne zmiany. Mijamy się przedpokoju. Kiedy ona przychodzi, ja śpię. Kiedy ja wstaję, ona jeszcze długo śpi. Wstaję wcześniej, bo lubię załatwić co trzeba i mieć potem dużo wolnego czasu.

Jessica [23:23] Przynajmniej w weekend możecie sobie pospać.

Charles [23:24] NIE. Wiesz, że ona ma wolny dzień w środę i pracuje we wszystkie weekendy. Jest tam w Wigilię, Boże Narodzenie, walentynki, moje urodziny, jej...

Jessica [23:24] Nie miałam pojęcia.

Charles [23:26] Możesz to nazwać związkim albo małżeństwem? Przyzwyczailem się, że jej tu nie ma, że jest poza zasięgiem. Czasami chcę, żeby już wyszła, bo wtedy przynajmniej w domu jest spokój.

Ich więź emocjonalna jest coraz silniejsza. Ona jest jego ramieniem, jego terapeutką via American Online. Charles mówi jej rzeczy, których nigdy nie mówił mnie, tłumaczy rozwlekle i szczegółowo źródła swego niezadowolenia.

Jessica [23:57] Od dawna tak jest?

Charles [23:57] Od jakiegoś czasu.

Jessica [23:59] Do diabła z pracą i korkami, powinna wchodzić do domu i mówić, że jesteś fantastyczny. Ja bym tak robiła. Wchodziłabym po północy ZDEJMUIJAC fikuśną bieliznę.

Charles [00:00] :) Może powinnaś do niej zadzwonić i dać jej kilka wskazówek.

Jessica [00:00] Gdybym to ja była twoją kobietą, przystojniaku, słyszałbyś tylko, że jesteś najseksowniejszym, najśłodszym facetem, jakiego znam, takim, dla którego chce się gotować.

Charles [00:01] Dzięki, Jessie :) najseksowniejszym?

Jessica [00:01] :) Nie udawaj, że o tym nie wiesz.

Charles [00:02] To ty masz ciało z tyłeczkiem jak grzeszny sen.

Jessica [00:02] Oblewam się rumieńcem.

David Lawrence wrywa mnie z tamtego świata, wymawiając moje imię. Stoi koło mnie, a ja go wcale nie zauważyłam. Wszystkimi zmysłami pograżyłam się w świecie Charlesa i Jessiki. Zmieniam pozycję, odkładam na bok papiery, on podaje mi butelkę wody Evian i kieliszek białego zinfandela. Dziękuję. Kiwa głową i wraca do swojego płótna. Piję zachłannie wodę, potem równie dużo wina, biorę kilka oddechów, skubię końce dredów, zaciskam usta i myślę. Chcę uciec. Ale znów biorę kartki i czytam. Przechodzę do zapisów z późniejszą o miesiąc datą, brnę przez bardziej jednoznaczne rozmowy, aż dochodzę do tego.

Jessica [20:34] chcę żeby mój orgazm rozlewał się we mnie od ud aż do żołądka i przez pochwę i chcę żebyś był we mnie tak długo jak wytrzymamy aż oboje się zanurzymy w jednym wielkim orgazmie

Zamykam oczy i kołyszę się przez moment. Jej słowa są zbyt mocne, zbyt dosadne. Sprawdzam datę. To wtorek. Jestem w pracy.

Charles [20:36] patrzyłem na ciebie dzisiaj w pracy

Jessica [20:36] naprawdę

Charles [20:37] tak :) widziałem, jak biegałaś z dziećmi na bieżni, kiedy ja miałem okienko, potem widziałem cię na boisku, gdy grałaś w siatkówkę ze swoją klasą, kiedy prowadziłem swoją piątą klasę do biblioteki. Kiedy podskakujesz, kołysz ci się piersi.

Jessica [20:37] nie myślałam, że zwracasz na mnie uwagę

Charles [20:37] jeszcze jak... ostatnio ciężko mi się powstrzymać od gapienia się na ciebie... naprawdę ciężko

Charles [20:40] rozmarzam się patrząc na ciebie, zaczynam sobie wyobrażać i myśleć „co by było gdyby”... gdybym cię poznał, zanim... wcześniej

Jessica [20:41] tak tylko mówisz? Piękne słówka??

Charles [20:42] nie

Charles [20:42] naprawdę

Charles [20:43] wyobrażam sobie, że jesteś przy mnie blisko

Charles [20:43] to dlatego, kiedy wchodzisz do stołówki, zaczynam być cały zdenerwowany

Jessica [20:43] dlaczego??

Charles [20:44] nie wiem... ciągle mówię, że powinniśmy się trzymać od siebie z daleka, ale widzę cię codziennie i to nie ułatwia sprawy, nagle muszę z tobą porozmawiać, potem idziemy gdzieś, żeby pogadać, potem albo łądujemy w łóżku w jakimś hotelu, albo kochamy się pod ścianą i wracam do domu marząc, żeby móc z tobą zostać, spędzić z tobą noc, obudzić się przy tobie

Jessica [20:44] dlaczego my to sobie robimy? czy dlatego, że trawa jest zawsze bardziej zielona po drugiej stronie płotu?

Jessica [20:44] dlaczego dlaczego dlaczego?

Charles [20:45] zastanawiałem się, jak by to było, gdybyśmy byli małżeństwem

Jessica [20:45] ja też się nad tym cały czas zastanawiam. Tamtego wieczoru, kiedy poszliśmy do teatru, zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie może być tak z Davidem. Myślisz, że może nam nagle przejść?

Charles [20:46] nie. myślę, że coś nas do siebie ciągnie i to jest bardzo silne, poza rozumem, poza kontrolą. nie potrafię wybić sobie tego z głowy

Jessica [20:46] ja też :) nie masz pojęcia, jak dobrze cię rozumiem

Jessica [20:49] czy POŻĄDANIE to nie jest wielka rzecz?

Charles [20:49] jasne, że tak. cholera, za bardzo chcę z tobą być

Jessica [20:50] jesteś niebezpieczny

Charles Charles [20:50] ty też

Jessica [20:50] i wszystko jest w tobie tak intensywne, masz w sobie tyle żaru

Charles [20:51] to ty jesteś naprawdę gorąca, gdybym był w połowie tak niebezpieczny jak ty... cholera... wyobraziłem sobie, jak smakujesz...

Przełykam ślinę i opuszczam kartki na kolana. Odchrząkuję i z trudem łapię oddech. To uczucie dławienia w gardle pojawia się i mija. Drżącą ręką podnoszę kieliszek i wypijam połowę wina jednym łykiem. Pocał mi się dłonie. Wychylam resztę wina i chcę więcej.

Jessica [20:54] poważnie. muszę być z tobą ostrożna bo ponoszą mnie emocje i zaczyna mi odbijać. Chyba nie jestem seksualnie wyzwoloną kobietą za jaką się UWAŻAŁAM. Jeszcze będę odszczekiwać swoje słowa.

Przechodzą mnie ciarki. Znam jej język. Oddała się od swojego męża, zakochuje w moim, ale próbuje bagatelizować ich więź uczuciową, póki nie będzie wiedziała, na czym stoi. Coś mi mówi, że David Lawrence obserwuje, jak brnę przez tę dolinę bólu. Trzęsą mi się nogi. Pociągam nosem, dotykam twarzy. Spodziewam się łez, ale moje oczy są suche. Mam wrażenie, że czuję na sobie spojrzenie Davida. Spoglądam w jego stronę; jest pochłonięty pracą.

Charles [20:59] tak choleeernie dobrze jest z tobą być :) trudno opisać to ciepło

Jessica [20:59] spróbuj

Charles [20:59] to tak jakbym nie chciał dojść do mety tylko przeciągać to uczucie w nieskończoność i patrzeć jak dochodzisz, i jeszcze raz i jeszcze, aż więcej nie możesz.

Jessica [20:59] co chcesz robić? naprawdę muszę się z tobą zobaczyć.

Charles [20:59] spotkajmy się na miejscu w czwartek. Mogę być po trzeciej.

Jessica [20:59] chcę cię czuć w sobie nasze ciała pod strumieniem wody z prysznicą ręce błądzące po śliskiej skórze słodko pachnące ciała mokre i twarde i miękkie jednocześnie zlizywanie z siebie nawzajem wody

Charles [21:00] i spróbuję dostać ten sam pokój

Jessica [21:00] jesteś miłością mojego życia, Charles. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Papier wyślizguje mi się z ręki jak bryła betonu. Ich słowa spadają z hukiem na podłogę. Wstaję. Muszę się przejść. Moje botki wystukują niespokojny rytm na drewnianym parkiecie, podczas gdy próbuję strząsnąć z siebie to ohydne uczucie, ale ono mnie nie odstępuje, oblepia mnie. Charles nie wspomina o mnie. Nie daje mi imienia. Albo jestem *Ona*, albo *Żona*. *Żonka*. Poza tym nie istnieję dla niego, kiedy jest z nią.

David Lawrence podchodzi do mnie bezszelestnie od tyłu. Jestem tak pochłonięta odmierzaniem kroków i myśleniem o e-mailach, że go nie zauważam. Dotyka mojej talii. To mnie przejmuje strachem.

- Twój mąż pierdolił moją żonę.

Patrzemy na siebie i tym razem jest inaczej. Teraz go znam.

- Mój mąż nie pierdolił twojej żony. - Mój głos brzmi łagodnie. Nie uwodzicielsko, ale przypomina ton zdumionego dziecka. - Oni byli w autentycznym związku, a potem przychodzili do swoich domów i pieprzyli się z nami.

Przyciąga mnie do siebie, sunie ręką w górę po moich plecach, wplata palce we włosy, ujmuję dłonią tył głowy. Nie wyrywam się.

- Chcesz mnie zranić, prawda? - mówię.

- Może chcę. Może zranię.

- Nie kocham cię, więc nie możesz mnie zranić. Charles jest jedynym mężczyzną, który może mnie zranić.

- I zranił cię.

- Jak skurwysyn.

David Lawrence zabiera mi swój sweter, robi to spokojnie i wolno, pierwszy krok do rozebrania mnie, do rozebrania żony swego wroga, a potem głaszcze mnie przez chwilę i kładzie usta na moim ramieniu. Myślę, że jest przestraszony, przepełniony bólem i zakłopotany. Myślę też, że jest wściekły. Może to tylko odbicie moich uczuć. W pewnym momencie chcę go powstrzymać. Ale zaraz potem myślę o tym, co powiedział przy lunchu, że jesteśmy już biologicznie związani. Nigdy się nie dotykaliśmy, ale jesteśmy już partnerami, byliśmy partnerami przez większą część roku.

To wzmaga we mnie złość.

Nadal chcę go odepchnąć i nie chcę, żeby przestał. Przeglądam się w nim. Stał się moim lustrem albo ja stałam się jego lustrem. David Lawrence widzi, co czuję, zamyka oczy, zaciska zęby, żar jego udręki czuję w delikatnym podmuchu na swojej szyi.

Sprzeczne uczucia zalewają pokój; głośzą wszystkie dźwięki; tłumią zapach terpentyny.

Jego głos jest poważny, skupiony.

- Powstrzymaj mnie.

- Nie przerywaj - szepczę.

- Powstrzymaj mnie - mówi mniej spiętym tonem, ale słyszę w nim lęk.

- Jestem zraniona i chcę się czuć dobrze, mimo że czuję się tak źle. Wsuwa mi rękę pod bluzkę, dotyka moich piersi.

Dzieli mój ból, to kurewstwo, które na nas spadło, i jest jedyną osobą, która wie, co czuję. Zapada między nami milczenie. Odwraca mnie plecami do siebie, przyciąga. Jego pragnienie zemsty rośnie przy moich pośladkach. Przywieram do niego, dając do zrozumienia, że panuję nad sytuacją, że jestem w pełni świadoma tego, co się dzieje, i że nie może zrobić niczego, czego sama nie będę chciała.

- Jak ona wygląda? - szepczę.

Mam otwarte oczy i patrzę w okno. W mroku szyba staje się lustrem i widzę siebie. Tę nową wersję swojej osoby. David Lawrence obejmuje mnie ramieniem.

- Jest niska, bardzo ciemna, skośne oczy, szerokie kości policzkowe. Proste włosy do ramion, cieniowana fryzura. Od szyi w górę wygląda jak czarna Japonczka.

Rozszerzają mi się nozdrza. Prycham.

- Charles nienawidził mojej trwałej. Zawsze żartował, że nie jestem na czasie, z prostymi włosami wyglądam zbyt pospolicie, za mało etnicznie jak na jego gust. Mówił, że uwielbia dredy.

David Lawrence ociera się o mnie, delikatnie masuje moje piersi.

- Nie bądź miły. Nie udawaj. Wiem, co jest grane.

Bierze mnie za rękę i sadza na łóżku. Patrzymy sobie prosto w oczy, gdy kładę się na jego zmiętej pościeli; spódnica podjeżdża mi wysoko nad kolana. On zdejmuje spodnie, potem czarne bokserki i staje przede mną. Zadziera moją spódnicę aż do talii, ściąga stringi przez buty, ciska je na bok. Łądują na tamtej stercie kartek. Rozkładam szeroko nogi. Nie spuszcza z siebie wzroku. Moje spojrzenie mówi, że nie jestem wcale słaba, że mam świadomość tego, co jest grane. Osuwa się na mnie. Przyciągam go. Kładzie twarz obok mojej, wchodzi we mnie i zaczyna raczyć mnie swoją złością. Podciągam mu w górę T-shirt, obejmuję go w pasie i wpycham w siebie, gdy usiłuje spełnić swoją zemstę.

Dźga mnie wszystkim tym, co go dręczy. Szaleństwem. Poczuciem winy. Czuję to z każdym pchnięciem. Próbuje mnie zranić. Próbuje zranić Charlesa. Próbuje zranić swoją żonę. Chcę, żeby dźgał mnie dotąd, aż wszystko, co czuję w środku, umrze.

Nagle przestaje. Kładzie się koło mnie, zapada w głuche milczenie, gapiąc się w sufit. Akt zemsty zakłócają mu jakieś myśli, jakieś uczucia.

Jego twarz jest udręczona poczuciem winy. Tak jak moje myśli.

Przez długą chwilę nic nie mówimy. Odwracam się od niego, leżę na boku i patrzę przez okno w ciemność. Nagle chce mi się sikać. Wstaję i obchodzę jego rzeczy, unikając sztalug i stołów kreślarskich, otwierając i zamykając kolejne drzwi, aż znajduję łazienkę. Włączam światło. Kobieta w lustrze, nie znam jej. Nigdy przedtem jej nie widziałam.

Kiedy wracam, David Lawrence leży na brzuchu, prezentując napięte pośladki i mięśnie pleców. Wojownik w spoczynku. Jego stopa kiwa się z boku na bok w nerwowym tempie. Kiedy dotykam jego ręki, przestaje machać stopą. Podwija palce i gładzi moją dłoń.

- O czym myślisz?

- O mojej mamie. - Ma ochrypły głos. - O moim staruszku.

- Okej.

- Mój tata był kierowcą ciężarówki, miał firmę niedaleko siedziby Teamsters* przy drodze numer trzynaście na ulicy Naylor. Często, zamiast być w pracy, mój stary spędzał czas w łóżku z jakąś młodą dziewczyną, która pracowała w sklepie Wawa.

* Teamsters Union - jeden z największych związków zawodowych w USA.

Zamyka oczy, wspominając.

- Kiedyś tata dał się przyskrzynieć z panienką z Wawy w hotelu Lakeside, w jednym z tylnych pokoi tej spelunki. Mama zaparkowała swojego forda F-150 na samym końcu, zastawiając samochód tej dziewczyny, bo to ją chciała popędzić.

- F-150. Twoja mama musiała być... ostra.

- Mama była dobra w przepędzaniu kobiet mojego starego. Wszystkie nazywała panienkami z Wawa, nieważne, kim były, nieważne, gdzie pracowały.

- Więc było ich więcej.

- Tak. Mama pogoniła panienkę z Fabryki Drzwi Opuszczanych Yoddera, potem panienkę ze sklepu Dutch County, skopała jej tyłek w pewną niedzielę w motelu Sunrise. Firma budowlana Dukess Lumber, Warren Electric i kilka innych miejsc wzdłuż całej trzynastki - wszędzie widzieli moją mamę w akcji.

Milczenie.

- Gdzie jest teraz twoja matka?

- W więzieniu. - Otwiera oczy. - Zabiła jedną z kobiet mojego starego.

- Zabiła panienkę z Wawa? Kiwa głową.

- Gdzie jest twój ojciec?

- Ciągle w Dover. Jeździ tam i z powrotem drogą numer trzynaście.

Ból rozognia mu skórę. Zerkam przez pokój na jego pistolet. Zaczynam masować mu plecy, ugniatam ramiona i szyję, robię to w troskliwy sposób, tak jak wiele razy robiłam Charlesowi. David Lawrence ma napięte mięśnie. Posuwam się od pleców do pośladków. Potem masuję uda i łydki. Ma twarde, masywne nogi jak zawodowy piłkarz. Przestaję go dotykać i odsuwam się. Znów milczymy. David kręci się przez chwilę, potem wstaje i idzie do łazienki. Śledzę go wzrokiem. Jego penis jest duży, nabrzmiały, w stanie pośrednim między twardym a miękkim. Kładę się z powrotem na boku. Słyszę, jak sika. Unoszę się na łokciu, szukając wzrokiem broni, którą ma na tamtym stoliku. Podchodzę i biorę pistolet do ręki. Jest ciężki. Wyobrażam sobie, że zabijam Jessicę. Zabijam Charlesa. Zabijam siebie.

Słyszę spuszczenie wody. David Lawrence wychodzi i widzi mnie, ze swoim pistoletem w ręku.

- Mama mówiła, żeby nigdy w nikogo nie celować, chyba że naprawdę chce się go zabić.

Znów mierzymy się wzrokiem.

- Jaki to typ pistoletu?

- Kolt defender.

- Nabity?

Prawie się uśmiecha. Przechodzi mnie dreszcz.

Odkładam pistolet i wracam na łóżko. Zamykam oczy. Jego stopy wydają taki odgłos, jakby kleiły się do podłogi. Słyszę, że podchodzi do umywalki, myje ręce, potem grzebie w czymś przez chwilę i wraca. David Lawrence obraca mnie na brzuch, rozbiera do naga. Coś zimnego i lepkiego kapie mi na plecy.

Podskakuję.

- Spokojnie. To balsam.

Odwracam głowę; ramiona mam rozpostarte jak ramiona krucyfiksu. Wzdrygam się, kiedy wylewa następną porcję płynnego kremu na moje ciało, długą stróżką od ramion do łydek. Masuje mnie od szyi w dół do pośladków, potem niżej do stóp i z powrotem w górę. Jego dłonie są delikatne i silne zarazem.

- Dużo zostało powiedziane w tych e-mailach - mówię.

- Dużo. Ale też dużo nie zostało powiedziane.

- Nie wiemy, o czym rozmawiali bezpośrednio.

- Nie wiemy.

Pociera kolistym ruchem moje pośladki, rozchyła, dotyka mojego sromu, ogrzewa jego ciepłem swoją dłoń i wsuwa we mnie palec. Pcha głęboko, potem wycofuje się i zaczyna masować lechtaczkę. Próbuję udawać, że nic nie czuję, ale moje podrygi i jęki mówią same za siebie.

Trudno mi zachować normalny głos.

- Ile razy... jak myślisz... ile razy to robili?

- Nie wiem. - Odchrząkuje. - Nie chcę o tym myśleć.

- Wiesz, że o tym myślisz.

- Tak, myślę.

- Zgaduj.

- Trzydzieści. Czterdzieści.

- Przez osiem miesięcy.

- A ty jak myślisz?

- Sto?

- Nie wiem. W moim sercu jeden raz jest tym samym co sto razy.

Opada na mnie i czuję dotyk jego skóry. W pokoju ciągnie chłodem. Moje plecy są zimne. Napiera na mnie penisem, szukając wejścia do pochwy. Przesuwa go między pośladkami, więc wyginam plecy, kierując go na południe. Nie dotykam jego członka. Nie pomagam mu znaleźć drogi do jego zemsty. Znajduje mój przedsionek i włacza się do środka. Jestem wilgotna. Bardzo wilgotna. To mnie dziwi. Odczekuje chwilę i zaczyna się kołysać wolnym jednostajnym rytmem. Gwałtownym szarpnięciem podciąga mnie na kolana. Trzymając za biodra, odpycha mnie i przyciąga, sondując głębiej, w lepszym tempie. Zaciskam palce na pościeli, uprzedzając każde pchnięcie. Jestem taka śliska. Nie chcę tego, ale znów zaczynam pojękiwać. Zaczynam czuć.

Zadaję mu pytanie.

- Masz. Zamiar. Wziąć. Mnie. Sto. Razy?

- Jeśli będę musiał.

Rusza się we mnie niemiarkowo, najpierw wolno i płytko, potem mocno i głęboko, jakby zadawał mi ciosy, i to mnie ostro bierze. Jestem wysoko nad urwiskiem, skaczę, lecę powoli w dół.

Patrzę na swoją dłoń, widzę obrączkę. Szarpie posłanie.

- Chcę. Żebyś. Przestał.

- Powiedz kiedy.

Pcha dalej i dalej, podnosi mój poziom energii. To uczucie spadania zabiera mi wiatr z żagli.

- Przestań.

Nie słucha, ale zwalnia tempo, nie jest tak natarczywy. Próbuję wrócić do patrzenia w okno; próbuję coś zrobić, żeby nie było mi tak cholernie dobrze.

- Jessica uczy też aerobiku - mruczę.

- Tak.

- Czy ona... jej ciało... jest bardzo ładne?

- Zależy, co kto lubi.

Czuję go. Lekkie przyjemne dźgnięcia, w głąb i z powrotem, jedno za drugim. Muszę zamknąć oczy, tłumić swoje jęki.

- Jest wyższa ode mnie?

- Ty jesteś wyższa.

Głaszcze mnie, całuje plecy, wraca do nurzania się w moim grzechu.

- Drobniejsza? Czy jest drobniejsza?

- Dobrze zbudowana, ale ty masz lepsze nogi.

- Muskularna?

- Po prostu dobrze zbudowana.
- Jak się ubiera?
- W pracy nosi dresy.
- A poza pracą? Kiedy idzie do teatru czy do kina...?
- Jest strojnisią. Uwielbia się ubierać.
- Jej głos... opisz jej głos.
- Na ogół miękki.
- Mój jest ostry. Nie zmysłowy. Nie uwodzicielski.

Nie mam więcej pytań. Wystarczy mi tego malowania jej obrazu. David łapie mnie za talię, podnosi z powrotem na klęczki i wpycha się głęboko, szarżując dalej. Nie jest całkiem twardy.

- Przestanę - mówi.
- Nie.

Myślę o Charlesie. Wyobrażam sobie, jak cudzołoży z Jessicą. Widzę ich ze sto razy, na sto sposobów. David Lawrence twardnieje. Rośnie we mnie, a ja pomrukuje, dając mu znać, że go czuję, że jestem skupiona. Jego ruchy nabierają wigoru, stają się bardziej agresywne. Kiedy uderza w moje pośladki z suchym plaskiem, wyobrażam sobie, że to odgłos razów, którymi okłada mego męża. David Lawrence potrąca odpowiednią strunę i traci zdolność myślenia. Nie chcę, ale ruszam się razem z nim, zderzając się w połowie drogi z jego biodrami. Czuję, jak we mnie pęcznieje i mam wrażenie, że lewituję. Czuję gwałtowne odprężenie. Tyle dźwięków wydobywa się z moich ust.

Nagle on zwalnia.

Dyszę, krztuszę się, usiłuję złapać dech i kiedy dochodzę nieco do siebie, zadaję mu pytanie.

- Doszedłeś?

Pot ścieka mu z twarzy, kapie na moją wilgotną skórę.

- Nie. - Ma spięty głos.
- Nie wytryśnij w środku - mówię szeptem.

Wysuwa się, muska ustami moje plecy, ramiona, zanurza we mnie zęby, sprawiając mi ból, podniecając mnie, i znów napędza mi strachu. Wodzi ustami po mnie całej, potem obraca mnie, podkłada obie ręce pod moje pośladki, unosi biodra, nurkuje między uda, zaczyna lizać okrężnym ruchem lechtaczkę. Wsuwa we mnie język. Kładę ręce na jego głowie, każdą chwytam garść włosów, próbuję go odepchnąć. Jest nieustępliwy. Przestaję z nim walczyć, pozwalam się lizać, pozwalam, żeby ssał mi lechtaczkę. Jest w tym dobry. Słyszę swój urywany oddech. Robi mi minetę, tak jak Miles Davis grał na trąbce, a ja wyśpiewuję wszystkie nuty. Naprężam się i łapię go za głowę, ciągnę za grube włosy, rozpalam się coraz bardziej. Uciekam przed orgazmem, ale w końcu

mnie dopada, nie jestem w stanie uciekać dalej. Ręce opadają mi na boki i sięgam po coś, czego mogłabym się uchwycić. Walczę i wydaję dźwięki kobiety, która broni się przed nieuniknionym. Sztywnieją mi pośladki i elektryczny dreszcz pełźnie przez moje nogi od palców w górę. Dreszcz eksploduje ogniem i z moich ust wyrywa się krzyk. Nie krzyk kobiety, która łaknie spełnienia, lecz kobiety, która nie chce się poddać się orgazmowi; gardłowe jęki uwalniają się z mojej krtani, gdy uczucie ekstazy wyważa kopniakami drzwi. Orgazm wpełza mi na plecy, wygina w łuk kręgosłup, wstrząsa całym ciałem. Jestem pod wodą, próbuję tam oddychać. Trzymam się ze wszystkich sił.

Szczytuję ostro.

Szczytuję bosko.

Szczytuję głośno.

Szczytuję jak wściekła kobieta.

I zanim spazmy rozkoszy ustana, przyplęwa następny orgazm. Wypręgam się gwałtowniej niż za pierwszym razem, a moje jęki i krzyki przerażają mnie samą. David Lawrence obejmuje ciasno moje uda, nie pozwala mi się wyrwać. Biję go po głowie. Nie przestaje. Dochodzę jeszcze dwa razy. Wszystkie moje nerwy są pobudzone. Jestem zbyt wyczulona. Zalewa mnie fala, szarpie się, drzę, nie mogę złapać tchu.

David daje mi spokój, odpoczywa z twarzą między moimi nogami. Po chwili wczługuje się na mnie z powrotem, obserwuje, jak przeżywam gasnące spazmy po orgazmie. Czuję jego urywany oddech, kiedy zbliża usta do moich. Chce mnie pocałować, chce, żebym dała mu język, i ja chcę go pocałować jak należy, żeby to nie stało się jeszcze bardziej tandetne w odczuciu, niż już jest. Wyciągamy ku sobie języki, ale coś nas powstrzymuje. Jego twarz zawisa nad moją twarzą. Przeciąga tylko językiem po moim wilgotnym policzku, ssie szyję, odsuwa włosy z twarzy i robi to samo z moim uchem. Całowanie jest dla mnie czymś zbyt intymnym. Całowanie wiąże się z uczuciem.

Trzymam jego penis, przesuwam dłonią w górę i w dół, czuję, jak nabrzmiewa. Pochylam się nad nim i chucham, rozniecam jego ogień. David drży, wierci się, zastanawia, czy wezmę mu w usta. Nie biorę. Jestem ciekawska, oglądam jego członek, nie przerywając swoich zabiegów. Jest piękny, niemal poetycki, w różnych odcieniach brązu od czekoladowego do prawie różowego, i kiedy go rozciągam, widzę wszystkie pośrednie kolory. Jego skóra ma wiele barw jak zapierający dech zachód słońca.

Ściskam go, pobudzam rytmicznym ruchem dłoni, podziwiam. Widzę kropelki podniecenia na czubku żołądki. David marszczy twarz, napina mięśnie, prze do orgazmu. Przyspieszam ruchy. Jest bliski mety. Zwalniam tempo. Utrzymuję go na tym poziomie przez dłuższy czas. Zadaję mu udrękę. Jego twarz ma trzy odcienie czerwieni, płonie jak rozżarzone węgle. Pot ścieka mu z czoła. Na ramionach pulsują nabrzmiałe żyły. Jego oddech jest płytki i niespokojny. Patrzy na mnie bez

jednego mrugnięcia, ale wiem, że jest gdzieś daleko, że mnie nie widzi. Wszystko zamazuje mu się przed oczami, przebywa poza własnym ciałem. Obserwuję go. Stęka, zamyka oczy, szamocze się i wyciąga po mnie ręce, chce znów we mnie wejść, ale mu nie pozwalam.

Zmieniam rytm na trochę szybszy. Czuję, jak pręży mięśnie, unosi biodra ku mojej dłoni. Jest twardy i mam ochotę go dosiąść, chcę następnych niekończących się orgazmów, chcę, żeby to doznanie odsunęło wszelkie złe uczucia, które kotłują się w moim wnętrzu, te, które robią mi kompletny pieprznik w głowie. Ale nie wchodzę na niego. Przyspieszam tempo. On wbija paznokcie w łóżko, wyciąga ręce i dotyka moich piersi, masuje mnie, przyciąga wystarczająco blisko, żeby włożyć mi rękę między nogi. Odsuwam biodra, żeby nie mógł rznąć mnie palcami i zdekonzentrować.

Jego penis robi się bardzo sztywny, jeszcze większy; fascynuje mnie ta zmiana i nagle jego przyjemność eksploduje. David rzuca się, zaciska palce na pościeli i głośno stęka. Trzymam się jego twardej furii, nadal jeszcze pracuję ręką, aż wreszcie jestem pewna, że dokończyłam dzieła. On się uspokaja, jego krzyki zamierają. Przerrywam, kiedy przytomnieje, kładzie rękę na mojej dłoni, poklepuje mnie i prosi, żebym przestała.

Siadam przy nim, słucham jego chrapliwego oddechu, wciągam w nozdrza jego wonie, wdycham swoje własne, wdycham mieszankę naszych zapachów, patrzę, jak unosi się i opada jego tors, widzę, jak wraca mu normalny oddech.

Ładunek przyjemności, który zostawił na mojej dłoni, robi się zimny.

Nie widzimy siebie nawzajem. On widzi żonę Charlesa. Ja widzę męża Jessiki.

Idę do łazienki, znajduję ręcznik i podmywam się.

Chcę czuć do siebie odrazę. Ale nie czuję. Jeszcze nie.

Jest czwarta nad ranem. Przedświt nowego czwartku.

Wracam i wkładam wygniecione ubranie, majtki i stanik wpycham do torby.

Przez moment gapię się na rozrzucone na podłodze kartki. Potem patrzę na pistolet.

Zbieram kartki. Większość z nich kładę koło pistoletu.

David Lawrence jest na łóżku. Leży na brzuchu. Nieporuszony. Gapi się na obraz nagiej dotykającej się kobiety. Ona ma olśniewającą ciemną karnację, skośne oczy, wydatne kości policzkowe. Włosy prostowane trwałą i cieniowane.

Wychodzę.

Charles podnosi głos.

- Gdzieś ty była przez całą noc?

Jest na górze w naszej sypialni. Jego głos dobiega mnie, gdy stoję w korytarzu.

Nie wiem, jak się czuję. Jestem pasażerką w pociągu, który nie ma stacji docelowej.

Jadąc do domu z odkrytym dachem, kiedy zimny wiatr chłodził moje ciało, czułam się jak kobieta, która wraca do swojego zamku, żeby zabić smoka. Byłam tak pewna swojego celu. Teraz czuję się jak żona, która złamała siódme przykazanie. A może szóste? Nawet nie wiem, przeciwko któremu punktowi dekalogu zgrzeszyłam. Tak czy inaczej czuję się jak pobożna dziewczynka, która zeszła z dobrej drogi i teraz jest w pociągu ekspresowym do piekła.

Kroki Charlesa są ciężkie. Jest na górze, kroczy energicznie przez korytarz.

Zamykam drzwi wejściowe i stoję bez ruchu, zastanawiając się, czy nie powinnam była pojechać do Yvette albo do jakiegoś hotelu, żeby ochłonać. Ale to jest mój dom. Mój zamek, który pomogłam kupić, zaharowując się w stresującej pracy.

Zatrzymuje się na szczycie schodów, w części poddasza, która służy nam za bibliotekę. Nie widzę go, ale czuję jego energię. Jest nabuzowany jak piec, prawie do czerwoności, i promieniuje na cały dom.

Zbliża się świt, pora, której nie oglądałam od wieków. Charles zapala światło w górnym korytarzu i schodzi na dół. Jest bosy, ma na sobie ciemnoniebieskie spodnie od pizamy marki Old Navy i rudobrązowy podkoszulek.

- Gdzie byłeś? - powtarza pytanie.

Nie odpowiadam, on ziele ogniem i schodzi ciężko do połowy schodów, mówi, że przez cały wieczór dzwoniła tu Yvette i moja firma.

Nie chowam się przed Charlesem. Zapalam światło, żeby mógł dobrze się przyjrzeć swojej żonie. Zmienia mu się wyraz twarzy. Widzi kobietę z potarganymi włosami, w zmiętym ubraniu, z zaschłym potem na twarzy, może czuje zapach obcego mężczyzny. Ja widzę mężczyznę z podpuchniętym okiem, mężczyznę, który omal nie został zastrzelony na szkolnym parkingu, mężczyznę, który całą noc przewracał się i wiercił w łóżku, i być może nie była to pierwsza taka noc. Kłamstwo, poczucie winy i strach zmieniają miękkie poduszki w beton, sprawiają, że najłżejsza kołdra wydaje się ciężka jak kamień.

Stoję przed schodami z torbą w ręku i odbijam jego spojrzenie jak piłkę.

Jestem przerażona. Przeraza mnie to, kim teraz jesteśmy. To, kim ja teraz jestem. Jestem jakąś obcą osobą unoszącą się nad tym pokojem, patrzącą na dwoje ludzi, których nie znam.

- Łatwo ci było pierdolić ją, a potem wracać do domu?

- Nie wchodź tu z taką gadką.

- Wiesz, na czym polega paranoja? Mogłam zostać wdową i nigdy się nie dowiedzieć dlaczego.

- Nie teraz - warczy. - Nie róbmy tego teraz.

- Będziemy to robić wtedy, kiedy ja zechcę, Charles - odwarkuję.

Wszystko się we mnie gotuje na jego widok. Tamte słowa, wszystko, co mówił i czym się dzielił ze swoją kochanką przez tyle miesięcy, cała ta wściekłość buzuje mi pod skórą.

- Po tym, jak pieprzyłeś się z nią po raz pierwszy, powinieneś był przyjść do domu i żałować za grzechy, ale ty ciągnąłeś to dalej, jakby nic się nie stało.

Mierzy mnie wzrokiem z góry na dół, raz po raz.

- I ciągnąłbyś to dalej, jakby nigdy nic. W nieskończoność.

Moje słowa go drażnią.

- Przez osiem miesięcy pieprzyłeś się z tą dziwką i wracałeś do mnie.

Oczy robią mu się coraz większe i jego wściekłość przechodzi w strach. Znów gapi się na moje zmięte ubranie, potargane włosy, może wyczuwa w moim oddechu zapach wina.

- Czy to się stało dwa razy, Charles? Tylko dwa razy w ciągu ośmiu miesięcy?

Żyła nabrzmiwa mu na szyi, pulsuje w rytmie wyznaczonym przez łomot jego serca.

Chcę, żeby walczył. Musi stać się smokiem, żebym mogła go zabić.

Ale Charles nie jest smokiem. Jest mężczyzną. Mężczyzną, za którego wyszłam za mąż.

- Odpowiedziałeś na pytania, prawda?

Waha się, otwiera i zaciska palce.

- Te pytania są bezsensowne.

- A seks z żoną innego mężczyzny był sensowny?

Zaciska dłonie w pięści.

Przybieram ton w stylu „nie próbuj ze mną pogrywać”.

- Wiesz, że mogę się dowiedzieć wszystkiego, co naprawdę chcę wiedzieć.

- Posłuchaj, gdzie... - Głos ma ostry, ale urywa, drżą mu nozdrza. Bierze się w garść, spuszcza z tonu, słowa więzną mu w gardle. - Gdzie byłaś? - powtarza.

Tym razem zadaje to pytanie w inny sposób. Chce wiedzieć, co ja wiem.

Uśmiecham się pod nosem, prawie się śmieję. Próba wypytywania mnie jest groteskowa.

Kiedy wchodzę na schody, łapie mnie za lewe ramię. W jego mocnym uścisku jest desperacja i złość. Patrzę na niego jak na wariata i wyszarpuję się gwałtownym ruchem.

- Dotknij mnie jeszcze raz i „póki śmierć nas nie rozłączy” nastąpi znacznie wcześniej, niż którekolwiek z nas planowało.

Unosi dłonie w przepraszającym geście, a ja omijam go w pośpiechu. Nigdy mnie tak brutalnie nie potraktował, ale też nigdy nie mieliśmy takiej historii. Jestem tak zdenerwowana, że na szczycie z schodów wypada mi z ręki torba. Kartki, które były na wierzchu, rozsypują się po dywanie.

Charles wbiega za mną i staje obok. Serce bije mi szybciej.

Zbieram kartki i rzucam mu je w twarz, żalując, że to nie kamienie.

- Co to jest? - pyta.

Idę do sypialni i trzaskam drzwiami. Łapię oddech i rzucam torbę na skórzany fotel. Czekam na wejście smoka. Czekam, żeby drzwi wyleciały z zawiasów.

W korytarzu panuje cisza. Gęsta cisza, taką słyhać na kilometr.

Na tamtych kartkach jest zapis internetowych rozmów między nim a jego kochanką. Ukradłam je. Nie jestem głupia. Nie zamierzałam opuścić pracowni Davida Lawrence'a bez dowodu przestępstwa.

Jessica [6:18] Jesteś dziś zajęty?

Charles [6:18] Idę do kościoła :) a potem żonka gna do pracy :)

Jessica [6:18] David ma wystawę w San Diego, nie będzie go przez cały weekend.

Charles [6:19] :)

Jessica [6:19] :)

Charles [6:19] będę wolny o drugiej

Jessica [6:19] :) chcę, żebyś koło trzeciej łapał mnie za tyłek

Charles [6:18] :) o wpół do trzeciej

Wyobrażam sobie, że Charles jest za tymi drzwiami, ogłuszony. Czyta z otwartymi ustami, potem bierze kilka długich, głębokich oddechów i zamyka oczy, nim wypuści z płuc całe powietrze.

Jessica [6:59] myślę o tym, jak witam się w łóżku we śnie. Śniłam o tobie, obudziłam się podniecona jak diabli

Charles [6:59] ze mną jest to samo, musimy się cholernie pragnąć

Jessica [7:00] chciałabym móc cię kochać w tej chwili, tak samo... nigdy w życiu nie było mi tak dobrze w łóżku, przy tobie kobieta jest taka słaba, ciągle sobie mówię, że się opamiętam, potem idę do pracy i widzę ciebie, patrzę ci w oczy i jedyne, czego chcę, to być z tobą

Jessica [7:01] chcę, żeby wszystkie twoje fantazje stały się rzeczywistością... daj mi tylko czas

Jessica [7:01] kocham cię... chcę, żebyśmy byli razem

Charles [7:01] wiesz, że w tej chwili to zbyt skomplikowane

Jessica [7:01] nie mogę znieść myśli, że dotyka cię ktoś poza mną

Jessica [7:04] jestem przy tobie szczęśliwa... przy tobie chcę być lepsza. i jestem taka wdzięczna losowi, że cię mam. Nie będę mogła z tobą być aż do czwartku

Charles [7:01] :) czwartek wydaje się tak odległy, jakby to miało być za miesiąc

Charles jest za drzwiami i tak samo jak ja, kiedy czytałam te pożądliwe listy, ma nadzieję, że słowa się zmieniają, że ta rzeczywistość zniknie.

Jessica [16:33] zadzwoń chcę się z tobą zobaczyć

Charles [16:33] okej zadzwonię później. Ona została wezwana do pracy

Jessica [16:34] zadzwoń do domu jak najszybciej

Charles [16:34] tylko na komórkę, nie bądź lekkomyślna

Jessica [16:35] nie dbam już o to

Charles [16:38] nie bądź nieostrożna

Jessica [16:38] on wraca z Kanady dopiero w czwartek

Charles [16:38] To żadne usprawiedliwienie. Nie bądź nieostrożna Jessie

Jessica [16:38] Zadzwoń teraz.

Charles [16:38] mówiłem ci że jeszcze nie jestem sam

Jessica [16:39] musimy porozmawiać o tym, jak rozwiążemy naszą sytuację. Musimy się zastanowić, jak to zrobić.

Jessica [16:41] halo

Charles [16:42] bądź cierpliwa

Jessica [16:42] nie mogę czekać dłużej. Sama myśl, że nie mogę być z tobą, jest dla mnie torturą. Musimy porozmawiać.

Jessica [16:55] Halo? Jesteś tam?

Jessica [16:56] Halo?

Charles [16:59] Zadzwoń, kiedy ona wyjdzie

Jessica [16:59] jesteś miłością mojego życia. Nie wyobrażam sobie ani dnia dłużej bez ciebie

W sypialni jest koszmarny bałagan. Łóżko nieposłane. Trzy puste puszkę stroh'sa* na szafce nocnej. Wszędzie porozrzućane ciuchy. Czarne rękawice bokserskie na środku podłogi. Przepoczone ubrania wiszą na ścianie kabiny prysznicowej. Jego ciężki worek bokserski był na dole w garażu, blokował moje miejsce do parkowania, więc musiałam zaparkować na podjeździe i weszłam do domu przez drzwi frontowe. Wyładowywał swoją złość, próbując przywołać młodość. Walił w ciężki worek, jakby szykował się do rewanżu swojego życia.

* Marka piwa.

Kiedy w łazience spoglądałam w lustro, widzę tęczę kolorów, które zaschły na mojej twarzy i szyi, nawet na piersiach. Czerwienie i żółcie, ślady farby z ciała Davida Lawrence'a upstrzyły smugami i cętkami moją skórę. Słyszę łomot swojego serca, bębnienie Davida Lawrence'a odbija się echem między moimi nogami. Odkręcam prysznic, potem oglądam przez okno wschód słońca.

Wciąż nie słyszę Charlesa. Pewnie czyta właśnie ostatnią stronę.

Temat: Co do ciebie czuję

Godzina: 23:34:02 czas letni wybrzeża Oceanu Spokojnego

Od: Jessica Do: Charles

Za każdym razem, kiedy mnie dotykasz, jakaś część mnie odchodzi od niego. Za każdym razem, kiedy opuszczamy naszą przystań, nasz raj, czuję się winna. Nie z powodu tego, co robimy, ale dlatego, że porzucam ciebie. Siedzę ze swoim mężem, rozmawiam ze swoim mężem, jem kolację ze swoim mężem i czuję się samotna. Jestem rozdarta, jestem kobietą, która żyje wieloma żywotami w wielu kawałkach.

Muszę chodzić dwukrotnie na te same filmy. Idę z nim i udaję, że nigdy tego nie widziałam. Wiem, że ty robisz to samo. Ta zdrada mnie męczy.

Czy wiesz, jak trudno jest kogoś kochać i nie móc o tym nikomu powiedzieć? Nie mogę postawić na biurku twojego zdjęcia. Nawet nie mogę go mieć. Wiesz, jak bardzo chciałabym teraz do ciebie zadzwonić? Nie mogę do ciebie zadzwonić. Nie mogę czekać na twoje telefony, bo wiem, że nie zadzwonisz. Nie mogę patrzeć na ciebie zbyt długo w pracy. Nie mogę wymawiać twojego imienia tonem, na jaki ono zasługuje, takim, który podpowiada mi serce. Nie mogę zachowywać na sobie twego zapachu. Muszę zmywać z siebie wszystkie ślady naszej miłości, zanim wyjdę z pokoju. Patrzę, jak robisz to samo, i widzę, jaki jesteś staranny, jak sprawdzasz, czy masz wszystkie swoje rzeczy, jak pilnujesz, żeby wyjść z tym samym zapachem, jaki miałeś na sobie, wychodząc z domu, tym, w którym nie ma śladów mnie. Pamiętam, jak któregoś dnia zostawiłeś w hotelu zegarek. Przeraziłeś się i musiałeś natychmiast po niego wrócić. Potem mi tłumaczyłeś, że ten zegarek dostałeś w prezencie od żony. Nic nie powiedziałam, ale teraz nienawidzę tego zegarka. Nienawidzę, kiedy na niego patrzysz, żeby zobaczyć, ile mamy czasu, bo mam wrażenie, że patrzysz na nią.

Teraz kiedy widzę, jak równiutko układasz swoje rzeczy na jednym stosie, denerwuje mnie to. Myjemy się nawzajem, jakbyśmy zmywali z naszych ciał kłamstwa. Nie powinniśmy się wstydzić tego, co nas łączy, tego, co czujemy.

Boję się nawet śnić o tobie, bo mogłabym się obudzić w malignie, mruczając twoje imię. Coraz rzadziej gdzieś wychodzimy, większość czasu spędzamy w wynajętych pokojach, pokojach, do których przychodzi wielu innych ludzi, żeby odpocząć, żeby się kochać, a potem sobie pójść. Chciałabym, żebyśmy mogli mieć własną przestrzeń. Nasz własny raj, własne prześcieradła, niesplamione grzechami innych. Chcę miejsca, w którym będę mogła postawić nasze zdjęcia. Może uda mi się zdobyć dla nas takie miejsce na lato, jakieś mieszkanie, żebyśmy podczas wakacji, kiedy oboje będziemy na urlopie, mogli przychodzić i wychodzić, kiedy nam się zachce. Miejsce, w którym będę mogła na ciebie czekać albo ty będziesz czekał na mnie i będziemy mogli się kąpać i robić sobie masaże. Będziemy mogli sobie zostawiać miłosne listy.

Kocham cię, a nigdy nie spędziłam z tobą nocy. Nigdy cię nie widziałam w świetle poranka.

Łączy nas głębokie uczucie. Nie mogę machnąć na to ręką. Zrezygnuję ze wszystkiego, co mam, i będę jadła ryż z fasolą, jeśli mi powiesz, że możemy się starzeć razem.

Twój dotyk jest wyzwoleniem.

To, co czuję, jest nieuleczalne.

Jesteś miłością mojego życia, niezmiennie. Nie potrafię bez ciebie żyć.

Mija wieczność, aż w końcu Charles otwiera drzwi sypialni. Wchodzi, uderzając tymi kartkami o udo, i patrzy na moje odbicie w lustrze.

- Kiedy ona ci to dała? - pyta tubalnym głosem.

Zbija mnie to z tropu, ale tylko na okamgnienie. Charles aż się gotuje.

- Co Jessica... Co ona ci powiedziała?

Jest wkurzony, bo myśli, że miałam spotkanko z Jessicą, że ucięłam sobie potajemną schadzke z jego kochanką.

Jego nieświadomość jest rozkoszna. Prawie się uśmiecham.

- Powiem ci - mówię z chichotem.

Opowiadam, jak rozpoczął się jego romans, niemal podając datę, mówię o ich cudownym wieczorze w teatrze. Opowiadam o ich pierwszym pocałunku, tym, który trwał godzinę.

Nie wykładam wszystkich kart; tylko tyle, żeby zdemaskować jego grę i uciąć kłamstwa.

- Nie wierz jej - mówi obronnym tonem, kręcąc głową.

To smutne, na co nam przyszło. Tak strasznie smutne. Jesteśmy dziećmi przebranymi za dorosłych. Całe nasze wychowanie opada z nas jak maska i oto, czym się stajemy. On reaguje na moje zagranie, ja odpowiadam na jego. Charles pozbawił mnie możliwości wyboru. Gdyby przyszedł

do mnie z otwartą przyłbicą, mogłabym zdecydować, co zrobić, żeby to naprawić. Nie mogę jednak naprawić czegoś, o czym nie wiem, że się popsuło.

Teraz chce rozmawiać. Zakręcam prysznic, bo chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Siada na podłokietniku fotela, bierze oddech i próbuje wytłumaczyć coś, co jest niewytłumaczalne. Mój mąż mówi, że to był konwencjonalny romans, a nie związek uczuciowy.

- Nie udawajmy - mówię. - Już nie jesteśmy przyjaciółmi. To, co uważałam za przyjaźń między nami, zniszczyła zdrada.

- Okej.

- Zdecydowałeś się być z Jessicą, zamiast przyjść do mnie i powiedzieć, co jest nie tak. Nie dałeś mi szansy na rozwiązanie naszych problemów, postawiłeś mnie w sytuacji bez wyjścia.

- Nieprawda.

- Właśnie to zrobiłeś, kiedy spałeś z Jessicą.

- Okej.

- Więc i ja cię postawiłam w sytuacji bez wyjścia.

- Co zrobiłaś?

- Nie spałam z nikim innym, odkąd zaczęliśmy ze sobą chodzić. Nie odkąd jesteśmy małżeństwem, tylko od początku, odkąd zaczęliśmy się spotykać. To ponad pięć lat.

- Co ty...?

- Postawiłam cię w sytuacji bez wyjścia.

Milczy. Zamyka oczy.

- Co to do cholery znaczy?

- Nie udawaj głupiego.

Jego twarz wygląda jak układanka z miliona kawałków, gotowa w każdej chwili się rozpaść.

Z wysiłkiem przetyka ślinę i marszcząc brwi, otwiera usta.

- Kto?

- Nieznajomy.

- Nieznajomy?

- Ktoś, kogo poznałam wczoraj.

Jest tak głęboko dotknięty, że cały się trzęsie.

- Jak mogłaś?

- Jak mogłam?

Po tym pytaniu wybucham jak Tyra Tyranka. Charles usiłuje pohamować moją wściekłość własnym wybuchem złości, ale próba uciszenia mnie działa jak płachta na byka. Ten pojedynek na wrzaski wprawia w drżenie nasz spokojny dom. Wydzieram się, krzyczę, mówię o kinach, teatrach,

o wszystkim, co wiem, że robił z Jessicą. Mówię o wszystkich gównach, jakie opowiadał o mnie. Moje słowa zamykają mu usta.

Emocje mnie wyczerpują. Wpadamy we flautę, siedzimy w oku cyklonu. Echa wrzasków gasną. Wraca cisza. Za oknem śpiewają ptaki. Ludzie z naszego uporządkowanego osiedla wyjeżdżają do pracy. Słońce nadal wschodzi.

- Kiedy się między nami zmieniło? - pytam.

Swoboda w moim głosie, jego szczerość zaskakują go. Odchrząkuje, pociera twarz. Ma otępiłą minę. Dotknęłam go bardzo głęboko, zraniłam jego obłudne ego.

- Trudno powiedzieć kiedy, podać datę.

- Spróbuj.

- Myślę... myślę, że coś zaczęło się zmieniać, kiedy pojechaliśmy do Jackson w Missisipi.

- W Missisipi?

- Tak. W zeszłym roku na pogrzebie twojego dziadka.

- W jaki sposób wyjazd na pogrzeb dziadka mógł coś zmienić?

Mówi, że na pogrzebie mojego dziadka ze strony ojca nie płakałam. Opowiada, jak siedziałam tam całkiem obojętna, taka... zimna. Wokół wszyscy moi krewni i przyjaciele dziadka płakali, wyrażali żal, a ja sobie siedziałam bez jednej łzy na policzku. Gapiąc się na ludzi. Mówi, że przypominałam mu reporterów wiadomości, beznamiętny sposób, w jaki informują o czyjejś śmierci.

- To bzdura, Charles. Dobrze o tym wiesz.

- Taka już jesteś. Zadzwoń do ciebie przedwczoraj - pokazuje palcem swoje podpuchnięte oko - i bez względu na to, w jakim byłem stanie...

- Zadzwoń i łącał.

- Posłuchaj... zapomnijmy o tym. Na moment. - Kręci głową i parska żalnym śmiechem. - Zapomnijmy, kto mi przyłożył, w każdym razie powiedziałem ci, że dostałem w oko...

- Byłam śmiertelnie przerażona.

- I dwie sekundy później marudziłaś, żebym obejrzał jakiś głupi kawałek w wiadomościach o kobiecie pogryzionej przez pitbula. Cholera, czy to jest normalne?

- Byłam w pracy, Charles.

- I to jest dla ciebie najważniejsze.

- Byłam w pracy, w pracy, rozumiesz? To jest to, z czego żyję.

- Jasne. To jest to, czym żyjesz. Stałaś się pozbawiona wrażliwości. Nie pozwalasz sobie na to, żeby czuć. Wyłączasz emocje. I robisz to dobrze. I robisz to cały czas.

- Codziennie mam do czynienia ze śmiercią, gwałtami, całym tym negatywnym syfem. Nie potrafię się z tego wyłączyć na zawołanie, tak pstryk i już.

- Rozumiem to, kiedy jesteś w pracy. Ale ja mówię o tym, jaka jesteś po pracy.

- Naprawdę rozumiesz?

- Myślisz, że ja w pracy mam plażę, że nie stykam się codziennie z negatywnym syfem?

Między dziećmi a rodzicami i... czy ja przynoszę ten syf do domu i zrzucam na ciebie?

- Zrzucasz i wiesz, że to robisz.

- Nie codziennie.

- Ty... ty po prostu nie rozumiesz, jak wygląda moja praca.

- Rozumiem.

- Nie sędzę.

- Jak mogę nie rozumieć. Twój stres staje się moim stresem w momencie, gdy wchodzisz do domu.

- Ja tylko dzielę się z tobą swoim dniem. To się nazywa porozumienie. - Milknę i szarpie końcówki swoich włosów, potem masuję skronie. Biorę się w garść. - Odniosłam pewien sukces w swoim zawodzie. Do sukcesu nie dochodzi się bez ciężkiej pracy, zaangażowania i uporu.

- Oczywiście. To ty osiągnęłaś sukces. Ty zdobywasz lwią część dochodów. Ty jesteś głową tego domu. Ty jesteś czarnuchem, który tu rządzi.

- Więc o to chodzi? - pytam po chwili.

- Cholernie szybko zwróciłaś mi uwagę, że potrzebowałbym pięćdziesięciu tysięcy, żeby cię spłacić z połowy wspólnego majątku. Nasze małżeństwo ma krakę na wyboju, a ty...

- Jesteś chory na głowę?

- ...a ty przede wszystkim kalkulujesz swoje straty.

- Nie myl wyboju z ceglanym murem.

- Sprowadziłaś wszystko do pieniędzy.

- Muszę się chronić finansowo i emocjonalnie.

- To bardzo rozsądne z twojej strony. Istna doktor Laura*.

- To po prostu racjonalne. Zbyt ciężko haruję, żeby stracić wszystko, co mam, dlatego, że ty zadałaś się z jakąś dziwką. Siedzisz tu sobie i zachowujesz się tak, jakby twój romans nic nie zna-
czył.

* Dr Laura Shlesinger - szefowa jednej z konserwatywnych stacji radiowych, udzielająca na antenie różnego rodzaju porad.

On dalej swoje.

- Skoro ty jesteś kobietą sukcesu, producentką, która pędzi codziennie do Hollywood, a ja jestem gimnazjalnym nauczycielem na jakimś pieprzonym zadupiu, to kim ja dla ciebie jestem?

- O co ci chodzi? Nie mówię, że ja mam sukcesy, a ty nie.

- Mówisz. Ty masz sukcesy w pracy. Ale nie tutaj, nie w tych czterech ścianach.

To mnie dotyka do żywego. Rozdziawiam usta, poruszam wargami, ale słowa więzną mi w gardle. Nie mogę wydusić słowa.

- Powiedz uczciwie: czy naprawdę myślałaś, że wszystko jest z nami okej?

- Tak.

- Bzdura.

- Nie myślałam, że jesteśmy doskonali. Nikt nie jest. Nie sądziłam, że to... że my... że nasze małżeństwo... nasza przyjaźń... Nie sądziłam, że to wygląda w ten sposób.

Mamy swoją chwilę prawdy. To nie jest przyjemne; nie jest wygodne. Po prostu taka jest prawda.

Charles pociera dłonią o dłoń, ciągle macha nogą.

- Uważasz, że twoja praca jest ciężka, cholernie wyczerpująca, ale moja też taka jest. Jestem nauczycielem, trenerem, sędzią, doradcą, zastępczym rodzicem dla każdego czarnego dzieciaka, który nie ma w domu ojca, a to dotyczy prawie ich wszystkich.

Milknie i zaczyna się kiwać.

- Oni mnie podziwiają. Wiesz, jak ciężko będzie mi wrócić do pracy, być dalej ich bohaterem, jak ciężko będzie mi spojrzeć im w twarz po tym... po tym gównie.

- Sam sprowadziłeś na siebie to upokorzenie. Przyznaj to. Prycha.

- Jasne, ty możesz być zimną rybą. Zaciskam usta.

- Nie próbuj odwracać kota ogonem. To nie moja wina - mówię. Bierze oddech i kontynuuje.

- Kiedyś w zeszłym roku opowiadałem ci o dziewczynie, która była w ciąży. Trzynastolatka. Afroamerykanka. Jedna z naszych uczennic. Dowiedzieliśmy się, że zrobił to nauczyciel.

- Co ma wspólnego tamten pedofil z...

- A ty natychmiast zaczęłaś się zastanawiać, jak zrobić z tego materiał.

- Co? Nieprawda.

- Tak było. - Kiwa głową. - Zapomniałaś, że sama byłaś w ciąży, kiedy miałaś piętnaście lat? Pewnie zapomniałaś, co wtedy czułaś. Nie pamiętasz, jaka byłaś przerażona?

Jego słowa działają na mnie jak kubek zimnej wody.

Łagodnieje mu głos.

- Jessica płakała, kiedy to wyszło na jaw. Nie dystansowała się, nie próbowała zrobić z tego newsa do ostatniego wydania cholernych wiadomości. Zareagowała tak, jak reagują normalni ludzie, płakała.

Ociera oczy wierzchem zaciśniętych dłoni.

- Jesteśmy po to, żeby chronić dzieci, a nie je wykorzystywać. Jestem osłupiała.

- Ja też ryczałem. - Drży mu warga. - Czułem się tak, jakbym był ojcem tego dziecka, rozumiesz? Moja praca wiąże się z wielką odpowiedzialnością. Staram się, robię, co mogę. I cholernie to przeżyłem, bo... bo czułem się, jakbym ją zawiódł. Zadzwoiłem do ciebie tamtego dnia, potrzebowałem cię i naprawdę cierpiałem, a ty...

Urywa i potrząsa głową.

- Chciałaś wiedzieć, co mnie popchnęło w ramiona Jessiki, teraz już wiesz. To bardzo subtelne chwile powodują, że się w kimś zakochujemy. Albo odkochujemy. Zbyt dużo bolesnych chwil powoduje, że zaczynasz mieć dosyć. My mieliśmy wiele takich chwil.

- Powinieneś być do mnie z tym przyjść.

- Kiedy byłaś osiągalna?

- Każdego cholernego dnia. Jestem tutaj codziennie. Codziennie śpię z tobą w tym łóżku. Jasny szlag, powinieneś być mi powiedzieć osiem miesięcy temu. Ale nie! Musiało dojść do tego, że jej mąż polował na ciebie jak na jakąś bestię, skopał ci tyłek w pracy, a potem przyszedł z tym gównem do mojej pieprzonej pracy. I musiałam to wszystko czytać - pokazuję palcem wydruki komputerowe, które zaśmiecają beżowy dywan - żeby dowiedzieć się prawdy. Mogłabym być w tej chwili wdową. Wyobraź sobie, że dostaję to gówno po tym, jak ktoś cię zabił z powodu... z powodu...

Słowa więzną mi w gardle. Charles patrzy na te białe kartki.

- Co ona ci powiedziała?

- Stałam się „sytuacją”. - Kiwam brodą na te papiery. - Wiem więcej, niż jest tutaj. O wiele więcej. Zapisywała każde słowo, które jej wysłałeś. Widziałam większość.

On stęka, próbuje coś powiedzieć, ale jedyne, na co się zdobywa, to „przepraszam”.

- Przepraszam? To nie był jakiś incydent. Zabierałeś ją do restauracji. Do teatru. Do muzeów. Wszystko planowałeś. - Mój głos jest nadal apatyczny, wyprany z emocji. - Miałaś swoją pannenkę z Wawa. Paradowałeś z nią tam i z powrotem po czterysta piątej. To była twoja droga numer trzystaście.

- Co?

- Gwałciłeś żonę innego mężczyzny w hotelach, samochodach; wszędzie, gdzie tylko rozłożyła nogi. Taplałeś się w niej przez osiem miesięcy. W tej chwili gówno mnie obchodzą opowieści o pogrzebie dziadka, ciężarnej uczennicy i wszystkie inne wymówki, które rzucasz mi w twarz, aby wyszło na to, że całe to kurewstwo to niby moja wina.

- Nie mów ten sposób. Nie znoszę, kiedy...

- Wsadzałeś kutasa żonie tamtego mężczyzny przez całe miesiące, bez opamiętania, potem przychodziłeś do domu i robiłeś to samo ze mną, jakby nigdy nic.

- Czy jestem z tego dumny? - mówi pełnym przekonania głosem. - Nie. Czy miałem zamiar cię porzucić? Myślałem o tym. Czy bym cię porzucił? Nie. Bez względu na wszystko, co powiedziałem czy zrobiłem, jesteś moją żoną i wciąż cię kocham. Jesteś miłością mojego życia.

- Kiedy zdałeś sobie z tego sprawę? Przed czy po tym, jak dopadł cię mąż Jessiki? Może powinnam wziąć ekipę z telewizji i pojechać do szkoły, żeby się dowiedzieć...

- Nie pojedziesz do mojej pracy - warczy.

- Zobaczymy.

- Nie rozumiesz? To nie jest materiał na jakiegoś cholernego newsa. To moje życie.

- To jest też moje życie.

- Nie rób tego... po prostu nie rób.

Groźba w jego głosie, sposób, w jaki patrzy - wszystko to mnie przeraża.

Pociera twarz, trochę się uspokaja, ale cały czas pociera ręką o rękę.

- Nie wyobrażam sobie życia z kimś innym niż z tobą. Gdybym chciał być z kimś innym, mogłabyś mieć ten dom, alimenty, cokolwiek, jeśli myślisz, że o to w tym chodzi, i odszedłbym. Czy bym to powtórzył? Nie. Czy ciągnąłbym to, ukrywając przed tobą? Nie wiem. Nie mogę powiedzieć „tak” i nie mogę powiedzieć „nie”. Czy jestem zadowolony, że wiesz? W jakimś sensie tak. Czuję ulgę.

- Naprawdę?

- Tak.

- Świetnie. Przynajmniej jedno z nas czuje się lepiej. Znowu zapada donośna, drażniąca cisza.

Słońce weszło na dobre. Koniec ciemności. Charles patrzy na moje wygniecione ubranie.

Ja patrzę na jego podbite oko.

- Czy ty...? - Prawie załamuje mu się głos. Łapie oddech. Prostuje plecy. Wpatruje się we mnie skupionym wzrokiem. Odzyskuje siłę głosu. Wlepia we mnie twarde spojrzenie. Teraz jest Prawdziwym Mężczyzną. - Spałeś z kimś?

Chce, żebym zmieniła odpowiedź. Jego głos tego żąda. Próbuje to na mnie wymusić. Chce, żebym zmasała swoją szkarłatną literę i ocaliła jego zranione ego.

Kiwam potakująco głową.

Stęka.

- Poszłaś gdzieś i... Nieznajomy?

Kiwam głową.

Stopniowo zmienia mu się twarz. Wzbierająca zazdrość rodzi obłęd w oczach. Potem Charles mruga i wygląda na śmiertelnie zranionego.

Przez moment ma taką samą twarz jak David Lawrence. Charles szarpie sobie włosy; krzywi się, próbuje mówić, ale nie wydobywa z siebie słów. W końcu zaciska ręce w pięści, garbi się, żyły występują mu na szyi i wyglądają jak grube sznury, ma minę, jakby chciał zabić.

- Nie igraj ze mną. Kto-to-był. On?

Wstrzymuję oddech, ale nie odpowiadam.

- Kto?

Ślina kapie mu z warg, jest śmiertelnie ponury. Wszystko we mnie dygocze, ale nie odpowiadam.

- Czy ciebie obowiązują inne zasady? - pytam z naciskiem, moja furia walczy o lepsze z jego furia. - Mówisz, żebym odpuściła, żebym zapomniała o tobie i Jessice, ale sam nie dopuszczasz...

- Kto?

Wygląda jak Tyson przed pierwszym gongiem. Jego zazdrość wprawia w drżenie nasz dom.

Jestem przygotowana na to, że zacznie mnie wyzywać, że mnie złapie, będzie tarosił, bił, skręci mi kark, będzie walił moją głową o ścianę aż do utraty przytomności. Jakaś częśćka mnie chce, żeby zrobił to wszystko, pozwoliłaby, żeby mnie skatował, a potem cierpiał z powodu bólu, jaki wniósł do tego domu. Inna częśćka mnie jest przerażona, podpowiada, żebym uciekała, zamiast walczyć ze smokiem. Moje ciało jest spięte, gotowe do biegu, ale on jest bliżej drzwi, więc zastanawiam się, czy powinnam walczyć i wrzeszczeć, wrzeszczeć i uciekać, czy po prostu wrzeszczeć, aż wyzionę ducha.

- Ja nigdy nie nazywałam cię Francis. Nigdy - mówię drżącym głosem.

Zaczyna mrugać, wydycha powietrze krótkimi sapnięciami. Z jego oczu znika błysk szaleństwa. Ja kontynuuję.

- Cios poniżej pasa, Charles. Wypominanie mi tamtej ciąży... To było kurewsko niskie.

Nie przestaje się krzywić.

- O co chodziło, Charles? Co to było? - wydieram się na niego, wyładowuję swoją złość. - Miałaś chcieć? Chodziło o urok nowości? Czy ona była po prostu nową dupą? O to w tym wszystkim chodziło? Dlaczego mój wyskok traktujesz jak zbrodnię, a kiedy ty robisz to samo, mam odpuścić, pozwolić, żebyś mną pomiatał?

Nie spuszcza ze mnie wściekłego spojrzenia i ani mrugnie.

- A może Francis zrobił to, co musiał zrobić, żeby się poczuć prawdziwym facetem?

Zaczyna mrugać.

Szarżuję dalej, zapuszczam się głębiej w nasze emocjonalne urazy, niepewność i lęki; idę na całość i nic nie jest w stanie mnie pohamować. Charles wykrzywia się ohydnie, a ja mu rzucam spojrzenie à la Lorena Bobbitt*, podjudzając go do zrobienia tego, o czym myśli, a potem niech spróbuje jeszcze kiedyś położyć się spać pod tym dachem.

* Lorena Bobbitt w czerwcu 1993 roku pozbawiła męskości swojego brutalnego męża za pomocą kuchennego noża.

- O to w tym wszystkim chodzi, co?

Przygryza wargę, dotyka spuchniętego oka, wstaje.

Ja też wstaję. Skoro mamy walczyć, jeśli mam zginąć, to przynajmniej na stojąco.

Charles łąpie rękawice bokserskie, wciska je pod pachy. Patrzy z obrzydzeniem na porzucane kartki, obchodzi tę czarną chuć przelaną na biały papier, ucieka od naszej prawdy. Jego ciężkie kroki oddalają się w dół po schodach.

Pot ścieka mi z nosa na wargi. Mój świat jest zamglony i parny. Powietrze tak gęstnieje, że zaczynam się dusić, omal nie dławię się własną śliną. Wpatruję się w kolorowe zdjęcia na toalecie. Nasze zdjęcie ślubne zajmuje honorowe miejsce.

Dwoje szczęśliwych ludzi.

Jestem otumaniona, uwięziona w jakimś obrzydliwym surrealistycznym świecie; zastanawiam się, w jaki sposób wrócę do świata z tamtego zdjęcia.

BamBam BamBamBamBam BamBamBamBam

Cały dom dudni. Drżą ściany. Strach wyrywa mnie z transu. Wrzeszczę, rzucam się przez pokój, padam na kolana przy regale z telewizorem, potem z krzykiem czołgam się po dywanie, usiłując sobie przypomnieć tę idiotyczną instrukcję postępowania na wypadek trzęsienia ziemi. W panicznym pośpiechu podczołguję się do drzwi.

BamBamBamBam

Opieram się o ścianę, kulę, obejmuję kurczowo nogi, z bólu łzy napływają mi do oczu. Dom wciąż dudni i drży, wrażenie jest takie, jakby samochód za samochodem wbijał się w ściany.

BamBam

Jeszcze chwila i mój dom się zawali. Ale to nie trzęsienie ziemi. To dzika furia Charlesa.

BamBamBamBam BamBamBamBam BamBamBamBam

Charles jest w garażu, w swojej piźniamie, i znęca się nad workiem treningowym.

Rozcieram bolącą nogę, żeby móc wstać.

Dom dalej się trzęsie, kiedy oparta o ścianę, masuję skronie, pocieram oczy, ruszam się wolno z miejsca, kuśtykam do łazienki i wycieram nos.

BamBamBamBam

Na chusteczce widzę ślady czerwonej i żółtej farby. Wpatruję się we własną twarz i widzę piękne kolory, widzę odciski palców innego mężczyzny na swojej skórze.

BamBamBamBam BamBam BamBamBamBam BamBam

Kuśtykam do prysznicza. Bębnienie Davida Lawrence'a pulsuje mi między nogami.

12

Coś budzi we mnie wspomnienia. Przypominam sobie, jak zaczynaliśmy.

Nieco ponad pięć lat temu poznałam Charlesa w zatłoczonym autobusie jadącym w góry Mammoth. Wybieraliśmy się oboje na wyprawę narciarską sponsorowaną przez radio KJLH i klub narciarski Four Seasons West*. Zobaczyłam swojego przyszłego męża, kiedy o szóstej rano usiłowalam wepchnąć bagaż do luku. W tamtej chwili nie byłam nim zainteresowana. Po prostu podszedł i mi pomógł, wziął sprawy w swoje ręce w momencie, gdy zatrzymałam na nim wzrok. Lubiłam to u mężczyzn. Nie byłam w nastroju do rozmowy, ale kiedy zobaczyłam go z bliska, jakoś się ożywiłam i sącząc poranną kawę, próbowałam okazać mu wdzięczność za pomoc.

* Klub promujący sporty zimowe wśród Afroamerykanów.

- Zjeżdżasz czarnymi trasami? - spytał.

- A co to są czarne trasy?

- Dla zaawansowanych.

- Och, nie. Szkółka dla początkujących. Jadę pierwszy raz.

- Ja też. Będę miał przynajmniej towarzystwo przy wpadaniu na drzewa.

Skończyło się na tym, że siedzieliśmy naprzeciwko siebie, ale ja wcisnęłam poduszkę pod głowę i zasnęłam, jak tylko wsiadłam do autobusu. Ponieważ położyłam się do łóżka o drugiej w nocy, nawet poczwórne cappuccino nie mogło postawić mnie na nogi. Ale moje towarzystwo bawiło się w najlepsze od wschodu słońca, muzyka grzmiała, jakby to był sylwester, więc w końcu się obudziłam i przegadałam z Charlesem całą podróż.

Wylądowaliśmy w tej samej szkółce narciarskiej, z całym tym ciężkim nieporęcznym sprzętem. Uczyliśmy się skrętów i hamowania, odpadaliśmy z wyciągu, zaliczyliśmy upadki na oślich łączkach. Byliśmy beznadziejni.

Kiedy mieliśmy dosyć zenady jak na jeden dzień, oddaliśmy wypożyczony sprzęt i poszliśmy do zatłoczonego hotelu ogrzać sobie przemarznięte stopy. Sączyliśmy wino i piwo, zdzierając

sobie gardła, żeby przekrzyczeć hiphopowe remiksy, od których drżały ściany, nabijaliśmy się z tego, jak wyglądaliśmy na zbiegu, a potem rozmawialiśmy o swojej pracy, trochę tańczyliśmy, jedliśmy tłuste przekąski.

- Co cię skłoniło do pracy w wiadomościach? - spytał.

- Mój kurator sądowy. Roześmiał się z tego żartu.

- Zaczęło się od tego, że chciałam mieć jakiś wpływ na wizerunek naszych ludzi. Pokazać, że nie wszyscy jesteśmy handlarzami narkotyków czy raperami. Pomyślałam, że wejdę w to i zmienię system.

- Taak. Coś o tym wiem. Ja też chciałem zmieniać świat.

Dobrze wyglądał w swoich kolorowych ciuchach, w czerwieniach, błękitach i czerni. Ja byłam bez makijażu, moje włosy prosiły się o nową trwałą, a ten nauczyciel nie odrywał ode mnie oczu i wciąż się uśmiechał.

- Kiedy masz urodziny? - spytałam.

- Drugiego października.

- Waga. Zrównoważenie. Duża wrażliwość emocjonalna. Bujny temperament seksualny.

- A ty?

- Dwudziestego czwartego lutego.

- Za niecały miesiąc.

- Dwadzieścia dwa dni.

Orzechowobrazowe oczy. Miękkie czarne kręcone włosy. Typ mężczyzny, na którego się patrzy i zaczyna myśleć o ładnych dzieciach. Bo kto chce mieć brzydkie dzieci? Nawet brzydki ludzie nie chcą mieć brzydkich dzieci.

- Powiedziałaś, że przyjechałaś tu sama?

- Tak.

- Większość kobiet nie pójdzie bez obstawy nawet do kina, nie mówiąc o jakimś wyjeździe.

- Prawdę mówiąc, miałam przyjechać z facetem, z którym się spotykałam...

- Uhu.

- Ale czułam, że to nie to, więc z nim zerwałam.

- Więc to nieaktualne.

- Nieaktualne od kilku miesięcy. Po prostu nie chciałam tego przeciągać i psuć sobie odpoczynku. Próbowałam namówić swoją przyjaciółkę Yvette, żeby pojechała ze mną, ale ona wolała wyskoczyć na weekend do Atlanty.

Roześmiał się.

- Na moje szczęście.

- Skoro już poruszyłeś ten temat, gdzie jest twoja kobieta? Nie chcę dostać nożem w plecy, popijając wino.

- Rany. Co za brutalna wizja.

- Robię w wiadomościach. Świat jest brutalny, wierz mi.

- Ja uczę wiedzy o społeczeństwie. Studiowałem historię. Też wiem coś o brutalności tego świata. Ten kraj zbudowano dzięki brutalnej przemocy. Nigdy nie było pokoju na tej planecie.

- Martwię się tylko o to, czy twoja kobieta nie podejdzie mnie od tyłu z nożem. Nie zamierzam zostać bohaterką pierwszej wiadomości w popołudniowym wydaniu.

- O to nie musisz się martwić - odpowiedział ze śmiechem.

- A więc, panie Nauczycielu, nie spotykasz z żadną kobietą?

- No cóż, pani Producentko Wiadomości, nie zamierzam kłamać. Spotykam się, ale to nic poważnego.

- Uhu. Tak jak powiedziałam, nie narażaj mnie na zadżganie.

- Spokojna głowa. Będę cię chronił przed wszystkimi wrogami, miejscowymi i obcymi.

- Dobra. Jesteś nauczycielem z krwi i kości.

Potem wypatrywaliśmy się nawzajem na wielkiej integracyjnej balandze. Tematem przewodnim był Nowy Jork, więc przyszło czterystu Afroamerykanów odzianych w nowojorskie czernie. Designerskie skóry i wełny. Okulary przeciwsłoneczne i filcowe kapelusze. Ja wystąpiłam w prostej czarnej sukience. Chyba zawsze ubierałam się na wyjście w czarne sukienki. Zrobiłam makijaż, starannie ułożyłam włosy, bo chciałam, żeby Charles zobaczył mnie w wydaniu bardziej przypominającym kobietę niż chłopczycę. Z miejsca, jak tylko go zobaczyłam, on przejął inicjatywę, wziął mnie za rękę i zaprowadził na parkiet. Do końca imprezy bawiliśmy się razem, tańcząc, śmiejąc się i pijąc.

- Uwielbiam sposób, w jaki chodzisz - powiedział.

- Mam pałakowate nogi i stawiam stopy na zewnątrz, identycznie jak moja mama.

- Ona też musi mieć seksowny chód.

W drodze powrotnej do Los Angeles siedzieliśmy w autobusie obok siebie, ramię przy ramieniu, z głową na ramieniu drugiego, kiedy jedno z nas przysypiało, swobodni, jakbyśmy już byli parą. Po tamtych miniwakacjach byłam dla niego trudno uchwytna, bo jak tylko znalazłam się z powrotem na poziomie morza, w mojej firmie zaczęła się nerwówka związana z pomiarami oglądalności. On wrócił do szkoły. To był powrót do rzeczywistości.

Charles miał jednak numer mojej komórki i często dzwonił. A ja oddzwaniałam. Nie powiem, żebym na niego czekała. Umawiałam się z innymi mężczyznami. Byłam singlem. Nie byłam z nikim związana.

Poszliśmy do łóżka po sześciu randkach. Sześciu randkach rozłożonych na prawie dwa miesiące. I tak za szybko się to potoczyło jak na moje standardy, ale wolniej niż w przeciętnym modelu „trzy randki przed seksem”.

W tamtych czasach byłam niewolnicą kosmetyków i królową trwałej. Dzień wolny od pracy spędzałam zazwyczaj w salonie piękności, gdzie doprowadzałam do ładu swoją fryzurę. To byłam ja, stała klientka Centrum Ladera, w każdą środę marnująca trzy godziny w salonie piękności.

Usiłuję przywołać wspomnienia. Po jakimś czasie wszystko się płacze, zwłaszcza w takiej chwili.

Zaczynaliśmy jako weekendowi kochankowie, spotykaliśmy się późno wieczorem po mojej pracy. On nie mógł sobie pozwolić na miłosne noce w dni powszednie. Potem nadeszło lato i Charles miał wakacje. Wolny codziennie, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zanim się spostrzegłam, Ignęliśmy do siebie jak ćmy do ognia. Sposób, w jaki na mnie patrzył. Jak wymawiał moje imię. Sposób, w jaki się śmiał. Pokochałam to wszystko od pierwszego dnia. Przychodził do mojej firmy o zachodzie słońca, przynosił mi soki jamba i burritos z Baja Grill. Słuchał, jak gram na saksofonie. Mówił, że moje piegi są jak gwiazdy na niebie, że moja twarz ma piękne konstelacje. Potem przez dwa tygodnie z rzędu przysyłał mi egzotyczne kwiaty. Serce miękło mi coraz bardziej. Uśmiechałam się od ucha do ucha, kiedy oprowadzałam go po hali redakcyjnej, odzierając nieco z tajemnicy produkcję wiadomości. Przedstawiłam swojego nowego kochanka Yvette. Robiła głupie miny za jego plecami, wystawiając dwa kciuki. Charles był zafascynowany kulisami mojej pracy, spytał, czy mogłabym przyjść do jego szkoły i pogadać z dziećmiakami w dzień prezentacji zawodów. Żaden problem. Z radością, nawet gdybym musiała tam pojechać na wpół śpiąca. Dla niego mogłabym zmienić bieg Ziemi. Piętnaście minut po naszym pożegnaniu dzwonił do mnie. Tęsknił. Ja też. *Jeśli nie będziesz jeszcze spał, wpadnij do mnie, jak skończę.* Język, jakim się wzywa pogotowie seksualne. *Zrobię kolację.* Język romansu. *Jasne, że wpadnę.* Gdy miałam zaproszenie na jakąś imprezę czy musiałam jechać z ekipą obsłużyć jakąś premierę, proponowałam, by spotkał się ze mną w Hollywood albo Westwood. Pojawiałam się w czarnej koktajlowej sukience, jedwabnym fatałaszką przymarszczonym z tyłu, odsłaniającym nieco ciała, seksownym. A on się uśmiechał. I ten uśmiech wprawiał mnie w nieustanny chichot.

Umawialiśmy się po moim powrocie z pracy prawie codziennie. Robiłam późne kolacje, łatwiej gotować dla dwóch osób niż dla jednej, mówiłam, i tak mijała północ, kiedy zabieraliśmy się do jedzenia, potem były pocałunki, czułam, jaki jest twardy, i posuwaliśmy się ku temu, co nieuchronne, jego palce znajdowały drogę do mojej pochwy, krążyły u wejścia, masowały łechtaczkę, podczas gdy on ssał moje piersi... ta kombinacja była niebezpieczna... zmieniał mi się głos... zaciskałam powieki... pomruki zapowiadające orgazm dobywały się gdzieś z głębi... jęki

dzikiego głodu... moje majtki przy kostkach... spódnica podciągnięta wysoko w górę... brzęczące monety, kiedy spodnie spadały mu z nóg... od razu tam... przy kuchennym blacie... przy drzwiach wejściowych... na dywanie... doszło do tego, że kiedy wiedziałam, że on przyjdzie, wkładałam spódnicę... wysokie obcasy, żeby mieć zgrabniejsze łydki i bardziej wypięty tyłek... bez majtek... zawsze trzymałam się roli i czekałam, aż zrobi pierwszy ruch... żeby mieć już za sobą gadanie o naszych rodzinach... o studiowaniu Biblii i kościele, i Bogu... zaśmiewanie się z naszych głupich kawałów... zaczynałam grzecznie... spoglądałam na zegar... czekałam, aż mnie uciszy i w końcu we mnie wejdzie... topniałam, kiedy wreszcie dotykał wargami mojej szyi... udawałam spokój i marzyłam o następnym etapie... odjeżdżałam, kiedy chwycił mnie za tyłek... potem... napierał na mnie swoją erekcją... dziki łomot naszych serc... czasem zapalone świece... czasem muzyka... czasem bez zmysłowych ceregieli i jazda na całość w jakimś pokoju przy pełnym oświetleniu... żaluzje podniesione dla podglądaczy... w moim starym skrzypiącym łóżku... moim pierwszym łóżku z czasów studenckich... najpierw z kondomami... potem chuć przebrana za zaufanie wzięła górę nad wrażliwością i rozsądkiem... jestem HIV-negatywna... z nikim się nie zadaję... ty jesteś negatywny... biorę pigułki... nigdy nie zapominam... regulują mi cykl... i... gumki porzucone dla prawdziwego kontaktu... zwycięża brawura... żadnych barier... skóra przy skórze... tak intensywna przyjemność... jakbyśmy zaczęli całkiem od początku... galopowaliśmy jakiś czas... stop... położył mnie i zaczął mi pieścić lechtaczkę... jeszcze... odchodziłam od zmysłów... jeszcze... błagałam... potem jego język tańczący we mnie w środku... obracałam jego ciało aż... aż... jego penis znalazł schronienie w ciepłe moich ust... brałam go powoli... metodycznie... grając na jego seksie jak na swoim saksie... podczas gdy on kreślił językiem ósemki między moimi nogami... potem do gry moich ust dołączyła ręka... wymierzałam mu karę... byłam karana... próbowałam doprowadzić go do szaleństwa, zanim sama postradam zmysły... ja, kobieta, która wygląda jak piegowata bogobojna dziewczynka, obciągałam z zapamiętaniem laskę w niedzielne popołudnia... ja i niewinnie wyglądający nauczyciel historii, który raczył się moją lechtaczką, jakby to była francuska kuchnia... potem leżeliśmy koło siebie... dzieląc czułości i zwierzenia... wniebowzięci i odurzeni... nie mogliśmy się powstrzymać od słów płynących z serca... powiedział, że nigdy nie spotkał takiej kobiety jak ja... pięknej... *to po mojej mamie... sprawnej zawodowo... boję się niepowodzeń... potrafiącej gotować... to po mojej mamie... utrzymującej porządek w mieszkaniu... po mojej mamie... takiej namiętej... bez komentarza... nie postrzelonej ...za ciężko pracuję, nie mam czasu na głupoty... żadnych telefonów dzwoniących o każdej porze nocy... nie mam czasu na konwencjonalne randki, żadnych potajemnych kochanków... nie jak typowa dziewczyna z L.A... staram się taka nie być... pełny pakiet szczęścia... och, naprawdę... kobieta renesansu... potem masował mnie gorącymi olejkami... malował mi paznokcie u stóp... drapał po głowie... pomadował włosy... gotował mi da-*

nia kuchni cajuńskiej... moje serce przy nim śpiewało... zawsze był, kiedy dzwoniłam... niezawodny... romantyczny... początek naszego wspólnego lata.

Pewnego razu, gdy się kochaliśmy, cali rozpaleni pośród niekończących się pomrukiwań i jęków, złapałam go za pośladki, rozchyliłam, i powędrowałam palcem do jego krocza, tego mięsistego rowka między jądrami a odbytem; chciałam pomasować to czułe miejsce, bo Yvette mi powiedziała, że to wzmacnia doznania podczas orgazmu. Minęłam cel, dotknęłam jego tylnego wejścia i Charles wzdrygnął się gwałtownie, stracił rytm i odskoczył ode mnie. Wkurzył się.

Wyglądał na przerażonego, potem uśmiechnął się jak mały chłopiec, którym musiał kiedyś być.

W oświetlonej światłem księżyca sypialni poczułam się zażenowana.

Jąkając się jak diabli, próbowałam go wypytać, o co chodzi. Musiałam udawać, że nie mam pojęcia, a przynajmniej nie jestem pewna. Charles myślał, że chciałam mu włożyć palec do tyłka. To go zaskoczyło, ostudziło jego zapał. Powiedziałam, że nie, skąd, chyba że sam tego chce. Potrząsnął głową. Nie, nie chciał. Powiedział, że nie gustuje w takich praktykach. Zapytał, czy to kręciło innych moich kochanków. Zaprzeczyłam. Jeszcze jedno niewinne kłamstwo. Wszyscy pozwalamy sobie na drobne kłamstwa. Czasem musimy zachować twarz, nie raniąc czyichś uczuć. Wyjaśniłam Charlesowi tę sprawę z kroczem, powiedziałam, że mnie poniosło i nie wiedziałam, co robię, że moje palce żyły własnym życiem. Roześmiałam się, żeby rozładować trochę atmosferę. Podobno wielu mężczyzn to lubi, wielu heteroseksualnych mężczyzn, podkreśliłam. Czytałam o tym w jakimś magazynie dla mężczyzn. Chyba w „Gentelman's Quaterly”. Kobiety też lubią. Czytałam o tym w jakimś magazynie kobiecym. Tak czy inaczej słyszałam, że to wzmacnia natężenie orgazmu. To była sugestia, żeby spróbować czegoś nowego, ale on jej nie dosłyszał. A może wolał zbyć ją milczeniem, zlekceważyć. Spytał, czy to lubię, czy pociąga mnie seks analny, i z powodu krytycznego tonu w jego głosie znów skłamałam, pokręciłam głową i zrobiłam zde gustowaną minę. Nie przyznałam się, że ze względu na położenie mojego punktu G, mogę osiągać orgazm również w ten sposób. Nie byłam materiałem na następną Madonnę, ale nie chciałam rezygnować ze swojego niewinnego wizerunku i uchodzić w jego oczach za jakąś zboczoną ładacznicę. Powiedziałam tylko, że od zaplecza wciąż jestem dziewicą, i powtórzyłam, że o tej metodzie stymulacji rozkoszy czytałam w jakiejś książce albo w miesięczniku typu „Essence” czy „Honey”, może w jakimś artykule napisanym przez jednego z tych ambitnych czarnych gości z awansu społecznego, pozbawionych wszelkich zahamowań, a może w „Cosmopolitanie” czy „Vogue'u” albo w „Tempo”, popularnych magazynach czytanych prawie przez wszystkich, i pomyślałam, że on może to lubić.

Zaczął się śmiać; powiedział, że prawdziwi mężczyźni w to nie wchodzi.

Pocałował mnie, wszedł we mnie w pozycji na pieska, w której mógł mieć nade mną kontrolę, a ja nie mogłam złapać go za tyłek, i posuwał mnie mocniej niż poprzednio. Dogadzał mi, jakby był superfacetem w stylu „Maxima”* z modelowym fiutem.

* Międzynarodowy magazyn dla mężczyzn.

Tamten niezręczny incydent z kroczem zdarzył się i odszedł w zapomnienie.

Cieszyliśmy się dalej naszym latem.

Na półmetku jego przerwy wakacyjnej spędzaliśmy razem prawie każdą noc. U mnie. U niego. Nieważne. Nienawidziłam być sama. Byłam w potrzebie. Potrzebowałam stałego towarzystwa i poczucia bezpieczeństwa. Późnowieczorne wypady na wybrzeże. Mnóstwo rozmów w Lucy Florence. Albo sączenie kawy i słuchanie jazzu w Magic's Starbucks. On też był w potrzebie. Niepokojny. Samotny. Napalony. Byliśmy po prostu ludźmi. Pragnącymi zadowolenia na wszystkich płaszczyznach. On zawsze miał dla mnie czas. Był osiągalny. Luźny układ przekształcił się w stały związek. Niebezpieczna ewolucja. On miał szczoteczkę do zębów w moim mieszkaniu. Ja miałam klucze do jego domu. Postawiłam nasze zdjęcie w swoim salonie. On zrobił to samo u siebie i w swojej pracy. Przestałam inwestować w baterie typu D i mój różowy wibrator ze stymulatorem lechtaczki poszedł w odstawkę.

Tamtego lata odbyliśmy rejs przez Ocean Pożądania do Przystani Miłości. Kiedyś w chwili słabości, po tym jak Charles zrobił kolację i wypiliśmy dwa kieliszki merlota, wino uderzyło mi do głowy, zaczęłam się wywnętrzać, bo akurat miałam zespół napięcia przedmiesiączkowego o łagodnym przebiegu, i pierwsza wyznałam swoje uczucia. Już zaczęłam pluć sobie w brodę, gdy on powiedział to samo. Wypowiedział słowo na M. Prawie się rozryczałam. Całowaliśmy się jak szaleńcy. A potem nie mogliśmy przestać mówić słowa na M.

Odtąd czas mijał tak szybko.

Rozmawialiśmy o dzieciach. Powiedziałam, że chcę mieć dwójkę. Chłopca i dziewczynkę. Albo dwie dziewczynki. Nie chciałam dwóch chłopców. Za dużo testosteronu. Oddałabym obu ich tatusiowi. Potrzebowałam dziewczynki, z którą mogłabym się bawić w przebieranki i chodzić po sklepach z butami. On powiedział, że chce mieć piątkę albo szóstkę, dużą rodzinę, taką, jak mieli jego rodzice. W głębi serca staroświecki mężczyzna. Śmialiśmy się z tego. Powiedziałam, że mój zegar już tyka i powinnam urodzić dzieci, póki nie jestem za stara. Był zdziwiony, że nie mam jeszcze ani jednego. To wtedy, gdy było mi tak dobrze w jego ramionach, przyznałam się, że byłam w ciąży w szkole średniej. Straszny dramat, w szkole i w domu. Urządził mnie pewien koszykarz, który miał chore kolana i skończył jako handlarz cracku. Był moim pierwszym kochankiem, tym, z

którym straciłam wianek. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Wyparł się mnie. Oczywiście musiałam podjąć decyzję. Dziecko albo nauka. Zostać samotną matką na zasiłku albo iść naprzód i piąć się do światła. O czym tu mówić. Los jest sprawiedliwy. Mój pierwszy kochanek zginął podczas nalotu policji antynarkotykowej, próbował zastrzelić gliniarza.

Spytałam Charlesa, dlaczego chciał zostać nauczycielem, dlaczego tak się przejmuje swoimi uczniami, bo żaden z moich nauczycieli w gimnazjum ani w szkole średniej nie wykazywał tego rodzaju pasji. Opowiedział mi historię ze swojego dzieciństwa, wyznał, że wykorzystywano go seksualnie. Syn najbliższych sąsiadów, nastolatek, zamknął go w łazience i zgwałcił, kiedy Charles był w podstawówce. Strasznie się bał, bo tamten typ był ogromny. Cały czas dotykał jego twarzy. Nazywał go Francis, piękny kreol. Mówił, że kocha jego gładką skórę. Jego czarne kręcone włosy. Hipnotyzujący kolor jego oczu.

Charles nigdy się nie przyznał rodzicom. Nigdy nikomu nie powiedział, dopiero mnie. Drżał mu głos.

Charles ma na pierwsze imię Francis. Po chrześcijańskim świętym. Ale zawsze się z niego nabijali, że ma dziewczynskie imię. Charles to drugie imię, też jest imieniem świętego i bardziej mu odpowiadało. Chłopiec o imieniu Charles budzi większy respekt niż chłopiec, na którego wołają Fran.

Spytałam, czy to się zdarzyło tylko raz, czy tamten potwór poprzestał na jednym gwałcie.

Nie odpowiedział. Oczywiście miał zgaszone jak niewłączony telewizor.

Potem światło w jego oczach zapaliło się z powrotem i mówił dalej. Powiedział, że zgłosił się do YMCA i zaczął trenować boks. Prawie nie wychodził z sali gimnastycznej. Zapasy. Dżudo. Kung-fu.

Nabrał krzepy. Nauczył się walczyć, ćwiczył dzień i noc. No i zdobywał kobiety, ile się dało. Robił wszystko, co trzeba, żeby czuć się prawdziwym mężczyzną. Chciał zdobyć taką sprawność, żeby pokonać swojego prześladowcę. Przez cały czas marzył o zabiciu tamtego zwyrodnialca. Ale nie zrobił tego. Tamten facet się wyprowadził. Charles zamierzał go wytropić. Potem się dowiedział, że jego dręczyciel nie żyje od piętnastu lat, zmarł na AIDS. Tamtej nocy Charles zalewał robaka butelką mocnego trunku. Pił sam, po ciemku. Przestał boksować, nie od razu, ale w końcu dał sobie spokój. Przez jakiś czas czuł się zagubiony. Nigdy nie dokonał swojej zemsty. Zawsze chciał, ale to marzenie się nie spełniło.

To było takie przygnębiające. Dręczenie, gwałt, potem sam siebie dręczył w reakcji na zadany gwałt. Płakałam, kiedy o tym mówił. On też płakał. Płakaliśmy długo oboje, i wtedy go pokochałam.

Dzisiaj zachował się nie fair. Poniżył mnie. Wykorzystał przeciwko mnie mój wstyd. Tamto nie było moim jedynym powodem do wstydu. Jak wszyscy ludzie mam na koncie tyle rzeczy, których żałuję, że szkoda mówić. Ale kiedy wypomniał mi tamto, poczułam się zraniona do żywego.

Nie zrobiłam tego samego z jego wstydem. Wierzcie mi, siedziałam i myślałam o tym, bo każda reakcja powoduje równorzędną reakcję zwrotną, ale nie kierowała mną potrzeba... satysfakcji.

Współczułam Charlesowi. Współczułam swojemu mężowi. Współczułam nam obojgu.

To takie smutne... że dwoje ludzi może się kochać i z powodu jednej decyzji zaczynają tracić wszystko, co z takim trudem tworzyli.

13

- Wyglądasz fatalnie, piegusie - mówi mi Yvette.

- Wiem. Brak snu.

- To nie tylko to. Wyglądasz jak po ciężkich przejściach.

Jesteśmy przed firmą, właśnie wydostałyśmy się z koszmarnego korka i obie stajemy na końcu parkingu, przy stiukowo-ceglanej białej ścianie, bliżej La Brea. Jaguar Tyry Tyranki już tam jest, jej srebrny rydwan ma wydzielone osobne miejsce najbliżej wejścia, z dala od pojazdów zwykłych pracowników. Tyra jest prawdopodobnie na kolegium programowym i tyranizuje innych ludzi, których gabinety mają drzwi. Nie spieszy mi się do środka, żeby usłyszeć, czy mam jeszcze pracę.

- Nie mogłaś zadzwonić do kogoś, żeby powiedzieć, gdzie jesteś? - pyta Yvette.

- Przepraszam, mamusiu.

Dzisiaj Yvette jest w wytartych dżinsach i obcisłym wielokolorowym T-shircie z napisem WARTA CERTYFIKOWANEGO ZABEZPIECZENIA. Jej dżinsy sięgają do kostek, są nisko skrojone i odsłaniają brzeg czarnych koronkowych stringów. Odjazdowe buty na wysokich platformach dodają tej amazonce z siedem centymetrów wzrostu. Ja mam na sobie czarne dżinsy, czarne spiczaste botki na cienkich obcasach - naprawdę seksowne obuwie - i jasnobrązową „chłopską” bluzkę.

- Daruj sobie ten sarkazm. - Yvette poważnieje. - Wściekałam się przez ciebie pół nocy.

- Słyszałaś o pożarze?

- Jasne. Osiem tysięcy hektarów i co najmniej dziewięć domów poszło z dymem.

- Wezmą to na początek jako wiadomość dnia.

- Tyra będzie się miotać i wrzeszczać przez cały wieczór.

Ściskamy się, potem Yvette wręcza mi małą torbę z wzorem w zebnę.

- Co to?

- Prezenciki z Atlanty. Wożę je od kilku dni i ciągle zapominam ci dać.

Znam Yvette. Na czole mam wypisane, że jestem po ciężkiej nocy i moja przyjaciółka próbuje mnie rozweselić, wprowadzić w pozytywny nastrój, zanim wkroczę do tamtego innego świata. W torbie jest T-shirt z Atlanta Underground* i kolorowe pudełko dick taców**.

* Stare centrum handlowo-rozrywkowe.

** Dick - wulgarne określenie penisa.

Potrząsam drażetkami z lekkim śmiechem.

- Co to jest do cholery?

- Zobacz.

Otwieram pudełeczko i wysypuję kilka maciupeńkich cukiereczków na rękę. Śmieję się trochę głośniej. To kolorowe tic taki w kształcie penisów.

- Gdzie ty dostałaś ten szajs?

- Jest takie miejsce na Little Five Points, nazywa się Córka Handlarza Starzyzną.

Łykam brązowego fiucika, ona łyka dwa tego samego koloru. W torbie z prezentami jest też płyta CD, debiut nagrany saksofonisty Mike'a Phillipsa *You Have Reached Mike Phillips*. Uśmiecham się od ucha do ucha. I jeszcze książka. Wyjmuję ją z torby i czytam tytuł.

Trójkąt małżeński. Jak spełnić swoją ulubioną fantazję.

- Dick taki - mówię. - Romantyczna muzyka. Poradnik dla amatorów trójkątów.

- Ale numer.

- Uhm. Czy kryje się za tym się jakieś przesłanie?

- To nie dla ciebie. Szukałam tej książki.

Zabiera mi ją z ręki, śmieje się, idąc do bagażnika swojej terenówki, i wsadza książkę pod koszyk z praniem. Ja otwieram swój porysowany bagażnik i wkładam do środka torbę z prezentami, potem opieram się o samochód. Yvette staje przy mnie i robi to samo.

- Okej, gdzie byłaś w nocy? - pyta.

- O co chodzi z tą książką o trójkątach?

- Materiał do badań.

- Prowadziłaś badania wczoraj?

- Byłam w domu.

- Kurowałaś się ziółkami?

- Byłam sama. Nigdy nie kuruję się sama. Gadałam przez telefon z TJ-em...

- On pewnie myśli, że jestem idiotką.

- Nie, myśli, że jesteś sfiksowana. Najpierw siedziałam w internecie, szukając informacji o konflikcie erytrejsko-etiopskim, i zadzwoniłam do niego, bo niektóre jego „fakty” nie zgadzały się z tym, co sama przeczytałam o ich sporze terytorialnym. Znalazłam w sieci mnóstwo map z 1902 roku, z których wynikało, że Etiopczycy mieli prawo do swoich granic, znalazłam inny artykuł mówiący, że Erytrejczycy uznali te granice za niesłuszne, podpierając się inną mapą, a była to mapa Mussoliniego sprzed inwazji na Etiopię w 1935 roku.

- Mussoliniego?

- Też byłam zdziwiona. Widziałam zdjęcia Mussoliniego z Hitlerem, a rozumiesz, że z czymś takim sprawa nabiera rumieńców. Dasz zbliżenie twarzy Hitlera, dorzucisz trochę jego bestialstwa i przeciętni ludzie będą chcieli to oglądać.

- Nie mogę uwierzyć, że CBS robi miniserial o Hitlerze.

- No właśnie.

- I uderzą z grubej rury podczas badań oglądalności.

- Otóż to. W każdym razie z tego, co wyciągnęłam z internetu, wynika, że Erytrejczycy mają inne mapy, które zaszkodziłyby ich sprawie, więc się nimi nie chwala. I przekroczyli granicę etiopską bez wypowiedzenia wojny, a potem odrzucili plan pokojowy.

- Zdaje się, że miałaś bardzo romantyczną noc.

- Nie chciałam się tak zapędzić, ale znasz mnie.

- Znam.

- Skontaktuj mnie ze swoją sąsiadką. Chciałabym poznać jej punkt widzenia.

- Jasne. Dam Tseday twój numer.

- TJ wyszedł z siebie, zaczęliśmy dyskutować, potem, nie wiem jak i z jakiego powodu, rozmowa zesłała na inny temat i on zaczął mnie reedukować w sprawie Hutu i Rwandy.

- Rwanda. Mieliśmy to na tapecie, ja wiem, jakieś dziesięć lat temu.

- Co najmniej. Robiłaś już wtedy w wiadomościach?

- Zaczynałam jako stażystka. Próbowałam zostać reporterką.

- Stare czasy. Uważałam wtedy, że długie szponiaste czerwone paznokcie są szczytem mody, że jheri-curl* jest niedoceniany, musiałam mieć złoty pierścionek prawie na każdym palcu, czasem nosiłam dwa złote pierścionki na jednym palcu i te badziewne jaskrawe kolory. I strasznie chciałam mieć złoty ząb.

* Jheri-curl - popularny w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych środek fryzjerski używany przez Afroamerykanów; rodzaj dwuskładnikowej trwałej ondulacji, bardzo niszczącej i wysuszającej włosy. Jeden preparat służył do prostowania włosów, drugi do skręcania ich w luźne loki. Dla utrzymania fryzury i nadania wysuszonym włosom połysku trzeba je było codziennie traktować tzw. aktywatorem i nawilżaczem.

- Fuj. I na okrągło leciał Master P, co?

- Miałam to po mamie. Szkoda, że nie widziałas moich kuzynek z Bessemer.

- Nie jesteś już tamtą dziewczyną z Alabamy, bardzo się zmieniłaś.

- Tak. Wtedy, gdy przesiadywałam w J.O. Parkerze, obzerając się jak świnia i nie mając zielonego pojęcia o tym, co dzieje się w Afryce. - Przypomina mi, że Hutu wyróżnili milion Tutsi. - Tutaj ludzie wolą słuchać bzdur w stylu „Tylko osiem procent Francuzów cierpi na otyłość. Na czym polega tajemnica ich diety?” niż... niż... Jezu.

- Chodzi o dolary, Yvette. Wiesz o tym.

- I dlatego wiemy wszystko o irlandzkich protestantach i katolikach, prawda? I jak długo jeszcze możemy wałkować temat Palestyńczyków i Izraelczyków? Szlag, o tamtych częściach świata mówi się dostatecznie dużo. Ale Afrykanie w wiadomościach wciąż nie istnieją. Nie sądzisz, że to jest denerwujące?

- Yvette, nie katuj mnie w tej chwili polityką. Jestem zmęczona, boli mnie głowa i mam własne problemy.

Wraca do swojego pierwszego pytania.

- Gdzie się podziewałaś przez całą noc?

- Jakbym słyszała Charlesa.

Jest druga po południu i rozmawiamy w blasku hollywoodzkiego słońca, przysłoniętego przez warstwy brązowego powietrza. To piorunująca mieszanka dla ludzi cierpiących na bronchit, skazuje ich ona na codziennie inhalacje i łykanie pigułek. Echo ulicznego zgiełku na La Brea i Willoughby wybija rytm naszym słowom. Zirytowani i kiepscy kierowcy wrzaskami i piskiem opon zakłócają nam rozmowę.

Tyra Tyranka otwiera podwójne przeszklone drzwi wejściowe. Staje na szczycie schodów, dyktator na swoim tronie patrzący z góry na kmiotków. Milkniemy na jej widok. Tyra ma na sobie garnitur w kolorze głębokiej zieleni, włosy przewiązane kolorową chustką. Odpakuje gumę ni-

corette, wkłada do ust, potem krzyżuje ręce na piersi i gapi się na mnie bez słowa, niemal rzucając mi wyzwanie, żebym weszła do środka.

- Co jest, Tyra? - wrzeszczy Yvette. - Odebrało ci mowę?

Tyra spogląda na Yvette, potem na swój zegarek, potem znów na Yvette i unosi brew. Yvette nie reaguje. Wszyscy się spieszą, więc nikt do nas nie podchodzi, ale kilka osób pokazuje mi uniesiony kciuk na znak, że są moimi przyjaciółmi i że są ze mną; robią to, nie widząc, że Tyra stoi przed drzwiami, potem ich zachowanie gwałtownie się zmienia. Są też tacy, którzy patrzą na mnie dziwnie, jakby wiedzieli, że będzie masakra, piekło i cyrk na kółkach, jak tylko przekroczę linię fosi i wejdę do zamku Tyry Tyranki.

Ktoś podchodzi od tyłu do milczącej groźnie Tyry, czegoś od niej chce i władczyni wraca do środka, do ostatniej chwili piorunując mnie wzrokiem.

Ta jej psychologiczna zagrywka wkurza mnie jak diabli.

- No no... - Yvette chichocze. - Wygląda na to, że Obywatel Tyra będzie dzisiaj w wyjątkowej formie.

- Powinam była zdzielić tę dziwkę między oczy.

Składam Yvette dokładną relację na temat tego, co wydarzyło się wczoraj między mną a Tyrą, opowiadam, jak to odjechałam z firmy, wypinając się na jej prośby, potem relacjonuję w skróconej wersji przebieg reszty nocy.

- Zaraz, zaraz. Pojechałaś do tego gościa sama?

Biorę oddech, staram się wyrzucić z krwiobiegu złą karmę Tyry i mówię Yvette o niezbitych dowodach Davida Lawrence'a. Moja przyjaciółka zamienia się w słuch. Przechodzimy na drugą stronę budynku, żeby zejść z oczu Tyrze, stajemy za rogiem i wyrzucam z siebie cały ból.

Tyra pojawia się w bocznych drzwiach, patrzy na mnie i wycofuje się do środka. Zawracamy, stajemy znów przy samochodach i rozmawiamy dalej, podczas gdy nasza tęczowa koalicja złożona z czarnych, białych, azjatyckich i latynoskich reporterów, asystentów produkcji i koordynatorów produkcji, stopniowo zapełnia parking. Wygląda na to, że wszyscy naraz zostali pilnie wezwani. To znaczy, że świat się wali. Zawsze się wali. Mnie interesuje teraz tylko mój własny świat.

- Żartujesz? - To jedyne, co moja przyjaciółka jest w stanie powiedzieć. - Charles się kamuflował przez osiem miesięcy?

- Osiem miesięcy maskarady - powtarzam.

- Niczego nie zauważyłaś?

- Czuję się... jak ostatnia idiotka.

Wręczam jej kilka stron wydruków z internetu. Opowiadam o wszystkich ich randkach.

- Prowadzał się z nią publicznie? Ja pierdolę.

- Zabierał ją do EuroChow.

- Siedzieli sobie jak dwie papużki w twoim ulubionym romantycznym miejscu, w obręczkach ślubnych, trzymali się za ręce, śmiali, flirtowali, mieli szczęśliwe miny...

- Tak, tak, tak.

- Swoją drogą, piegusie, musimy zdobyć kopię tego programu.

- Wiedziałam, że to powiesz.

Czyta zapis czatów i za każdym razem, kiedy trafia na coś mocnego, wzdryga się z obrzydzenia.

- Cholera. To czysta pornografia. Żadnego owijania w bawełnę.

Z otwartymi ustami, oparta o mój poharatany samochód, czyta i się krzywi. Ja znów dostrzegam wszystkie nowe wgniecenia i stare rysy na swoim samochodzie, przeklinam szpetnie. Żyję w ciągłej złości; to nie jest moja prawdziwa natura, ale moja obecna rzeczywistość.

Yvette opuszcza kartki, jest oszołomiona.

- Nic dziwnego, że mąż przylutował mu w twarz.

- I w ego.

- Charles to nie ułomek, a ten gość David nieźle mu przyłożył. Zdaje się, że skopał mu tyłek jak Todd Bridges Vanilla Ice'owi.

A jednak współczuję swojemu mężowi. Mimo tego całego szaleństwa, bez względu na to, co zrobił i co ja zrobiłam, moja miłość do niego ma głębokie korzenie. Miłość i nienawiść mieszkają tak blisko siebie.

- Czytam te wszystkie rozmowy - mówi Yvette - i wiesz, co widzę?

- Dwoje nieuczciwych ludzi. Dwoje zdrajców. Dwoje oszustów.

- Jest w tym coś głębszego. Wiesz, że staram się nie oceniać niczego powierzchownie.

- Okej, co?

- Dwoje ludzi, którzy rozpaczliwie czegoś potrzebują. To smutne. Jej czegoś brakuje i jemu czegoś brakuje. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to po prostu napalona na siebie parka, która po kryjomu sobie dogadza, ale możliwe, że jedno z nich albo oboje bardzo potrzebowali pomocy.

Nie odzywam się. Mam nadzieję, że ona nie czyta w moich myślach.

- Jaki był ten David Lawrence?

- Arogancki. Trochę hucpiarski. Groźny.

- Uhu...

- Ale jednocześnie... ten brat ma w sobie jakąś niesamowitą pasję. Jest fascynujący.

- Jak wygląda?

- Jak... jak... skrzyżowanie Lenny'ego Kravitz z Erikiem Benetem.

- Uhu. Pokręcony i przystojny.

- I lubi klasyczne auta.

Oddaje mi kartki, a ja staram się nie opuszczać wzroku i drżącym, niepewnym głosem opowiadam jej o pracowni na poddaszu, o dziełach sztuki, o obsesyjnym malowaniu Jessiki. Opisuję Jessicę, tak jak on mi ją opisał, dodając tylko kilka brzydkich słów od siebie.

- Uuhu. Świetny facet i lubi klasyczne samochody. Zna mnie. Czeka.

Mówię Yvette o pistolecie, narzędziu zbrodni, z którym David Lawrence pojechał do pracy Charlesa, o tym, że kolt defender jest ciągle nabity i czeka.

Na twarzy Yvette maluje się niepokój.

Myślę o tym, co David Lawrence opowiedział mi o swojej rodzinnej schedzie, o drodze numer trzysta i panience z Wawa, którą zabiła jego matka, ale tę rzecz, najbardziej przerażającą i najsmutniejszą, zachowuję dla siebie.

- Spałam z nim - mówię.

- Co?

Wyznaję to drżącym głosem, zażenowana, nie próbuję upiększać tego, co zaszło między północą a wschodem słońca. Spałam z żonatym mężczyzną. Ciągle dotykam swojej obrączki, przypominam sobie, że jestem mężatką, zastanawiam się, czy zrobiłam z siebie panienkę z Wawa.

- My... zrobiliśmy to ostatniej nocy.

- Piegusie, czy ty...

- W jego pracowni.

- ...oszalałaś?

- Na materacu.

- Spędziłaś z nim noc?

- Wyszłam po... Byłam tam kilka godzin... wstałam i wyszłam. Pojechałam do domu.

Yvette milczy z niedowierzaniem w oczach, kręci tylko głową. Tak samo jak Charles widzi we mnie czarną Hester Prynne*, nie akceptuje mojego wykroczenia.

* Bohaterka *Szkarlatnej litery* Nathaniela Hawthorne'a nosząca piętno cudzołóstwa w postaci czerwonej litery.

Potem bierze głęboki oddech.

- Zło dodane do zła nie staje się dobrem.

Wzruszam ramionami.

- Czy wyglądam inaczej?
- Nie. Bo co?
- Ludzie, którzy popełniają zdradę, powinni wyglądać inaczej.
- Czujesz się inaczej?
- Jak ktoś, kogo wcześniej nie znałam.
- Przespać się z... Kurwa, co ci przyszło do głowy?

Moja przyjaciółka napada na mnie oskarżycielskim tonem, godnym osoby spod znaku Bliźniąt. Jest oddana i troskliwa, pewna swojej racji, ale ja się nie daję, akurat w tej chwili nie czuję najmniejszej potrzeby babrania się we własnym sumieniu. Ogarnia mnie złość.

- Charles nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności za to, co zrobił. Wystarczyło, żeby ten skurwiel przyznał się i okazał skruchę. Chciałam, żeby żałował, płakał, żeby choć raz, dla odmiany, przyznał mi pieprzoną rację. Ta jego poza macho... nienawidzę tego gówna. Tej cholерnej arogancji, z jaką odmówił odpowiedzi na moje pytania i nie zrobił niczego, co pomogłoby mi znaleźć jakieś... jakieś wyjście. Próbował odwrócić kota ogonem i zwalić winę na mnie.

Yvette ustępuje, wzdycha, prosi, żebym się uspokoiła. Nie mogę się uspokoić, póki nie wyrzucę z siebie wszystkiego, co czuję.

- Brak skruchy oznacza brak szacunku, a brak szacunku oznacza, że to się kiedyś powtórzy. Daje za wygraną i tylko słucha.

- Dużo zainwestowałam - mówię trochę spokojniej. - Za dużo. I wszystko to tracę tak po prostu.

- Masz zamiar ryczeć?

- Tak. - Część mojej natury, za którą odpowiada ekspresyjna Ryba, jest w stanie wewnętrznej walki; emocjonalna część mnie każe utopić we łzach całe miasto. Potrząsam głową. - Nie.

- Dobrze by ci to zrobiło.

Macham do jednej z reporterek, która w pośpiechu wchodzi do budynku.

- Nie teraz.

- Jesteś w cholernym stresie... masz to wypisane na twarzy.

- Miasto płonie, a ja jestem w domu trawionym przez ogień.

- Piegusie...

- Zbieraj się i idź do roboty, zanim Tyra przyśle po ciebie jakąś zgraję z pałami.

- Bez ciebie nigdzie nie pójde. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś to z jej mężem. Po co?

- Myślę... wiem, że to szaleństwo... że w głębi duszy chciałam, żeby nakryła nas Jessica. Chciałam ją zranić. Chciałam doprowadzić tę dziwkę do szału. Chciałam ją pobić. Chciałam... - Urywam, przypominając sobie, jak czułam się z pistoletem w ręku. - Chciałam zrobić różne rzeczy.

- To nie w twoim stylu.

Myślę też o mamie Davida Lawrence'a, siedzącej za kratkami, podczas gdy jej niewierny mąż dalej jeździ w tę i z powrotem drogą numer trzynaście.

- Wiem.

Oczy Yvette mówią, że słyszy mnie i rozumie, ale kompletnie się ze mną nie zgadza. Jej głębokie, poważne spojrzenie mówi, że stawiam się w niebezpiecznej sytuacji.

- Przejdźmy się - mruczy.

Idę za nią posłusznie. Mijamy portiernię, machamy i przechodzimy na drugą stronę Wiloughby do osiedla jednorodzinnych domów, które ciągnie się do alei Melrose, rewiru uczęszczanego przez *geeków*. maniaków komputerowych i różnej maści ambitnych świrów.

Kiwam brodą na ogromny billboard górujący nad La Brea, z dwoma aktorami i jedną aktorką z sitcomu *Scrubs*. Czytam znane hasło kampanii reklamowej producentów nabiału i szturcham swoją przyjaciółkę.

- Masz mleko?

Yvette kieruje wzrok na billboard.

- Czy to ze mną jest coś nie tak, czy ludzie na tych reklamach mleka wyglądają jak po solidnym obciążeniu laski?

Przyglądamy się mleku na górnych wargach dwóch aktorów i uśmiechniętej aktorki. Wybuchamy śmiechem. Yvette mnie rozśmiesza, kiedy jestem bliska płaczu. Każdemu przydałaby się taka przyjaciółka.

- Fuj - mówię. - To rzeczywiście zakrawa na pornografię.

- Faceci wyglądają jak geje, a kobieta... bardzo nieprzyzwoicie.

Idziemy kawalek dalej, przystajemy po bardziej ocienionej stronie ulicy. Samochody suną jeden za drugim obu pasami bocznej uliczki wysadzonej szpalerem drzew, z prawem parkowania wyłącznie dla mieszkańców osiedla. Po rozładowaniu napięcia śmiechem Yvette daje mi pomilczeć. Zapadam się w sobie i myślę.

Ona spogląda na zegarek. Ja robię to samo. Wiemy, że Tyra czeka. Celem jej gry jest nas pogonić, celem naszej - nie dać się pogonić, zachować zimną krew.

- Myślisz, że ja u Davida też wołałam o pomoc?

- Wyjął jak staruszka, kiedy ktoś jej nadepnie na odcisk. - Kręci głową. - Trzeba było do mnie zadzwonić. Kiedy spada na nas takie gówno, powinniśmy do siebie dzwonić.

Idziemy fragmentem chodnika, który jest nierówny i wybrzuszony jak po trzęsieniu ziemi albo jakby korzenie drzew powysadzały płytki. Kroczymy ramię w ramię, milcząc, jak dwie papuzki nierozłączki z jednej szkolnej ławki.

- Kiedy ty puszczałaś kantem swoich kochanków... - pytam - o co chodziło?

- Przystawałam im wierzyć, czułam się niepewnie, nie byłam przekonana do jakiegoś związku albo byłam bardzo przywiązana do kogoś, komu nie ufałam, i chciałam z tym skończyć.

- Czy któryś z nich się dowiedział? - Przygryzam dolną wargę.

- Tylko jeden facet. Ten, w którym byłam zakochana do szaleństwa, sama mu powiedziałam, żeby go wkurzyć.

- I co?

- Dostał szału. Włamał się do mojego mieszkania. Ten infantylny troglodyta był pijany jak świnia. Kompletnie mu odbiło. Rozwalił mi telewizor. Pobił mnie, włókł za włosy przez korytarz, wrzeszcząc „jak możesz pozwalać, żeby jakiś inny czarnuch wsadzał ci kutasa i naruszał moją własność swoją spermą?”.

- Żartujesz.

- Dzięki Bogu, że miałam jheri-curl i nie mógł dobrze chwycić moich tłustych włosów.

- Pewnie ten curl był twoją pierwszą linią obrony.

- Potem chciał mnie zerżnąć.

- Żartujesz.

- Niestety nie. Pobił mnie i miał wzwód.

- Chciał seksu?

- Nie chodziło o seks, tylko o władzę. Przystaję.

- Zgwałcił cię?

- Był zbyt pijany. Stanął mu, ale nie pozwoliłabym sobie wsadzić.

- Cholera, Yvette.

- Byłam przerażona.

Dzwoni jej pager. Sprawdza numer, krzywi się i znów patrzy na zegarek. Zawracamy i idziemy trochę szybciej.

- Odruch Pawłowa - mówię.

- Wiesz, jak to działa. Pieprzone elektroniczne smycze.

- Dokończ historię.

- Uciekłam i zamknęłam się w łazience. Wyzywał mnie od kurew, wrzeszczał, jakby nie miał z tym nic wspólnego. Ten pijany wieprz płakał i mówił, jak bardzo mnie kocha, jak to chciał się ze mną ożenić, chciał mieć ze mną dzieci, a po chwili krzyczał, że zrobił to przeze mnie. Przeze mnie się włamał, rzucił na mnie z pięściami i tak dalej. Kopał w drzwi i darł się jak oszalały.

- Musiał być niezłym psycholem.

- Nie mogłam go w żaden sposób uciszyć.

- I jak długo to trwało?

- Całe godziny. Wyszedł dopiero następnego popołudnia. Miałam zdewastowane mieszkanie. Dziury w każdej ścianie, potłuczone wszystkie obrazy i zdjęcia.

- Rozumiem.

- Naprawdę?

- Udzielasz mi dyskretnej lekcji.

- Dla kobiet nie ma przebaczenia. Mężczyźni robią swoje świństwa i wciąż zaczynają od nowa, jakby z czystą kartą. Są powtórnie wybierani, pedofile wkładają z powrotem sutanny, a my zostajemy przykute do własnej reputacji.

- Ciągle mnie to zadziwia, że faceci oczekują od nas, żebyśmy odpuściły, potraktowały to lekko, a potem sami robią dramat.

- Mnóstwo tych wykształconych głupków wciąż ma mentalność nigeryjskich muzułmanów. Za skok w bok skazaliby cię na śmierć, ale oni mają czyste sumienia, nie popełnili żadnej zbrodni.

- Ten świr, który cię zaatakował, był jedynym, któremu przyprawiłaś rogi?

- Och, błagam cię. - Śmieje się. - Daj spokój. Wiesz, że to wszystko jest częścią gry.

- Ja byłam poza grą.

- Nigdy nie jesteś poza grą. Dlatego złota zasada zawsze ma zastosowanie.

- Jesteś tylko na tyle wierna...

- ...na ile wierny jest facet, z którym się zadaje. Uśmiecham się blade.

- Powinno się to nosić na T-shircie.

- Wydrukuj to na stu T-shirtach, a ja stanę na Crenshaw i będę je sprzedawać po piętnaście dolców za sztukę.

- Kup trzy, dostaniesz gratis ciasto z fasoli*.

- Nareszcie zaczynasz myśleć.

- Co z twoim erytrejskim kochankiem?

Yvette wzdycha.

- Jest fajny, ale bardzo młody.

* Ciasto z fasoli (ang. *bean pie*) jest popularnym deserem wśród społeczności muzułmańskiej.

- Uhu. Co takiego zrobił?

- Miał czelność zapytać, ilu miałam partnerów.

Parskamy śmiechem.

- I co mu powiedziałaś...?

- Na szczęście zapytał mnie tylko o facetów z Los Angeles. Sposób, w jaki to mówi, rozśmiesza mnie jeszcze bardziej.

- Trzymam się zasady od stanu do stanu; jak tylko przekraczam granicę stanową, jestem dziewczicą z odzysku.

- Ciekawa zasada.

- Wymyśliłam ją, kiedy byłam w college'u. Wypadły do Atlanty, do Tampa, Nowego Jorku, seks na jakiejś wyspie, na weekendowej wyprawie narciarskiej, spiknięcie się z jakimś byłym na wakacjach - nic z tych rzeczy nie pisze się w rejestr.

Przybijamy piątkę. Yvette zadziwia mnie przy każdym spotykaniu, zawsze poprawia mi nastrój.

Moja przyjaciółka łapie oddech i mówi dalej.

- Uważam, że jeśli kochanek nie staje na wysokości zadania, nie muszę przypisywać sobie takiego chałowego występu.

- Jasne, że nie.

- Chałowy seks uruchamia selektywną niepamięć. To się po prostu nie zdarzyło.

Jeszcze jedno przybicie piątki.

- Jeśli nie miałam orgazmu, to się nie liczy, i koniec.

- Masz rację, cholera. Pewnie, że nie.

- Nie było satysfakcji, nie było akcji. Tym razem podwójna piątka.

- Masz słuszne podejście do sprawy.

- Jeśli nie miałam orgazmu, to nie był seks - mówi, uśmiechając się do własnych słów.

- To też powinno być na T-shirtach.

- Nie, to powinno być na wielkim balonie reklamowym.

Znów mijamy portiernię, tym razem chichocząc jak nastolatki, jeszcze raz machamy i kierujemy się z powrotem do naszych samochodów. Czuję, że Tyra znów stoi w drzwiach, ale nie patrzę w tamtą stronę, odmawiam poświęcenia jej uwagi. Moja przyjaciółka spogląda na zegarek, ja robię to samo, śmiech zamiera, zmarszczki stresu zmieniają jej twarz, moja mina jest lustrzanym odbiciem jej miny.

- Piegusie...?

Wymawia moje imię z niepokojem. Praca nie jest treścią jej życia.

- Co?

- Ten gość, David Lawrence...?

- O co pytasz?

- Używaliście prezerwatywy?

- Jasne.

- Po prostu chcę, żebyś była bezpieczna. Wystarczy, że Charles naraził cię na ryzyko.

- Staram się o tym nie myśleć.

Jest prawdziwą przyjaciółką i jest mi przykro, że ją okłamuję, ale czuję, że tak trzeba.

- Miałaś... orgazm?

- Och, Boże. Okazał się mistrzem patelni.

- Wylizał cię, tak po prostu?

Na samo wspomnienie przeszywa mnie elektryczny dreszcz. Czuję jego zapach. Jego rytm. Seks, to we mnie śpiewa. Monotonne pierwotne pieśni. Zatracenie. Ammaina zmysłowość, w jakiej się pograżyliśmy.

- Tak - mówię. - Miałam orgazm. Więc to się liczy.

- Niesamowite, że taki jeden z drugim potrafi wsadzić ci twarz w kuciapkę, nie znając cię od strony Summer's Eve*, i robi to bez zmrużenia oka.

* Summer's Eve - popularna marka kosmetyków do higieny intymnej.

Charles jest Wagą i ma dość bujny temperament seksualny. Znam go. Musiał być taki sam z Jessicą, równie intensywny i entuzjastyczny jak wtedy, gdy po raz pierwszy został zaproszony do mojego łóżka. Wylizywał ją, jakby była popisowym daniem szefa kuchni, imponował jej swoją wprawą, a potem przychodził do domu i całował mnie, z uśmiechem racząc sokami Jessiki, obejmując mnie i tuląc do swojego ciała, które było pokryte odciskami jej palców, niewidocznym stygmatem jej dotyku.

Zastanawiam się, jak wyglądało ich rżnięcie. Czy byli tak dziko, pierwotnie namiętni, jak by to wynikało z ich rozmów w sieci.

Tamto porno odgrywa się przed moimi oczami. Imię Jessiki w pełnym świetle, jej ciemna twarz ze skośnymi oczami; ta postać staje się główną aktorką w niekończącym się oblesnie wulgarnym filmie pornograficznym. Robię z niej królową dziwek. Nie mogę się zdobyć na żaden romantyczny akcent, na to, by przydać ich schadzce jakies znaczenie, nie jestem w stanie myśleć o tym, co robili, jak o kochaniu się, bez względu na to, ile razy to robili. Muszę to utrzymać na najbardziej prymitywnym poziomie.

Robię z Yvette rundę wokół budynku.

- Był przyzwoitym kochankiem? - pyta.

- Był wirtuozem.

- Okej, popisał się czy nie?

- Och, tak. Numer z wibrującym językiem ma opanowany do perfekcji.

Chociaż wyszorowałam się własnym mydłem, nawilżyłam ciało własnym balsamem, skropiłam się własnymi perfumami, David Lawrence zostawił na mojej skórze swój zapach. Nadal go w sobie czuję. Rytm jego poruszeń ciągle żyje. To dudniące echo nie chce zgasnąć. Czepiam się go w myślach, jak gdyby tylko on mógł mnie uchronić przed utratą zmysłów.

Wiem też, że zapach Jessiki żyje na skórze Charlesa, sączy się w jego pory. Stała się jego częścią na wieczność. Nagle myślę o wszystkich dniach i nocach, kiedy próbowałam go zadowolić, kiedy otwierałam przed nim swoje ciało, ofiarowując mu nie tylko seks, ale także miłość, całą siebie, jako jego przyjaciółka, jako żona, a jednak wszystko, co robiłam, nie wystarczyło. On zwała całą winę na mnie.

- Powiedziałam Charlesowi... - Zatyka mnie, kiedy próbuję znaleźć właściwe słowo. Wybieram uczciwość wobec samej siebie. - Powiedziałam, że się z kimś pieprzyłam.

- Nie... Żartujesz, co?

Mówię, że w napadzie furii powiedziałam Charlesowi, że poszłam z kimś do łóżka, ale nie powiedziałam z kim i to go doprowadziło do szału. Opowiadam, jaki miał odjazd, jak potem się rozkleił i prosił, żebyśmy spróbowali znaleźć jakieś wyjście, i jak potem myślałam, że mnie pobije, aż w końcu zszedł do garażu i przez ponad godzinę dom drżał w posadach, kiedy on się znęcał nad swoim workiem treningowym.

Yvette warczy na mnie, pyta, dlaczego zrobiłam coś tak głupiego.

- Powiem ci coś jeszcze... okej... nie używałam gumki.

- Szlag. Dlaczego, do jasnej cholery?

- Po prostu, jakoś tak wyszło, wiesz...

- Nie, nie wiem. Jak mogłaś się nie zabezpieczyć?

Nie mam dobrej odpowiedzi. Mogę jej tylko powiedzieć, że nie potrzebuję kazań, nie chcę, żeby mnie dołowała. Nie mam odpowiedzi. Rozsądek wyleciał przez okno i dałam się ponieść chwili. Znów czuję się jak przestępca, bo wiem, że okłamuję Yvette. I wiem, że tę nową winę mam wypisaną na twarzy. Czuję się, jakbym popełniła następny grzech i teraz muszę się wyświadczyć, żeby poczuć się lepiej, chcę, żeby zadała mi pokutę.

- Nie panujesz nad sobą - mówi stanowczo. - Mieszkaj na razie u mnie, aż... aż...

- Nie porzucę swojego domu tylko dlatego, że on pieprzył się z jakąś dziwką.

- Piegusie...

- Nie.

Przypomina mi, że to, co mówi, płynie z jej doświadczenia, a pamięć tamtych doświadczeń powoduje lekkie drżenie w jej głosie, lekki strach w moim sercu. Kładzie mi ręce na ramionach,

patrzy w oczy i tonem pełnym napięcia i stanowczości, lęku i troski ciągnie kazanie i mówi mi inne rzeczy.

Otwieramy drzwi i wchodzimy do środka. Temperatura spada, w okamgnieniu zmienia się pora roku. Tyra czeka na końcu holu. Jej mina wychładza mnie jeszcze bardziej, zżera resztki mojego ciepła. Kręci głową, odchodzi, obie ręce ma zaciśnięte w pięści.

- Wygląda na to, że potraktuje cię milcząco.

- Wszystko jedno.

Już mnie telepie z zimna. Wszystkie telewizory są powłączone, ludzie śledzą wiadomości zarówno innych stacji, jak i naszych. Na niektórych ekranach leci *The Steve Harvey Show* i inne sitcomy; dobrze, że przynajmniej jeden jest włączony na MTV i jeden na BET. Z powodu całego tego sprzętu w hali redakcyjnej i w reżyserce, w całej firmie musi być zimno jak w kostnicy, żeby główniana supertechnika funkcjonowała bez zakłóceń.

Dzwoni moja komórka. To Charles. Moje serce tego chce, ale nie odbieram.

Idę do swojego gabinetu bez drzwi, do tandetnego biurka, stojącego pośród wielu innych niczym nieosłoniętych biur, przy których ludzie nie mają odrobiny prywatności, otwieram torebkę, wydaję dwa tylenole i połykam bez popijania. Ciężko przechodzą przez gardło, ale przechodzą. Yvette zatrzymuje się na chwilę przy swoim biurku, potem wolnym, słodkim i zmysłowym krokiem oddala się w kierunku montażowni. Jej wdzięk i charyzma rozświetlają na moment halę. Czarny, biały, Latynos czy Azjata, każdy przystaje i uśmiecha się do niej. Oni wszyscy ją kochają.

Pojawia się Tyra, która wrzeszczy na jednego ze współproducentów wykonawczych, wysokiego, kościstego i brodatego faceta o wyglądzie Pee-wee Hermana*, który się nieźle ubiera, chodzi przygarbiony i ma jakiś problem z koordynacją ruchową.

* Ekscentryczny komik (prawdziwe nazwisko: Paul Rubinfeld), który w latach siedemdziesiątych stworzył postać Pee-wee Hermana, mężczyzny o mentalności i odruchach dziecka.

Rozmawiam z redaktorami, którzy streszczają mi najważniejsze wiadomości, potem sprawdzam depesze z kraju i z reszty świata, żeby wejść na kolegium z pewną miną i przyzwoitą wiedzą. Jako producentka nie mogę siedzieć na kolegium jak na tureckim kazaniu. Dzisiaj wygląda na to, że moja praca wisi na włosku.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji wtykam głowę do montażowni Yvette. Zasuwa jak motorek i katuje uszy rapem z płyty *Nellyville*, dodając jakieś funkowe kawałki do materiału o

tańcu zwanym crip walk, który został zakazany w szkole rzemiosła artystycznego na Crenshaw i w prywatnych szkołach średnich w Waszyngtonie.

- Sprawa wielkiej wagi - mówi z sarkazmem. - Trzeba odpuścić Afrykę i zająć się crip walkiem.

Omawiamy inną wiadomość, o mężczyźnie, który zabił dziś rano kolegę z pracy, zastanawiamy się, jak to podpompować, żeby wyszło bardziej sensacyjnie.

- Zabił tylko jedną osobę - mówi Yvette. - Tej samej rasy. Żaden news.

- To twoje ostatnie słowo?

- Dostałam to prosto od Tyry. Będzie na zapchajdziurę.

Kiedy już mamy odfajkowane sprawy zawodowe, Yvette zatrzymuje mnie na chwilę.

- Jeszcze jedno, piegusie.

- Co jest?

- Ty jesteś nieodporną, miękka. Miłość i nienawiść to tak intensywne uczucia, że możesz stracić orientację, zapomnieć, kim jesteś.

- Rozumiem.

- Trzymaj się z daleka od Wirtuoza.

Jej słowa brzmią bardzo stanowczo i potrafi przejrzeć mnie na wylot jak matka. Wychodzę. Znów dzwoni Charles.

Odczekuję do ostatniego sygnału i odbieram. Mówi innym tonem, bez arogancji.

- Możemy się spotkać na lunchu?

- Nie.

To go wyraźnie studzi.

- Wrócisz dzisiaj do domu?

- Nie wiem.

Wydaje się przygnębiony, jakby nie wiedział, co powiedzieć albo w jaki sposób ze mną rozmawiać. Jak obcy człowiek.

- Ten facet... czy to był ktoś, z kim kiedyś się spotykałaś?

- Dlaczego pytasz?

- Masz zamiar znów się z nim umówić?

- Czy to twoje jedyne zmartwienie? Jedyne, co przyciągnęło twoją uwagę?

- Masz zamiar?

- To ty pierwszy złamałeś umowę, Charles.

Rozłączam się. Drżą mi wargi. On dzwoni jeszcze raz. Potwornie mnie wkurza.

- Przestań do mnie dzwonić - mówię.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Jestem w pracy.

- Zawsze ta twoja praca, co?

- Czego dla ciebie nie robiłam?

- W tej chwili ważniejsza jest twoja praca, tak?

Ogarnia mnie poczucie winy, nie daje mi spokoju. Myślę o jego sinym, przekrwionym oku.

- Jak twoje oko?

- W porządku.

- Nieźle cię załatwił, co?

To go dotyka. Wydaje dźwięk, który jest mieszaniną furii i rozdrażnienia.

- Weź tylenol. Przyłóż lód. A katowanie tego worka nic nie da.

- Jak się czujesz?

- A jak do diabła mogę się czuć? - Biorę się w garść. - Próbuję się nie rozsypać, bronię się przed pieprzonym załamaniem. I wiesz, co ci powiem? Gdyby nie moja praca, sposób, w jaki mogę funkcjonować, gdybym nie umiała być zimnokrwistą dziwką...

- Nie powiedziałem, że...

- Właśnie tak mnie opisałeś. To dlatego zdradziłeś mnie z Jessicą, prawda? Bo ona jest tak cholernie wrażliwa. Bo ona nie narzeka i nie przyprawia cię o ból głowy.

- Kotku, ty nie...

- Dlaczego po tym wszystkim miałbyś chcieć żyć z taką suką jak ja? Dlaczego miałbyś chcieć mnie, skoro wszystko, co powiedziałeś w e-mailach, mówi mi, że to Jessica jest odpowiednią kobietą dla ciebie.

- To... to były tylko słowa.

- Twoje słowa.

- Przepraszam. Wszystko spieprzyłem. Posłuchaj... Ja... Co jeszcze mogę powiedzieć?

Oddycham coraz płycej. Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy ludzie widzą, że gonię w pięt-kę. Kilka osób jest przy swoich biurkach, robią swoje na komputerach, dzwonią, i wszyscy mnie obserwują. Odwracam się do nich plecami.

- Muszę kończyć, Charles.

- Zaczekaj...

- Co, Francis? No co, no co, Francis? Czego chcesz, Francis? To zamyka mu usta.

- Mam rozwalony samochód. Boli mnie szyja. Przewraca mi się w żołądku. Mam wielkiego siniaka na nodze. Mąż puszcza mnie kantem. I mam złamane serce. Właśnie tak się czuję, Charles.

Nie odzywa się.

- A co u ciebie? - pytam.

- Przepraszam za to, co powiedziałem.

- To była twoja prawda. Nie zaprzeczaj. - Uspokaja mi się głos. Inna częśćka mnie przypomina, że on nadal jest moim mężem, a ja nadal jestem jego żoną. - Przyłóż do oka łód. W lodówce jest jedzenie. Musisz coś jeść. Wiesz, jak cię boli głowa, kiedy jesteś głodny. I sprawdź, czy w suszarce nie ma jakichś ciuchów, które trzeba poskładać.

Rozłączam się. Telefon znowu dzwoni. Emocje wzbierają, więc uciekam przed tym brzęczeniem, spuszczam oczy, udaję, że jestem zajęta czytaniem jakichś notatek, i wymykam się do saloniku; wiem, że muszę tam zdążyć, zanim kompletnie się rozkleję na oczach ludzi. Walczę z blokadą klamki, w końcu zamykam się od środka i z całych sił próbuję się pozbierać, ocierając z policzków morze łez.

Mija sporo czasu, zanim dochodzę jakoś do siebie i przemykam do łazienki. Myję twarz, a potem, pociągając usta szminką, patrzę na kobietę w lustrze. Ten widok mnie przeraża. Jej piegi błagają o uśmiech. Uśmiecha się, ale jej zaczerwienione oczy odsłaniają zranioną w środku duszę.

Wchodzę do reżyserki i ktoś mnie od razu zaczepia.

- Wyglądasz na strasznie zmęczoną.

- Nic mi nie jest.

- Co się dzieje?

- Nic. Przestań być namolny.

- Moja wina. Komuś by się przydała tabletki midolu*.

- Rzuć jej trochę surowego mięsa.

* Midol - lek łagodzący objawy zespołu napięcia przedmiesiączkowego.

Śmieją się na mój koszt, kiedy posyłam ich do wszystkich diabłów.

Muszę wrócić do pracy. Gdziekolwiek się pojawia, ludzie pytają, co mi jest, a ja usprawiedliwiam swoje zaróżowione policzki i pociąganie nosem różnymi alergiami, staram się zbyć ich śmiechem i dalej robię swoje. Muszę robić swoje, muszę być czymś zajęta, muszę się maksymalnie sprężyć i grać twardzielkę.

W korytarzu ciągle mijam się z Tyrą. Przez cały wieczór moja szefowa próbuje zabić mnie milczeniem. Kładę na jej biurku jakiś tekst; dwie minuty później wraca do mnie zmieniony i cały pokreślony na czerwono. Wprowadzam zmiany i znowu zanoszę tekst na jej biurko. Znowu ładuje na moim, pokreślony od pierwszej do ostatniej linijki. Tyra pogrywa tak ze mną przez cały wieczór. Przyjęła założenie, że dzisiaj niczego, absolutnie niczego nie jestem w stanie zrobić dobrze.

Przechadza się z pełną wyższości miną, jakby to miejsce było Asgardem, a ona żeńskim wciele-
niem boga Odyna. Kiedy ostatnim razem mijamy się w wąskim korytarzu, pałaszuje frytki z wiel-
kiego pudełka McDonalda. Zwalniamy i ciskamy sobie nawzajem pogardliwe spojrzenia, ale żadna
się nie odzywa. Gdy tylko znajdziemy się blisko siebie, zacieśnia się wokół nas budynek, staje się
kwadratowym ringiem bokserskim.

Jest milion rzeczy, które mnie rozpraszają, w tym mnóstwo wiadomości w poczcie głosowej.
Większość jest od Charlesa. Za każdym razem, gdy słyszę jego głos, wydaję pomruki, które brzmią
jak „spierdalaj”, „mam cię gdzieś” i „jesteś taki żalony”. Nie słucham tego, co mówi, po prostu
wciskam „zapisz”, jak tylko usłyszę jego głos. Chcę skasować jego wiadomości, ale jeszcze nie
jestem gotowa, nie dojrzałam do ostatecznej czystki. Niech dzwoni dalej.

Mam też jedną wiadomość od Davida Lawrence'a. Mojego grzesznika w piórkach artysty.
Reaguję na jego głos wszystkimi zmysłami; najpierw przechodzi mnie zimny dreszcz, potem fala
żaru pełźnie w górę i w dół kręgosłupa.

Biorę oddech i zamykam oczy. Jeśli zrobiliśmy to raz, to tak, jakbyśmy zrobili sto razy.

- Dzisiaj rano dostarczono mi pozew rozwodowy. Stan mojego konta wygląda dziwnie.
Sprawdź swoje. I zdaje się, że twój mąż wniósł oskarżenie o napad. Walczyliśmy jak mężczyzna z
mężczyzną. To gówniarstwo z jego strony.

Ból głowy zaczyna rozsadzać mi czaszkę.

- Zadzwoń do mnie - kończy łagodniejszym tonem.

Odkładam telefon, waham się przez moment i oddzwaniam do Davida Lawrence'a. Nie ma
go. Czuję ulgę. Chcę z nim rozmawiać i nie chcę z nim rozmawiać. Zostawiam mu wiadomość,
krótką i rzeczową, nie panując nad drzeniem głosu. Dziękuję za informację, ale nie proszę, żeby
oddzwonił. Łączę się z Wells Fargo i sprawdzam stan naszych kont. Wygląda na to, że wszystko
jest w porządku. Może ubyło kilka dolarów, ale nie tyle, żeby mieć się czym martwić. Nie jestem
zbyt dobra w prowadzeniu rachunków. Teraz dzwoni mój telefon służbowy.

- Słucham?

- Tu Mister Uuu-pierrrr-dliwy. David Lawrence.

- Pamiętasz to? - pyta ze śmiechem.

- Byłam wczoraj trochę wstawiona.

- Trochę?

- Jest mi naprawdę głupio.

- Jak się dziś czujesz?

- Jestem zestresowana.

- Wiem, co mogłabyś zrobić.

- U-hu.

- Zamknij na chwilę oczy.

- U-hu.

- Przypomnij sobie sorbety na patyku, lemoniadę i bieganie między zraszaczami trawników.

Uśmiecham się i przywołuję wspomnienia z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką w Cakalaki, dzieckiem z dziecięcymi zmartwieniami, na długo zanim życie mnie dopadło z dorosłymi problemami.

- Przeczytałem... nie wiem, jak nazwać papiery, które zostawiłaś na materacu.

- To jest... kopia listy pytań, które zadałam swojemu mężowi.

- Dużo chcesz wiedzieć.

- Ty powinieneś chcieć wiedzieć to samo. David milknie.

- Halo?

- Jestem tu.

- O co chodzi?

- Po pierwsze, ostatnia noc. Powinniśmy o tym pogadać. Waham się, co powiedzieć. Zrobiło się poważnie.

- Słucham cię - mówię.

- Właściwie nie mam pojęcia, co powiedzieć.

- To nie byłam prawdziwa ja...

- W porządku. Po prostu powiedz, co chcesz powiedzieć.

- Nie, ty pierwszy. Tutaj jest pełno ludzi, łatwiej mi w tej chwili słuchać.

- Dostałaś wiadomość, więc znasz moją sytuację.

- Papiery rozwodowe?

- Woźny sądowy wręczył mi pozew o świcie.

- Przykro mi to słyszeć.

- W tym tygodniu mamy rocznicę ślubu.

- Cholera. Którą?

- Trzecią.

- Nieźle.

- Piękny rocznicowy prezent, co?

- Widziałaś ją?

- Nie. Myślę, że uciekła do Palm Springs. Ma tam rodzinę.

- Nie pojawiła się w domu?

- Jeśli chodzi o mnie, ona już nie ma domu. Nie ze mną. Wpadłem tam i wymieniłem wszystkie zamki, łącznie z kodem do alarmu. Nie dostanie się do środka.

- Trzy lata, mówisz. Moje małżeństwo trwa czwarty rok.

- Tak. Próbowwała wyczyścić konta i zamierzała uciec z twoim mężem. Denerwuje mnie tym gadaniem.

- Charles nigdzie nie wyjechał i nie ruszał pieniędzy. Nie spakował nawet żadnej torby.

- Jesteś pewna?

- Moje konto jest w porządku.

- Co on powiedział?

- Przyznał się do romansu, do pewnego stopnia...

- Przed czy po tym, jak pokazałaś mu wydruki rozmów?

- Trochę przed, trochę po. Ale powiedział, że nie miał zamiaru mnie zostawić, wbrew temu, co mówiła ci Jessica.

Obok przechodzi Yvette, pogrążona w rozmowie z innym współproducentem. Nie widzi mnie, ale jej obecność mi uświadamia, co robię. Biorę długopis i notes, marszczę brwi, udaję, że zapisuję ważne informacje.

- Możemy się spotkać?

- Po co?

- Żeby porozmawiać w cztery oczy.

- To nie jest dobry pomysł. Już i tak musimy odmówić po dziesięć Ojcze Nasz i dziesięć Zdrowaś Mario, poprosić o rozgrzeszenie i dostać odpawę z upomnieniem, żeby kochać Boga i nie grzeszyć więcej.

- Masz rację.

- Zaczekaj. - Przygryzam wargę. - Tu niedaleko jest takie miejsce. Hot Wings Café.

- Okej.

- Może będę mogła się z tobą spotkać na kilka minut o zachodzie słońca.

- Ale nie jesteś pewna?

Proszę, żeby poczekał chwilę, bo podchodzi redaktorka z jakimś pytaniem na temat materiału o wysokim wskaźniku samobójstw w więzieniach. Ledwie załatwiam tę sprawę, ktoś inny potrzebuje odpowiedzi na parę pytań. Dopiero po kilku minutach wracam do rozmowy telefonicznej.

Przepraszam, że trzymałam go tak długo na linii.

- Tu jest kompletne wariatkowo.

- O której w Hot Wings Café?

- Wykasujmy ten pomysł. Zbyt dużo ludzi od nas chodzi tam jeść.

- To byłby jakiś problem?

- Nie czułabym się... Tak, to byłby problem. Nie, zaraz, to nie będzie problem. Możemy się tam umówić. Nie, na Melrose w Jamba Juice. Nie, może w Beverly Center... Cholera, niech pomyśle.

- Gdzie masz swój saks?

- Co? Co ma seks...

- Saks. S-a-k-s. Twój instrument.

- Aa. Umm. W samochodzie.

- Chciałbym usłyszeć, jak gra na swoim saksofonie altowym cyklinująca podłogi siostrzyczka z orkiestry dętej w Johnson College w Karolinie Północnej.

Pamięta o mnie prawie wszystko. Czterdzieści osiem godzin temu nie wiedziałam, że istnieje. Dwadzieścia cztery godziny temu nienawidziłam go. Teraz jestem zdechła, a on sprawia, że się uśmiecham.

- Nie może być nic gorszego niż ten gówniany country western, którego ty słuchasz.

Śmieje się z mojej próby dowcipkowania. Jego nastrój wywołuje nieoczekiwany uśmiech na mojej twarzy.

- Czasem słucham, ale Tim McGraw jest jedynym facetem z tego podwórka, który podoba mi się na tyle, żeby go kupić.

- Dobra, odciągnę cię od słuchania białego bluesa i studiowania ruchów robaczkowych dekonstrukcjonistów. Zagram ci Kima Watersa, zafunduję trochę jazzu.

- Ruchów robaczkowych dekonstrukcjonistów? - Parska śmiechem. - Przyjdź do mnie wieczorem.

- To będzie... późno. No wiesz, koło północy.

- Mniej więcej o tej samej porze przyszedł wczoraj.

Niewinnym tonem wyraża pragnienie kontynuowania swojej zemsty. Jego miękki głos sprawia, że moja vagina wyje jak wilk do księżyca. Nie oddycham, trzymam słuchawkę i wspominam ostatnią noc.

- Jeśli wpadnę... chciałabym dostać kopię tego programu, który masz w komputerze. Zainstalowałabym go w swoim domowym komputerze.

- Myślisz, że on mógł mieć inne kobiety?

- Nie mam pojęcia. Nie mam bladego pojęcia.

- Dam ci przegrać ten program.

- Jeśli przyjdę - powiedzmy to sobie otwarcie - interesuje mnie tylko ten program, więc nie spodziewaj się po mnie niczego poza muzyką. Pobędę chwilę, wystarczająco długo, żeby zagrać kilka kawałków.

- Wystarczająco długo, żeby wypić herbatę, pograć i chwilę porozmawiać?

- O czym mielibyśmy jeszcze rozmawiać?

- Puścimy to na żywioł.

Pocieram skronie, krzyżuję nogi w kostkach i zaciskam uda.

- Jedyne, co mamy ze sobą wspólnego, to niewierność naszych współmałżonków - przypominam jemu i samej sobie.

- Całkiem sporo.

- Boże. Co my robimy, jak do tego doszło?

- Niewierność rodzi niewierność. Cisza.

- Byłeś zraniony - mówię. - Ja byłam zraniona. Cierpieliśmy oboje. Pocieszaliśmy się nawzajem.

- Jak się czujesz teraz?

- W tej chwili?

- Tak.

- Gdybym weszła teraz do kościoła, budynek runąłby chyba w gruzy.

Gapię się na swoją obrączkę ślubną, wspominam białą suknię i czarny smoking, miesiąc miodowy na Maui, urlop na Florydzie, wyprawy narciarskie do Kanady, śmiech i uśmiechy, i przyrzeczenia. Zdjęcie Charlesa stoi przy moim komputerze. Aniołki i fotografie mojego mężczyzny ze mną znajdują się tuż przed moimi oczami.

- Jednym telefonem zmieniłeś na zawsze moje życie.

- Twój mąż zmienił moje.

- Nie, twoje zmieniła twoja żona. Podała mu siebie na tacy.

- Czy coś usprawiedliwia twojego męża?

- Nie usprawiedliwiam go.

- Dobierał się do mojej żony przy każdej okazji.

- Przeczytaj jeszcze raz te rozmowy. Twoja żona rozchylała nogi, gdzie tylko mogła.

- Tak, to prawda.

- To ty znalazłeś prezerwatywę w jej wozie.

- Przypuszczam, że mężczyzna może zrobić tylko to, na co pozwoli mu kobieta.

Przerywamy rozmowę.

Urodzaj złych wiadomości. Wszyscy wychodzą z siebie, krzyczą, wrzeszczą, klną i w tej chwili stacja wymaga ode mnie pełnej uwagi.

David Lawrence oddycha wolno i spokojnie. Atakuje mnie wspomnienie z ostatniej nocy. Przypominam sobie jego wściekłość i gorący oddech na swojej skórze. Chcę, żeby się już pożegnał, bo nie wiem, jak zakończyć rozmowę.

On się rozłącza.

Siedzę z telefonem przy uchu, moja świadomość odcina się od wszystkich krzyków, wrzasków i przekleństw. Wspominam Karolinę Północną. Czasy dorastania na Rosedale Avenue. Wędrówki po Forest Hills. Wizja domu z wielkimi oknami. To był dom moich marzeń.

Wspominam sorbety na patyku, lemoniadę, bieganie między zraszaczami trawników.

14

Mam zapasowe ubranie w swoim mustangu, więc postanawiam przenocować u Yvette.

Przyjeżdżamy do jej mieszkania i obie jesteśmy podminowane, nie chce nam się spać. Użeranie się z Tyrą Tyranką i Charlesem kompletnie zszargało mi nerwy i chętnie bym się znieczuliła solidnym kieliszkiem wina, ale nie uśmiecha mi się następna klaustrofobiczna impreza z upijaniem się na smutno, więc wskazujemy do Błękitka i jedziemy na przejażdżkę. Pruję bulwarem Ventura, mijam Jinky's Café, Baja Grill i milion ulicznych knajpek. Za skrzyżowaniem z czterysta piątą Yvette każe mi jechać dalej w kierunku Encino. Robię pod jej dyktando kilka szybkich zakrętów i lądujemy w jakiejś luksusowej dzielnicy willowej.

- Dokąd jedziemy? - pytam.

- Do Houghmagandy.

- Co to jest?

Mówi, że Houghmagandy to niepisana nazwa klubu erotycznego, która pochodzi od szkockiego słowa oznaczającego „cudzołóstwo”. I że praktykują tam houghmagandy bez żadnych ograniczeń. Dom znajduje się przy bocznej ulicy równoległej do autostrady numer sto jeden. Niezbyt duża willa w środku eleganckiego osiedla, dyskretnie położona, w zachwycającym otoczeniu. Wszyscy parkują dwie przecznice dalej. Bramy pilnuje niski, chudy, wymuskany mężczyzna. Ze swoją posturą nie nadawałby się na bramkarza na kinderbalu. Uśmiecha się, pyta, z kim chcemy się zobaczyć. Yvette wymawia magiczne słowo, mężczyzna otwiera furtkę z kutego żelaza i wpuszcza nas do środka.

Yvette spogląda na mnie kątem oka.

- Wyluzuj - mówi.
- A jak spotkamy kogoś znajomego?
- Będzie w identycznym położeniu.

Idziemy ścieżką pod palmami, mijamy podjazd i wkraczamy do domu, w którym tłoczą się spragnione istoty szukające zadowolenia, gotowe pić z każdego źródła.

Ludzie błakają się po domu jak wampiry złażnione krwi. Jakaś siostra jest w długim skórzanym płaszczu szeroko rozchylonym, a jedyne, co ma pod spodem, to stringi i stanik ze skóry. Stroju dopełniają botki do kolan i uszy Myszki Miki z napisem „Świat Disneya”.

Zatrzymuje się koło mnie i zagaduje, jakby mnie znała.

- Mam faceta, którego nie jestem pewna.
- Co? Powtarza.
- W czym problem? - gram na odczepnego.
- Wiem, że lubi się pieprzyć, ale chyba nie jest tak otwarty jak ja.
- Uhm.

Poprawia uszy Myszki Miki.

- Lubię, jak się do mnie mówi jak do gwiazdy porno, a on tego nie robi.
- Szkoda.
- Tak to jest, jak się wyjdzie za mąż za pastora.
- No tak.
- Fajna jesteś - mówi z uśmiechem.
- Dzięki.

Facet przechodzący z miską kondomów przypomina sprzedawcę orzeszków na stadionie Dodger. Jego miska jest pełna wszelkiego rodzaju zabezpieczeń w najróżniejszych smakach.

- Związki są trudne - ciągnie kobieta z uszami Myszki Miki, kiedy już pomyślałam, że się odczepiła. - To praca na pełny etat, i tak to trzeba traktować.

- W jakim sensie?
- Kiedy twój kochanek chce się urwać, powinien ci dać dwutygodniowe wypowiedzenie. I odprowę. I zanim odejdzie, powinien ci znaleźć tymczasowe zastępstwo.

Śmiejemy się. Tylko że ja się śmieję z niej, nie z nią.

- Masz na coś ochotę? - pyta z uśmiechem.
- Nie, dzięki.

Robi zawiedzioną minę - taką, jaką robią bracia, gdy któryś chce z tobą zatańczyć, a ty mu dajesz kosza - potem uśmiecha się do Yvette.

- A ty?

- Stricte hetero, Myszeko Miki. Zgłoś się do mnie w następnym życiu. Krzywi się i odchodzi, poprawiając uszy.

- Jezu. Ale świruska.

- Była małą Ya-Ya w jakimś siostrzanym stowarzyszeniu*.

* Odniesienie do książki Rebbeki Wells *Boskie sekrety siostrzanego stowarzyszenia Ya-Ya*.

Wchodzi jakiś brat i wdaje się w rozmowę z Yvette. Faceci, którzy tu przychodzą, nie tracą czasu. Słyszę, jak próbuje ją wybadać. Urodził się w Nigerii, potem pojechał do Ghany, później do Botswany, mieszka w tym kraju od trzynastu lat i niedługo wyjeżdża gdzieś za ocean, żeby pracować nad swoim dyplomem. Jest inteligentny i przyciąga jej uwagę. Niedaleko nas na wielkim ekranie leci ostre porno, słysząc jęki i postękiwania, a Yvette i ten facet rozmawiają o tym, jaka piękna jest Botswana, o Zimbabwie, o Namibii, w której zapanował wreszcie spokój.

- Co wiesz o konflikcie erytrejsko-etiopskim? - pyta Yvette.

Zostawiam ich i idę do kuchni. Tam też jest tłok. Robię przegląd lodówki, jakbym była u siebie w domu, zjadam trochę chipsów i nalewam sobie kieliszek rieslinga. Wchodzi przystojny blondyn z krzywymi nogami, ubrany w dżinsy i bluzę Uniwersytetu Kentucky. Jest bardzo wysoki, starannie ogolony, zbudowany jak dąb. Kieruje się w moją stronę i zaczyna rozmowę niezwykle uprzejmie i w dżentelmeńskim stylu, ale naciera na mnie ostro. Mówi, że pochodzi z Nowej Zelandii i jest tajniakiem z agencji antynarkotykowej.

- Zawsze myślałam, że powinniście działać pod płaszczkiem, a nie na waleta.

Śmieje się.

Pytam go o obrączkę. Bez wahania przyznaje, że jest żonaty, jakieś pół roku po ślubie. Pyta o mój stan cywilny. Mówię, że jestem mężatką od czterech lat.

- Jak wam się układa? - dopytuje.

- Układa się.

- Chcesz coś zrobić?

- Dziękuję nie.

Żegna się uściskiem dłoni i odchodzi, rozglądając się po tłumie, a chwilę później wdaje się w rozmowę z jakąś Latynoską. Jest ubrana w biało-granatowy mundurek szkolny, ssie lizaka i trzyma mały pejcz.

Przez dziesięć, może piętnaście minut przypatruję się ludziom. Pojawia się mnóstwo nowych twarzy. Mnóstwo ludzi przechadza się, popijając piwo albo chrupiąc chipsy. Dwie dziewczyny wyglądają, jakby ledwie skończyły szkołę średnią. Mężczyzn przyciąga jak magnes ich wi-

doczna młodość i przypuszczalny brak doświadczenia; wloką się za ich blond włosami i niebieskimi oczami od pokoju do pokoju.

Dużo ludzi łączy się w pary, potem znikają w różnych częściach domu. Nie widzę Yvette i zaczynam się niepokoić. Mam nadzieję, że nie została porwana i zamieniona w żywy towar. Przyspieszam kroku i błędzę od pokoju do pokoju, od sesji do sesji, w końcu znajduję Yvette w kręgu publiczności zgromadzonej wokół kominka w sypialni, oglądającą pokaz. Serce mi zwalnia. Udaję, że to, co widzę, nie robi na mnie wrażenia. Stoimy w gęstym tłumie, trzymamy swoje drinki i patrzymy, jak tajniak z agencji antynarkotykowej uprawia seks z sześcioma zachwyconymi paniami. Wszystkie wyglądają na zamożne i wykształcone, na oko każda mogłaby być lekarką albo profesorką uniwersytetu. Tajniak przykłada się do występu, czasami pracuje z dwiema kobietami naraz.

- Uhu-hu - mruczy Yvette. - To jest to, o czym mówię.

- No no...

Tajniak uśmiecha się do mnie. Sprawny z niego kochanek, funduje swoim partnerkom orgazm za orgazmem. Jedna po drugiej zbierają ubrania i odchodzą, lekko się słaniając w pokopulacyjnym błogostanie.

Ja i moja przyjaciółka idziemy się powłóczyć. Jestem podniecona. Wilgotna.

Towarzystwo jest mieszane, nie widać żadnych prostaków, głównie wyższa klasa średnia o europejskim rodowodzie w wieku od lat dwudziestu jeden do około sześćdziesiątki.

- Daj mi znać, kiedy będziesz miała dosyć - mówi Yvette.

- Rozejrzemy się przez chwilę, a potem spadamy.

Snujemy się z pokoju do pokoju, potem wychodzimy na zewnątrz. Seks oralny w obu wydaniach koncentruje się przy basenie, ale oglądanie tego jest nudne. Przynajmniej tak mówię Yvette, ale ona chce zostać. Wtapiamy się w elitarną publiczność koneserów przedkładających doznania intelektualne nad emocjonalne. Jeden facet jest naprawdę gorliwy, jego żona ma otwarte usta, oddycha nierówno z twarzą spiętą, jakby miała za chwilę krzyknąć, szczytuje i jęczy tonem, który wprawia w pulsowanie moją pochwę. Jej mąż dogadza jej z takim oddaniem. Przez moment jestem nią, a on jest moim wiernym kochankiem.

Może po prostu przestałam pociągać Charlesa. Może pieprzył się ze mną z litości.

Czasami tak bardzo go pragnęłam, on spał, a ja usypiałam się płaczem. Chciałam być dla niego czymś najlepszym w życiu. Jego kochanką. Jego żoną. Chciałam mieć z nim dzieci. Tyle, ile by chciał. Dawałam czterysta procent z siebie, a i tak zesłam na drugi plan.

Yvette klepie mnie w ramię.

- W porządku?

- Tak.

Mijamy te wijące się ciała i wchodzimy do osobnego pawilonu z pokojami gościnnymi. Wszystkie mają drzwi. Nieśmiali ludzie są tutaj. Słyszymy przez cienkie ściany ich jęki.

Jest wiele różnych pokoi. Niektóre mają otwarte drzwi. W jednym z pomieszczeń, oświetlonym tylko światłem świec, jest wielkie łóżko, a na nim cała tęcza koalicja ludzi. W innym łagodnie oświetlonym pokoju odbywa się coś, co przypomina nagi spód jakiegoś siostrzanego stowarzyszenia. Kobiety pieszczą i zadowolają kobiety. To nie w moim guście, ale działa na zmysły. Oglądamy je również. Żona pastora z uszami Myszkki Miki jest najlepszą mineciarą w tym gronie. Daje wystarczająco dużo żaru, żeby nabawić się poparzenia trzeciego stopnia.

Przez godzinę łączę i oglądam ludzi szukających spełnienia w stosunkach cielesnych, chodzę od pokoju do pokoju, tak jak się zwiedza muzeum.

To cholernie podniecające. Ale i smutne.

W tym domu nie ma miłości. A bez miłości seks jest gwałtem.

Kierujemy się do wyjścia przez główny dom.

Tajniak przeciąga językiem po wargach, potem uśmiecha się do mnie, kiedy idziemy dalej w kierunku drzwi, zatrzymuje mnie na moment, bierze za rękę i wyraża nadzieję, że jeszcze kiedyś mnie spotka

Cofam rękę i zadaję mu pytanie.

- Czy to jest naprawdę takie łatwe?

- O co pytasz? Wskazuję jego obrączkę.

- Zostań jeszcze trochę - mówi.

- Po co?

Śmieje się śmiechem największego kochanka świata. Macham w odpowiedzi palcem z obrączką.

- Czy twoja żona wie, gdzie jesteś?

Znów odpowiada śmiechem. Tajniak z agencji antynarkotykowej mówi mi „cześć” i wraca do środka.

Macham na pożegnanie tłumowi seksualnych atletów i hedonistów i oddalam się wolnym krokiem w mrok palmowego gaju. Yvette idzie tuż za mną, popijając wodę z butelki.

Odchodzę, podniecona do granic bólu.

Szarpię włosy, odjeżdżając z Yvette w ciemną otchłań nocy z odkrytym dachem, żeby rześkie powietrze nas ostudziło.

- Jesteś strasznie milcząca - mówi Yvette.

- Myślę.

- O czym?

- Szaleństwo. Wszyscy ci faceci z obrączkami na...
 - Męska potrzeba wyżycia się jest silniejsza od nich samych. To sedno sprawy.
 - Co usprawiedliwia kobiety?
 - Zdobywają dominację. Wybierają. Stają się boginiami miłości. Wydają pomruk zaciekania.
 - A ludzie nie mają pojęcia, że takie miejsca istnieją.
 - Ludzie wiedzą. Takie miejsca są w każdym mieście. Byłam w prywatnym klubie w Charlotte.
 - Coś takiego. Pojechałaś na moje stare śmiecie i nic nie powiedziałaś?
 - Myślałam, że ci mówiłam.
 - Pamiętałabym.
 - Tak naprawdę to było pod Charlotte, w Fort Mill. Pojechałam tam z Atlanty.
 - Kiedy to było?
 - Wtedy, gdy Miss Karoliny Północnej musiała zrzec się tytułu z powodu jakichś rozbieranych zdjęć.
 - Wygrzebałam tę historię z depeszy. To było całkiem niedawno.
 - Zatrzymałam się z pewnym przyjacielem w hotelu Adams Mark w centrum Charlotte, poszliśmy na wieczór poetycki do klubu Aqua, poimprezowaliśmy w CJ's, a następnego wieczoru wyskoczyliśmy do prywatnego klubu w Fort Mill.
 - Fort Mill to dziura, nie ma jej nawet na mapie.
 - Nigdy nie słyszałam o tym miejscu.
 - To skąd się dowiedziałas?
 - Z internetu.
 - Mówisz serio?
 - Mają swoją stronę.
 - Cholera.
- Wystawiam lewą rękę na wiatr, przedzierając się przez korek na bulwarze Ventura. Pełna iluminacja i ciągle mnóstwo ludzi na wybiegu. Łowcy przyjemności na nocnym żerowisku.
- No dobra, przyznaj się - mówi ze śmiechem Yvette. - Kręciło cię Houghmagandy.
 - Tak. Ale byłam trochę zawiedziona.
 - Dlaczego?
 - Większość facetów... nie byli zbyt ciekawi i byli, no wiesz, przeciętnych rozmiarów. Nie robili tak naprawdę nic specjalnego. Żadnej gry wstępnej. Żadnego zakończenia. Nic zmysłowego.
 - Żadnego udawania, piegusie.

- Żadnych głębokich i wolnych pocałunków. Żadnego romansowania. Ja chciałam zobaczyć sztukę romansowania.

Jadę w kierunku Studio City. Wszystkie sklepy są pozamykane, a Jerry's Deli przy tej trasie spłonęły w pożarze. Do najbliższych JD jest dobry kawałek drogi. Jesteśmy głodne, ale uznajemy, że nie jesteśmy dzisiaj w nastroju na JD. Los Angeles jest hrabstwem, które uwielbia spać. Dzwoni moja komórka. To Charles, chce wiedzieć, czy wracam do domu. Nie odbieram, po prostu wyłączam telefon. Nasza ostatnia rozmowa zbyt dużo mnie kosztowała.

- Jak to było - pyta Yvette - kiedy patrzyłaś na mnie i na TJ-a?

- Co?

- Wiem, że nas widziałaś.

- Zauważyliście mnie?

- Tak. Widziałam, jak się płaczesz po kuchni.

- Czy to... umm... czy to było zamierzone?

- Nie pochlebiaj sobie. Nie, ale po tym, jak cię zobaczyłam...

- TJ mnie widział?

- Nic nie powiedział, ale zmienił na sekundę rytm. Nie mogłam nie słyszeć, jak rozmawiasz przez telefon, kłócąc się i próbując mówić szeptem. Pijani ludzie zawsze szepczą głośniejsz, niż mówią.

- Szlag. Pewnie myśli, że jestem kretynką, pijaczką i podglądaczką.

- To nas podładowało. Dodało nam trochę czadu.

- Tak? - Zamazane obrazy przewijają mi się przed oczami. Moje zataczanie się w stronę jej drzwi. Widok ich dwojga w łóżku. Wyraz twarzy Yvette. - O ile pamiętam, on się nieźle przykładał.

- Szczerze mówiąc, nie jest w tym najmocniejszy, ale lubię faceta i dobrze się z nim czuję. Potrafi być naprawdę delikatny, kiedy trzeba, i ostry, kiedy chcę, żeby taki był. Gdy jest na to pora, potrafi słuchać. Cholernie dobry student. Prymus.

- To dlaczego się z nim normalnie nie zwiążesz?

- Spiknęliśmy się tylko dwa razy.

- Więc spręż się i zobacz, czy może być z tego coś więcej.

Kręci głową.

- Prawo malejącego zysku.

- Co to znaczy?

- To moje podejście do teorii ekonomii.

- To znaczy...?

- Im częściej czegoś doświadczamy, tym słabszy jest efekt. Kiedy często sypiasz z facetem, to traci swoją wartość. On zaczyna być zmęczony tym samym starym tańcem i chce nowej dupy.

- Nie sądzę, żeby to prawo miało zastosowanie do seksu.

- Ma.

- Nie ma.

- Dlaczego mężczyźni zdradzają, kiedy mają już chętną partnerkę w domu?

- Oportunizm.

- Dlaczego niektóre kobiety idą w tango cichcem, mimo że mają chłopa?

- Pustka emocjonalna.

- Daj sobie spokój z tymi idiotycznymi bredniami. Spójrz na to trzeźwo. Gdybyś spytała mnie...

- Nie spytałam.

- Ludzi ekscytuje to, co nieznane. Grzeszenie jest podniecające. Cholera, nawet siostra, która jest skończoną piękną i zdobywczynią Oscara, ma takie same problemy jak najbardziej pokraczne brzydkie kaczątko.

- Prawo malejącego zysku.

- Tworzy paskudne błędne koło.

- Skąd ty bierzesz te wszystkie mądrości?

- Jestem myślącą kobietą.

- Naprawdę mogłabyś sobie odpuścić te gówniane brednie w stylu Oprah Show.

- Nie, mówię poważnie. Rozumiem mężczyzn lepiej niż większość kobiet. Wiem, jacy są naprawdę i że różni się to zdecydowanie od kobiecych rojeń. Przeczytaj wszystkie książki na ten temat. Idź na wszystkie seminaria. Spójrz prawdzie w oczy. Nie możemy ich zmienić. Oni nie mogą zmienić nas. Pozwólmy im być sobą i zejdźmy na ziemię.

- Ty zesłaś?

- Choćby taki Charles...

Skręcą się, gdy wymawia jego imię.

- Odpuść.

Brnie dalej.

- Dajesz mu wszystko...

- Okazuję mu miłość.

- ...i to nie wystarcza.

- Może przestaniesz mi przypominać, jak tylko cię najdzie...

- Nie, porozmawiajmy. Gotujesz Charlesowi.

- Z miłości, nie z obowiązku. Zresztą lubię gotować.

- Sprzątasz.

- Z mi-łoś-ci.

- Może cię mieć, kiedy chce.

- Jesteśmy małżeństwem. Ja mam z tego równie dużo co on. Cholera, dostaję nawet więcej niż on.

- To wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Zbyt dostępne. To, co jest dostępne, nie ma wartości. Staje się nudne.

- Yvette...

- To dlatego nawet fantastyczny seks staje się przewidywalny i dlatego łatwo mu cię odtrącić.

- To jakieś brednie samotnej kobiety, zakładając, że to w ogóle słyszałam.

- Jestem tylko posłańcem, nie wyzywaj się na mnie. Wiem, jak jest w stałych związkach, bo byłam mężatką, byłam w twoim położeniu. I ty masz swoją rację, robiłaś to, co powinnaś, i na tym się sparzyłaś. Robiłaś, co należało, kochając go.

- I nie było w tym udawania. Po prostu jestem sobą. Nie jestem taka jak ty.

- Myślisz, że jestem zwolenniczką udawania?

- Wiesz, o co mi chodzi.

Ryby dochodzą do głosu, zaczynam mówić wściekłym tonem. To z kolei podgrzewa krew Bliźnięt i Yvette zamyka usta. Prowadzę w milczeniu przez kilka światła. Ona podśpiewuje i bawi się wiatrem. Wie, że chcę, aby coś powiedziała, ale siedzi cicho. Wie, że nie umiem się na nią długo złościć. Mówi, że jest realistką, ale ja myślę, że jest sfrustrowaną idealistką; sfrustrowaną, bo zdaje sobie sprawę, że idealizm można tylko o kant dupy potłuc. W swój niezręczny, nieznośnie „zdroworozsądkowy” sposób ciągle próbuje mnie pouczać. Ma wielkie serce, chce, żeby świat był doskonały, ale wie, że nie jest, i dojrzała do akceptowania go takim, jaki jest. Uznaje namiętności i grzechy, dostrzega szaleństwo i pragnienia ludzkiego serca i ze wszystkim umie się pogodzić. Dzień po dniu moja przyjaciółka widzi te same idiotyzmy, hipokryzję i brutalność, które widzę ja, i obie nie próbujemy zmieniać czegoś, czego zmienić się nie da. Kocham ją, bo ma czyste serce.

- Wiem, o czym mówię, piegusie. - Jej głos brzmi szorstko. Jest podminowana. Czuję to, bo jej akcent rodem z Alabamy zawsze się nasila, kiedy coś ją wkurzy. - To dlatego w każdym moim związku pierwszy pocałunek był jedynie początkiem długiego pożegnania.

- Nie lubię, kiedy tak mówisz.

- Układy męsko-damskie w Los Angeles mają to do siebie, że zawsze z kimś zrywasz. Zawsze jesteś między jednym związkiem a drugim. Nawet jeśli trwasz w związku, jesteś między dwoma związkami.

- Co za cholerny cynizm.

- Mnie się to też nie podoba. Ale jeśli po raz kolejny zostajesz singlem, to są po prostu fakty.

- Jesteś szczęśliwa?

- Jestem szczęśliwa. - Śmieje się lekko. - Jestem zadowolona ze swojego życia seksualnego.

- Pytam o całe twoje życie. W życiu liczy się coś więcej niż seks.

- Mam swoją wolność. Mogę wyjść coś zjeść, jeśli akurat mam na to ochotę. Albo do teatru. I na ogół lubię swoje towarzystwo. Mam za sobą tę fazę współzależnienia od czegośkolwiek.

- Jesteś szczęśliwa?

- Nie odpowiadam przed żadnym mężczyzną. Jestem na wakacjach i mogę się bawić na każdym placu zabaw, który wybiorę. Mogę zajmować się rzeczami, jakich kobieta w stałym związku robić nie może.

- Czy właśnie z tego będę musiała się cieszyć przez następnych pięć lat?

- Owszem, to plus częstsze badania per rectum. Pigułki, które nie uśmierzą potwornych skurczy. Mięśniaki macicy. Refleksologia nic nie da, a midol będzie żartem. Och tak, to dopiero będzie ubaw.

Wciąż jednak jestem głęboko dotknięta. Nie chcę myśleć o rozwodzie, nie dzisiaj. Chcę się bawić i udawać, że życie jest piękne. Na samą myśl o trzydziestu tysiącach dolarów na opłaty sądowe puchnie mi głowa. I o utracie domu, to jest najgorsze. Los Angeles jest miastem dla rodzin o podwójnych dochodach. Możesz zarabiać swoich czterdzieści tysięcy rocznie i nie móc sobie pozwolić na przyzwoity dom, a jeśli jakiś znajdziesz, to będzie ruina wyglądająca ja szopa Freda Sanforda*. I sam rozwód. Nie mogę na razie o tym myśleć. Rozwód jest drugą po śmierci współmałżonka przyczyną najcięższych urazów psychicznych. Śmierć, potem rozwód. Ludzie, którzy przechodzą przez to gówno, dostają ataku serca, nie wytrzymują nerwowo i wpadają w głęboką depresję.

* Fred Sanford - bohater serialu telewizyjnego, wdowiec, który wraz z synem prowadzi sklep ze starociami.

Mówię Yvette, żeby przestała robić wściekłą minę i powiedziała, o czym myśli.

- O Erytrejczyku.

Obie parskamy śmiechem.

- Prawda czy fałsz? - pyta.

- Yvette, daj już spokój. Odpuść.

- Kiedy pierwszy raz śpisz z facetem, to jest naprawdę coś, pełnia wrażeń.

Potrafi być taka uparta. Poddaję się i kiwam głową.

- Co do tego zgoda.

- Nigdy potem nie osiągasz tego pierwszego efektu.

- To wcale nie słabnie. Zawsze może być dobrze. Czasem jest jeszcze lepiej.

- Zgódźmy się, że to nieprawda, i zmieńmy temat.

- Nie mam zamiaru zgodzić się z tą brednią.

- W tym wszystkim chodzi wyłącznie o przyjemność polowania. To ich podnieca. Plemniki polują na jajeczko. Jajeczko nie poluje na spermie. Jajeczko jest stacjonarne. Osiadłe. To jest w ich naturze, nieustające polowanie.

Nie wytrzymuję i wybucham śmiechem.

- Tak więc przeznaczeniem mężczyzny jest polowanie - powtarza Yvette.

- A co jest przeznaczeniem kobiety?

- Kupowanie butów.

Dławię się ze śmiechu, z trudem panując nad kierownicą.

- Skąd ci się biorą takie pierdoły? To jakaś nawijka z Alabamy, co? Śmieje się ze mną i pokazuje dwa środkowe palce na znak miłości.

- Musisz przestać biegać na czas jak Flo Jo* - mówię - i znaleźć sobie przyzwoitego chłopca na stałe. Ciągłe latasz do Atlanty, nie mogłabyś tam poznać jakiegoś miłego południowca?

- Tam jest kompletna posucha, pogoda dla gejów. - W Atlancie?

- Wychodzisz na Lenox Square i czujesz się jak na występie RuPaula**.

- Aż tak źle?

- Bracia paradują w tę i z powrotem po Peachtree i zachowują się bardziej kobieco niż my obie razem wzięte. I za dużo tam się kręci biseksów.

* Flo Jo - słynna czarnoskóra biegaczka Florence Griffith-Joyner.

** Gwiazdor muzyki pop, drag queen i transwestyta, supermodel.

- Paranoja.

- Chłopcy nadają pojęciu miłości braterskiej całkiem nowy wymiar.

- Cholera. Wyobrażasz sobie, że mogłabyś nakryć swojego faceta z innym facetem?

- Zabiłabym czarnucha.

Dochodzi pierwsza w nocy, kiedy wracamy do mieszkania Yvette. Odgrzewamy resztki makaronu z sosem, włączamy płytę Jaguara Wrighta i rozmawiamy o tysiącu rzeczach naraz, w końcu schodzimy na pracę. Moja przyjaciółka narzeka, że w firmie nie realizuje swoich ambicji, mówi, że chciałaby robić o wiele ważniejsze rzeczy.

- Ja chcę dać ludziom poczucie społecznego znaczenia - oświadcza.

- Och, proszę cię. Jesteśmy w Hollywood. Tutaj ludzie nie są zbyt wyrobieni społecznie.

- I męczy mnie praca dla niewyrobionych psychologicznie. Wygarnęłam to gówno Tyrze.

Potem odbiera telefon od jednego ze swoich kochanków.

- Dlaczego dzwonisz do mnie tak późno? - warczy. Potem śmieje się, rumieni i odkłada słuchawkę.

- Zostaniesz sama? Na pewno?

- Rób swoje.

Spieszy się, pakuje torbę, łapie szczoteczkę do zębów, mówi, że zobaczymy się rano.

Chcę być sama. Natura Ryby łaknie samotności.

W telewizji nic do oglądania poza tym cholernym niskobudżetowym chłamek erotycznym. I nawet seks w kiepskim wydaniu, przy złym oświetleniu, z prymitywną choreografią, przypomina o tym, co ludzie powinni robić o tej porze. Yvette ma dobrze zaopatrzone barek, więc otwieram butelkę merlota, padam na sofę, owijam ramiona kocem i oglądam jakieś sztuczne biusty i piękne ciała kopulujące w najgorszym stylu.

Kieliszek wina przechodzi przez gardło jak oranżada kool-aid. Moje ciało domaga się czegoś mocniejszego, ale odkąd poznałam tamtego dziecięcia, będę unikała wysokoprocentowych trunków i kaca przez najbliższe dziesięć lat. Naruszam więc prywatną przestrzeń Yvette i szukam jakichś leczniczych papierosów. W szkatułce na biżuterię znajduję dwa grube skręty, które się uchowały po imprezie na smutno z moim udziałem.

Wypalam połówkę jednego jointa, wciągając zioło w płuca bez jednego kaszlnięcia, potem wlewam w siebie drugi kieliszek wina i zamykam oczy.

Sen nadchodzi w pięknych barwach.

Niepokój do spółki z pełnym pęcherzem budzą mnie o trzeciej, na długo zanim ciemność ustąpi miejsca nowemu dniu. Idę do łazienki zrobić swoje i czuję się podenerwowana, brudna od całej tej negatywnej energii. Muszę zmyć z siebie całą złą karmę, która mnie oblepia. Chcę sobie zrobić kąpiel, żeby się chwilę pomoczyć, ale nie mogę znaleźć korka do wanny. Zrezygnowana idę

pod prysznic. Zamykam drzwi i odkręcam tak gorącą wodę, że maleńka łazienka Yvette zamienia się w saunę. Rozbieram się, patrzę na swoje posiniaczone kolano. Podczas „trzęsienia ziemi” uderzyłam w róg metalowego regalu mocniej, niż myślałam. Siniak jest ciemnopurpurowy jak podbite oko. Wygląda gorzej, niż boli.

Biorę prysznic przy świetle świec.

Moje ciało wydaje się naelektryzowane. Jestem ubzdryngolona. Woda tak dobrze mi robi. Wsadzam głowę pod strumień i udzielam sobie chrztu. Końcówka prysznicowa jest ruchoma. Fajnie. Zdejmuję ją i obmywam ramiona. Oblewam piersi. Myję brzuch. Kiedy woda tryska między moje nogi, czuję nagle mrowienie. Kieruję strumień na cel i pozwalam, żeby mrowienie wytworzyło ciepło i to ciepło staje się ognistym żarem. Manipuluję końcówką prysznicową, znajduję tętniące jądro przyjemności, ustawiam właściwą temperaturę wody, potem odpowiednie natężenie.

Cholera.

Opieram lewą stopę na kranie, plecy o ścianę, używam lewej ręki do dotykania pochwy, rozchyłam te mięsiste fałdki i obnażam swój czuły punkt, pozwalam, żeby pulsujący strumień wody wzmagął moje podniecenie aż do szczytu, i poddaję się orgazmowi. Wyzwolenie następuje gwałtownie, wprawia w drżenie moją prawą nogę. Akustyka kabiny wzmacnia moje pomrukiwania i jęki. Śpiewam a cappella na swoim koncercie. Moja lewa noga ześlizguje się z kranu i tracę równowagę, omal nie wypadam przez szklane drzwi, wypuszczam z ręki końcówkę prysznicową i uderzam plecami o ścianę, osuwam się na pośladki, łapiąc oddech.

Wyładowanie przynosi ulgę, ale nie uwalnia mnie do końca ze stresu. Podniecenie nie gaśnie. Panika ukradła końcówkę mojego orgazmu i to mnie irytuje. Siedzę na podłodze kabiny, odycham ciężko. Woda tryska w górę z oszalałego prysznicownika, mój kochanek wije się niczym wąż w swoim nieustającym orgazmie, sztuczny deszcz spływa po mojej skórze, zrasza mi włosy.

Cholera.

Moje ręce zaczynają żyć własnym życiem, ściskają sutki. Chcę przestać. Nie mogę. Moja dłoń zsuwa się między nogi. Gorąca śliska wilgoć. Palce zabierają się do dzieła. Kocham się jednym palcem. Potem dwoma palcami. Miłość na trzy palce. Ssę wargi. Chłonę dźwięk narastającej rozkoszy. Jęki odbijają się echem, jakbym była w pustej jaskini.

Rodzę boginię orgazmu, potem leżę tam zwinięta w kłębek, zraniona, rozdygotana.

Woda robi się zimna. Chcę zakręcić kran, ale nie mogę się ruszyć. Wąż z końcówką prysznicową dalej się wije i obmywa moje ciało. Siadam. Odsuwam z twarzy ciężkie mokre włosy, wykręcam je oburącz.

Robi mi się zimno. Zakręcam wodę.

W moim świecie zapada cisza.

Było mi dobrze, ale miałam poczucie straty.

Kapie woda.

Uczucie samotności rośnie.

Podciągam kolana pod brodę, obejmuję się mocno, siedzę w świetle świec, para rzednie, zapach gandzi przesyca powietrze, merlot w moim oddechu, myślę o wszystkich nocach, kiedy musiałam zaspokajać się sama, dotykać się sama, kochać się sama, pieprzyć się sama, podczas gdy Charles spał, a ja nie miałam pojęcia, że Jessica nasyciła jego głód seksualny na długo przedtem, zanim ja dotarłam do domu.

Godzinę później.

Mam na sobie obszarpane, wymięte dresy Yvette. Ciemnoniebieską bluzę i szare spodnie, w których wyglądam jak hiphipowa chłopczyca. Jestem bez butów, tylko w białych skarpetkach swojej przyjaciółki.

David Lawrence jest w wytartych dżinsach i spłowiałym szarym T-shircie z napisem „Maraton Los Angeles”. Na jednym policzku ma ślady farby. Woń terpentyny na jego poddaszu aż bije w nozdrza i jest równie zimno jak wczoraj. Wchodzę do jego królestwa i dostaję sweter. Na końcu pracowni stoją sztalugi z zachwycającym obrazem w żywych kolorach, to ten z dotykającą się Jessicą. Jej zmysłowość działa na moje zmysły.

- Nie wiedziałem, że przyjedziesz - mówi David Lawrence.

- Mogę wyjść.

Przez moment oboje milczymy. Znów oglądam jego narzędzia rytownicze: rylce, gładziki, dłuta do drewna. Wyniuchuję ulotne zapachy jego pracowni.

- Masz mokre włosy - mówi.

- A twoje afro jest skołtunione jak diabli.

- Spałem.

- Myślałam, że nie sypiasz.

- Od czasu do czasu.

- Mogę wyjść.

- Jesteś... wyglądasz na wstawioną.

- Niespecjalnie. Schodzę ze swojego jamajskiego haju. Patrzy na futerał w mojej ręce.

- Twój saksofon?

- Tak. Za późno na chwilę muzyki?

- Nie, dlaczego.

- Załatwmy interes, żeby mieć to z głowy. Gdzie jest ten program? Wskazuje ręką stół. Koło pistoletu leży płyta CD.

Kładę futerał przy łóżku, zakładam na szyję swój biało-niebieski pasek i wyjmuję instrument. Gram kilka nut i dopiero wtedy spoglądam w dół. Na podłodze u moich stóp leżą porozrzucone kartki z zapisem obscenicznych rozmów Charlesa i Jessiki, dokładnie tam, gdzie je zostawiłam. Sięgam do kieszeni i wygrzebuję drugą połówkę skręta, którego napoczęłam u Yvette.

- Można?

- Jasne.

- Masz ogień?

Idzie do małego drewnianego stolika, na którym jest mnóstwo jego narzędzi, szpera między rzeczami, aż znajduje pudełko zapalek. Rzuca mi je. Czytam etykietkę: „C. Garvin. Ekskluzywna restauracja na Trzeciej Ulicy”. Przypalam jointa, zaciągam się raz, potem podchodzę do Davida, biorę do ust zapalony koniec, dmucham mu shotguna.

Patrzy na mnie, wdychając dym.

Bierze jointa, zaciąga się dwukrotnie i robi mi takiego samego shotguna. Wciągam w płuca jego oddech. Rozpoznaję jego zapach. Czuję bijące od niego ciepło. Nasze usta są tak blisko, że aż proszą się o pocałunek.

- Przerznij mnie - mówię.

Jesteśmy nadzy. Spoceni. Wirtuoz zapracowuje na swój tytuł, potem bierze mnie klasycznie i dźga w mocnym, jednostajnym, dudniącym rytmie, w stylu prawdziwego wojownika. Moje ciało wsłuchuje się, nuci, śpiewa. Ujeżdżam go w taki sam sposób, nadając własne tempo. Nie całujemy się. Potrzebuję całowania. Pochylam twarz, skubię go zębami, ssę jego policzki, on liże moje wargi, próbuje mnie nakarmić moim aromatem, ale odwracam się, nie chcę mu dać języka.

David idzie do łazienki. Sika przy szeroko otwartych drzwiach. Spuszcza wodę. Odkręca kran.

Zimno mi w stopy. Przetrząsam pożyczone dresy, znajduję grube białe skarpetki i wkładam z powrotem na stopy. Biorę swój złoty saks, zwilżam stroik na czerwonym ustniku i zaczynam grać własną łagodną soulową wersję *Rock the Boat* Aaliyah. Nie jestem Kimem Watersem, ale jestem niezła, lepsza od przeciętnego byle grajka. Porywa mnie twórcza pasja Davida Lawrence'a. Gdybym wytrwała przy swojej, gdybym miała ten rodzaj dyscypliny, której dowody widzę przed sobą, wszędzie dookoła...

- Brzmi nieźle - mówi.

- Lepiej niż *Achy Breaky Heart*.

Poddasze ma miłą akustykę. Gram dalej. David podchodzi do mnie z ciepłym wilgotnym ręcznikiem. Podczas gdy bawię się kilkoma melodiami, on zmywa z mojego brzucha swoje mleko, wyciera mnie między nogami, potem siebie i rzuca ręcznik na stos wydruków komputerowych.

Pociera moje piersi; kiedy sutki robią się twarde jak kamienie, dotyka moich mokrych włosów.

Gram dalej. Drzę z podniecenia i gram.

David Lawrence podchodzi do czystego płótna, tego, które jest już naciągnięte na blejtram i zagruntowane. Jest nagi; jego na wpół wzwiedziony penis kołysze się jak wahadło, grube żyły nadają mu muskularny wygląd.

- Będziesz pracował?

- Trochę.

- Pójdę sobie.

- Graj dalej.

- Zimno mi.

- Jesteś głodna?

- Niespecjalnie.

- Mam owoce. Albo mogę ci zrobić kanapkę z indykiem.

- Nie, dzięki. - Uśmiecham się.

Zamyka okna. Zapala kilka świec. Cały czas na mnie patrzy, kiedy idzie przez pokój, kłapiąc stopami o drewnianą podłogę. Bierze ołówki i farbę w kolorze żółtej ochry. Siada przed czystym płótnem, przygląda mi się, prosi, żebym przesunęła się trochę w tę stronę, trochę w tamtą, a ja zaczynam być świadoma każdego piega, wszystkich swoich wad. Mój saks mnie zasłania. Zamykam oczy i gram melodię za melodią. Rozgrzewam się kawałkiem *That's the Way Love Goes*. Tak cholernie dobrze się czuję. Gram *Lily Was Here* Candy Dulfer. Potem naprawdę daję czadu w *The Dream* Davida Sanborna.

Przechodzę od komercyjnych melodyjek do naprawdę wielkich rzeczy, od *Love Supreme*, *My Favorite Things* i *Peel Me a Grape* do Coltrane'a, Rodgersa i Frishberga, i muzyka przejmuje nade mną władzę. Całe zło opuszcza moje serce i dusza mi rośnie. Gram. Oczy się zamykają, kiedy muzyka zaczyna brzmieć dobrze. Mnie samej już tu nie ma. Przenoszę się w wolnym stylu do innego świata. Tam gdzie jest wiosna. Widzę i czuję tylko drzewa i wiatr.

Za oknami jawi się świt.

Gram dotąd, aż pot zaczyna skapywać mi z brwi.

David Lawrence przygląda mi się w milczeniu, rozkładając mnie na czynniki pierwsze, mieszając kolory, które oddadzą odcień mojej skóry, tak samo analizuje moje włosy, piersi i uda, przelewając swoją wizję mnie - mnie w tym momencie - na płótno.

Patrzy mi w oczy z intensywnością, do jakiej nie jestem przyzwyczajona, jakby widział we mnie coś, czego nie widzą inni. Jego głębokie spojrzenie mi pochlebia, sprawia, że robi mi się ciepło w sercu i mokro między nogami.

- Szkoda - mówi miękkim głosem.

- Czego szkoda?

- Że musieliśmy się poznać w ten sposób. Naprawdę szkoda.

- Tak. Szkoda.

Podchodzi do mnie. Z obiecująco sztywnym penisem. Odkłada na bok saksofon.

- Poznaliśmy się w środku wojny - mówi.

- Prowadzimy wojnę?

- Tak.

- Tak. Chyba masz rację.

Kładę się, rozchylam nogi. Wchodzi we mnie, mruczając, chwytając mnie za pośladki, przyciąga do siebie, wbija się mocniej. Zaciskam dłonie na jego plecach, jęczę i unoszę biodra, poddaję się jego rytmowi. Cudownie mi robi jego furia. Pokazuję mu swoją. On sięga głębiej. Wiję się, cofam, on mi nie daje wytchnienia, dogania mnie i przyciąga do siebie z powrotem. Łóżko jeździ po podłodze, skrzypienie drewna o drewno brzmi rozpaczliwie. David ciągnie mnie za włosy. Gryzie w szyję. Wsysa się w skórę. Ja szarpie jego afro, nie pozwalam, żeby jego herkulesowa pasja górowała nad moją. Ssie moje piersi. Zaczynam śpiewać, drzeć, trać kontrolę.

Całuję go. Wszystko się zmienia. Przystajemy się ruszać i zatracamy w samym pocałunku.

David drażni czubkiem języka mój język, potem ssie go łakomie, ssie moje wargi, szyję i znów pochłania mój język. Zaczynamy się poruszać, unosząc się i opadając. Wzywam imię Jezusa i jego ojca. Moje złamane serce i samotna vagina pulsują mocno w jednym rytmie. Porywa mnie fala wielokrotnego orgazmu.

Kiedy dochodzimy do siebie, łóżko stoi pod innym kątem, przesunięte o dobre dwa metry od miejsca, w którym zaczynaliśmy. David odpoczywa na mnie przez chwilę, czuję na piersiach jego ciężki oddech, bawię się jego gęstymi włosami. Potem kładzie się obok cały spocony.

Mnie też jest gorąco, nie mogę złapać tchu. Kolorowe farby z jego skóry rozplývają się na mojej, czerwienie i brązy skapują ze mnie na jego białą pościel.

- Chce mi się pić - mówię.

Idzie chwiejnym krokiem przez pokój i wraca z dużą szklanką wody. Pijemy oboje z tej samej szklanki. Jestem ledwie przytomna. Oszołomiona. Patrę na swoją platynową obrączkę ślubną. Potem na tytanową obrączkę, którą nosi David. Pyta, czy wszystko w porządku. Czuję się krzywonoga, koślawa i zezowata. Zdobywam się na uśmiech, odgarniam mokre włosy i kiwam głową

na znak, że wszystko dobrze. W tej chwili bardzo dobrze. Próbuję usiąść, ziewam i mruczę pod nosem, że muszę wrócić do Yvette. David głaszcze mnie po nodze i prosi, żebym została. Tłumaczę, że muszę wyjść, zanim zrobi się korek na autostradzie, poza tym chcę zdążyć do Sherman Oaks przed powrotem Yvette. Dotyka mojej twarzy, mówi, że wyglądam na półprzytomną, namawia, żebym trochę ochłoneła. Jego głos brzmi kojąco. Ciało mi ciąży, więc opadam na jego białą pościel. David kładzie się przy mnie.

Bryza z otwartego okna owiewa mi skórę, podczas gdy gawędzimy przez chwilę o klasycznych samochodach klasy *muscle cars*. Nova 1972. Dodge superbe 1969. Rambler 1959. Ragtop camaro SS 1969. On lubi corvette 1957. Ja wolę corvette 1963, bo ma większą prędkość i moc.

Przez całą rozmowę obejmuję jego członek, mierzę jego grubość, przerzucam z boku na bok, plaskam nim o jego uda. Penis Davida jest wielobarwny, od różnych odcieni różu, brązu aż do głębokiej czerni. Jest aksamitny i najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam. Nie zazdroszczę mu go; myślę sobie po prostu, że to dziwne mieć coś, co tak odstaje od ciała. Coś, co rośnie i się kurczy, nie ma kości, zmienia się od zwiotczonego do sztywnego jak kij. Zastanawiam się, jak to jest, i nie kryję swojej fascynacji.

- Ale uwielbiam gnać autostradą wzdłuż Pacyfiku kabrioletem mustangiem - mówię.

- Ja chciałbym gdzieś znaleźć nową super sport z sześćdziesiątego siódmego.

- Znajdź wersję z dwoma czterogardzielowymi gaźnikami. To jest dopiero bomba.

Gładzi moje włosy, a ja dalej bawię się jego penisem. Jestem zawiana, czuję się głupio. On nic nie mówi, jak gdyby był przyzwyczajony do tego, że kobiety się zachwycają jego atrybutem męskości. Nagle zatrzymuję wzrok na obrazach przedstawiających Jessicę, równie nagą jak ja w tej chwili. Nie wiem, jak długo się na nią gapię. Zostawiam w spokoju penis Davida, obracam się na brzuch, podmuch rannego powietrza chłodzi mi plecy i tyłek.

Kładzie rękę na moim pośladku, wodzi palcami w górę i w dół, łaskocze mnie między udami.

- Mogę spojrzeć? - pytam.

- Cały czas patrzysz.

- Nie na twoje przyrodzenie. Na twoją pracę. Chcę zobaczyć, co tam zrobiłeś.

Poklepuje mnie ciepło, dając do zrozumienia, żebym poszła zobaczyć sama.

Idę. Wolnym krokiem podchodzę do sztalug i staję naga przed wizerunkiem samej siebie.

Obraz jest nieskończony, ale widzę, jaki ma być, pierwotnie zmysłowy i erotyczny. Siedzę na brzegu materaca, z zamkniętymi oczami, całkowicie pochłonięta grą na saksie, jakbym była własną symfonią. Czerwone i pomarańczowe odcienie mojej brązowej skóry, moje cynamonowe piegi - wszystko tam jest. Jestem naga, a moja nagość nie jest ordynarna, całość utrzymana w to-

nach czerwieni i brązów; obraz wyraża pochwałę mojego ciała i ducha. Wyglądam seksownie. Inteligentnie. Twórczo. Wyglądam jak kobieta.

Wyglądam jak kobieta szczęśliwa.

- No, no... - Tym jednym pomrukiem oddaję pozytywne wrażenie, które przepełnia moje ciało.

- Twoja piękność została unieśmiertelniona.

Patrzę na niego, zastanawiając się, co naprawdę we mnie widzi. Uśmiecha się.

- Spójrz na ten po lewej stronie.

Podchodzę do drugiego obrazu i aż mnie zatyka ze zdziwienia. To też ja. Obraz jest nie-skończony, ale to na pewno ja. Siedzę na brzegu łóżka, czytam wydruki komputerowe. Mój nastrój, mój szok i ból, wszystko tu jest.

- Ten mam zamiar nazwać *Odkrycie*.

Spoglądam to na jeden, to na drugi, porównując dwa swoje wizerunki. Zawieszona między skrajnymi emocjami.

- Drugi nazwij *Zachód słońca*.

Przeczesuję palcami włosy, wracam do obrazu, który sprawia mi więcej radości.

Wyobrażam sobie przez moment to poddasze wypełnione dźwiękami mojego saksofonu i obrazami mnie samej. Wyobrażam sobie, jak się tu skradam na południowe rendez-vous, potem wracam na filizankę późnowieczornego grzechu.

Te występne myśli mnie przerażają, gaszą mój uśmiech, przyprawiają o skurcz żołądka.

Powinnam natychmiast wyjść, wracać pędem do Yvette, wiać dokądkolwiek, byle daleko stąd, ale tutaj czuję się atrakcyjna, pożądana. Wracam do niego, staję nad nim, patrzę na niego i postanawiam z nim poleżeć. Dotykam jego ciepłej, trochę lepkiej skóry. Nie odpycha mojej ręki.

- Kochasz swoją żonę?

- To się zmienia.

Słyszę ból w jego głosie. W skali od jednego do dziesięciu jego cierpienie oceniam na jakieś dwanaście, na równi z moim. To nie jest łatwe. David znosi to jak samiec alfa, nie uzewnętrzniając emocji i cierpiąc w milczeniu.

- Tak - mówię niskim głosem. - Wszystko się zmienia. Czekam, aż zada mi to samo pytanie. Nie zadaje. Jestem zadowolona, że tego nie robi.

- W tej chwili nie czuję się zbyt żonaty.

- Gdybym była sama, spałabym z tobą.

- Mnie też do ciebie ciągnie.

Nasz pot stygnie i schnie. Czuję nasze pomieszane zapachy, pachniemy seksem. Z każdym kochankiem ten aromat jest inny, ma własne odciski palców. Jego woń sączy się w moje pory. Myślę o mężczyznach, którzy byli ze mną wcześniej, którzy byli przed Charlesem. Mam na koncie wielu kochanków i choć tak niewielu, którzy mnie kochali, wystarczająco dużo, żeby nie chcieć więcej wchodzić do tej rzeki.

Dopiero teraz rozumiem Yvette. I szanuję jej wolność. I zazdroszczę jej rozsądku.

- Spod jakiego jesteś znaku? - pytam.

- Skorpion.

- No tak.

Rozumiem go. Skorpiony są istotami bardzo cielesnymi, o dużych potrzebach seksualnych. Wiernymi. Ale są też dominujące i mściwe. Kochałam kilku Skorpionów, więc ich znam. Znam też siebie. Ryby i Skorpiony mają tak duży popęd seksualny, że jest to przerażające. Ale kiedy idzie źle, to idzie źle.

- Myślisz czasem o śmierci? - pyta.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Myślisz?

- Niespecjalnie.

- Każdy kiedyś zaczyna myśleć.

- Ja nie.

- Pozazdrościć. - Ociera się o mnie podniecająco. - Czasami widzę swój pogrzeb. Taki, jakiego moja mama przyrzekła mi nie urządzić, ale i tak urządzi.

- Co jej powiedziałaś, że jakiego pogrzebu nie chcesz?

- Żadnego. Tylko nabożeństwo żałobne. Żadnej otwartej trumny i całego tego gówna. Powiedziałem jej to.

- Dlaczego mówiłaś jej takie rzeczy? Co cię do tego skłoniło?

- Po prostu jej powiedziałem. Chciałem, żeby wiedziała, co o tym myślę.

- Kiedy odbyła się ta rozmowa?

- W czasie ostatnich odwiedzin.

- W jakiej była formie?

Opowiada, że musiał siedzieć w jednej z ustawionych w rzędzie klatek przed ścianą z plek-siglasu i używać telefonu jak na filmach.

- To straszne. Więzienie okradło ją ze wszystkiego, co się dla niej liczy.

- Mogę sobie tylko wyobrazić.

- Ciężko było na nią patrzeć. Była promienna i szczupła, kiedy weszła.

- A ty rozmawiałeś o śmierci.

- Powiedziała, gdzie znajdę jej papiery i różne rzeczy, gdyby umarła pierwsza. Wykorzystałem to jako okazję, żeby powiedzieć swoje.

Przysuwam się do Davida bliżej. Okrywa siebie i mnie do pasa.

- Kiedyś myślałam o śmierci - mówię w przyływie szczerości. -Miałam wtedy piętnaście lat.

- Co się stało?

- Rzucił mnie facet.

Mamy jedną poduszkę, ale się nie przytulamy. Jest mi gorąco, więc skopuję przykrycie z jednej nogi. Silna ręka Davida błądzi po mojej gładkiej skórze, zostaje na brzuchu. Poranne światło sączy się przez okna.

Budzę się gwałtownie i widzę przed sobą portret Jessiki. Malowidło wygląda jak żywe. Ciemna twarz, prostowane włosy, skośne oczy. Jej uroda, rysy jej twarzy są dużo wyraźniejsze. Jej skóra jest jak poemat, czarna jak nocne niebo po ulewnym deszczu. Łzy w jej brązowych oczach wyglądają prawdziwie.

Mrugam.

Obraz też mruga.

Krzywi się.

Nagle zaczyna wrzeszczeć.

Wszystko jest takie spokojne. Cięża mi powieki.

Okrywam się po czubek głowy, żeby zasłonić światło. Zasypiam.

Jessica wrzeszczy.

Serce podchodzi mi do gardła. Chwytam białe prześcieradła i staram się nimi okryć, potem próbuję wstać.

Jej głos wypełnia pracownię.

- Kim ty jesteś?

Kulę się półprzytomna, gotowa do ucieczki, ale będę walczyła, jeśli zajdzie taka potrzeba. Serce bije mi jak oszalałe. Łapię z podłogi swoje pożyczone za duże dresy, wciągam odwrócone na lewą stronę spodnie, szarpię się z bluzą, próbując włożyć ją przez głowę najszybciej jak to możliwe - nie chcę pozostać bezbronna - ale ręce zaplątują mi się w rękawy. Nie miałam na sobie majtek ani stanika. Skarpetki mam wciąż na nogach. Saksofon jest przy łóżku, oparty o czarny futerał, tuż przy stosie nieszczęsnych kartek.

- Kim ty kurwa jesteś? - Jej głos z każdym wrzaskiem staje się coraz ostrzejszy.

Rzucam się w kierunku stołu kreślarskiego, tworzę między nami dystans, próbuję złapać oddech, skupiam się. Jessica jest w ciemnych spodniach z lycry i przezroczystym różowym siatkowanym topie z czerwonym napisem FOCZKA na wysokości biustu. Gapię się na nią i wściekłość zapiera mi dech. Zazdrość zamienia mnie w inną osobę. W innego potwora.

Ona tu jest. Nauczycielka wuefu. Instruktorka aerobiku. Kobieta, z którą od ośmiu miesięcy jestem biologicznie związana. Mój wróg.

- Gdzie jest DL?

Krzywi się, gapiąc na rozgrzebane łóżko, potem na moje potargane włosy i suchą skórę.

Idzie w moją stronę, potem do stołów z narzędziami, z których każde wygląda teraz jak potencjalna broń. Jest w niej coś groźnego, nabite ciało, umięśnione ramiona, „kaloryfery” na brzuchu. Adrenalina buzuje we mnie pełną parą. Ogarnia mnie autentyczny strach.

Jednym skokiem przemieszczam się tak, żeby stanąć między nią a stołami. Przysuwam się do pistoletu Davida Lawrence'a.

Jessica przelyka ślinę i staje w miejscu.

Wyobrażam sobie, że podnoszę pistolet, celuję w nią, naciskam spust, wybuch mnie ogłusza, potem siadam i czekam na ryk syren, na tête-à-tête z policją.

Dotykam pistoletu. Znowu czuję ten przypływ adrenaliny. Potem się jej przyglądam, zastanawiam, czy boi się śmierci. Nie powinna. Wiedziała, że śmierć wchodzi w grę, kiedy

pieprzyła się z moim mężem. Tak jak wchodzi w grę teraz, bo ja pieprzyłam się z jej mężem. Ale ja jestem bliżej pistoletu.

Wiem, co czuła matka Davida Lawrence'a, kiedy zabiła tamtą panienkę z Wawa. Była przekonana o słuszności swego postępowania.

Przeciągam palcami po pistolecie.

Jest wystraszona, wygląda, jakby chciała coś krzyknąć, i nagle zmienia jej się twarz.

Przechyla na bok głowę jak oszołomiony pies.

- Znam cię - mówi.

- Nic dziwnego. - Odgarniam z twarzy wilgotne dredy. - Moje zdjęcie jest na jego biurku.

Strzela oczami w kierunku biurka Davida Lawrence'a. Kręcę głową.

- W szkole. Na biurku Charlesa.

Szacuje wzrokiem mój wzrost, rysy twarzy, dredy. Zapada cisza. Dedukuje jak Sherlock Holmes, wszystko trzyma się kupy, wszystko się zgadza.

- O mój Boże.

- Tak, Jessie. - Przeciągam językiem po zębach. Czuję gorzki smak. - Tak cię nazywa Charles, Jessie, prawda?

- Jak... Co ty tu...?

Mruga jak oszalała. Porusza wargami, ale nie może wydusić słowa. W końcu przestaje mrugać i stoi z okrągłymi jak spodki oczami, rozdziawia usta, wszystko to wydaje jej się pozbawione sensu. Na razie. Przetwarza w głowie to, co widzi. Jej twarz zmienia się jak w kalejdoskopie - jest jednocześnie zła, przerażona i zdezorientowana.

Nie odrywamy od siebie wzroku. Podciągam rękawy bluzy, gotowa na każdy możliwy ciąg dalszy.

Nie chcę z nią walczyć. Wniosła niepożądaną zmianę do mojego życia i potrzebuję o wiele większej satysfakcji niż pojedynki. Chcę, żeby ta dziwka zniknęła. Chcę, żeby przestała istnieć.

Nienawiść skłania mnie do położenia dłoni na rękojeści pistoletu.

Zmarszczki wykwitają wokół jej ust, cienie udręki wokół jej ciemnobrązowych oczu. Nie ma w niej tej aury erotyzmu widocznej na dziesiątkach otaczających mnie obrazów. Ma twarz zranionej dziwki, która od kilku dni nie zmrużyła oka. Zmora była jej wysłużonym jaśkiem, tak jak moim. Jest kobietą ze złamanym sercem, ciężar tego stresu maluje się w jej oczach.

Szałość walczy we mnie o lepsze z rozsądkiem.

Charles pławił się w niej, lizał jej cipę całymi dniami, a potem przychodził do domu i całował mnie. Wsadzał jej fiuta setki razy, dogadzał ostrym seksem, potem przychodził do domu i pozwał, żebym go ssała.

Podnoszę pistolet.

Dzieli ją sekundy od nieistnienia. Mnie dzielią minuty od pojawienia się w CNN w kajdan-
kach.

Stoi z kamienną twarzą. To mnie wkurza. Zaczynam unosić pistolet. Dzwonią klucze.

Obie podskakujemy i patrzymy na drzwi.

Ten nagły dźwięk przywraca mi rozsądek. Widzę się w lustrach na ścianie. Widzę kobietę w
lustrze. Przerażający obraz. Trzymam pistolet, szaleństwo i rozsądek toczą ze sobą pojedynek na
śmierć i życie. Nie jestem w stanie odłożyć pistoletu.

Otwierają się drzwi, wałą z hukiem o ścianę.

Wchodzi David Lawrence.

Na widok Jessiki nieruchomieje, omal nie wypuszcza z rąk pojemnika ze Starbucksa. Ona
się uśmiecha. On się uśmiecha. Kocha ją. Jessica sięga rękami do twarzy, jak gdyby się zastana-
wiała, jak wygląda. A może jest zdenerwowana. Albo ściera swoje winy. David Lawrence otwiera
usta. Nagle się krzywi. Przypomina sobie, że jej nienawidzi. Lekki grymas przeobraża się w szy-
derczą, wściekłą minę wzgardzonego mężczyzny. Potem patrzy na mnie. Ma na sobie te same
dżinsy, w których przyjechał na nasze pierwsze spotkanie, sweter z logo L.A. Lakersów i znoszone
sandały. Bierze oddech i zdobywa się na uśmiech, być może dając mi do zrozumienia, że nie ma
sprawy, że sytuacja jest pod kontrolą. Nawet widząc, że stoję z pistoletem w opuszczonej ręce, z
potwornie napiętą twarzą, zachowuje spokój.

- Przywiozłem ci kubek gorącego cydru.

- Co tu jest grane, DL? - pyta Jessica.

Mrugam, wypuszczam z płuc powietrze.

- Dzięki - mówię.

- Mam nadzieję, że pijesz to z karmelem i bitą śmietaną.

- Tak. Dziękuję.

- Co tu do diabła jest grane? Odpowiedz mi.

Ma mnóstwo srebrnych plomb w dolnych zębach i małą szparę między górnymi jedynekami,
wady, których nie widać na płótnach. Chcę, żeby posłał ją do wszystkich diabłów, żeby chociaż na
nią nawrzeszczał, ale on milczy. Reaguje na nią, nie reagując. Traktuje ją jak niewidzialną, odma-
wia jej prawa istnienia.

Jessica piorunuje mnie wzrokiem, kręci głową, przeczesuje palcami włosy, przestępuje z
nogi na nogę. Uderzam pistoletem o nogę. Jest ciężki.

- Chyba będę się zwijać.

- Zostałaś zaproszona - mówi stanowczo. - Zostań.

Jessica patrzy na łóżko, na nas i nagle robi coś, czego się po niej nie spodziewam.

Wybuchają śmiechem.

W jej śmiechu nie ma nic wesołego; ocenia sytuację. Żona jej kochanka w łóżku męża, od którego odeszła, trzyma w ręku ciężkiego kolta defendera, potem ów mąż wchodzi ze śniadaniem ze Starbucksa. Nasza rozmowa, to, co widzi i słyszy, najwyraźniej wydają jej się śmieszne.

- Odpowiedz mi, do cholery. Co tu się dzieje?

David Lawrence podaje mi kubek z cydrem. Jest gorący, wciągamy w nozdrza parę i ten przyjemny świeży zapach. On patrzy na mnie, potem na pistolet, widzi w mojej twarzy coś, co mówi mu, że wciąż balansuję na cienkiej linii, wyjmuję mi pistolet z ręki, trzyma go za rękojeść lufą do podłogi, przechodzi przez pokój, otwiera czarną szafkę na dokumenty i wkłada śmiertelnośną broń do górnej szuflady.

- Okej. W takim razie pozwolisz, że spytam ciebie - zwraca się do mnie Jessica.

Nie odzywam się.

- W porządku. Wobec tego zadzwońmy do Charlesa.

Ogarnia mnie nowy rodzaj strachu, taki, który się bierze z miłości i z głupoty, i w tym nagłym odruchu paniki podchodzę do niej.

- Odłóż ten cholerny telefon - warczę.

- Och, teraz mnie słyszysz.

- Niech dzwoni - mówi David Lawrence.

- Odłóż ten cholerny...

- Zabierz ją ode mnie, DL. Mam zamiar zadzwonić...

- On już wie - cedzi przez zaciśnięte zęby.

Zapada cisza.

- Ten skurwysyn już wie - powtarza.

Wlepiam oczy w Davida Lawrence'a. On już na mnie nie patrzy.

- To wojna - mówi.

Pojmuję sens jego słów, jestem przerażona. Jemu zależy na odwecie bardziej niż na czymkolwiek innym. Ja też chciałam stanąć twarzą w twarz z Jessicą, chciałam ją przyprzeć do muru i zadać jej kilka pytań, chciałam ją zniszczyć, ale teraz muszę stąd spieszyć. Ona jest na drugim końcu pokoju przy sztalugach, kiedy wybiegam za drzwi. Zapomniałam o saksofonie. Muszę zawrócić, nie mogę zostawić swojego saksofonu.

Drzwi są niedomknięte. Oni się kłócą. Zaglądam ukradkiem do środka. Staję się podglądaczką.

- Malowałeś ją - mówi z zazdrością. - Malowałeś ją.

- Ty spałaś z innym mężczyzną.

- Malowałaś ją.

Przez chwilę Jessica wygląda na załamana, ociera oczy, lamentuje, że jej świat się wali i że wszystko zmarnowała. Nagle puszcza jej hamulce, ma zwrot emocjonalny i w pełnym szale napada na Davida Lawrence'a: wygarnia mu, że zawsze z większą pasją traktował swoją pracę niż ją, że nigdy nie miał dla niej czasu i nie dbał o nią, nie tak jak Charles. Mój mąż dawał jej poczucie, że jest kimś wyjątkowym. Z nim czuła się jak kobieta. Biadoli, że David Lawrence nigdzie z nią nie wychodził, że ciągle siedział w swojej pracowni.

David Lawrence wychodzi z siebie.

- Cholera, to jest moja praca. I robiłem to samo, kiedy się poznaliśmy.

Mówi, jak się czuła, kiedy przez wiele dni nie przychodził do domu. Była bardziej kumpelką do łóżka niż żoną. Płakała i wciąż go prosiła, żeby poświęcał jej więcej uwagi, żeby ją gdzieś zabierał, żeby wracał do domu na romantyczne kolacje, ale on był taki uparty.

Przykłada rękę do ust, a kiedy ją cofa, nitka śliny przykleja się do jej dłoni. Kaszle i zaczyna mówić, jakby miała ciężki, spuchnięty język.

- A i tak ciągle nie jesteś supergwiazdą.

- A ty jesteś dziwką.

Teraz on jej wygarnia wszystko prosto w oczy. Mówi, że nie umie gotować. I że pieprzy się bez zapachu. Mówi, że jej problem polega na tym, że zajmuje się wyłącznie szukaniem winnego, nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności.

Ona zarzuca mu to samo. Mówi, że był kiepskim kochankiem.

- Przysłałaś mi papiery rozwodowe.

- Czy aż tyle muszę robić, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę?

On mówi, że nigdy nie była skłonna do kompromisu, że zawsze musiała postawić na swoim.

Pyta, czy Charles obiecywał jej jakiś doskonały świat.

- Nie lubię grać drugich skrzypiec - odburkuje.

- Nie grałaś drugich skrzypiec.

- Pracę traktowałaś jak małżeństwo. Jak byłam na drugim miejscu.

- Co? Jak w ogóle możesz tak mówić? Wiesz, że mam terminy.

- Znajdujesz czas na to, na co chcesz znaleźć.

- Jesteś egoistką. Chcesz, żeby świat kręcił się wokół ciebie, zawsze wokół ciebie.

- A ty jesteś świrem ze świrowatej rodziny, długiej linii skończonych świrów.

David Lawrence znów grzmi, przypomina, że był tym, kim był, kiedy go poznała. Mówi, że lubiła być niańczona, a on wciąż akceptował ją taką, jaka była, ale wszystko, co ją w nim tak intrygowało, w końcu stało się powodem pretensji i rozczarowania.

- Powiedziałaś, że z nim jesteś szczęśliwa. Świadomość, że on cię naprawdę uszczęśliwia, rani mi serce. Bo ja tego nie umiałem.

Jessica płacze.

- DL, ja nie chcę z tobą walczyć. Nie chcę. Przyszłam... przyszłam, żeby przeprosić za to, że cię zraniłam. I... um... chcę, żebyś wiedział, że bardzo cię kocham. Zawsze będę cię kochała. Byłeś dla mnie dobry. Błagam cię, żebyś... pozwolił mi wrócić, dał mi drugą szansę, żebyśmy mogli znaleźć razem spokój, być szczęśliwi jak kiedyś, wygłupiać się i śmiać, jak to robiliśmy kiedyś bez przerwy. Bardzo cię kocham i dlatego chcę, żebyś był szczęśliwy. Naprawdę, naprawdę tego chcę.

- Jessica, nie rób mi tego.

- Wiem, że masz tyle innych kłopotów w życiu, twoja mama, twoja rodzina, a ja chcę, żebyś był szczęśliwy. Tak jak powiedziałam, wiele bym dała, żebyśmy mogli znaleźć ten spokój razem.

- Jessica, przestań.

- I chcę, żebyś wiedział, że zawsze będę cię kochała... bardziej niż... Naprawdę strasznie żałuję, że tyle przeze mnie wycierpiałeś. Jestem w dołku, kompletnie bezradna. Moi przyjaciele nigdy jeszcze nie widzieli mnie w takim stanie i naprawdę nie wiem, jak... jak to wszystko wytrzymam. Powiedz coś. Proszę. Otwieram się przed tobą. DL, ja tu naprawdę walczę, bo bardzo mi cię brakuje.

Nic nie mówią i patrzą na swoje stopy. Częstka mnie chce, żeby on ją złapał za kudły i wyrzucił na zbity pysk. Ale silniejsza strona mojej natury chce, żeby ją objął i tulił, aż przestanie płakać.

- Ten skurwiel cię zdradza, więc wracasz załamana do mnie. On ci daje kopa w tyłek, więc wracasz do domu ze spuszczoneym ogonem skruszona i opowiadasz jakieś gówna. O to w tym chodzi?

Ona wręcz tonie we łzach. On jest nieprzejednany.

- Co się stało?

- To nie jest ważne.

- Wiesz co, spierdalaj.

Ona ociera oczy, raz po raz.

- Wynoś się. Dziwka. Wyjdź, zanim sam cię wyrzucę.

Wstaje, żeby wyjść. On łapie ją za ramię. Jessica siada bez protestu na łóżku, z łokciami na kolanach, ze spuszczoną głową i rękami we włosach. Musi być jej nieprzyjemnie siedzieć na skołowanej pościeli, która pachnie seksem.

David Lawrence spuszcza z tonu.

- Gdzie mieszkasz?

- W Palm Springs.

- Z...

- Z... z... z... - jąka się - z kuzynką.

- Którą?

- Toyomi. Rozmawialiśmy. Widzę... widzę wszystko jaśniej... po raz pierwszy od dawna tak jasno. Przez kilka ostatnich miesięcy... dużo kłamałam. Musimy powiedzieć sobie całą prawdę. Musimy to zrobić... całą prawdę.

- Jak się trzymasz?

- Kiepsko. W ogóle się nie trzymam. Biorę xanax, żeby zasnąć. Brałam też prozac.

- Prozac?

- Tylko kilka... kilka... kilka. - Znow się zacina, potem próbuje powstrzymać nerwowy chichot. - Miałam atak paniki. Wzięłam od Toyomi kilka jej pigułek szczęścia.

- Bierzesz xanax i prozac?

- To nie takie złe.

- I działa to gównowo?

- Pigułki szczęścia nie mogą mnie uszczęśliwić.

- On cię naprawdę skrzywdził - mówi przez zaciśnięte zęby. - Ten skurwiel naprawdę cię skrzywdził.

Na poddaszu robi się parno od ich emocji, aż trudno oddychać. Wyglądają w tej chwili tak ludzko. Obnażeni do czystej esencji samych siebie. Są po prostu ludźmi. Tak samo jak ja.

On kiwa się i mówi przez zaciśnięte gardło:

- Ten skurwysyn cię uszczęśliwił.

- DL, ja nie mogę żyć bez kontaktu z tobą, bez jednego mruknięcia przez cały cholerny tydzień. Potrzebuję tego kontaktu. Chciałabym wiedzieć, kiedy o mnie myślisz. Chciałabym wiedzieć, cholera, że mogę porozmawiać z tobą o codziennych wydarzeniach, a nie tylko wtedy, gdy ty chcesz rozmawiać. Porozumienie jest kluczem do mojego serca.

- I on... ten skurwysyn ci to dawał...

- Potrzebuję twojego dotyku, zanim wejdziemy do łóżka, chcę, żebyś mnie obejmował tak po prostu, żebyś mnie pytał o mój cholerny dzień, chcę się czuć przy tobie bezpieczna, potrzebuję bezwarunkowej miłości.

- Odpowiedz na pytanie.

- Cholera, żeby spędzić z tobą trochę czasu, oglądam kanał sportowy. Udaję, że lubię Lakersów i Raidersów, i wytrzymuję do ostatniej informacji sportowej, żebyśmy mogli o czymś pogadać.

- Odpowiedz.

- Powinniśmy rozmawiać o wszystkim i o niczym.

- Odpowiedz.

Celowo walę w drzwi. Nie chcę słyszeć przekłętej odpowiedzi.

David Lawrence rzuca się w moją stronę. Wyraźnie zaskoczony. Jessica robi to samo. Jej reakcja jest bardziej nerwowa. Pociera oczy, stara się ukryć swoje emocje.

Jestem w pół drogi od drzwi, na prostej drodze do ich prawdy. Białe skarpetki. Włosy w nieładzie. Sucha skóra. Przyspieszony oddech. Pożyczony dresy przesycone jego zapachem i wonią trawki.

- Mój saksofon.

Podchodzę szybkim krokiem, chwytam prawą ręką saksofon, lewą podnoszę futerał. Wracając do drzwi, nie słyszę brzęku kluczyków. Powinny brzęczeć. Spoglądam w dół na swoje kieszenie i nie widzę wypukłości. Zwalniam i potrząsam prawą nogą. Żadnego dźwięku. Nagle sobie przypominam, że włożyłam dresy na lewą stronę. Potrząsam lewą nogą. Nic. Jasny szlag. Muszę się do nich odwrócić. Patrzą na mnie, każde z innym wyrazem twarzy, jedno z niepokojem, drugie z jawną odrazą.

- Moje kluczyki do samochodu - mówię.

Błyska mi coś srebrnego. Gestem głowy wskazuję podłogę obok stóp Jessiki. Moje klucze na biało-niebieskim łańcuszku z herbem korporacji Tau Beta Sigma leżą koło sterty wydruków komputerowych.

Ona je kopie i kluczyki błyskawicznie lądują przed moimi stopami. Patrzymy na siebie. Oczami daję jej do zrozumienia, że nie spodobał mi się ten numer. Kładę na podłodze futerał, żeby podnieść kluczyki, i wpycham je niezdarnie do tylnej kieszeni.

David Lawrence szarpie swoje afro, potem wydaje ciężkie westchnienie i chce coś mi powiedzieć, ale nie udaje mu się wyartykułować ani słowa. Ma dziwny wyraz twarzy, jakby mnie przeproszał.

- Skąd Charles wie? - pytam.

Oblizuje wargi, patrzy na ścianę i kręci głową.

- Przepraszam.

To jedyne, na co go stać.

Kiwam głową, daję mu do zrozumienia, że uznaję swoją winę, swój brak rozsądku i odpowiedzialności. Tak jak on, tak jak oni oboje, złapałam się w sidła własnego bólu. Próbowałam wymienić koszmar na fantazję.

- Zamknij za sobą drzwi - mówi Jessica.

Wychodzę i zostawiam drzwi otwarte na oścież.

Ktoś idzie po drewnianej podłodze, słyszę echo kroków.

Idę dalej, dredy kołyszą mi się nad czołem, dzwonią kluczyki, saks i futerał objijają się o biodra.

Z jednej strony chcę, żeby David Lawrence wyszedł za mną. Lepiej bym się wtedy czuła ze świadomością zła, które wyrządziłam, i ze świadomością iluzji, którą mnie uraczył. Ze swoim grzechem. Z drugiej strony chcę, żeby Jessica ruszyła w pogoń. Na początku nie wiem, skąd taka myśl, ale po chwili wiem. Chcę, żeby ta dziwka wyraziła skruchę. Byłam z jej mężem, ale to ona włożyła moje buty, na długo zanim ja przymierzyłam jej.

Drzwi zamykają się z hukiem.

Zapach terpentyny ulatnia się z moich nozdrzy.

Słońce jest bezlitosne. Smog niemiłosierny. Ruch na ulicach koszmarny.

Ten skurwysyn już wie.

Włączam z powrotem swoją komórkę. Szaleństwo. Mam czterdzieści trzy wiadomości. Czterdzieści trzy telefony w ciągu ostatnich dwóch godzin. Za każdym razem ktoś się waha, jakby się zastanawiał, co powiedzieć albo czego nie powiedzieć, naprawdę upiorne milczenie, potem szamocze się z telefonem, rozłącza się i dzwoni znowu.

Po każdym przerwaniu połączenia jestem bardziej zdenerwowana.

Cholerny dzięcioł wraca, żeby wyciosać w mojej głowie więcej mebli.

Ten skurwysyn już wie.

Zaciskam ręce na kierownicy i zastanawiam się, co dokładnie Charles wie.

Ktoś został zastrzelony przy kasie biletowej na międzynarodowym lotnisku LAX. Mój pager dzwoni jak oszalały, więc wpadam tylko do mieszkania Yvette, biorę szybki prysznic, pędzę do firmy i wyjeżdżam z ekipą na lotnisko. Przez cały dzień nadajemy na żywo. Nie mam czasu myśleć o własnym życiu. Ludzie się tratuja, SWAT* trzyma wszystkich na muszce, nawet pasażerów próbujących odebrać swój bagaż. Są tu wszystkie stacje informacyjne z Los Angeles. Czteryście pięta jest zamknięta, co kompletnie paraliżuje ruch w South Bay. Panuje tu taki obłęd, że nikt nie może dostać szklanki wody.

* SWAT - ang. Special Weapons And Tactics, wyspecjalizowana jednostka stworzona do działań o wysokim poziomie niebezpieczeństwa.

Przez dwanaście godzin żyję jak w horrorze, widzę rzeczy, których nigdy nie pokażą w wiadomościach. I mogę zostać na kolejne dwanaście godzin. Wszystko jest lepsze od myślenia o dzisiejszym poranku.

Charles nie dzwoni. Ani razu. Trochę mnie to martwi.

Dzwoni Tyra Tyranka, zadaje mi tysiące pytań dotyczących seryjnego gwałciciela z Torrance. Jest szorstka, warczy na mnie i prawie wyprowadza mnie z równowagi.

Potem muszę zadzwonić do firmy i kilka sekund rozmawiam z Yvette. Wyłącznie sprawy służbowe. Nie pytam, gdzie ani z kim była ostatniej nocy. Flaki sobie wypruwa, żeby skleić materiał o facecie, który postrzelił swoją dziewczynę w brzuch, rękę i nogę, a potem przez sześć dni trzymał ją zamkniętą w garażu.

Chłonę wszystkie dramaty, żeruję na nich, obrabiam je i pozwalam, by przysłoniły wszystkie moje problemy.

Pod koniec szychty, po emisji programu, muszę wrócić do domu i stanąć twarzą w twarz z Charlesem.

Podnoszą się nowe drzwi garażu i ogarnia mnie wstyd. We wszystkich ścianach są powybijane dziury wielkości pięści. Zostawiam pokiereszowanego Błękitka na podjeździe i oglądam zniszczenia.

Boję się zobaczyć, jak wygląda reszta domu.

Po trzykrotnym bipnięciu czujnika otwieram wewnętrzne drzwi garażu i wchodzę do środka.

Znów jestem w szoku.

W domu panuje nieskazitelny porządek. Jakby ekipa z Molly Maid wypucowała go od dywanów po sufit. Gra muzyka. Jazz. I czuję zapach jedzenia. Wchodzę wolno do kuchni i widzę gotową ucztę z czterech dań. Kuchnia cajuńska. Zupa z ketmii. Sum. Chleb z mąki kukurydzianej. I trzywarstwowy tort czekoladowy. Żaluzje tarasowe są odsłonięte, więc mogę wyjrzeć na patio. Taras jest czysty. Kolorowe światła, które otaczają nasz mały ogródek, są zapalone. Nawet fontanna jest włączona i szumi kojąco.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Podskakuję, słysząc za plecami kroki Charlesa. Jest bosy, w czarnych dżinsach i białej koszuli. Jego kręcone, zaczesane do tyłu włosy układają się w miękkie fale. Mierzy mnie swoim podpuchniętym okiem.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem zmęczona.

- Ja też.

Stoimy tam i bawimy się w pojedynek na spojrzenia.

- Chcę ci coś pokazać - mówi.

Trzyma się poręczy i wchodzi na górę.

Idę za nim, człapiąc jak skazana kobieta prowadzona na szafot. Charles mija sypialnię. Łóżko jest posłane. Na dywanie świeże ślady odkurzacza.

Zwalniamy przy pralni. Drzwi są otwarte i fura brudnych ubrań wysypuje się z kosza, kolory pomieszane z białymi.

- Nigdy nie mieszaj białych rzeczy z kolorowymi - mówię.

Zamyka drzwi.

- Nie jestem dobry w praniu.

- Wiem.

- Nie chciałem zniszczyć ubrań, więc zostawiłem to w spokoju.

- W porządku - szepczę.

Wchodzi do gabinetu. Komputer jest włączony.

Wysuwa dla mnie krzesło.

Siadam sztywno z rękami na kolanach.

Porusza myszką i monitor ożywa. Windows Media Player czeka na uruchomienie.

- Kiedy wyjdę z pokoju, obejrzyj filmik, który przysłał mi twój przyjaciel.

Wychodzi.

Siedzę jak skamieniała. Nie mogę nawet mrugnąć okiem. Jestem zbyt zdenerwowana, żeby unieść rękę.

Na dole cichnie muzyka. Potem słyszę trzy bipnięcia. Charles wyszedł z domu.

Bam. Bam. Bam.

Jest w garażu. Jego ciosy są silne, lecz monotonne. Wali w worek treningowy.

Nagle dom zamiera. Cisza pochłania odgłosy przemocy.

Gapię się w monitor. Patrzę przez chwilę na myszkę, w końcu naprowadzam strzałkę na symbol startu, klikam na ikonkę.

Najpierw widać poranne słońce za oknem. Tyle pięknych barw wschodu. Potem kamera panoramuje pokój. Pokazuje artystyczne ściany w kolorach jesieni i sztuczne tynki.

Teraz w pole widzenia wchodzi obraz z Jessicą. Kolekcja płócien z pracowni Davida Lawrence'a. Zmysłowe wizerunki kochanki Charlesa oddające cały jej erotyzm. Jessica w pięknych odcieniach czerwieni, brązów i żółci. Obraz, na którym pieści swoje ciało. Kamera zatrzymuje się na nim najdłużej, jakby z szyderczym podtekstem.

Na początku myślę, że to kamera wideo, potem przypominam sobie jego wypasionego laptopa z wbudowaną kamerą cyfrową.

Obiektyw krąży wokół pokoju, mija regały, inne sztuczne tynki i zatrzymuje się na skotłowanych dresach w nogach łóżka.

Wstrzymuję oddech.

Następne ujęcie pokazuje złoty saksofon leżący obok czarnego futerału.

Z moich ust wyrywa się długi, pusty jęk.

Kamera przesuwa się w górę po zmiętej pościeli, dochodzi do za dużych białych skarpetek wiszących na małych stopach, omiata gołe łydki, biodra, dociera do nagich pośladków, nieruchomieje i łapie ostrość na pięknych piersiach, na czarnych sutkach śpiącej na boku kobiety.

Jej pierś wznosi się i opada z każdym oddechem. Moja robi to samo teraz, tylko znacznie szybciej. Nagle kamera odjeżdża i pokazuje anielską piegowatą twarz. Zmierzwione włosy. Kiedy filmowana kobieta unosi rękę, żeby podrapać się po nosie, kamerzysta robi zbliżenie na jej obrączkę ślubną.

Obrączka wygląda tak jak moja.

Kręcę rozpaczliwie głową, chcę, żeby ona nie była mną, ale zdjęcie jest tak wyraźne, że mogę policzyć swoje piegi. Śpię. Głębokim, spokojnym snem. Kamera odjeżdża i pokazuje moje nieruchome ciało. Trzydzieści sekund mojej nagości wypełnia wielki komputerowy ekran.

Potem pojawiają się moje dwa przejmujące portrety. Jeden smutny. Drugi radosny.

Następnie na ekran wraca moja nagość.

Teraz obiektyw kieruje się w górę, przemyka po artystycznych ścianach, suficie i świetlikach, zatrzymuje się i robi zbliżenie na prowizoryczną popielniczkę z niedopałkiem skręta, którego wypaliliśmy.

Kamera skręca, nieruchomieje na głupkowatym uśmiechu Davida Lawrence'a. Jego włosy są przygniecione z jednej strony głowy. Przez dziesięć sekund patrzy w obiektyw. Oczami pociemniałymi z bólu i mściwości.

Koniec filmu.

Siedzę w milczeniu, kręcąc głową. Zastanawiam się, jak ten facet mógł zrobić coś takiego, potem wyjść i przynieść mi cydr ze Starbucksa.

Bam. Bam. Bam. Bam. Bam.

Na okrągło zadaję sobie pytanie, jaki miał powód, żeby mi coś takiego zrobić. Ale już wiem. Tu nie chodzi o mnie. Nigdy nie chodziło o mnie. On chce, żeby Charles czuł to, co on czuje.

Bam. Bam. Bam. Bam. Bam.

Walenie znów ustaje.

Wiatr potrząsa palmami za oknem.

Słyszę trzy bipnięcia. Potem kroki Charlesa w korytarzu.

Stoję bez ruchu.

Otello zabił Desdemonę za jej rzekomą niewierność. Charles kładzie silną rękę na moim ramieniu, potem dotyka szyi. Otello udusił swoją żonę. Palce mojego męża są mokre.

Podnoszę wzrok, patrzę na jego twarz. Pot spływa mu po nosie. - Głodna? - pyta.

Siedzimy przy stole. Przed nami mnóstwo jedzenia. Zdjęcia ślubne na dwóch ścianach przypominają nam o dniu, w którym podpisaliśmy kontrakt i przyrzekliśmy sobie wzajemną wierność. Zdjęcia rodzinne na regale ze sprzętem grającym przypominają o naszych świadkach.

Nie opieramy łokci o stół. Dwoje cudzołóżników. Nie patrzymy na siebie.

Sączę wodę i czekam, aż Charles zje kilka łyżek zupy z ketmii, zanim spróbuję swojej.

Próbujemy rozmawiać. Próbujemy zachowywać się w cywilizowany sposób. To trudne.

- Poznałam Jessicę.

- Wiem.

- Rozmawiałaś z Jessicą po tym, jak...?

Nie muszę kończyć. On wie, że chodzi mi o jego bójkę z Davidem Lawrence'em. Kręci głową.

- Żadnych telefonów?

Kręci się nerwowo na krześle.

- Zostawiała wiadomości, ale nie oddzwaniałem.

- Kiedy?
- Codziennie.
- Och, więc ona nadal do ciebie dzwoni. Dlaczego nie odpowiadasz?
- To skończone. Po prostu chcę odzyskać swoje życie. - Żuje. Przełyka. Popija. - Poznałaś ją.
- Ciekawy wybór. Ona jest infantylna. Żałosna.

Nie odpowiada.

- Co cię w niej tak wzięło?
- Nie wiem.
- Znudziłeś się mną? Jest lepsza w łóżku?
- Nie pytaj mnie o to.
- Powiedz mi coś, do cholery. Lepiej gotuje?
- W ogóle nie gotuje.
- Więc o co w tym wszystkim chodzi?

Świdrująca cisza.

- Jej mąż jest dość narwany.
- On jest socjopatą. Zdobył w jakiś sposób adresy e-mailowe od... od niej... i porozsyłał kopie naszych... naszej korespondencji do całego personelu szkoły. Nauczycieli i całej administracji. Część trafiła do rodziców. I jakimś cudem dorwały się do niej dzieciaki. Poszła w obieg.

Jestem w szoku.

- Bójka. E-maile. Siedzisz w domu, bo straciłeś pracę.
- Rodzice robią straszną aferę.
- Ją też wyrzucili?

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem.
- Charles, a jeśli to się dostanie do dziennikarzy? Jeśli...
- Jeśli wyjdzie na jaw i postawi cię w złym świetle, tak? To cię najbardziej martwi.

Kręcę głową i patrzę w przestrzeń.

- Zobaczyłem jego film i chciałem skończyć ze wszystkim.
- Skończyć z czym?
- Ze swoim życiem. Myślałem, żeby pojechać na wybrzeże i skończyć z tym raz na zawsze.
- Wyobraź sobie, jak ja się poczułam, kiedy przeczytałam twoje miłosne listy. Umarłam. Ja umarłam, Charles.

Znów pojedynkujemy się na spojrzenia.

- Kochasz ją?

- Nie.

- Nie wciskaj mi kitu, Charles.

- Odpowiedziałem na pytanie.

- Gówno prawda. Nie można być z kimś tak blisko przez osiem miesięcy i nic nie czuć.

Chyba że to ty jesteś socjopata.

- To nie jest miłość.

- Proszę cię, zmień płytę. To było coś więcej niż zabawa z nudów, coś więcej niż przygodne bzykanko, prawda?

- Nie kocham jej.

- Jestem dużą dziewczynką, Charles. Jakoś to zniosę.

- Ona jest niedojrzała, egocentryczna, to typ kobiety, która chce się bez przerwy bawić, mogłaby nic nie robić poza balowaniem.

- Więc wytłumacz mi to, bo jakoś nie chwytam.

- Nie umiem.

- Chodzi o dupę? Kręciła cię? Czułeś się przy niej jak młody bóg? Czy co?

- Dzieliliśmy się kłopotami. Byłem samotny. Nie umiem tego wytłumaczyć.

Kładzie rękę na mojej. Nie ruszam się przez moment, chcę czuć jego dotyk. Chcę czuć w ten sposób jego bliskość. Przypominam sobie o Jessice i cofam rękę.

- To jak mamy z tego wybrnąć, jeśli żywisz jakieś toksyczne pożądanie do Jessiki, którego nie potrafisz wytłumaczyć?

- Ty chcesz jednej odpowiedzi, jakiejś konkretnej motywacji, a nigdy nie ma jednej przyczyny.

- Więc podaj tyle przyczyn, ile tylko możesz. Ja poczekam.

- Nie ma przyczyny ani odpowiedzi. Byliśmy przyjaciółmi. Dzieliliśmy się kłopotami. Coś... się wydarzyło i z jednej rzeczy wynikła następna. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Mogę tylko powiedzieć, że to skończone.

Odgryza kęs chleba kukurydzianego. Żuje niemiłosiernie długo. Czekam, aż przełknie, i dopiero wtedy odważam się skubnąć swój kawałek. Charles robi najlepszy chleb kukurydziany w kraju, ale teraz smakuje jak trociny.

- Używałaś prezerwatywy? - pyta.

- Tak.

Wpatruje się w swoje jedzenie.

- Strasznie szybko odpowiedziałas.

Żuję dalej z miną pokerzysty. On mówi, jakby jego grzech był wypisany białą kredą na czarnej tablicy, a jego głos był mokrą gąbką, która zmazuje wszystkie złe uczynki. Ja zaś stałam się lustrzanym odbiciem tego, co mam przed sobą. Odpowiadam lojalnością na jego lojalność, zaufaniem na jego zaufanie, kłamstwami na jego kłamstwa.

- Ile razy byłaś z tym facetem?

- Dwa. - Bywa jednak, że prawda jest potężniejsza od kłamstwa. - Dwie ostatnie noce.

Skóra mu czerwienieje, jakby miał gorączkę. Zaciska ręce w pięści.

- Widzisz, jakie to łatwe, Charles? Wystarczy, że będziesz mówił, co czujesz, a nie to, co sądzisz, że ja chcę usłyszeć. Tylko tyle. To się nazywa prawda.

- To, co on zrobił, było nikczemne.

- A to, co ty zrobiłaś, nie było?

- Ja ciebie nie skrzywdziłem z premedytacją.

- A on nie był nikczemny tak sobie. Nie sądzisz, że miał motywację?

- Cholera - warczy. - Jestem zraniony. Wściekły. Upokorzony. Zażenowany. Złamany.

- W takim razie czujesz to, co ja czuję.

- Czujesz coś do niego?

- Jesteśmy szczerzy i żyjemy w prawdzie czy dalej wciskamy sobie kit?

- Żadnego wciskania kitu.

- Tak - odpowiadam. Kwaśniej mu mina.

- Kochasz go?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Pożądanie.

- To uczucie nie ma nazwy ani sensu, ale się urodziło.

- Cholera. Dlaczego on?

- Nie wiem. Potrzebowałam środka przeciwbólowego.

- On mnie zgwałcił. Zrobił to, używając ciebie. Rozdepczę go jak pluskwę.

- Jasne, że rozdepczesz.

Dopiero to doprowadza Charlesa do furii. Dzikiej furii. Wpatruje się we mnie z szaleńczą miłością w oczach, która mówi, że chce odepchnąć na bok stół, złapać mnie i zerznąć w stylu „Ja jestem twoim mężczyzną, a ty jesteś moją kobietą bez względu na to, co, kurwa, robię”.

- Facet jest tchórzem. Podszedł do mnie od tyłu i zdzielił. Na parkingu byli rodzice i dzieci. Nie mogłem mu oddać przy dzieciach. Skopałbym mu tyłek, ale nie mogłem tego zrobić na oczach dzieci. On nie walczył ze mną jak mężczyzna. Wszystko, co robi, to szmaciarstwo.

- Możesz walić w ten worek, ile wlezie, możesz mieć swoje napady szału i wybijać dziury we wszystkich ścianach, ale ten worek i ściany mają jedną rzecz wspólną - nie oddają ciosu.

- Co, myślisz, że nie potrafię mu dołożyć?

- Spytaj swoje oko.

- Spytaj swojego przyjaciela po tym, jak mu skuję pysk.

Jeszcze jedna zmiana w jego orzechowych oczach. Z zaczesanymi do tyłu włosami wygląda jak rozwścieczone dziecko. Znow jest Francisem. Małym Francisem w tamtej łazience. Ten dziki wzrok pojawia się tylko na okamgnienie. Potem robi minę walecznego króla.

- Dlaczego musiałaś z nim pójść?

- Jak sam powiedziałaś, nie ma jednej odpowiedzi. Nie ma określonego powodu, dla którego ludzie robią to czy tamto, prawda?

- Grałaś mu na sakcie?

Przytakuję bez wstydu.

- To znaczy, że go lubisz.

- Nie mam zamiaru kłamać, współczułam mu. Coś nas połączyło. Ty i Jessica stworzyliście tę okazję. Byłam zauroczona jego talentem. Pochlebiała mi jego uwaga.

- Aż się odegrał i cię zdradził.

- Sercem byłam związana z tobą. Ty mnie zdradziłeś. To, co zrobił on, było tylko sprowadzeniem na ziemię.

Jemy. On żuje. Ja żuję. On przelyka. Ja przelykam.

Kolorowe światła na patio są takie romantyczne. Szelest fontanny jest równie kojący jak mandolinowy deszcz*. Wiatr łopocze flagami na wzorcowych domach, przynosi trochę chłodu do naszego wnętrza przez szpary w przesuwanych szklanych drzwiach.

* Odniesienie do piosenki Bruce'a Hornsby'ego *Mandolin Rain*.

- Jessica była ci bardzo bliska - mówię. - Kochałeś ją.

- Ja kocham ciebie.

- Może kochałeś nas obie. Jestem zawiedziona, ale nie aż tak wściekła, jak myślisz. Byłam, ale mi przeszło. Może dlatego, że teraz rozumiem, jak i dlaczego mogłeś ją kochać.

- Dlatego, że byłaś z nim.

- On ma imię David Lawrence.

Charlesowi ciemniejają oczy. Oddycha płytko przez usta.

- Mówisz o nim same dobre rzeczy. Naprawdę coś do niego czułaś.

- Ale mogłabym przed tym uciec i zrobiłabym tak w innych okolicznościach.

Przeciąga ręką po swoich czarnych włosach, burzy falisty deseń.

- Zdziwiająca - mówię szeptem - jak szybko może narodzić się uczucie wobec kogoś, kto poświęca nam uwagę, której jesteśmy spragnieni.

Charles prostuje plecy. Wchodzi w rolę silnego mężczyzny, który usiłuje rozwiązać nasz problem.

- Chcesz rozwodu? - pyta.

- A ty czego chcesz? - Miłość łagodzi mój ton. - To ty uruchomiłaś tę lawinę.

- Po prostu chcę z tym skończyć. Posłuchaj, chcę żeby to już było za nami. Żałuję, że ją poznałem.

- Ona ma imię. Niewymawianie go nie spowoduje, że Jessica przestanie istnieć.

- Żałuję, że poznałem Jessicę - warczy i zaraz spuszcza z tonu. - Żałuję tego wszystkiego. Przyznaję się do wszystkiego. Byłem słaby. To był błąd. Możemy zostawić to za sobą czy z jej powodu mam wszystko stracić?

- Nie, to my wszystko stracimy z powodu twojego syndromu niewyżytego fiuta.

- Musisz być zawsze taka cholernie przemądrzała? Jak ja mam z tobą rozmawiać, skoro zawsze kasujesz mnie w ten sposób, kiedy się przed tobą otwieram? Nie rozumiesz, że robię wszystko, co mogę?

- Pławiłeś się w żonie Davida Lawrence'a przez prawie rok, Charles. On kocha Jessicę. Jessica porzuciła go dla ciebie. Powiedziała, że jesteś miłością jej życia. Facet się kompletnie załamał. Nie dociera to do ciebie?

- To skończone. Skończone raz na zawsze.

- Choć mówisz, że jest skończone, wcale nie znaczy, że tak naprawdę jest.

- Dla mnie jest.

- Ty zupełnie nie chwytasz, co? Po prostu nie chwytasz.

- Czego nie chwytam?

- Kobieta musi mieć ostatnie słowo, mężczyzna musi wygrać wojnę.

Już niczego nie jemy.

Charles łagodnieje. Podskakuje mu kolana. Wzdycha i najchętniej by na mnie nie patrzył. Poczucie winy jest dla niego takie trudne. Mnie też to zabija. Oboje nas zżera żywcem. Kiedy podnosi wzrok, chcę zapomnieć o Jessice, wymazać wszystkie grzechy, które popełniłam przez ostatnie dwie doby. Bo jedyne, co widzę, to mężczyzna, którego pokochałam i poślubiłam. Ciągłe tu jest. Mężczyzna, z którym się kiedyś bawiłam i śmiałam. Naprawdę równy, czarujący, miły, uczuciowy chłopak ze Slidell, z którym przegadałam tyle późnych wieczorów, który nie mógł się

doczekać moich powrotów z pracy, więc całował mnie na dzień dobry przez piętnaście minut, czasami masował mi stopy i kąpał mnie.

Mięknie mi serce. Opuszczam tarczę. Wygasa mój sarkazm.

Kiedy on daje mi jakąś energię, cokolwiek to jest, odwzajemniam się tym samym. Taka już jestem.

- Nie chcę rozwodu - mówię. - Nie chcę, żeby to było małżeństwo na próbę. Nie chcę ponieść klęski. Nie chcę być zmuszona zadzwonić do mamy, powiedzieć siostrze, potem zadzwonić do twojej mamy i twojego ojca, nie chcę wyjaśniać tego wszystkim twoim krewnym... Nie chcę rozwodu.

- W takim razie możemy zostawić to za sobą.

Przeciągam oburącz po włosach, szarpię końce i biorę ciężki oddech.

- Nie mogę ruszyć naprzód, dopóki są jakieś nierozwiązane sprawy. Znasz mnie. Lubię, kiedy wszystko jest jasne.

Pochyla się z łokciami na stole, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Zanim cokolwiek zrobimy, kotku, naprawdę muszę wiedzieć, że między tobą a nią jest wszystko skończone.

- Jak mam ci to udowodnić? - pyta.

- Nie wiem.

- To samo ja muszę wiedzieć o tobie i twoim przyjacielu.

- On się nazywa David Lawrence. Charles masuje sobie skronie.

Powinam odpuścić, ale tyle rzeczy muszę wiedzieć. Ta część mojej natury nie spocznie tak łatwo.

- Zamierzałeś mnie zostawić? - pytam szeptem.

Męczy się z tym pytaniem. Wierci się na krześle, zaciska wargi, przeczesuje palcami włosy i pociera dłonie. W końcu wilgotnieją mu oczy.

- Ale to nie było takie proste. Zamykam oczy.

- To boli. To naprawdę boli.

- Wszystko się zbyt skomplikowało.

- Ruszałeś pieniądze?

- Ja wierzę w rodzinę.

- Proszę, odpowiedz na pytanie. Ruszałeś pieniądze z konta?

- Tak. Wszystko wpłaciłem z powrotem. Czerwienieje mi twarz. Łzy napływają do oczu.

- Powinieneś być pojechać na wybrzeże. Odchodzę od stołu.

Temat: Zamknięcie rozdziału

Godzina: 3:31:56 czas letni wybrzeża Oceanu Spokojnego

Od: Jessica Do: Charles

Charles,

Wysłałam kopię tego listu na adres e-mailowy twojej żony.

Mój mąż i ja odbyliśmy rozmowę i chcemy się pogodzić. Idziemy na terapię małżeńską. Tb trudne dla niego i trudne dla mnie. Straciłam pracę. On nie może się skupić. Nasze życie jest w tej chwili bardzo zagmatwane. Ale chcę wszystko naprawić. On dał mi listę pytań, na które mam odpowiedzieć. Powiedział, że dostał je od twojej żony. Odpowiadam na nie. Każda odpowiedź jest prawdą. I każda odpowiedź doprowadza go do łez. Każda rozdziera mi duszę. Po każdej odpowiedzi jestem zdruzgotana. Muszę przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny, żebyśmy mogli ruszyć naprzód. Próbujemy uratować nasze małżeństwo. On chce jasnej odpowiedzi i ja chcę dać mu tę jasność.

Ale to sięga głębiej, nie chodzi tylko o to, co zrobiliśmy.

Charles, kiedy zobaczyłam swojego męża z twoją żoną, kiedy wpadłam na nią całkiem nagą i zrozumiałam, że przed chwilą byli razem w łóżku... nie potrafię opisać, co wtedy czułam. Nie umiem wyrazić tego, jak głęboko mnie to dotknęło. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo kocham DL-a. Charles, chcę, żebyś wiedział, że między nami wszystko skończone. Chcę, żeby twoja żona wiedziała, że to skończone. Ale potrzebuję zamknięcia rozdziału. Muszę się z nią zobaczyć, żeby mieć pewność, że jej romans z moim mężem jest zakończony. Charles, myślę, że zgodzisz się ze mną co do tego, że ty też musisz to wiedzieć. Nie chcę żadnych dramatów, więc o to nie musisz się martwić. Chcę tylko ostatecznego zamknięcia, i to jest jedyny sposób, jaki znam, żeby rozpocząć ten proces. Wszystko, co zrobiłam, jest sprzeczne z tym, kim jestem, a to boli. Jeśli twoja żona się zgodzi, chciałabym się spotkać z tobą i z nią, twarzą w twarz, najszybciej jak to możliwe, dziś, jeśli to możliwe, żeby przeprosić.

Moje życie przypomina życie tamtej kobiety z „Co się wydarzyło w Madison County”. Byłam na tym z DL-em na pierwszej randce. Widziałeś to? Kobieta z tego filmu była znudzona i niespełniona. Najlepiej pamiętam tę scenę, kiedy leje deszcz. Ona jedzie ciężarówką ze swoim mężem. Fotograf jest przed nimi na czerwonym świetle. Ona jest w potrzasku. Niebo płacze. Wszyscy w kinie płakali, bo chcieli, żeby zostawiła swojego męża i poszła do fotografa. Ja też płakałam. Chciałam, żeby wysiadła z ciężarówki swojego męża i wsiadła do tej drugiej. Chciałam, żeby wyszła z tamtej ciężarówki i w końcu była szczęśliwa.

Ja wysiadłam z tamtej ciężarówki. Ty też. Nie powinniśmy byli tego robić.

Pora, żebyśmy wrócili do swoich ciężarówek i żeby każde podążyło własną drogą.

Musimy się spotkać. Potrzebuję tego. Ty tego potrzebujesz.

Aby wszystko odbyło się w cywilizowany sposób, proponuję, żebyśmy się spotkali w publicznym miejscu.

Skończmy to tam, gdzie zaczęliśmy. W EuroChow.

Będę dzisiaj w Westwood o szóstej. Będę czekała do wpół do siódmej.

Ten e-mail leży na kuchennym blacie, kiedy wstaję z łóżka. Jest prawie jedenasta. Idę na górę i zaglądam do pokoju gościnnego. Charles wyszedł. Dzwonię do niego, podobno jest w Hawthorne i je śniadanie w barze Chips. Jestem wkurzona.

- Skąd ona ma mój adres e-mailowy... A zresztą, wiesz co? W tym momencie to bez znaczenia. Za kogo ona się uważa?

Rozmawiamy o „zamknięciu rozdziału”.

- Jeżeli musimy to zrobić, żeby ruszyć z miejsca, zróbmy to.

- Posłuchaj... dam ci znać.

Mówi, że jedzie na rozmowę w sprawie pracy w okręgu szkolnym L.A Unified.

- W sobotę?

Mówi, że jakiś brat z korporacji studenckiej UCLA umówił się z nim, w ramach szczególnej przysługi, na spotkanie weekendowe. Dzięki temu Charles nie musi iść do głównego biura ze swoim podbitym okiem. A biorąc pod uwagę, że to inny okręg i że brakuje im wykwalifikowanych nauczycieli, przypuszcza, że może dostać pracę, jak tylko wyleczy oko.

Życzę mu szczęścia.

- I co masz zamiar zrobić? - pyta Yvette po przeczytaniu e-maila.

Jesteśmy na parkingu przed firmą, siedzimy pod poszarzałym od smogu niebem. Obie dotarłyśmy na plantację pół godziny wcześniej, więc możemy pogadać.

Mówię, że chcę się spotkać z Jessicą. I że muszę zobaczyć, jak reaguje na Charlesa. Jak on reaguje na nią. Jacy są razem. Jak on w jej obecności reaguje na mnie.

- Więc jedziesz?

- A ty co byś zrobiła?

- Znasz mnie. Ale chodzi o to, czego ty chcesz. Wyślij jej odpowiedź.

- I co mam napisać?

Yvette wie prawie wszystko. Po tym, jak zostawiłam Charlesa przy kolacyjnym stole, poszłam na górę do naszej sypialni, zamknęłam się i z chusteczką w ręce zadzwoniłam do swojej przyjaciółki. Powiedziała mi wcześniej, że mogę dzwonić bez oporów, kiedy sytuacja będzie ciężka, i nie rzucała słów na wiatr. Gadałyśmy dwie godziny. Opowiedziałam jej wszystko. O tym, że

jeszcze raz spałam z Davidem Lawrence'em, że Jessica nakryła mnie nagą w jego łóżku, o rozmowie z Charlesem przy kolacji.

Powiedziałam jej, że chciał mnie zostawić.

- Ale nie zostawił. Pamiętaj o tym.

Każda siostra musi zadzwonić do swojej kumpelki.

- Niech ten mały piknik odbędzie się na twoich warunkach - mówi Yvette. - Jeśli każesz jej poczekać albo umówisz się gdzieś później, na przykład w Jerry's Deli, mogę tam podjechać po pracy, nawet przywlec jakąś przyjaciółkę. Przyczaiłybyśmy się obok na wypadek, gdyby jej coś odbiło.

- Nie mogę spać. Nie mogę normalnie myśleć. Chcę to zrobić teraz.

- Musisz przyznać, że ta siostra nie ma klasy.

- Co z tego. - Przedrzeżniam Jessicę: - Chcę to skończyć tam, gdzie to zaczęliśmy.

- Proszę cię.

- Potem już nigdy w życiu nie wejdziesz do EuroChow, możesz mi wierzyć.

- Oo. Mamy towarzystwo.

Patrzę w górę. Tyra Tyranka stoi w drzwiach. Obserwuje nas od jakiegoś czasu. Nagle otwiera drzwi, schodzi na dół po schodach, w rozchylonym płaszczu na swoim prążkowanym służbowym kostiumie, papierami, które trzyma w prawej ręce, klepie się po udzie, idąc krokiem prawdziwego nadzorcy.

Opieramy się o terenówkę Yvette. Kiedy podchodzi Tyra, stajemy prawie na baczność.

- Muszę się spotkać z wami dwiema w gabinecie.

- Teraz? - pytam.

- Nie w tej sekundzie. Mam inne spotkanie. Podczas gdy ja będę łamała sobie głowę nad tym, jak zwiększyć oglądalność i dać zatrudnienie reszcie swojego personelu, wy możecie kontynuować swój plenerowy alternatywny konwentykiel.

- Wysyłasz mnie na zieloną trawkę? - pytam.

- Za godzinę. W moim gabinecie.

Odchodzi szybkim krokiem, jej płaszcz łopocze na długim tułowiu, kołyszą się rude sztuczne włosy, piersi podskakują jak dwa karły na trampolinie. A my się zastanawiamy, co jest grane.

- Jędza - mruczę, kiedy wchodzi po schodach, stukając obcasami.

Tyra przystaje. Zesztywnienie jej ciała mówi, że mnie słyszała i za chwilę się odwróci. Myślę, że patrzy prosto przed siebie, ale jej oczy są skierowane na nasze odbicie w szklanych drzwiach. Jej oczy skupiają się na mnie. Mijają sekundy, w końcu rusza dalej i wchodzi do środka.

- Alternatywny konwentykiel? - mruczę.

- Nienawidzę tych pieprzonych mądrych słów z testów SAT.
- Wyrzuci mnie. Czuję to przez skórę.
- Bierze na dywanik nas obie, piegusie, nie tylko ciebie.
- Myślisz, że wyrzuciłaby ciebie?
- Ten wredny babsztyl wyrzuciłby własną matkę w wigilię Bożego Narodzenia.
- Hmmmm.
- Musiała się dowiedzieć o naszym wypadzie do Houghmagandy.
- O Boże. Tak myślisz?
- Cholera wie.
- Musimy ją tam zabrać i przedstawić tajniakowi z agencji antynarkotykowej.
- Albo Myszce Miki. Dostajemy ataku śmiechu.

Zostajemy na parkingu. Czytam jeszcze raz e-maila. Koniec śmiechu. Yvette czyta jeszcze raz e-maila.

- Czego ci trzeba, żeby odzyskać spokój? - pyta. - Pomyśl o tym.
- Muszę zobaczyć ich razem. Potem muszę się z nią rozmówić w cztery oczy. Jest kilka rzeczy, które muszę jej powiedzieć. Dużo gówna, które muszę z siebie wyrzucić.

Ruszamy na plantację.

- Myślisz o zostawieniu go?
- Zdrada nie jest podstawą do rozwodu.
- Kiedyś była.
- Ale dawno i nieprawda.
- Zastanawiam się, dlaczego to zmienili.
- Pewnie dlatego, że nikt by się nie ostał w małżeństwie.
- Przynajmniej nikt w Kalifornii.
- Myślę, że na Południu cudzołóstwo jest wciąż na indeksie. Otwiera przede mną drzwi i wkraczamy do zimnego budynku.

- Chciałabym, żeby tobie i Charlesowi udało się z tego wybrnąć.
- Dlaczego?
- Chcę uwierzyć w happy endy. Muszę zobaczyć choć jeden.
- Nie wiedziałam, że tak o tym myślisz.
- Jesteś moją nadzieją, piegusie. Zawsze byłaś moją nadzieją.

Tyra wzywa mnie do gabinetu. Zamykam drzwi i siadam w fotelu naprzeciwko jej biurka. Na ścianach wiszą zdjęcia dwóch małych dziewczynek, stara fotografia z czasów jej kariery modelki i mnóstwo dyplomów. Na biurku stoi filiżanka kawy i butelka coli.

- Wyciągnęli to wczoraj z depesz agencyjnych. - Podsuwa mi wydruk. Jedna z wiadomości Associated Press jest zakreślona na czerwono.

Wypija resztkę coli, potem bierze do ust kawałek gumy nicorette.

- Gdyby nie to, że strzelanina na LAX zepchnęła w kącie inne wiadomości, na pewno lokalne stacje puściłyby to w wieczornych wydaniach.

Nie odrywam oczu od kartki. Informacja dotyczy romansu dwojga nauczycieli. Z tej samej szkoły, w której był skandal pedofilski. Bójka między nauczycielem a mężem jego kochanki.

- Rzecz nie jest tak sensacyjna jak uprowadzenia dzieci, ale to wiadomość lokalna i materiał mógłby być całkiem gorący. Jest seks. Internet. Rodzice. Dzieciaki. Moralność. Hipokryzja. To jest news.

Trzymam wydruk. Czytam po raz kolejny słowo po słowie, zaklinam je, żeby się zmieniły.

- Nie należę do tych, którzy wtrącają się w czyjeś sprawy osobiste, ale muszę zapytać. Jedno z imion jest takie samo jak imię twojego męża.

W końcu podnoszę wzrok.

- Kiedy to pójdzie?

- Potrzebuję tylko potwierdzenia, bez wyjaśnień. Odwracam wzrok.

- Czy to twój mąż?

- Jeśli nie?

- Jeśli nie, robimy z tego materiał.

- To ja. To mój mąż.

Jest góra. Znów na nią patrzę, czekam, aż się uśmiechnie albo roześmieje. Nic z tych rzeczy.

- No to nie robimy z tego materiału. Nie na mojej wachcie. Mija sporo czasu, zanim jestem w stanie się odezwać.

- Dziękuję - mówię cicho.

Siedzę, trzymając ten wydruk, i czekam, aż Tyra da mi do zrozumienia, że jestem jej dożgonną dłużniczką. Nic nie mówi. Nie rozumiem jej. Przestaję rozumieć cokolwiek.

- Skończyłyśmy? - pyta.

- Tyra, mogę cię o coś zapytać?

- Byle szybko.

- Czy moja robota jest całkiem do kitu? Czy jestem aż tak niekompetentna w tym, co robię?

- Nie. Jesteś jedną z najlepszych. Nie osiągnęłaś jeszcze szczytu swoich możliwości, ale jesteś dobra.

- Więc w czym problem? Czy robię coś, co ci działa na nerwy? Wyciąga się w swoim dyrektorskim fotelu, bujając się i zastanawiając nad odpowiedzią.

- Mój mąż porzucił mnie dla tancerki, która wygląda jak twój sobowtór; muszę dzień w dzień na ciebie patrzeć.

Czuję się niezręcznie. Nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Przez moment ona wygląda równie bezradnie, jest zakłopotana, jakby żałowała, że nie ugryzła się w język.

- Więc teraz jestem samotną mamusią. Mam problemy tak samo jak ty. Wkładam mnóstwo energii w to, co robię. Mam dwoje dzieci, których prawie nie widuję. Kiedy wracam do domu, one śpią. Nie mogę czytać swoim dzieciom bajek na dobranoc, bo jestem tutaj. Kontakt mamy głównie rano, kiedy zawożę je do luterańskiej szkoły Westchester. W moim życiu nie ma żadnego męża. Odkąd tamten mnie zostawił. Mam nianię, która odbiera dzieci ze szkoły, gotuje im, robi pranie, pomaga przy lekcjach i kładzie je do łóżka. Niania. Całą rodziną atmosferę tworzy im niania.

- Nie wiedziałam.

- Teraz wiesz. Wypruwam z siebie flaki w tej robocie, żeby utrzymać dzieci. Rozumiesz? Nie myśl, że nie poświęcam się każdego dnia. Moje dziecko choruje, nie mogę wyjść. Mam kryzys w związku, trudno, muszę przyjść tutaj i robić swoje. Wszyscy musimy.

- Masz rację.

Nim sytuacja stanie się zbyt krępująca, Tyra wstaje i podnosi tarczę.

- Nazwałaś mnie jędzą.

- Przepraszam.

- Gdybym była białym facetem i dowodziła tym okrętem w taki sposób, w jaki to robię, zdobyłabym miano dyrektora naczelnego, ale ponieważ jestem czarną kobietą, muszę pracować dwa razy ciężiej i nawet nie próbuję zliczyć tych wszystkich „jędz”.

- Rozumiem, co czujesz.

- Nie, nie rozumiesz. I mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała zrozumieć.

Stoimy naprzeciw siebie, obie nieruchomo.

- Skończyliśmy? - pyta.

- Jeszcze jedno.

- Byle szybko.

- Dowiedziałam się o romansie swojego męża we wtorek wieczorem. Kiedy zadzwoniłaś do mnie w środę, w mój wolny dzień, byłam wrakiem człowieka, próbowałam sobie z tym poradzić.

Wzdycha, jakby chciała powiedzieć, że jest jej przykro. Albo że wszystkie przez to przechodzimy, że trzeba do tego przywyknąć.

- Naprawdę muszę dziś wcześniej wyjść. Muszę się tym zająć. Kiwa głową na zgodę.

- Tylko dopilnuj wszystkiego, zanim wyjdiesz albo przekaż komuś robotę.

- Dzięki.

- I pamiętaj, kogo nazywasz tu jędzą.

Wychodzimy obie z jej gabinetu. Tyra staje się królową Lwów i zanurza w swojej osobowości typu A, wrzeszczy jak zwykle na ludzi i od każdego, kto znajdzie się w jej polu widzenia, żąda maksymalnego wysiłku.

Patrzę na nią i czuję się nieswojo. Widzę siebie za dziesięć lat.

19

Mój świat zasnuwa mgła. Niebezpieczna mgła. Nie pamiętam momentu wyjścia z firmy. Nie pamiętam, żebym wyjeżdżała z parkingu i wciskała się na La Brea. W tej części świata ruch nie ustaje o żadnej porze dnia ani nocy, a w sobotnie popołudnia robi się istne piekło. Muszę być wojowniczką szos, żeby dostać się z punktu A do punktu B, a w tej chwili w ogóle nie pamiętam, żebym gdzieś skręcała, zatrzymywała się na światłach czy wjeżdżała na Sunset Boulevard z Hollywood w kierunku Westwood.

Jakoś tu się jednak dostałam, bo kiedy wraca mi świadomość, jestem na Sunset przy La Cienega, na obrzeżach Beverly Hills, przed sobą mam niekończący się sznur czerwonych świateł hamowania.

To nie jest trasa dla kogoś, komu się bardzo spieszy.

Chcę to zrobić, a jednocześnie nie chcę.

Przeczekuję już trzecią zmianę świateł na tym samym skrzyżowaniu, wdycham tlenek węgla i przeklinam tę dziwkę Jessicę za to, że wpakowała mnie w taki korek.

Dzwoni moja komórka. Charles.

- Gdzie jesteś? - pyta. Odpowiadam i pytam o to samo.

- Na czterysta piątej przed dziewięćdziesiątką.

- Powinieneś dotrzeć tam pierwszy.

- Gdzie się spotkamy?

- W barze martini.

Koniec rozmowy. Dzieciół znów daje mi się we znaki. Muszę połknąć na sucho dwa tylenole. Potem wciągam powietrze, ciągnę się za włosy, potrząsam głową.

Tyle dramatycznych przejść w tak krótkim czasie.

To wszystko zaczęło się dlatego, że David Lawrence, kochający mąż, mył samochód swojej żony w jej urodziny. No i znalazł na podłodze pieprzoną prezerwatywę. To było tandetne. Nie przychodzi mi do głowy żadna kobieta, która byłaby tak nieostrożna. Dowiaduje się, że ona

puszcza się z moim mężem od prawie roku. Bierze ją na spowiedź. Jest typem faceta, który nie bawi się w ceregiele, a ona reaguje bardzo emocjonalnie, więc musiało się skończyć ciężką awanturą. Bardzo głośną i bardzo groźną. Musiała być śmiertelnie przerażona. Jessica się załamuje, zwiewa Bóg wie dokąd. Nie przychodzi w piątek do pracy, ląduje w Miami na cały weekend i jej mąż odchodzi od zmysłów, myśląc, że uciekła, aby być z Charlesem.

Przeżywają swój dramat, a ja pracuję i idę do kościoła w przekonaniu, że mój świat jest niezachwiany.

Tak byłam pogrążona w tych myślach, że zapomniałam, dokąd jadę, zapomniałam na siebie spojrzeć i zobaczyć, jak jestem ubrana. Mam na sobie džinsy i „chłopską” bluzkę. Uszłoby na bulwarze Melrose, ale nie w tak ekskluzywnym miejscu jak EuroChow.

Trudno, chodzi o sprawę do załatwienia, a nie o wygląd.

Czterdzieści minut później zamieniam szaleństwo Wilshire na obłęd Westwood Boulevard, robię szybki nawrót i ustawiam Błękitka za trzema samochodami na parkingu obsługiwanym przez chłopców parkingowych. Każdy jest tu traktowany, jakby był gwiazdą filmową. I bywają tu autentyczne gwiazdy.

EuroChow, piękny budynek w stylu śródziemnomorskim, jest punktem orientacyjnym Westwood. Sama restauracja powstała tu w późnych latach dziewięćdziesiątych i wtedy moja stacja zrobiła o niej materiał. Od zawsze było to moje ulubione miejsce w Los Angeles. Moje terytorium. Jest bardzo międzynarodowe, a jedzenie, które tu dają, wprawia w kosmiczną ekstazę.

Powietrze wiejące od Pacyfiku robi się rześkie, kusi mnie, żeby stąd odejść i pofrunąć z wiatrem. Spoglądam w górę. Zbliża się zachód słońca. To moja pora dnia. Niebo mieni się paletą barw, staje się tak piękne, że chciałabym się wzbić ku niemu jak balon. Ostatnie chwile przed zmierzchem. Mam ochotę uciec, znaleźć plażę i zanurzyć stopy w piasku albo pójść do parku Kenneth Hahn, usiąść na trawie, poszukać czterolistnej koniczyny, pójść gdziekolwiek i mieć ten czas dla siebie, ale nie mogę.

Ogarnia mnie niesamowite uczucie. Wiem, gdzie jestem, a czuję się zagubiona.

Wchodzę do bielusińskiego wnętrza. Dużo okien. Dużo światła. Dużo luster. Czysta biel robi wrażenie, jakbym była w jakimś śnie. To miejsce ma swój duchowy klimat. Kiedyś było kościołem i coś z tego anielskiego nastroju pozostało. Sama architektura wydaje się jakaś nierealna. Marmurowy obelisk wskazuje szesnastometrowej wysokości kopułę. Całe to otoczenie, cudowny zapach jedzenia i oświetlenie światłowodowe tworzą iluzję, że jakiś anioł zstąpi na chwilę z talerzem chińskich albo włoskich smakowitości i zabierze mnie do nieba na kieliszek martini.

Uzbrajam się w profesjonalny uśmiech i mówię hostessie, że kogoś szukam. Mają bardzo miłą obsługę. Dziewczyna pozwala mi się rozejrzeć. Z torebką w ręku przechadzam się wzdłuż

złoconych parawanów; wszyscy barmani i kelnerzy uśmiechają się i gawędzą z gośćmi. Mam nadzieję, że nie natknę się na Jessikę, zanim zobaczę Charlesa.

Charlesa nie ma.

Wyjmuję komórkę, żeby do niego zadzwonić, a telefon wibruje. Wyświetla się numer z firmy.

- Co jest? - pytam.

- Nic. - To któraś z asystentek. - Przyszły do ciebie dwie przesyłki kurierskie tuż po tym, jak wyszłaś. Jakies dwie czarne tuby. Podpisałam odbiór.

- Dzięki. Zostaw je na moim biurku, proszę.

- Wszystko w porządku?

To prawdziwy powód telefonu.

- Tak. Zobaczymy się na plantacji jutro.

Rozłączam się i już mam wcisnąć numer Charlesa, ale podnoszę głowę i widzę, że hostessa prowadzi jakąś kobietę galeryjką, która łączy dwie części budynku. Kobieta jest ubrana w jasne brązy i zielenie i wygląda jak wycięta z żurnala. Hostessa prowadzi ją do tylnej ściany z gigantycznym lustrem, pokazuje mały stolik, ale ona kręci głową, jakby to miejsce jej się nie podobało. Robi to zdecydowanie, jak gdyby była tu z tysiąc razy i wiedziała, o który stolik jej chodzi. Idą dalej.

Piękna czarna skóra. Prostowane trwałą włosy opadające na ramiona.

Chociaż gapię się jak sroka w gnat, ona nie patrzy w dół.

Hostessa wskazuje jej zaciszny boks z podwianymi skórzanymi zasłonami w kolorze karmelu.

Serce mi wali. Palce tańczą na skrzyżowanych ramionach. Zasycha mi gardle.

Jessica tu jest, solo. Wzdycham z ulgą. Potem myślę o Davidzie Lawrensie, zastanawiam się, dlaczego nie przyszedł. Cieszę się, że nie przyszedł. Tamto dudnienie wciąż wyznacza rytm moim krokom. Nie wiem, czy jestem gotowa się z nim spotkać. Za dużo czuję, kiedy o nim myślę.

Powinnam tam wejść. Odbyć z nią rozmowę w cztery oczy. To kobieca sprawa.

Kobieta ubrana jak modelka. Wieśniaczka ubrana w szmaty. Za nic w świecie.

Wycofuję się na zewnątrz z telefonem przy uchu, zbiegam po schodach, dzwoniąc do Charlesa.

- Gdzie jesteś?

- Mijam Sawtelle i zjeżdżam w National.

- Nawet nie jesteś jeszcze na dziesiątce. Co tak długo?

- Drogówka zablokowała ruch, chyba jakiś wypadek.

- Nie możesz się urwać i zjechać w miasto?
- Dupki mnie nie przepuszczą.
- Używasz kierunkowskazów?
- Tak.
- To dlatego. Nigdy nie włączaj kierunkowskazu, kiedy chcesz zmienić pas.
- Mniejsza o to. Miejskie ulice mogą być tak samo zapchane. Przeklinam.
- Mieliśmy być tu pierwsi.
- Wiem.
- Jest za dziesięć szósta i ona już jest.
- Sama?
- Bo co?
- Jest sama?
- Sama.

Wydaje głębokie westchnienie. Nie wiem, czy to oznacza ulgę, czy rozczarowanie.

- Wolisz, żeby nie była sama.
- Chyba sobie nie wyobrażasz mnie i jej obłąkanego męża siedzących przy jednym stole.
- Ona tu jest. Przepchałam się przez korek, żeby zdążyć. Ona czeka.
- Będę najszybciej, jak się da.
- Zadzwoń, jak będziesz zjeżdżał z autostrady.
- Dokąd idziesz?
- Na zakupy.

Westwood Boulevard jest ruchliwym traktem miejskim, który ciągnie się aż do Uniwersytetu Kalifornijskiego. Mnóstwo knajpek. Mnóstwo kin. Milion sklepów od miejsca, w którym stoję, do kampusu UCLA.

Dwadzieścia minut i dwieście dolarów później jestem w szerokich spodniach khaki, białym opiętym topie i w kolorowej jedwabnej chustce na głowie. Wrzucam swoje wieśniackie odzienie do torby i gnam dalej, żeby wydać następnych sto dolarów na czekoladowe spiczaste buty bez pięt. Potem korzystam z łazienki w Starbucksie. Skórę mam lepką od słońca, brudnego powietrza i stresu. Muszę umyć twarz i zrobić przyzwoity kryjący makijaż.

Czuję, jak poca mi się dłonie. Nawet gdyby to spotkanie miało trwać dwie minuty, muszę wyglądać doskonale.

Dzwoni komórka.

Charles jest na Weyburn, przed zjazdem na Westwood, zaraz tu będzie.

Jego kochanka, kobieta, dla której zamierzał mnie porzucić, czeka w restauracji.

- Nie wchodź tam beze mnie - mówię.

Charles czeka na parkingu. Zauważa mnie w tłumie ludzi, gdy idę bulwarem z torbą w rękę, i rusza w moją stronę. Jest w ciemnych okularach, ciemnym garniturze zapinanym na cztery guziki, w ciemnej koszuli i ciemnym krawacie.

- Wystrojony na maksa - mówię.

- Włożyłem to na rozmowę kwalifikacyjną.

- Jak poszło?

- W tej chwili jestem skupiony na ratowaniu swojego małżeństwa.

Bierze ode mnie torbę.

- Tylko to mnie w tej chwili obchodzi.

Chce mnie uścisnąć, widzę to w jego oczach, ale widzę też ból. Mieliśmy romans na krzyż. Mój kochanek nie mógł go bardziej upokorzyć. Jego kochanka jest tutaj. Niezręczna sytuacja. Więc nie próbujemy się dotykać. Obejmuję się ramionami, on wciska ręce do kieszeni.

- Załatwmy to - mówię.

- Wiesz, że nie musimy tego robić, prawda?

- Musimy.

Nadciąga zmrok, słońce tonie w oceanie. Może to z powodu światła albo moich oczu, albo mojego zdenerwowania, ale tym razem wszystko jest tak nieskazitelne i czyste, że nie radzę sobie z natłokiem emocji.

- Dobrze się czujesz? - pyta Charles.

- Nie.

- Trzęsiesz się.

- Ty też.

Prawda jest taka, że boję się z nią spotkać. Ona jest przestępczynią. Ja też. Nasze grzechy ważą tyle samo. Jeden raz jest tym samym co setki razy.

Restauracja nie sprawia już wrażenia niebiańsko białej. Jest tylko sterylnie biała. Wszystko jest zbyt duże, rażące, przesadne. Jestem kłębkim nerwów i zaczynam rozglądać się dookoła, czując się tak, jakby ktoś zaraz miał do mnie podejść z kaftanem bezpieczeństwa.

- Dlaczego ona chce się spotkać z nami? - pytam.

- Czytałaś e-mail. Żeby rozwiązać to raz na zawsze.

- Ale dlaczego z nami? Dlaczego tylko z tobą i ze mną? Dlaczego bez swojego męża?

- Wie, że gdyby on tu był... nie mówiąc o tym, co ja bym wtedy zrobił.

Kręcę głową, moja mina mówi, że to się nie trzyma kupy.

- Czy jest coś, co ona ma do powiedzenia, o czym powinnam wiedzieć?

- Nie.

- W takim razie musi być coś, co ma zamiar powiedzieć, a nie chce, żeby on to usłyszał.

Charles kręci się w miejscu, dotyka podbitego oka, potem pociera twarz.

- Nie funduj mi sytuacji, w której wyjdę na idiotkę - mówię.

Podchodzi hostessa, Charles dotyka mojego ramienia, przeprasza hostessę i prosi mnie na stronę.

- Co jest grane, Charles?

- Chodźmy tam.

Idziemy w stronę toalet, chowamy się w ciemnym kącie przy automatach telefonicznych.

Charles zdejmuje okulary, tężeje mu twarz, napięcie sięga zenitu.

- Ona była w ciąży.

To jest cios w serce. Przez moment nie mogę mówić. Jego wyznanie zatyka mi dech w płucach. Wyciągam rękę, opieram się o ścianę. Charles kładzie mi dłoń na ramieniu. Odpycham ją gwałtownie.

- W ciąży - powtarzam.

- Była.

- Była?

- Tak, była.

- Miała skrobankę?

- Poronienie.

- Poroniła?

- Tak.

- Kiedy to było?

- Zadzwoiła do mnie w ostatni piątek.

- Wczoraj?

Zaciska wargi.

- W ubiegły piątek. Tydzień temu.

- Niech cię diabli, Charles.

- Miała z nim awanturę, uciekła najszybciej, jak mogła, panikując, nie wiedziała, dokąd iść, zatrzymała się w hotelu. Mówiła, że jest w ciężkim stresie, ryczała, kompletna histeria. Powiedziała, że tak bardzo boli ją krzyż, że nie jest w stanie pojechać do swojej kuzynki w Palm Springs. Następnego dnia zaczęła mieć silne skurcze, zadzwoniła do mnie do szkoły, bo nie spała przez całą noc, chciała, żebym wyszedł z pracy i zabrał ją na ostry dyżur.

Stoję tam, chłonąc wszystko, próbując zrozumieć. Jessica zostaje nakryta, ma piekielną awanturę ze swoim mężem w czwartek wieczorem, ucieka, a David Lawrence zakłada, że uciekła do Charlesa.

- Jesteś tego pewien?

- Byłem tam.

- Gdzie „tam”?

- Na ostrym dyżurze.

- W którym szpitalu?

- Kaiser.

- I byłeś tam z nią?

- Rozmawiałem z lekarzem. - Kiwa głową. - Stąd wiem, że miała poronienie.

- Gdzie ja wtedy byłam?

- W telewizji.

Opowiada, że kiedy po pracy pojechał do jej hotelu, zwijała się z bólu i krwawiła.

- Pojechałeś dopiero po pracy?

- Dowiedziałem się w południe. Nie mogłem wyjść tak po prostu z lekcji.

Jestem oszołomiona; zbyt wiele się wydarzyło w zbyt krótkim czasie. Dziennikarka, która we mnie siedzi, chce zadać mnóstwo pytań, chce zapytać, czy jest pewien, że Jessica zaszła w ciążę właśnie z nim, skoro spała też ze swoim mężem, ale nie wiem, czy którekolwiek z tych pytań ma w tej chwili większe znaczenie.

- Jak zaawansowana była ta ciąża?

- Kilka tygodni.

- Co to znaczy kilka tygodni?

- Powiedziała, że między trzynastym a piętnastym.

Znów odbiera mi mowę. Ludzie wchodzą do łazienek i wychodzą. Wyraz naszych twarzy mówi wszystko.

- To dlatego chciałeś ode mnie odejść? Z powodu dziecka?

Walczy z myślami, odpowiada, cedząc słowa.

- Ja... wierzę w rodzinę.

- Daj ty mi święty spokój. Miałeś pieprzony romans. Nie jesteś Wardem Cleaverem*.

* Ward Cleaver - postać mądrego ojca z filmu *Wiercipięta* w reż. Andy'ego Cadiffa.

- To byłoby jedyne słuszne wyjście. Dla dziecka.

- Dla dziecka.
- Chcę mieć dziecko, ale nie chcę mieć bękarta.
- Ludzie w twojej pracy już wiedzieli, prawda?
- Ludzkie gadanie.
- Nauczyciele są gorszymi plotkarzami od dzieci, Charles.
- Mów ciszej.
- Więc ona poroniła. A ty dałeś nogę.
- Kiedy powiedziała, że jest w ciąży, sytuacja nabrała innego wymiaru. Nie chciałem z nią być. Od dawna chciałem z tym skończyć, ale to nie takie proste.

Nie słucham jego tłumaczenia.

- Strach ścisnął ci dupę, co?
- Zrozumiałem, co naprawdę do niej czuję. I do ciebie.
- Cokolwiek łączyło cię z Jessicą, przestało być zabawne.
- Wtedy otrzeźwiałem.
- Dokąd ona potem pojechała?
- Zawiozłem ją z powrotem do Best Western.
- Którego Best Western?
- W Rowland Hights - odpowiada z ociąganiem.

Teraz wiem, gdzie mieli swoje miłosne gniazdko. W hotelu blisko jego pracy.

- Zadzwoiła do kuzynki, żeby przyjechała z nią pobyc.
- Kuzynki z Palm Springs.
- Tak. Miała wyjechać tego samego wieczoru, jak tylko skończy pracę.
- Poczekałeś przynajmniej na tę kuzynkę?
- Nie mogłem.
- Dlaczego z nią nie zostałeś?

Robi grymas mężczyzny, który musiał dokonać paskudnie trudnego wyboru. Tłumaczy, że zrobiło się późno, że nie wiedział, ile czasu zajmie tej kuzynce podróż z Palm Springs w piątkowym tłoku na autostradach, że był rozdarty i musiał wybrać między zostaniem przy łóżku Jessiki a powrotem do swojej żony. Musiał zdecydować, którą drogą życiową dalej pójdzie.

- Powiedziałeś jej to?
- Odbyliśmy poważną rozmowę. Zastanawiam się chwilę.
- We wtorek. Wygląda na zdziwionego.
- Pojechałeś zobaczyć się z nią we wtorek.
- Skąd wiesz?

- Skłamałeś, że byłeś w kinie i wróciłeś z jedzeniem z CPK*. Zacierałeś ślady. Myślałeś, że jest po wszystkim. Pojechałeś do niej, ona ci powiedziała, że jej mąż się dowiedział, ale ty już o tym wiedziałeś, bo on cię dopadł w szkole, na oczach wszystkich, a skoro ona poroniła... Musiałeś być wkurzony, powiedziałeś, że z wami koniec, zerwałeś z nią i chciałeś uczcić sprawę, przynosząc mi kolację.

- Posłuchaj... niczego nie chciałem uczcić.

* CPK - California Pizza Kitchen.

Przeciąga ręką po włosach, wygładza marynarkę, a ja czytam z jego twarzy; najgrubszą zmarszczkę żłobi poczucie winy wywołane myślą, że nie został na noc ze swoją kochanką. Nawet w tak dramatycznych okolicznościach, kiedy leżała krwawiąca i obolała w jakimś pokoju hotelowym, w szoku po stracie poczętego w niej życia, on wolał wrócić do domu.

- Najlepszym sposobem dla kobiety - mówię - na sprawdzenie, co czuje do niej mężczyzna, jest zajście w ciążę.

- Nie mów tak.

- Coś o tym wiem. Kobieta zachodzi w ciążę i dopiero wtedy się dowiaduje, z kim ma do czynienia. Co jej kochanek naprawdę do niej czuje. Czy mają przed sobą przyszłość.

- Nie będę kłamał. To było dla mnie przebudzenie.

- Zawsze tak jest.

- Nie chciałem tego.

- Nie, miałeś szczęście. Wydaje ciężkie westchnienie.

- Taka lekkomyślność. Byłeś tak lekkomyślny, Charles.

- Wiem.

- Nie mogę uwierzyć, że zapłodniłeś inną kobietę. Nie ma nic do powiedzenia.

- Coś jeszcze, Charles?

- Nic.

- Na pewno?

Jeszcze jedno ciężkie, urywane westchnienie.

- Nic więcej.

Stoję przy automatach telefonicznych i patrzę w podłogę.

- O czym myślisz?

- Żal mi Jessiki. Zostawiłeś ją. Była przerażona. Samotna.

Te słowa brzmią bardzo buddyjsko. Płaczę, ale bez łez.

Moja aborcja sprzed lat, uczucia, których doznawałam po porzuceniu, tamten ból - to wszystko wciąż mnie prześladowuje. Mój nastoletni kochanek oświadczył, że mnie nie kocha, powiedział, żebym wybiła go sobie z głowy, jakby można się było wyleczyć z miłości ot tak, pstrykając palcami. Miłość jest szaleństwem, i ja oszalałam. Nie chciałam wtedy żyć.

Charles o tym wie.

Kobiety kochają głębiej niż mężczyźni. Mogę sobie tylko wyobrazić, przez co przeszła Jessica.

Charles opiera się bokiem o ścianę.

- Żyłem chwilą i to wymknęło mi się z rąk. Człowiek zabrnę w coś za głęboko, traci kontrolę nad biegiem wydarzeń i potem nie ma łatwego wyjścia.

- Dlatego, że do głosu dochodzi serce, Charles. Serce jest twoją kotwicą.

Widelce pobrzękując o talerze; aromat dobrze przyprawionej gry wstępnej pobudza mi zmysły. Potencjalni kochankowie dotykają się rękami, sączą martini, uśmiechają się, prowadząc lekkie, zalotne rozmowy. Słowa przepelnione pożądaniem wibrują delikatnie w powietrzu.

- Co chcesz zrobić? - pyta mój mąż.

Nie umiem odpowiedzieć. Targa mną zbyt dużo sprzecznych uczuć.

Mam wrażenie, że unoszę się nad nami, patrzę w dół w jakimś kolejnym transie. On wymawia moje imię, mrugam kilka razy, odwracam się i patrzę na swoje odbicie w srebrnej części automatu. Dotykam włosów, usiłuję przybrać zdecydowaną minę, taką na pokaz.

- Winien jesteś Jessice przeprosiny. Moje słowa zbijają go z tropu.

- Powinieneś paść przed nią na kolana i przeprosić.

Kiwa głową.

- A ty możesz mi wybaczyć?

- Smuci mnie to, że nie rozumiesz, jak wiele dla mnie znaczy otwarta i szczerza rozmowa między nami. Nie przyjmujesz do wiadomości, że jesteś mi naprawdę bliski.

Milkniemy, gdy ktoś wchodzi do męskiej toalety. Potem ktoś wychodzi z damskiej toalety. Nikt na nas nie patrzy. Potem znów jesteśmy sami w tym kącie wielkości więziennej celi.

Wkurza mnie to wszystko. Próbuję się jakoś trzymać. Próbuję zrozumieć, co jest grane. David Lawrence musiał wiedzieć. Miał tony ich korespondencji. Nie powiedział mi o dziecku. Dał mi tylko to, co chciał, żebym zobaczyła. Użył tych e-maili, żeby mnie podejść i wykorzystać do swojej gry.

- Spałam z jej mężem, Charles. - Nie mówię tego, żeby mu dokuczyć. Te słowa wyslizgują mi się z powodu poczucia winy i zaskakują mnie samą. - Co do mnie po tym czujesz?

- To boli jak diabli. On cię wykorzystał.

- W taką właśnie wersję chcesz wierzyć?

- Tak.

Zdecydowanym gestem ręki daję mu do zrozumienia, że jestem gotowa spotkać się z kobietą, która podobno straciła jego dziecko. Z kobietą, którą porzucił w jakimś hotelowym pokoju, żeby wrócić do domu i wpaść w moje ramiona.

20

Hostessa prowadzi nas białymi schodami na górę. Idę kilka kroków przed Charlesem, próbuję panować nad swoimi ruchami. Nie mogę teraz oprzeć wzroku na nim, więc przez prześwity w schodach gapię się w dół na piwnicę win, ale jak tylko wchodzimy na drugi poziom, on bierze mnie za rękę i toruje drogę. Kiedyś gdy brał mnie za rękę, ekstaza toczyła się przez moje żyły, serce pławiło się w winie. Teraz jego bliskość rodzi zakłopotanie.

Przechodzimy przez galeryjkę i zbliżamy się do boksu ze skórzanymi zasłonami w kolorze karmelu. Uśmiechnięta hostessa staje z boku i Charles podchodzi pierwszy do stolika. Jessica podnosi głowę znad swojego drinka z wyrazem twarzy trudnym do opisanego. Widok mojego męża ją zaskakuje, wzdyga się, jakby została wyrwana ze snu.

- Charles...?

Zdziwiona mina przechodzi w promienny uśmiech podszyty miłosnymi wspomnieniami. Potem Jessica przypomina sobie inne rzeczy i wyraz jej twarzy znów się zmienia; widzę oczy kobiety, której wyrządzono krzywdę.

Charles wślizguje się do boksu, ja siadam przy nim. Hostessa odchodzi.

Jessica ani drgnie. Na jej twarzy maluje się autentyczne zdumienie.

- Wszystko jej powiedziałem - mówi Charles. - Ona wie o wszystkim.

Jessica patrzy na mnie gniewnie, jakbym była w futrze z norek na zjeździe obrońców praw zwierząt.

- Co to ma znaczyć? - pyta Charlesa.

Charles szorstkim tonem mówi, że przyszliśmy się z nią spotkać, tak jak prosiła w e-mailu.

- Jakim e-mailu?

Milkniemy, patrzymy po sobie wszyscy troje. Najpierw myślę, że ona prowadzi jakąś grę i moje współczucie dla niej przechodzi w grymas złości.

- Co tu robisz? - pytam.

Piorunuje mnie spojrzeniem z serii „jak śmiesz się do mnie odzywać, ty dziwko” i odpowiada stosownym do niego tonem,

- Świątujemy naszą rocznicę. Umówiliśmy się tutaj z przyjaciółmi DL-a.

Już rozumiem, co jest grane, i ogarnia mnie lekka panika.

- Charles, chodź - mówię. - Musimy spadać.

Zanim udaje mi się wydostać z boku, wraca hostessa, radosna i uśmiechnięta.

Stoi tuż za nią. Ubrany w dżinsy. Do tego biała bawełniana koszula rozpięta do połowy torsu. Czarna skórzana kurtka. Prostokątne okulary przeciwsłoneczne z żółtymi szklami. Dzikie afro, skołtunione i ekscentryczne, arogancka mina.

David Lawrence jest tutaj, stawia czoło nam wszystkim.

Patrzę na niego i zaczynam być dotkliwie świadoma swojej waginy.

Przełykam ślinę.

Charles sztywnieje. Jego ciało jest jak dynamit z podpalonym lontem. Nagle poluzowuje krawat i popycha mnie. Chce, żebym go przepuściła.

Nie ruszam się.

David Lawrence zdejmuje okulary i odsłania worki pod oczami. Jest wycieńczony brakiem snu, odpoczynku, spokoju. Wszystkim przy tym stole tego brakuje.

Patrzy na mnie. Niepewny uśmiech pojawia się w kąci jego ust. Prawie odwzajemniam uśmiech, ale przypominam sobie, że jesteśmy na wojnie. Przypominam sobie film. Marszczę czoło. Patrzy na swoją żonę. Jessica drży. Potem David Lawrence wbija wzrok w Charlesa.

Patrzy na czerwienie i czernie w jego spuchniętym oku jak na dzieło sztuki. Kiwa głową i prawie się uśmiecha.

- Jak leci, Charles?

Charles pochyla się, ciska mu intensywne pogardliwe spojrzenie.

- Ja się nazywa ta twoja psychologiczna gierka?

- Nie chcę tu wszczynać żadnej gównianej awantury, ale kocham swoją żonę. Dlatego tu jestem. I ona kocha mnie. Teraz jeszcze Jessica ma wam obojgu coś do powiedzenia, a potem możecie sobie iść.

- Rozesłałeś te e-maile i wszystko trafiło do dzieci. Co z ciebie za potwór?

- Ty je napisałeś. Do mojej żony. Co z ciebie za potwór? Charles ssie zęby.

- Posunąłeś się za daleko.

- Nie, to ty posunąłeś się za daleko.

- To dotyczyło nas, nie rodziców i dzieci w szkole.

- Może rodzice powinni wiedzieć, jaki amoralny zbrodnic uczy ich dzieci.

Charles chce się wydostać z boksu. Ja też chcę wyjść, bo tak jak David Lawrence chcę móc zapanować nad sytuacją, ale nie ruszam się. Atmosfera jest zbyt wybuchowa. Jeśli wyjdę, nic nie rozdzieli jego i Charlesa. Kładę rękę na nodze Charlesa, dając mu znak, żeby przeczekał, przypominając, że przyszedliśmy tu, aby móc wreszcie zakończyć całą tę sprawę.

- Ludzie patrzą - mówię.

Kilka osób w sali spogląda w naszą stronę ze zgorszeniem, próbując zobaczyć, co się dzieje, i Charles opada na swoje miejsce. Siedzi prosto z rękami zaciśniętymi w pięści.

David Lawrence siada obok Jessiki. Naprzeciw mnie. Charles siedzi na wprost Jessiki.

Małżeństwa bok przy boku. Kochankowie twarzą w twarz.

Rozumiem. David Lawrence zna hasło Jessiki. Może wejść do jej poczty. Wysłał e-maila. Zrobił to, co według niego należało zrobić, żeby przywrócić porządek we własnym domu.

- Co tu jest grane? - pytam.

- Pożyczyłem ten pomysł od ciebie. Natchnęła mnie twoja lista pytań.

- Tyle sama się domyśliłam.

- Jesteś bystrą kobietą. Twórczą i dzielną. Chyba ci to mówiłem. Oczy Charlesa są wymierzone w Davida Lawrence'a.

Jessica wpatruje się we mnie, na brwiach ma kropelki potu, jej brązowe oczy zieją zazdrością.

To jest nierzeczywiste. Wszyscy jesteśmy tutaj.

Nasza czwórka siedzi przy jednym stole, każde ze swoimi bliznami i otwartymi ranami. Czwooro silnych ludzi, którzy okazali słabość cielesną. Jesteśmy ze sobą związani na zawsze. Patrząc na Jessicę i Charlesa, wyobrażam ich sobie razem, ich złączone ciała. Gdybym powiedziała, że nie jestem w stanie wyobrazić ich sobie w ten sposób, okłamywałabym samą siebie. Trudno jest mi zobaczyć dużo więcej. Ale to jest widoczne. Kiedy otwieram oczy i widzę rzeczywistość, staje się dla mnie jasne to, że są dwojgiem ludzi, którzy się kochali.

I David Lawrence. Od dnia, w którym się z nim spotkałam w tamtych delikatesach, żeby porozmawiać o romansie naszych współmałżonków, za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę tego mężczyznę. Znajduję w nim bratnią duszę. Gdybyśmy się poznali w normalnych okolicznościach, gdyby nie wiązała nas zdrada mojego męża i jego żony...

Patrząc na swoje ręce, myślę o Tyrze Tyrance, potem unoszę głowę, kładę ręce przed sobą, wbijam oczy w Davida i mówię równie mocnym głosem jak Tyra.

- Jesteśmy tu. Zamieniamy się w słuch. Załatw to, byle szybko.

Przerywa nam kelner, który chce przyjąć zamówienia na drinki. Wszyscy siadamy swobodnie. Wszyscy udajemy. Ja proszę o wodę z plasterkiem cytryny dla mnie i dla Charlesa. David La-

wrence zamawia mojito dla siebie i następny cosmopolitan z podwójnym sokiem żurawinowym dla swojej żony. Ledwie upiła łyk tego, który ma, ale on i tak zamawia drugi.

Kelner odchodzi.

Kładę drżące ręce na kolana, wycieram spocone dłonie o spodnie.

- Czy twój mąż odpowiedział na pytania? - pyta David Lawrence.

- Ja tu jestem. - Charles odzywa się głębokim i stanowczym głosem. - Jak masz mi coś do powiedzenia, zwracaj się do mnie.

- I tak, jak zostało napisane w e-mailu - David Lawrence patrzy na Charlesa - nie chcę żadnego cyrku. Po to jesteśmy tu wszyscy, żeby nie było żadnych nieporozumień co do tego, na czym stoimy.

- Powiem ci, dupku, na czym stoimy - warczy Charles.

- Charles, przestań - mówię.

David Lawrence i Charles pojedynkują się wzrokiem, tak jak to robią mężczyźni w więzieniu. David Lawrence, nie odwracając oczu od Charlesa, zwraca się do Jessiki.

- No, powiedz mu to, co powiedziałaś mnie. Jessica cała się trzęsie.

- DL, nie rób tego.

- Powiedz, że nigdy go nie kochałaś.

- DL, nie rób tego.

Kiwa się i gapi na swoją szklankę.

- Charles, to, o czym rozmawialiśmy na dole. Chcesz powiedzieć...? - pytam.

- Nie.

Odmawia współpracy. Nie chce przeproszać ani okazać słabości przed Davidem Lawrence'em.

Jessica kiwa się dalej i gapi się na swoją szklankę. Wydaje się taka mała i bezbronna, jej piękną egzotyczną twarz szpeci wyraz rozpaczony w oczach. Postrzegam ją jako jedną z tych kobiet, które myślą przyjemność seksualną z prawdziwą miłością albo zakochują się w samej idei miłości.

Po tym wszystkim, co powiedział mi Charles, jakaś część mnie chce ją objąć i wyrazić swoje współczucie. Nie dlatego, że ją lubię jako człowieka. Nie podoba mi się jej charakter, ale współczuję jej jako kobiecie po tym, co przeszła. To nienaturalne, żeby nasze dziecko odchodziło pierwsze. Nawet jeśli nie zdążyło przyjść na świat.

Usiłuję być głosem rozsądku, mówię, że my wszyscy chcemy tego samego, ozdrowienia i wyrzucenia z siebie bólu.

- Skoro posługujemy się moją listą - mówię - zrobmy to według listy.

Jessica ociera oczy i zauważa:

- W takim razie każdy musi odpowiedzieć na te same pytania.

Zwraca się do mnie, dając do zrozumienia, że nie różnimy się od siebie tak bardzo, jak myślałem.

- Ona ma rację - przyznaje Charles. Wzruszam ramionami.

- Nie mam z tym problemu. David Lawrence kręci głową.

- Nie.

- Ty ją malowałeś, Charles! - W jej oczach płonie zazdrość. Widzi nasze miny, potrząsa głową. - Chciałam powiedzieć DL.

To przejęzyczenie szokuje nas wszystkich.

Jessica unosi rękę, palcami odgarnia z twarzy swoje czarne włosy i tą samą trzęsącą się ręką przewraca swój cosmopolitan.

Szkarłatny płyn rozlewa się po białym obrusie w kierunku Charlesa.

Chwytam swoją serwetkę, Charles łapie swoją. Oboje rzucamy je na potok.

Jessica niezdarnym ruchem sięga po szklanekę, żeby ją postawić. Szkło toczy się i spada na podłogę po jej stronie boksu. David Lawrence patrzy z zaciśniętą szczęką i wytrzeszczonymi oczami.

Jessica gestykułuje.

- DL, przepraszam. Kochanie, to był wypadek.

Przeżywamy dziwną chwilę. To tak, jakby się z kimś kochać i w najgorętszym momencie wykrzyknąć niewłaściwe imię. To działa jak zimny prysznic. Tracisz swój rytm.

My straciliśmy swój rytm.

David Lawrence wciąż milczy. Charles też.

Wraca kelner z naszymi drinkami. Jego pojawienie się rozładowuje nieco napięcie.

Teraz możemy zacząć.

- Zostałem okradziony z tego, co należało do mnie - mówi David Lawrence. - To tak, jakby odebrano mi godność. Nie mogłem się dowiedzieć, co jest grane. Podstęp był jedynym wyjściem.

- Posunąłeś się za daleko - mówi Charles.

- W takim razie przepraszam.

Patrzą na siebie. Charles kręci głową, upija trochę wody.

- Kochasz Charlesa? - pytam Jessicę.

Kręci głową.

- Kocham DL-a.

- To o co w tym... w tym wszystkim chodziło?

- O nic nie chodziło - odburkuje. Odczekuję chwilę.

- Kochasz Jessicę? - pytam Charlesa.

- Zakochałem się w niej. Potem się odkochałem. Ale nigdy nie przestałem kochać ciebie.

Zaciskam usta. Jego odpowiedź jest dla mnie zbyt prawdziwa. Spodziewałam się czegoś mniej niż prawdy.

- Macie zamiar się spotykać?

Oboje kręcą głową.

- A ty? - pyta Charles. - Byłaś z nim niecałe dwadzieścia cztery godziny temu.

- To nic nie znaczyło.

- Dwie noce, a ja mam myśleć, że to nic?

Jessica sztywnieje. Nie wiedziała. Wilgotnieją jej oczy. Jej ból się pogłębia.

- To był seks w ramach zemsty. Nic więcej. Nic do niego nie czułam.

Teraz Charles wytrzeszcza oczy. Jest roztrzęsiony. Moja odpowiedź jest dla niego zbyt prawdziwa.

Zachowuję spokój, nie wierzę się, uważam, żeby nie dotknąć włosów ani nosa, żeby nie zdrzał mi głos.

- Seks w ramach zemsty? Naprawdę? - pyta Jessica Davida Lawrence'a.

Przytakuje.

- Więc skąd mam wiedzieć, że to skończone? - dopytuje się Charles stanowczym tonem.

- Bo ja mówię, że tak jest - odpowiadam. Nikt na nikogo nie patrzy.

- Masz żonę, która czuje bardzo głęboko - David Lawrence zwraca się do Charlesa.

- A ty ją znieważyłś.

- Ona jest bardzo wrażliwa, widziałem, jak się rozsypuje, i wykorzystałem to. Przepraszam.

Charles stęka, zaczyna bębnić palcami o stół.

- Nikt po tamtej stronie stołu - mówi David Lawrence - nie ma żadnych powodów, żeby kontaktować się z kimś po tej stronie stołu. Mam rację?

- I vice versa - odwarkuje Charles. - Nie zapominaj o tym. David Lawrence nie prowokuje Charlesa, po prostu kiwa głową.

Jest wyczerpany. Zwraca się do Jessiki.

- Wszystko to przez paczuszkę z prezerwatywą, którą zostawiłaś w swoim wozie.

- Mówiłam ci, że to nie ja, tylko moja kuzynka.

Po tym, co powiedział mi Charles, wierzę jej. Czujemy tę ironię losu. Czyjeś tam niechlujstwo sprowadziło nas tutaj. Ukradło mi szczęście, radość życia zamieniło w ból.

David Lawrence klepie obiema dłońmi w stół.

- No to mamy już wszystko z głowy.

Nawet teraz, na koniec, chce nad wszystkim panować. Chciał to zacząć i chce mieć ostatnie słowo.

- Ostatnia sprawa - mówię. - Lubię być fair. Lubię spłacać swoje długi. Więc jeśli pozwolisz, Jessica, chciałabym wiedzieć, ile wyniósł rachunek za szpital. Pokryjemy połowę.

David Lawrence patrzy na swoją żonę.

- Jaki rachunek za szpital?

Klimat w naszym czworokącie znów się zmienia. Jessica bierze go za rękę.

- Nieważne.

David Lawrence patrzy na mnie, zadając to samo pytanie, domaga się, żeby go oświecić.

- Jessica, jesteśmy tu ze sobą szczerzy. Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Charles.

Zamyka oczy, drżą jej wargi, łzy napływają do oczu.

Jessica mówi swojemu mężowi, że była w ciąży. Mówi o poronieniu. Mówi, że nie pojechała do Palm Springs, tylko ukryła się w hotelu. Jej kuzynka nie przyjechała. Cały czas była sama. Łamie jej się głos i słowa więzną w gardle. Każdym oddechem mogłaby zgasić setkę świec. Charles trzyma mnie za rękę, ściska kurczowo, kiedy jego kochanka przedstawia swoją wersję wydarzeń. Była w trzecim miesiącu ciąży.

Jestem sto razy bardziej wkurzona, kiedy słyszę, jak się do tego przyznaje.

Wyraz twarzy Davida Lawrence'a, świeży przyływ zażenowania i niepokoju, jest odpowiedzią na moje pytanie. Myślałam, że wiedział. Nie wiedział.

- Sytuacja. W e-mailach do niego pisałaś o waszej „sytuacji”. To o tę „sytuację” chodziło?

Jessica przytakuje.

- To nie jest coś, o czym chciałam rozmawiać za pośrednictwem komputera. O takich rzeczach rozmawia się w cztery oczy.

David zmaga się z tą prawdą, potem zadaje pytanie.

- Czyje to było?

- Moje - mówi Charles. - To dziecko było moje.

- Skąd wiesz, Charles? - pytam.

David Lawrence patrzy na Jessicę, oczekując zaprzeczenia. Nie doczekuje się.

Wszystkie słowa w naszej małej przestrzeni gasną. Słyszę tylko gwar i śmiech, brzęk srebrnych sztućców o talerze, wszelkie odgłosy świętowania płynące z zewnątrz.

Wycieram oczy.

- No to mamy już wszystko z głowy - mówię.

David Lawrence ani drgnie. Jego tarcza wojownika, jego arogancja, wszystko znika. Ból go obezwładnia. Wygląda niepozornie. Jego moc osłabła.

Jessica go obejmuje, trzyma głowę na jego ramieniu, mówi, że bardzo go kocha, błaga o przebaczenie.

Wymykam się z boks, Charles za mną, nieporadnie i nerwowo, jakby nie mógł się doczekać wyjścia z tej celi. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Każdy może pójść własną drogą.

Ale Charles, wstając, dotyka swojego oka.

- Wszystkiego dobrego z okazji rocznicy. Jego ostatnie słowa. Jego ostatni cios.

Odchodzi, zagłębiając się w nieskazitelną biel wnętrza.

David Lawrence unosi głowę, górnymi zębami przygryza dolną wargę, światła odbijają się w jego oczach. Łzy toczą się po jego twarzy. Pozwala im płynąć, siedzi na swoim miejscu, kręcąc nieprzerwanie głową.

Otwieram usta. Słowa wyrywają mi się z serca, ale na widok jego zaszklonych łzami oczu tylko wzdycham i kręcę głową. Zostawiam ich, niech się sami uporają ze swoimi sprawami. Ja mam na głowie własne.

Dopiero na zewnątrz doganiam Charlesa. Zbliża się do parkingu. Znowu jesteśmy w miejskim zgiełku, na zatłoczonej ulicy. Studenci, białe japiszony, czarne japiszony, podstarzałe japiszony, międzynarodowy tłum przelewa się przez bulwar. Po wyjściu z tamtego boks świat wydaje się taki wielki, powietrze takie świeże.

- Daj mi swój bilet parkingowy, odbiorę samochody i możemy stąd spadać.

Patrzę w dół na swoje stopy. Widzę nowe buty. Nowe spodnie. Nową bluzkę.

Poza torebką mam puste ręce. Charles też.

- Zaczekaj, gdzie jest moja torba?

- Jaka torba?

Nie mam torby po zakupach, do której włożyłam swoje dzinsy i bluzkę. Zastanawiam się, gdzie może być, przypominam sobie, że dałam ją Charlesowi przed wejściem do restauracji. Nie pamiętam, żeby miał ją w ręku, kiedy wchodziliśmy do boks.

- Musiałem ją postawić na podłodze - mówi - kiedy rozmawialiśmy przy automatach.

Charles oddaje mi bilety parkingowe i wraca w pośpiechu do restauracji. Jest przed wejściem, kiedy otwierają się drzwi. Wychodzi David Lawrence i Jessica, ale nie idą razem. Ona jest kilka kroków za nim. Na moment wszyscy przystają.

David Lawrence. Jessica. Charles.

To dzieje się zbyt szybko. Nie spodziewałam się tego.

David Lawrence rozchyła swoją skórzaną kurtkę. Wyjmuje pistolet. Celuje w Charlesa.

Nie ma żadnych słów, żadnego wahania, Charles nie ma czasu, żeby zareagować przed wystrzałem.

Otwieram usta, cała się trzęsę, ale krzyk więźnie mi w gardle.

Mój mąż pada na chodnik, leci wolno, ale ląduje ciężko, i stacza się w dół po schodach.

Charles prawie się nie rusza. Szmaciana kukła w zwiniętej pozycji resztką sił łapiąca powietrze.

Widzę, jak ze strugą krwi uchodzi z niego życie. Chcę podbiec i położyć rękę na tym czerwonym miejscu. Część mojego mózgu, która wysyła sygnały do mięśni, jest wyłączona.

Nikt nie krzyczy. Wszyscy przystają, żeby zobaczyć, co się dzieje.

David Lawrence stoi pod neonami restauracji z nieruchomą twarzą, szklistym wzrokiem, z dymiącym pistoletem w ręku.

Ludzie widzą, ale nie reagują. Są w szoku. W końcu jeden po drugim gapie zaczynają krzyczeć. Rozbiegają się we wszystkich kierunkach. Na parkingu jakiś samochód wpada na inny.

Jessica chwiejnym krokiem podchodzi do Charlesa, osuwa się na kolana u jego stóp. Jego zaszkłone oczy są szeroko otwarte. Krew pieni się wokół ust. Łapie powietrze, walczy, jakby jego system nerwowy działał niezależnie od jego woli. Jessica jest w histerii, uciska ręką krwawiącą pierś kochanka, wykrzykuje jego imię, wzywa jak oszalała pomocy.

David Lawrence podchodzi do swojej żony, przystawia jej do głowy pistolet. Drży mu ręka. Nienawidzi jej. Próbuje pociągnąć za spust. Ona odwraca się, patrzy na niego nieruchomym wzrokiem. W tym momencie on ją naprawdę widzi. Przypomina sobie, jak bardzo ją kocha.

Przystawia pistolet do własnej skroni.

Panika rozsadza mi pierś. Wrzask wypala mi gardło.

Patrzę na drugi wystrzał.

Martwe ciało Davida Lawrence'a pada na chodnik.

Samochody hamują z piskiem opon. Trąbią klaksony. Ludzie dzwonią na 911.

Tyle zgiełku.

Podjeżdżają wozy policyjne. Jeden policjant podnosi z ziemi pistolet, drugi biegnie do Davida Lawrence'a, szuka pulsu, rozpoczyna sztuczne oddychanie.

Jessica odsuwa się od Charlesa, siedzi tam odrętwiała z rękami we krwi.

Inny policjant przedziera się przez tłum do mojego męża, dotyka jego klatki piersiowej. Na chodniku jest kałuża krwi. Mój emocjonalny kompas szaleje. Podchodzę do Charlesa na miękkich nogach. Trzęsą mi się kolana, kiedy patrzę na jego cierpienie.

On gaśnie.

Podjeżdża na sygnale pierwsza karetka, tuż za nią druga. Mnóstwo migoczących świateł. Sześciu sanitariuszy ze sprzętem biegnie w kierunku wejścia do EuroChow. Pojawiają się wozy transmisyjne stacji telewizyjnych. Kamery nagrywają drastyczne sceny, które nie wejdą na antenę. Reporterzy przepytują gapiów, co widzieli, co słyszeli. Ciekawscy ludzie tworzą mur za barierką. Naokoło mnie jest żółta policyjna taśma. Płacze jakieś dziecko. Normalne życie w Westwood Village zamiera.

Moje życie staje się sensacyjnym newsem.

Jessica siedzi na schodach restauracji, która była kiedyś kościołem, z kolanami pod brodą, śmiertelnie przerażona, z krwią mojego męża na ubraniu i rękach. David Lawrence leży kilka kroków od niej. Podchodzi do niego pierwszy zespół ratowników, jeden rozmawia przez krótkofalówkę.

Mężczyzna. Postrzał głowy. Wlot i wylot widoczny. Brak tętna. Reanimacja w toku. Zabieramy go do szpitala.

Kiedy jeden z sanitariuszy rozmawia z Jessicą, ona wybucha płaczem i kompletnie się rozsypuje.

Ja nie płaczę. Chcę. Nie umiem się w tej chwili rozsypać. Nie jestem pewna, czy wiem, jak to zrobić.

Druga ekipa ratownicza podbiega do Charlesa. Krótkofalówka trzeszczy, kiedy opisują stan mojego męża.

Ofiara płci męskiej z postrzałem klatki piersiowej, niewydolność oddechowa. Powłóczenie połowy klatki piersiowej. Osluchowo zmniejszony szmer przy ranie wlotowej. Ofiara ma spienioną

*ślinę podbarwioną krwią. Obraz postrzałowego uszkodzenia płuca. Nieruchoma połowa klatki, ci-
sza w tym płucu.*

Konsekwentnie nazywają go „ofiara”. Charles staje się ofiarą.

Błyska jakaś kamera. Odwracam się i widzę, jak ogląda nas świat. Tylu ludzi fascynują tra-
gedie bliźnich.

Sanitariusze otaczają Charlesa i zajmują się jego krwawiącą raną. Wkłuwają mu się do żyły
łokciowej. Podłączają go do urządzenia, które błyska upiornym fluorescencyjnym zielonym świa-
tłem. Jeden z ratowników oddycha za niego za pomocą niebieskawego przedmiotu, który przypo-
mina kształtem piłkę futbolową, ściskając go delikatnym jednostajnym ruchem.

- Co pan mu robi? - pytam.

- Kim pani jest?

- Jego żoną.

Zadaje mi medyczne pytania; chce wiedzieć, czy Charles bierze jakieś leki, czy ma alergię,
cukrzycę, choroby krążenia i tak dalej. Ze skrzyżowanymi na piersi rękami odpowiadam najszyb-
ciej, jak mogę. On powtarza to wszystko przez krótkofalówkę, żeby szpital mógł się przygotować
do przyjęcia pacjenta.

Druga ekipa sanitariuszy wnosi do ambulansu Davida Lawrence'a. Jessica jest w hysterii; nie
chcą jej ze sobą zabrać. Odjeżdżają na sygnale do szpitala. Wiem, że ratownicy nie mogą stwier-
dzić zgonu. Może to zrobić tylko lekarz. Działają po prostu zgodnie z procedurą.

On nie żyje. Zmarł, zanim jego ciało upadło na ziemię.

Sanitariusz zajmujący się Charlesem tamponuje mu ranę. Krew wsiąka w biel opatrunku.

- Czy on umrze? - pytam ze ściśniętym gardłem.

- Stracił dużo krwi.

- Nie pozwólcie mu umrzeć, proszę.

- Robimy, co możemy, proszę pani.

Ludzie rozmawiają, ale słowa są niezrozumiałe, jakby wszyscy coś żuli.

Mimo opatrunku uciskowego Charles nadal krwawi. Leży w czerwonej strudze, tej samej,
która zostawiła plamy na ubraniu Jessiki. Ratownicy pracują szybko, odsysają mu wydzielinę z ust,
sprawdzają, czy nie zapadł się język, potem zakładają rurkę intubacyjną.

Łapię powietrze i staram się nie wchodzić im w drogę. Znam to na pamięć. Wiem, jak to
działa, bo oglądałam takie akcje setki razy. Brakuje mi tchu. Muszę się odwrócić, spoglądam w
dół.

Znowu błyska kamera. Mam ochotę przekląć tych wszystkich dziennikarzy.

Ratownicy podają Charlesowi tlen.

Ciągle pytam, co się dzieje, co z nim. Mój głos jest prawie niesłyszalny. Sanitariusze są zajęci przekazywaniem do szpitala informacji o ciśnieniu krwi, pulsie, oddechu. Stoję blisko, wyęzłam słuch i dobrze, cholera, rozumiem, co się dzieje.

Policja przesłuchuje Jessicę. Przestaję się kiwać i patrzę w ich stronę w momencie, gdy ona wskazuje ręką miejsce, w którym leżał jej mąż, potem mnie, potem Charlesa.

Przywiązują Charlesa do noszy i pędzą z nim do ambulansu. Biegnę razem z nimi. Pomagają mi wejść do środka. Włącza się syrena i odjeżdżamy.

Odwracam się i patrzę przez szybę na Jessicę, policjantów, dziennikarzy zbierających informacje, obserwatorów z błyskającymi kamerami. Jessica wysuwa się z tłumu policjantów, ręce ma skrzyżowane na piersi identycznie jak ja, patrzy, jak znikamy w ulicznym ruchu.

Nagle sanitariusz mówi, że Charles wchodzi w zapaść i dostaje instrukcje co do dalszej zaawansowanej procedury reanimacyjnej.

Zamykam oczy i zaczynam się modlić.

Upiorne fluorescencyjne światła oślepiają mnie, gdy wbiegam do szpitala.

Moje buty stukają w gorączkowym rytmie kroków sanitariuszy. Drzwi z pneumatycznymi zawiasami otwierają się i zamykają. Woń środków dezynfekujących bije w nozdrza.

Lekarze i pielęgniarki przystępują do akcji. Chirurg urazowy. Pulmonolog. Ktoś przychodzi pobrać więcej krwi. Muszą zrobić prześwietlenie, żeby zlokalizować pocisk. Włączają aparaturę do sztucznego oddychania. Muszą podać mu krew. Wyprowadzić go ze wstrząsu. Antybiotyki. Zastryk przeciwțczowy. Wszystko, co mówią i robią, tworzy zamęt w mojej głowie.

Tracę poczucie czasu i miejsca.

To jest piekielna noc. W szpitalu urwanie głowy, mnóstwo ludzi w poczekalni, przyjaciół i bliskich innych ofiar. Wokół mnie łyzy i niepokój.

Przecieram oczy i rozmawiam w korytarzu z policją.

Później ktoś z „Los Angeles Times” chce ze mną rozmawiać. To znaczy, że historia zrobiła się naprawdę głośna.

Znajduję telewizor. „Usiłowanie zabójstwa i samobójstwo w Westwood” we wszystkich lokalnych wiadomościach.

Te zdjęcia nakręcono tuż po...

...Jessica Lawrence, ta kobieta w zakrwawionym ubraniu... Reasumując nasze wydarzenie dnia... Po wspólnej kolacji z ofiarą podejrzany David Lawrence strzelił...

Materiał filmowy z nami w rolach głównych, karetki, chaos, wszystko idzie w świat. Tak to jest.

Pocieram skronie i dzwonię do swojej matki. Jestem wstrząśnięta. Widziałam, jak został postrzelony mój mąż. Widziałam, jak mężczyzna, z którym spałam, strzelił sobie w głowę. Mimo to mówię jej niewiele, potem proszę, żeby zadzwoniła do moich dwóch sióstr, ale nie wcześniej niż rano. Dzwonię do rodziców Charlesa w Slidell. Z miejsca wyczuwają, że mam dla nich złą wiadomość. Trudno jest ich okłamywać, ale mówię mętnie, tylko tyle, że Charles został postrzelony, kiedy wychodziliśmy z restauracji, że jest na stole operacyjnym i że zadzwonię, jak tylko dostanę jakąś wiadomość.

Moja komórka wibruje non stop, co doprowadza mnie do szału. Ludzie z firmy dzwonią, żeby sprawdzić, co ze mną. Nawet Tyra zaszczycza mnie telefonem. Jest miła. Prosi, żebym się do nich odzywała, bo wszyscy się niepokoją, i pyta, jak może mi pomóc. Przyjaciele widzieli wiadomości. Ludzie z kościoła Faithful Central słyszeli.

Do szpitala wpada Yvette, wygląda na roztrzęsioną i zakłopotaną. Patrzę na zegarek. Jest pierwsza w nocy. Ściska mnie.

- Cholera, piegusie.

- To nie najlepszy dzień.

Mam uczucie, że gdzieś z tyłu głowy leci mi krew, ale nic mnie nie boli. Macam głowę, potem szyję. To nie krew. To pot. Jest mi gorąco. Niedobrze. Powinnam się napić wody.

- Co z Charlesem?

- Ciągle na stole operacyjnym.

- Kurwa mać.

- Powiedzieli, że to może potrwać do ośmiu godzin.

- Udzielają ci jakichś informacji?

- Stan krytyczny.

- A David Lawrence?

Moja twarz mówi wszystko. Mój kochanek nie żyje. Nie wiem, co powinnam robić ani co powinnam czuć. Nie mam siły do nikogo dzwonić. Jestem wściekła. Czuję się winna. Mam mętlik w głowie. Nie rozumiem, dlaczego musiało do tego dojść. David Lawrence. Tamta ostatnia scena to jakaś koszmarna paranoja. I nie mam prawa go opłakiwać, tak jak Jessica nie ma nawet prawa myśleć o przyjeździe tutaj.

- To gówno poraziło w firmie dosłownie wszystkich. Ciężko było z tym coś zrobić.

- Co powiedziała Tyra? Pewnie miała nieustający orgazm.

- Była zmartwiona. Naprawdę zmartwiona.

Yvette trzyma mnie za rękę, kiedy opowiadam bełkotliwie o wszystkim, co się wydarzyło.

- Byliśmy hitem wydania.

- Jak skurwysyn.

- Dobrze, co?

- Dobrze.

Lekarz pojawia o świcie, kiedy Yvette wyszła do bufetu kupić nam coś do jedzenia. Wymawia moje nazwisko, a ja zamykam oczy do modlitwy. Wygląda jak Robert Wagner z opalenizną George'a Hamiltona. Odchodzimy na bok, z dala od wszystkich, żeby mógł ze mną porozmawiać. Bierze moją rękę i poklepuje, jakbym była jego ukochaną córeczką, i potwierdza, że mój mąż został postrzelony w płuco.

- Pocisk wleciał pod takim kątem - tłumaczy - i uszkodził układ krwionośny tego płuca.

- Co to znaczy? - pytam drżącym głosem.

- Zanim przystąpiliśmy do zabiegu, utrata tlenu i krwi spowodowała, że rozpoczął się proces martwicy tkanki płucnej.

- Chwileczkę. Nie rozumiem, co pan mówi.

- Pani mąż stracił płuco. Musieliśmy je usunąć.

Coś się we mnie zapada. Kręcę głową i jęczę.

- Czy dać coś pani?

- Co pan ma na myśli?

- Dużo pani przeżyła.

- Żadnego gówna.

- Przyniosę pani coś na uspokojenie.

- Nie, dziękuję. Nic mi nie jest.

- Pani druga ręka...

Patrzę w dół. Moja lewa ręka trzęsie się z nerwów, jakbym miała parkinsona.

- Stracił płuco? - mówię łamiącym się głosem.

- Tak.

- Będzie potrzebny dawca płuca czy...?

- Można żyć z jednym płucem.

- Okej. - Biorę głęboki oddech i prostuję plecy. - Co teraz? Mówi, że Charles będzie musiał mieć dren w klatce piersiowej, żeby usunąć z jamy opłucnowej resztki wydzieliny.

- Czy on jest przytomny?

- Był. Ale jest znieczulony. Był lekko przerażony.

- Z powodu ostatniej rzeczy, którą widział.

- Właśnie. Więc będzie się wybudzał i znowu zasypiał.

- Gdzie on jest? Kiedy go będę mogła zobaczyć?

- Jak tylko go zawieziemy na OIOM.

Odchodzi, ale zatrzymuje się po kilku krokach, słysząc, że go wołam. Wraca.

- Panie doktorze, może mnie pan znieczulić czymś mocniejszym niż valium?

Yvette prowadzi mnie na OIOM za rękę.

Nie poznaję Charlesa. Jego twarz wygląda koszmarnie. Podczas operacji podawali mu mnóstwo płynów i jest spuchnięty jak balon. W ustach ma rurkę intubacyjną umocowaną za pomocą czegoś, co wygląda jak opaska na włosy. Aparat do oddychania wielkości minilodówki jednostajnie syczy i wzdycha. Mnóstwo monitorów. I kroplówka wisząca u jego boku.

Wchodzi pielęgniarka.

- Panie są z rodziny? - pyta.

- Jestem jego żoną.

- Aha. Zapewniam, że jest pod dobrą opieką.

Pielęgniarka nazywa się Regina Philpot. Sympatyczna siostra z Augusty. Oczy w kształcie migdałów. Okrągła twarz. Wysoka talia, długie nogi. Yvette i Regina dogadują się na swój południowy sposób i robią to, co robią wszyscy ludzie z Południa, czyli z miejsca próbują się dowiedzieć, czy mają jakichś wspólnych znajomych.

Patrzę na Charlesa. Wszystkie te rurki. Kroplówka. Zapachy. Aparatura. Za dużo, żeby się z tym oswoić.

Regina, słysząc, że mam rodzinne korzenie w Północnym Cakalaki, mówi nam, że jej ojciec pochodził z Charlotte i że nadal ma tam rodzinę. Po dwóch minutach rozmawiamy, jakbyśmy się znały od zawsze. Regina wydziela bardzo pozytywne fluidy, działa na mnie kojąco.

Nie pyta, co się wydarzyło. Oni już wiedzą.

- Czego powinnam się spodziewać?

Mówi, że Charles zostanie tu dotąd, aż jego stan będzie stabilny, a potem przeniosą go na oddział chirurgiczny. Opowiada o kilku zabiegach rehabilitacyjnych, które będzie musiał przejść, prześwietleniach, mówi, że będzie słaby i zdany na opiekę rodziny.

Jest bardzo przekonująca. Wierzę jej, kiedy mówi, że wszystko będzie dobrze.

Myję ręce i dotykam swojego męża. Jest ciepły. Żywy.

Otwiera oczy.

Dotykam jego falistych włosów i wyszeptuję imię. Zamyka oczy.

- Jak długo on tu będzie?

- Zakładając brak komplikacji pooperacyjnych, około tygodnia. Daję jej swoje numery, żeby mogła zadzwonić, jeśli coś się zmieni. Wychodzę ze szpitala.

Yvette wiezie mnie czterysta piątą, ruch w niedzielny poranek jest znośny.

Przez całą drogę rozmawiam przez komórkę z rodziną Charlesa. Dzwonią do mnie, wypytując o jego stan. Mówię, że jest na oddziale intensywnej opieki. Jego rodzice i rodzeństwo pakują się, żeby tu przyjechać.

- Możesz nam powiedzieć, co się wydarzyło? - pyta jego ojciec. - Czy to był rabunek? Jakiś zbiorowy bandycki napad, próba kradzieży samochodu, coś, co u was tam jest na porządku dziennym?

Jego syn omal nie rozstał się z życiem. Jest przygnębiony. Ja jestem zmęczona. Przerażona. Rozbita. Tyle już kłamstw padło i wyszło na jaw.

- Charles miał romans. Postrzelił go mąż tej kobiety.

- Co? Rozmawialiśmy z tobą w zeszłą niedzielę, wychodziliście razem z kościoła... wszystko było w porządku.

- A w tej chwili robię wszystko, żeby do końca nie zwariować... Yvette odbiera mi telefon i kończy rozmowę.

Ja biorę jedną z pigulek szczęścia, które dostałam od lekarza, połykam na sucho. Mam nadzieję, że szybko zadziała.

Zmieniamy autostrady, z czterysta piątej na sto dziesiątkę do mojego zjazdu na dziewięćdziesiątej pierwszej.

Widzę ludzi przebiegających ulicę koło Uniwersytetu Dominguez Hills; w kampusie robotnicy budują stadion piłkarski. Tuż za skrzyżowaniem na moje osiedle musimy zatrzymać się przed bramą. Nie mam pilota. Trzymam go w samochodzie. Widzi mnie ochroniarz, pyta, co słyhać. Wychodzą sąsiedzi. Całe osiedle wie. Ludzie są ciekawi, chcą zadać pytania. Wszyscy chcą odpowiedzi.

Yvette jest przy mnie. Prosi, żeby dali mi spokój, żeby to uszanowali.

Garaż ma skrzynkę sterującą na zewnątrz. Wybieram kod i nowe drzwi się podnoszą.

Patrzemy na dziury wielkości pięści w ścianach, oglądamy wszystkie zniszczenia.

- Nieźle - mówi Yvette.

Wchodzę przez garaż do domu i widzę stos papierów na blacie. W pierwszej chwili myślę, że to praca Charlesa, coś związanego z nauką o społeczeństwie. Nie. To są odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Na wszystkie odpowiedział szczegółowo. Wyrzucam je do śmieci.

Na mapie Delaware wygląda jak półwysep między większymi stanami. Nigdy nie wsiadam do małych samolotów, więc lecę lotem liniowym do Filadelfii, wypożyczam samochód z systemem nawigacyjnym i za jego pomocą ustalę trasę na południe. Najpierw mijam Wilmington, potem przejeżdżam przez Odesseę i Smyrnę.

Prawie dwie godziny później znajduję się w Dover, przemierzam drogę numer trzynaście.

Przez jakiś czas jazdę umilają mi Magic 98.9 i Angel, potem włączam płytę Tima McGrawa i poddaję się nastrojowi jego niebieskookiego bluesa. Wiatr śpiewa przez otwarte okna.

Jadę lokalną dwupasmówką, żeby zobaczyć, gdzie mieszkał David Lawrence, przestrzegam ograniczeń szybkości, rozglądam się po rozległych polach uprawnych, wszędzie dookoła bezkresne niebo, domy w przyczepach kempingowych, przydrożne tablice mówiące, że można dużo kupić za mniej niż trzydzieści tysięcy, McDonald's, Warren Electric, Best Western, Dukes Lumber Company, zajazd Comfort Inn reklamujący pokoje za czterdzieści dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów, fabryka domów Collins Custom, motel Sunrise, hipermarket Wal*Mart, Sears, Food Lion, True Blue Gas, rozbite samochody na frontowym dziedzińcu koło Boyce and Sussex.

To był jego świat. Żadnych wypasionych aut tarasujących autostrady. Prawie żadnego ruchu. Zwykle miejsce, w którym David Lawrence dorastał. W którym rozrzucą jego prochy.

Duża wysoka tablica w kolorze żółto-kremowo-czerwono-brązowym przyciąga mój wzrok, gdy droga numer trzynaście krzyżuje się z czterdziestą drugą. Sklep spożywczy Wawa. Zwalniam i patrzę na brązowy budynek. Minutę później zauważam mniejszy szyld. Włączam kierunkowskaz i skręcam w szutrowy parking Fabryki Drzwi Opuszczanych Yoddera. Tu pracowała paniąka z Wawa. Opowiadał mi o tym.

Już czas. Zawracam i kieruję się do Domu Pogrzebowego Faries.

Docieram na jego nabożeństwo żałobne trochę przed czasem. Mnóstwo tu kwiatów. Szkoda, że zmarły nie czuje zapachu. Biorę program i podchodzę do przodu upewnić się, czy są tam moje kwiaty. Prosta wiązanka, prosto z serca, z moim imieniem i fragmentem Pierwszego Listu do Koryntian, 13,3-8, na bileciku.

Zajmuję miejsce w środkowym rzędzie na pierwszym krześle przy przejściu, stawiam przy nogach torebkę i futerał z saksofonem. Czytam o Davidzie Lawrencie, raz po raz.

Ktoś siada koło mnie. Kobieta o rudych włosach w ładnym czarnym kostiumie. Wygląda światowo, różni się stylem od miejscowych podobnie jak ja. Mówi, że widziała mnie na lotnisku. Że przyleciałyśmy tym samym lotem z Los Angeles do Filadelfii. Też przyjechała tu sama.

- Chodziłaś z nim do szkoły? - pyta.

- Nie. Poznaliśmy się dwa tygodnie temu.

- Oo.

- Malował mnie. A ty?

- Ja też jestem malarką.

- Oo.

- Robiliśmy wspólne wystawy. Niedawno byliśmy razem w Kanadzie. Wspaniały facet.

Kiwam głową.

- Byłaś jego dziewczyną?

- Nie. - Śmieje się. Ma na palcu piękną obrączkę. - Obracaliśmy się w tych samych kręgach. Ja, on, Woodrow Nash, Bibbs, Gate-wood... wszyscy zawsze lądowaliśmy w tych samych miejscach.

- Widziałam kwiaty od Bibbsa. Te obok wiązanki od szkoły z Dover.

- Tak. Wszyscy chodzimy tymi samymi ścieżkami.

- Środowisko artystyczne nie jest takie duże.

- Środowisko artystów afroamerykańskich jest jeszcze mniejsze. Jej słowa zbijają mnie nieco z tropu, bo myślałam, że jest biała.

- On był wielkim artystą - mówię.

- A ty?

Wiem, o co pyta.

- Nigdy nie byłam jego dziewczyną. Przedstawiam się.

Mówi, że nazywa się Kimberly Chavers. Poznała Davida Lawrence'a kilka lat temu, kiedy ona i jej mąż przeprowadzili się do Los Angeles. Byli na tym samym seminarium na Uniwersytecie Kalifornijskim.

Czyta program. Kręci głową i mówi, że to tragiczne.

- Życie jest takie krótkie.

Zgadzam się. Obie spuszczaemy wzrok i patrzymy na uśmiechniętą twarz na programie. To ucina rozmowę, ale ja nie przestaję myśleć o tym, co powiedziała. Życie jest krótkie. Wszystkie podróże kończą się tutaj, śmiercią. Wiem, że dzisiaj nie jestem tym, kim chciałabym być, gdy skończy się ta podróż.

Z czasem przychodzi coraz więcej ludzi, zajmują miejsca. Na początku jest mało ludzi, a potem nagle tłum rośnie. Wkrótce jest tu ponad setka osób. Wszystkie krzesła są zajęte i niektórzy muszą stać. Wszyscy się znają. W prostej czarnej spódnicy i żakiecie czuję się jak outsiderka.

Powstaje poruszenie, jakaś plotka, która niesie się po sali. Ludzie szepczą, szukają odpowiedzi.

Ja też szukałam odpowiedzi. Nie ma odpowiedzi. Tak naprawdę nigdy ich nie ma. Pytań jest zawsze więcej niż odpowiedzi. Mistrz ceremonii prosi nas o uwagę.

Rodzina jest na zewnątrz, w alei Governors, ustawiona w kolejce do wejścia.

Jego matkę wprowadzają pierwszą. Postawna kobieta w zgrzebnej niebieskiej sukience. Nadgarstki złączone, jakby była w kajdankach.

U jej boku strażniczka i strażnik. Rudosiwe włosy zaplecione w długie warkocze. Twarz ze śladami dawnej urody. Mimo zmarszczek i drobnych blizn widać, że była kiedyś bardzo piękną kobietą. Idąc, powłóczy nogami, jakby przywykła do więziennego tempa, a może niespieszno jej do powrotu do więzienia. Rozgląda się po ludziach, jakby próbowała przypisać imiona twarzom, których nie spodziewała się nigdy więcej zobaczyć. Na mój widok przystaje. Jej oczy mi mówią, że zastanawia się, kim jestem. Idzie dalej i siada. Krewni w najróżniejszym wieku wchodzą do środka za nią.

Matka Davida kręci się na krześle, rozgląda po domu pogrzebowym, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Znałaś jego żonę? - pytam Kimberly.

- Nie bardzo. Ona raczej nie przychodziła na nasze spędy.

- Zastanawiam się, gdzie ona jest.

- Czytałaś artykuł w „Timesie”?

- Tak.

- Wiadomości też oglądałaś?

- Oglądałam.

- Pokazałabyś swoją twarz?

- Gdybym nie czuła się winna, to tak. Klepie mnie po rękę.

- Cieszę się, że przyjechałaś.

Wiem, że ona wie, kim jestem. Jest subtelna. Nie drażymy tego dalej.

Zaczynają się modlitwy i pieśni.

Kiedy przychodzi pora na przemówienia, sporo ludzi zabiera głos. Wspominają Davida jako chłopca. Jako nastolatka. Jako ambitnego młodego człowieka, który żył dla swojej sztuki. Mówią,

jaki był zabawny. Był uczynnym chłopakiem, który lubił naprawiać samochody, nie biorąc za to ani grosza. Mówią o rzeczach, o których sama nigdy bym się nie dowiedziała.

Pytam, czy mogę dla niego zagrać. Zgadniają się. To oryginalna melodia. Krótka. Sympatyczna.

Jego matka cały czas mi się przygląda z nieukrywaną ciekawością.

Kończę grę i odpowiadam na jej spojrzenie skinieniem głowy.

Wydmuchuje nos, ociera łzy i odwzajemnia mój gest.

Patrzę przez moment na tę kobietę, dzieląc się z nią swoimi myślami i uczuciami.

Uśmiecha się. Widzę młodą kobietę w jej wnętrzu. Kobietę pełną namiętności.

- Dziękuję - mówi bezgłośnie.

- Nie ma za co. - odpowiadam. Wychodzę.

Na zewnątrz, na parkingu, za karawanem i sznurem samochodów rodzinnych, słońce odbija się od chromowanej powierzchni. Błysk przyciąga moją uwagę do klasycznego benza zaparkowanego przy bocznej ścianie budynku. 250SL. Kolor zgaszony chłodny brąz. Odkryty dach.

Podchodzę do samochodu. W środku jest jedna osoba. Jessica.

Cała na czarno w kapeluszu z wdowim welonem. Unosi welon, kiedy się do niej zbliżam. Okulary przeciwsłoneczne z prostokątnymi żółtymi szklami zmieniają odcień jej twarzy. Wyciera chusteczką nos. Ma zapłakane przekrwione oczy, opuchnięte powieki.

Patrzę na nią nieruchomym wzrokiem. Twarz byłej kochanki mojego męża. Twarz żony mojego zmarłego kochanka.

Chcę jej coś powiedzieć, ale nie znajduję słów.

Modłę się, żebyśmy nie spotkały się nigdy więcej. Opuszcza welon i uruchamia samochód. Ściskając kurczowo uchwyt futerału saksofonu, wracam do swojego wypożyczonego auta. Kiedy włączam stacyjkę, benz odjeżdża spod kościoła i w moim wstecznym lusterku staje się coraz mniejszy.

W odtwarzaczu CD od początku ta sama płyta. Tim McGraw śpiewa o kowboju, który w nim siedzi i każe mu robić różne rzeczy.

Międzystanową I-95 wracam do Filadelfii i jadąc, dzwonię do Charlesa, żeby spytać, jak się czuje. Kocham go, martwię się o niego, ale nasze drogi się rozeszły. Już nigdy nie będziemy tacy sami. Moja matka i jedna z siostr przyjechały do Los Angeles i dowiedziawszy się prawdy, wróciły do Karoliny Północnej. Charles dochodzi do siebie, jego rodzina nadal jest w Los Angeles i troskliwie się nim opiekuje. Teraz jest z nim w szpitalu jego matka i jeden z braci. Został wypisany, ale muszą go wozić na zabiegi rehabilitacyjne do UCLA. Inni krewni koczują w naszym domu.

Jego matka swoim silnym kreolskim akcentem mówi mi, że Charles jest w niezłym nastroju, normalnie je, robi postępy w terapii.

- Wciąż cierpi, ale nie jest tak źle - mówi. - Przez jakiś czas nie będzie mógł nic podnosić ani prowadzić samochodu. Lekarstwa będą powodowały senność. No i będzie potrzebował kogoś do gotowania.

- Żyje. Wykaraskał się.

- Dziękuję Opatrzności.

- Podobno nie ma większej tragedii od straty dziecka. Powinnaś dziękować na kolanach.

- Ciebie tu prawie nie ma.

- Wiem. Robisz wielką rzecz. Zostań z nim, dopóki nie wydobrzeje.

- A co zrobisz potem?

- Potem zdecydujemy, co zrobić z domem.

Wiedzą wszystko, czego można się było dowiedzieć, o naszych piętnastu minutach hańby. Niewiele trzeba słów po tym, co przeczytali w gazetach i obejrzeni w wiadomościach. Minął ponad tydzień i nasza historia, jeśli chodzi o media, jest starą sprawą.

Matka Charlesa pyta, gdzie jestem i kiedy wracam.

Mówię jej tylko, że wpadnę do domu jutro. Przed pójściem do pracy przyjadę porozmawiać z Charlesem. Proszę, żeby dzwoniła na komórkę, jeśli będą czegoś potrzebowali. Mówię to wszystko uprzejmym i czułym tonem, na koniec przesyłam jej ucałowania i wszystkich serdecznie pozdrawiam.

Siedzimy na naszym patio i rozmawiamy. Charles otwiera przede mną serce i duszę. Wiemy, do czego to wszystko zmierza. To jest nasz zamek na piasku. Z każdą falą przyływu woda zabierze to, czego nie rozsypał wiatr. Jeśli nie odejdę, staniemy się duchami ludzi, którymi byliśmy kiedyś, i ten dom stanie się naszym grobowcem. Jeśli zostanę, osoba, którą jestem teraz, szybko mu obrzydnie. A jeśli nawet mu nie obrzydnie, to mnie obrzydnie jego słabość. Nie ma dla nas drogi do raj. Z każdym dniem będzie coraz gorzej, więc mówię, że pora zdjąć ze ścian nasze ślubne fotografie i ślubne obrączki z palców. Trzeba włożyć je wszystkie do pudeł razem z kartkami i listami, których możemy już nigdy nie przeczytać. Los przywiódł nas do miejsca, w którym musimy dokonać wyboru.

- Ale nie chcesz rozwodu? - pyta Charles.

- W tej chwili rozwód nic dla mnie nie znaczy.

- Czy jest coś, co mógłbym powiedzieć albo zrobić, żeby cię zatrzymać?

- Nie. Ale...

- Co?

- Będę potrzebowała trochę gotówki. Pieniądzy na podróż.

- Boję się ciebie stracić.

- A ja się boję, że nie odnajdę samej siebie.

Robię to, patrząc mu w oczy, po raz ostatni trzymając go za rękę, wszystkie słowa wypowiadam z miłością, bez gniewu. Odejdę, kochając go, ale nie będąc w nim zakochana.

- Ale my się kochaliśmy, prawda?

- Dawno, dawno temu.

Trzyma mnie za rękę, jakby nie przyjmował tego do wiadomości. Pewnie będę do niego dzwoniła tysiące razy. On będzie do mnie dzwonił i pewnie tyle samo razy będę odbierała.

- Dlaczego go nie przeprosiłeś? - pytam. - On cię przeprosił.

- Nie wiem.

Klepię go po rękę. Jest małym chłopcem, który musi jeszcze wiele zrobić, żeby dorosnąć.

Jest moim mężem. Jesteśmy ze sobą związani na zawsze. Wszyscy czworo będziemy.

Ja nigdy nie zapomnę.

On będzie pamiętał przy każdym oddechu.

Pokazanie się w pracy jest czystą formalnością. Mam dużo niewykorzystanego urlopu i potrzebuję dużo czasu dla siebie. Nie mogę teraz robić stresujących rzeczy, nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła.

- Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz - mówi Tyra. - Będiesz miała tu pracę, kiedy wrócisz.

- Dzięki.

- Nie wiem, czy wiesz, ale pozwoliłam Yvette pracować nad reportażem dokumentalnym na Miesiąc Czarnej Historii.

- Niech zgadnę - mówię ze śmiechem. - Coś, co ma związek z Erytreą?

- Z uczciwym podejściem do wszystkich stron konfliktu, bez uprzedzeń wobec Etiopii. Trzeba zachować równowagę, żadnej propagandy, potrzebne są fakty, a przede wszystkim to musi być zajmujące.

- Myślisz, że ludzi to interesuje?

- Wątpię. Ale ona uważa, że jeśli spróbujemy to powiązać z tutejszymi problemami, naprawdę lekceważonymi, może coś o tym, jak my wszyscy się bardzo separujemy...

- Diaspora. Brzmi obiecująco.

- Chętnie bym ci to dała do realizacji.

- Miesiąc temu chętnie bym to wzięła. Ale dziękuję nie.

Marzę tylko o tym, żeby spakować saks, wyjść stąd i sprawdzić, czy mam talent, zdobyć jakieś chałtury, narzucić sobie z powrotem dyscyplinę i tworzyć sztukę swoją muzyką. Ogarnia mnie jakiś nowy niepokój, ale niepewność mnie nie zniechęca.

Wpadam do reżyserki, potem rozmawiam z prezenterami, obchodzę wszystkie kąty i pokrzykuję na kilka osób, pokazuję im wszystkim uśmiechniętą twarz, aby wiedzieli, że się trzymam. Są uściski i pocałunki i podziękowania. Nadchodzą gorące wiadomości. Wszyscy wracają do swojej zwariowanej harówki.

Zaglądam do montażowni Yvette. Przerywa pracę, wstaje i rzuca mi się na szyję.

- Wiesz, dokąd jedziesz? - pyta.

- Nie bardzo. Będę wiedziała, jak dojadę.

- Nie zapomnij, że mam puste mieszkanie w Atlancie. Musisz się wyrwać, wiem. Jeśli chcesz, jedź tam i spróbuj się pozbierać. Będziesz tylko kilka godzin jazdy od swojej rodziny.

- I od Fort Mills. Wybuchamy śmiechem.

- Może zapakuję swoje miętuski i popracuję nad tym, by ci dorównać biegłością w sztuce.

Przez jakiś czas mogę żyć jak Yvette „wolna, by pożądać i posiadać”. Może stworzę własny rozkołysany chód, taki, który odrzuca istnienie wolności niedostępnej kobietom*.

- Dokądkolwiek pojedziesz, dzwoń do mnie. Przyjadę, jak tylko będziesz mnie potrzebowała.

- Zadzwońię.

- A teraz idź, zanim się rozryczę.

* Odniesienie do książki Anaïs Nin *Szpieg w domu miłości*.

- Kocham cię, Yvette.

- Ja też cię kocham.

Znajduję puste pudło i idę do mojego gabinetu bez drzwi, do mojego tandetnego biurka, stojącego pośród wielu innych tandetnych biurek, i zabieram się do pakowania rzeczy. Telewizory są włączone, jarzą się monitory komputerowe, ale w tej chwili nie ma w zasięgu wzroku żywej duszy.

Na moim krześle leżą dwie wielkie tuby z nalepką firmy kurierskiej FedEx. Zrywam taśmę klejącą z zakrętki pierwszej tuby. W środku jest zrolowane płótno. Rozwijam je, ale koniec ciągle się skręca, więc używam telefonu, nożyczek, pudełka z dyskietaami i przycisku do papieru, żeby obciążyć wszystkie rogi.

Wpatruję się przez chwilę w obraz.

Potem w pośpiechu otwieram drugą tubę, rozwijam płótno, znajduję więcej przedmiotów do obciążenia końców.

To moje portrety. W żywych czerwieniach i brązach. Na pierwszym czytam korespondencję Charlesa i Jessiki. Tamten ból utraconej miłości jest tak wyraźny w moich oczach. *Odkrycie*. Na drugim stoję w erotycznej pozie, z wyeksponowanym biustem, z zamkniętymi oczami, gram na saksofonie. *Zachód słońca*.

Moja cera, włosy, piersi, uda - jego wizja mnie jest seksowna i piękna.

Stoję pomiędzy dwoma obrazami. Na jednym jestem smutna. Na drugim szczęśliwa. Chcę być kobietą z drugiego obrazu, tą szczęśliwą. Taka jestem naprawdę. Kobieta na smutnym obrazie nie jest mną. Jest tą, która stawiała na głowie, żeby jej mąż był zadowolony, wypruwała z siebie flaki w stresującej pracy, robiła wszystko, żeby zadowolić wszystkich, tylko nie siebie.

Zamierzam być szczęśliwą dziewczyną z *Zachodu słońca*.

Czytam napisany ręcznie bilecik. „Żałuję, że nie poznałem cię wcześniej. Zanim poznaliśmy ich”.

Jest mi lżej na sercu. Łzy płyną po policzkach. Wyszepuję to samo wiatrowi.

Pora spakować rzeczy, wsiąść do Błękitka i ruszyć przed siebie sto pierwszą. Może pojedę na północ i znajdę gdzieś mały nocny klub, może nad zatokę San Francisco, może do Seattle, gdzieś, gdzie będę mogła grać na saksie, robić to, co kocham robić, i wyrażać, co czuję swoją muzyką. Niech to będzie moja rehabilitacja.

Wiatr podwiewa mi włosy, kiedy ustawiam wsteczne lusterko i patrzę na twarz kobiety w lustrze. Jej brązowa skóra i cynamonowe piegi ozywają w słońcu znajomymi konstelacjami. Kąciki jej uśmiechu powracają.

Całuję na do widzenia jej smutek.

